

CZARNA SERIA  
KRYMINAŁ

KATE  
ATKINSON

Zagadki  
przeszłości

# KATE ATKINSON

Zagadki  
przeszłości

Przełożył Paweł Laskowicz

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2014



*Dla Anne McIntyre*

## **Historia nr 1, 1970**

### **Rodzinny grób**

Ile miały szczęścia? Fala upału w środku wakacji, wtedy gdy najbardziej go potrzeba. Słońce codziennie wstawało na długo przed nimi, drwiąc sobie z lichych letnich zasłon wiszących nierówno w oknach sypialni. Gorące i obiecujące wisiało na niebie, zanim Olivia zdążyła otworzyć oczy, a na Olivii można było polegać nie mniej niż na rannym kurze. Zawsze budziła się pierwsza i odkąd trzy lata temu przyszła na świat, nikt w domu nie korzystał z budzika.

Olivia była najmłodsza, zajmowała najmniejszą sypialnię na końcu korytarza, tę wytapetowaną wierszykami dla dzieci, tę samą, którą zajmowały wszystkie po kolei i z której musiały się wyprowadzać, by ustąpić nowo narodzonej następczyni. Olivia była śliczna jak pąk róży, co do tego wszyscy byli zgodni, nawet Julia, która była domowym pupilkiem najdłużej. Dzierżyła to słodkie miano przez pięć wspaniałych lat, dopóki nie pojawiła się Olivia.

Rosemary, ich mama, mawiała, że Olivia mogłaby już zostać w tym wieku na zawsze, taka jest kochaniutka. Żadna nie pamiętała, żeby mama kiedykolwiek użyła takiego słowa w odniesieniu do nich. Nie przypuszczałyby nawet, że taki wyraz może się znajdować w jej codziennym słowniku, zazwyczaj zawężonym do nużących komend w rodzaju: chodźcie tutaj, idźcie już, uspokójcie się i tej najczęstszej – przestańcie! Mama potrafiła wejść do pokoju albo pojawić się nagle w ogrodzie, spojrzeć na nie i powiedzieć: „Nie wiem, co tu wyrabiacie, ale przestańcie w tej chwili!”, po czym odchodziła bez żadnych wyjaśnień, a one zostawały, urażone i smutne, z poczuciem krzywdy. Czuły, że zostały potraktowane źle, nawet jeśli rzeczywiście przyłapała je na gorącym uczynku (najczęściej namówione przez Sylwię).

Zasób pomysłów na rozrabianie, zwłaszcza pod przywództwem zuchwałej Sylvii, wydawał się nie mieć końca. Trzy najstarsze dziewczyny (każdy to przyznawał) stanowiły jedną, niemal monolityczną grupkę. Dzielili je drobna różnica wieku, więc mama często widziała w nich jedno zbiorowe dziecko, któremu bardzo trudno jej było nadać indywidualne cechy i do którego zwracała się, nie bacząc na kolejność: Julia-Sylvia-Amelia-czy-kto-tam. Mówiła to zmęczonym głosem, pełnym skargi, jakby to była ich wina, że tyle ich się narodziło. Olivia wymykała się tej przydługiej litanii. Ciekawe, że mamie udawało się nie mylić jej z resztą dzieci.

Myślały, że Olivia będzie ostatnią mieszkanką sypialni na końcu korytarza i że pewnego dnia tapeta z wierszykami dla dzieci zostanie wreszcie zdarta (oczywiście przez przepracowaną mamę, bo tato twierdził, że angażowanie do takiej roboty dekoratora wewnątrz to wyrzucanie pieniędzy w błoto) i zastąpiona nieco poważniejszym wzorem, kwiatkami albo kucykami. Zresztą każda tapeta byłaby lepsza od szpitalnego różu, który zdobił pokój Julii i Amelii – tapeta, która w ich oczach wyglądała tak obiecująco w katalogu, na ścianie okazała się katastrofą. Ale mama wciąż powtarzała, że nie ma czasu albo pieniędzy (albo energii), żeby ją zmienić.

Tymczasem okazuje się, że Olivie czeka ten sam rytuał wędrówki przez pokoje, który przechodziły jej starsze siostry, że zostawi – brzydko wymalowane – wersy o Humpty-Dumptym i małej pannie Muffets dla jeszcze jednego, niespodziewanego bobasa, na którego mama zdecydowała się, jak powiedziała, po namyśle, a którego nadejście zostało zapowiedziane (raczej mimochodem) dzień wcześniej, w czasie lunchu na trawniku przed domem. Mama naprędce przygotowywała kanapki z konserwowaną wołowiną i sok z pomarańczy.

– Myślałam, że to Olivia była po namyśle – rzuciła w powietrze Sylvia, a Rosemary podniosła brwi i spojrzała głupio na najstarszą córkę, jakby ją widziała po raz pierwszy w życiu.

Sylvia, trzynastolatka, jeszcze niedawno pełen energii i entu-

zjazdu (zdaniem wielu zdecydowanie nadmiernego) dzieciak, powoli wyrastała na zjadliwą, cyniczną nastolatkę. Trochę ociężała, niezdarna i gapowata, miała tłuste włosy, tubalny śmiech i długie palce u rąk i nóg, niczym przybysz z kosmosu, na nosie okulary, a na zębach okowy szpetnego aparatu ortodontycznego. Wielu ludzi w dobrej wierze nazywało ją brzydkim kaczątkiem (mówili jej to wprost, jak największy komplement, ale Sylvia nie uważała tego za komplement), widząc ją dojrzałą, rozwiniętą w piękną łabędzicę, uwolnioną od aparatu ortodontycznego, ze szkłami kontaktowymi i pełnymi piersiami. Ale Rosemary nie dostrzegła w Sylvii cienia łabędzicy, zwłaszcza kiedy w drucikach jej aparatu widziała nitki konserwowanej wołowiny. W ostatnim czasie Sylvia dała się opętać niezdrowej obsesji na punkcie religii i twierdziła uparcie, że przemówił do niej Bóg. Rosemary zastanawiała się, czy to normalny przejaw dojrzewania i czy dla kogoś w tym wieku Bóg może być równie atrakcyjny, jak gwiazdy rocka albo kucyki. Koniec końców postanowiła ignorować jej *tête-à-tête* ze Wszechmogącym. Rozmowy z Bogiem miały przynajmniej tę zaletę, że były za darmo. Utrzymanie kuca kosztowałoby fortunę.

Podobnie rzecz się miała z niezrozumiałymi omdleniami Sylvii, które rodzinny lekarz kładł na karb „przerostu masy ciała nad potencjałem sił fizycznych”. Z punktu widzenia medycyny było to wyjaśnienie dość pokrętne, o ile w ogóle można było zachowanie Sylvii jakoś wyjaśnić. Rosemary postanowiła nie przejmować się również omdleniami. Najpewniej dziewczyna chciała zwrócić na siebie uwagę.

Rosemary wyszła za Victora, ich ojca, kiedy miała osiemnaście lat – ledwie pięć lat więcej, niż teraz miała Sylvia. Myśl, że za pięć lat Sylvia osiągnie wiek, w którym będzie mogła kogoś poślubić, wydawała się Rosemary po prostu śmieszna i utwierdzała ją tylko w przekonaniu, że jej rodzice powinni byli zareagować stanowczo i uniemożliwić jej zawarcie ślubu z Victorem. Powinni byli jej wytłumaczyć, że ona jest jeszcze dzieckiem, a on trzydziestosześcioletnim mężczyzną. Wiele razy miała ochotę wypomnieć matce i ojcu ten brak

rodzicielskiej troski, ale matka zmarła na raka krótko po narodzinach Amelii, a tato ożenił się drugi raz i wyprowadził do Ipswich. I większość dnia spędzał w zakładach bukmacherskich, a wieczory w pubie.

Rosemary pomyślała, że jeżeli za pięć lat Sylvia przyprowadzi do domu jakiegoś trzydziestosześcioletniego amatora nimfetek (zwłaszcza takiego, który będzie twierdził, że jest znakomitym matematykiem), to żywcem wytnie mu serce nożem do krajania mięsa. Ta myśl była w niej tak żywa, że na razie zapomniała o zgryźliwej uwadze na temat dzieci po namyśle i pozwoliła dziewczynkom pobiec do furgonetki z lodami. Wesola melodyjka rozbrzmiała właśnie na ulicy.

Trio Sylvia-Amelia-Julia dobrze wiedziało, że o żadnym namyśle nie mogło być mowy, a plód (Sylvia, obkuta w przedmiotach ścisłych, nalegała, by tak to nazywać), który wprawiał mamę w nieprzewidywalne stany, w irytację i letarg, był najprawdopodobniej rezultatem rzutu na taśmę w wykonaniu ojca, rozpaczliwej próby doczekania się syna. Victor nie należał do ojców, którzy rozpieszczają córeczki, żadnej nie okazywał specjalnej sympatii. Tylko Sylvia czasem potrafiła zaskarbić sobie jego życzliwość, ale tylko dlatego, że była dobra z matmy. Bo Victor był matematykiem i wiódł subtelne życie w królestwie rozumu. Rodzina nie miała do niego wstępu. Nie przychodziło mu to trudno, zważywszy na to, jak mało czasu w ogóle spędzał z rodziną: zwykle był albo na wydziale, albo w swoim pokoju w college'u, albo zamykał się w gabinecie w domu, czasem z jakimiś studentami, ale najczęściej sam. Nigdy nie zabrał ich na basen do parku Jesus Green, nie grał z nimi w Piotrusia ani w osła, nigdy nie podrzucał ich do góry, nie bujał na huśtawce, nie zabierał na przejażdżki łódką po Cam ani na spacer po łąkach Fens, ani choćby na pedagogiczną wycieczkę do nieodległej historycznej wioski Fitzwilliam. Bardziej był nieobecny niż obecny. Wszystko, czym był – i czym nie był – ucieleśniało otoczone najwyższą czcią wnętrze jego domowego gabinetu.

Dziewczynki z pewnością by się zdziwiły, gdyby im powiedziano, że gabinet ojca kiedyś był jasnym salonikiem

z pięknym widokiem na ogród. Pokojem, w którym poprzedni mieszkańcy domu jedli razem śniadania, kobiety skracały sobie długie popołudnia lekturą i haftami, wieczorami gromadziła się cała rodzina, żeby przy muzyce z radia pograć w karty albo scrabble. Tak Rosemary wyobrażała sobie życie w tym pokoju zaraz po ślubie, kiedy kupili dom, w 1956 roku, za cenę mocno przekraczającą ich możliwości. Ale Victor natychmiast zaanektował go i sobie tylko znanym sposobem zdołał go zmienić w nieoświetloną słońcem grotę zalatującą wonią cygar Capstana bez kapturka, które namiętnie palił, zastawioną ciężkimi regałami z książkami i niegustownymi dębowymi szafkami. Utrata pokoju była jednak niczym wobec późniejszej utraty stylu życia, na jaki wówczas Rosemary miała jeszcze nadzieję.

To, co Victor robił w gabinecie, pozostawało dla nich tajemnicą. Najwidoczniej jednak było to coś niepomiernie ważnego, bo życie rodzinne było dla niego niewartą zachodu igraszką. Matka mówiła, że tato jest wielkim matematykiem, że pracuje nad niezwykłym zagadnieniem, które pewnego dnia uczyni go sławnym. Ale kiedy z rzadka udawało im się zajrzeć do gabinetu przez niedomknięte drzwi, ojciec siedział przy biurku z nachmurzoną miną i patrzył w siną dal.

Nie wolno mu było przeszkadzać, kiedy pracował, a irytowały go zwłaszcza dzikie piski i wrzaski rozszalałych dziewczynek. Całkowita niezdolność tychże rozszalałych dziewczynek do powstrzymania się od pisków (nie mówiąc już o krzykach, płaczach, beczeniach i wyciu jak stadko wilków – ojciec nie potrafił tego pojąć) sprawiła, że relacje między ojcem a córkami stały się niezwykle napięte i delikatne.

Upomnienia i kary, które im wymierzała matka, mogły po nich spłynąć jak woda, ale widok ojca wychodzącego ciężkim krokiem z gabinetu, przypominającego niedźwiedzia, który opuszcza gawrę po zimowym śnie, budził w nich trwogę. Choć życie upływało im na ciągłych próbach obejścia zakazów ustanawianych przez mamę, nigdy nie przyszło im do głów, żeby spenetrować zakazane wnętrze gabinetu ojca. Jedyną okazję, by wejść w ponurą głębię jego pokoju, miały wtedy,



kiedy chciały go poprosić o pomoc w odrobieniu lekcji z matematyki. O ile dla Sylvii takie spotkanie nie stanowiło problemu, bo potrafiła zrozumieć ołówkowe morze znaków, jakimi zniecierpliwiony ojciec zapełniał niekończącą się stronę zrolowanego papieru, o tyle dla Julii i Amelii jego symbole i cyfry były równie tajemnicze, jak egipskie hieroglify. Jeśli w ogóle zdarzyło im się pomyśleć o gabinecie ojca, a starały się tego unikać, kojarzył im się raczej z salą tortur. Winą za to, że dziewczynki nie miały zdolności matematycznych, ojciec obwinał matkę: to oczywiste, że odziedziczyły niedoskonały, kobiecy umysł matki.

Jego matka, Ellen, zapewniła mu słodkie i szczęśliwe dzieciństwo, ale tylko do 1928 roku. Wtedy trafiła do zakładu dla umysłowo chorych. Miał wtedy cztery lata i orzeczono, że dla jego rozwoju będzie lepiej, jeśli zaniecha odwiedzin w tak niespokojnym i niepojętym dla siebie miejscu. Rósł więc, wyobrażając sobie matkę jako majaczącą i krzyczącą wariatkę z wiktoriańskiego teatrzyku różnaitości – bredzącą coś pod nosem jak dziecko i tłukącą się nocą po korytarzach zakładu w długiej białej koszuli nocnej i z potarganymi włosami. Dopiero dużo później odkrył, że jego mama wcale nie zwariowała (tak to w rodzinie określano), tylko w wyniku poronienia zachorowała na ciężką depresję poporodową, i ani nie tłukła się po korytarzu, ani nie bredziła pod nosem. Zapadła po prostu w smutną apatię i mieszkała samotnie w pokoju obwieszonym jego fotografiami, a potem, kiedy miał dziesięć lat, umarła na gruźlicę.

Oswald, jego ojciec, po śmierci żony wysłał syna do szkoły z internatem. Zginął, wpadając przez przypadek w zimne wody Oceanu Lodowatego. Victor przyjął tę wiadomość ze spokojem i natychmiast wrócił do szczególnie trudnego zadania matematycznego, które z mozołem od jakiegoś czasu rozwiązywał.

Przed wojną jego ojciec należał do najbardziej tajemniczych i najbardziej bezużytecznych angielskich stworzeń – był polarnikiem. Victor poczuł raczej ulgę, że nie będzie musiał się zmagać z heroicznym obrazem Oswalda Landa i że może się

zająć sobą i może nawet zostać kimś wielkim na własnym, mniej męznym poletku.

Rosemary poznał, kiedy musiał jechać do ambulatorium do szpitala Addenbrooke. Była tam pielęgniarką. Potknął się, kiedy schodził po schodach, i nieszczęśliwie oparł się na nadgarstku. Ale Rosemary powiedział, że jechał rowerem Newmarket Road i nagle sieknął go samochód. Słowo sieknął zabrzmiało w jego uszach bardzo dobrze. To słowo z męskiego świata – świata, którego nigdy nie udało mu się odziedziczyć (świata jego ojca). Z kolei nazwa Newmarket Road jasno dawała do zrozumienia (bezpodstawnie), że nie spędzał życia zamknięty w ograniczonej strefie między college'em St John's a wydziałem matematyki.

Gdyby nie spotkanie w szpitalu, w każdym calu przypadkowe, mógł nigdy nie poderwać żadnej dziewczyny. Dobrze wiedział, że zbliża się do wieku średniego, a jego życie towarzyskie ogranicza się do męskiego klubu szachowego. Nigdy nie czuł potrzeby, żeby mieć przy sobie drugiego człowieka. Co więcej, concept, by dzielić życie z kimś innym, wydawał mu się co najmniej dziwaczny. Miał matematykę. Wypełniała mu niemal cały czas, więc nie był pewien, czego jeszcze mógłby pragnąć, mając żonę. W jego oczach kobiety ucieleśniały najmniej pożądane ludzkie cechy, głównie szaleństwo, ale także wielorakie ułomności fizyczne – krew miesiączkowa, płciowość, dzieci – bardzo niekomfortowe i... wiele innych wad. Ale coś głęboko w nim łaknęło bliskości i ciepła, których tak bardzo brakowało mu w dzieciństwie. Zanim więc uzmysłowił sobie, co się dzieje, znalazł się w wiejskim domku w Norfolk (jakby otwierając drzwi do niewłaściwego pokoju). Gawędził przy herbacie, a Rosemary nieśmiało pokazywała rodzicom (niezbyt drogi) pierścionek zaręczynowy z okruchem diamencika.

Jeśli nie liczyć ojcowskich muśnięć bokobrodami na dobranoc, był pierwszym mężczyzną, który pocałował Rosemary (w istocie padł na nią, ciężki jak słoń morski). Ojciec Rosemary, dróżnik, i jej matka, gospodyni domowa, byli przerażeni, gdy przyprowadziła go do domu. Szybko jednak

urzekły ich bezsporne przymioty jego intelektu (okulary w czarnej oprawce, podniszczona sportowa kurtka, mina człowieka wiecznie zamyślnego), jak również prawdopodobieństwo (którego nie wykluczał sam Victor), że możliwe, że jest *bona fide* geniuszem, nie mówiąc już o tym, że wybrał na towarzyszkę życia ich córkę – dziewczynę uległą i cichą, niezauważaną niemal przez nikogo.

Fakt, że był od Rosemary dwukrotnie starszy, zdawał się zupełnie ich nie martwić. Choć później, kiedy szczęśliwa para opuściła ich dom, ojciec Rosemary, mężczyzna prawdziwie męski, zauważył przytomnie w obecności żony, że pod względem fizycznym Victor nie jest jakimś nadzwyczajnym gatunkiem. A jedyną wątpliwością, jaka gryzła jej matkę, było to, że Victor, choć doktor, nie wiedział, co poradzić jej córce na bóle brzucha, które biedaczce doskwierały. Przyparty do muru przy stole nakrytym maltańską koronką i zastawionym herbatą, ciasteczkami, makowcem i plackiem jęczmiennym oświadczył wreszcie: „To, jak sądzę, niestrawność, pani Wane”. Była to diagnoza nietrafna, ale przyjęta z poczuciem głębokiej ulgi.

Olivia podniosła powieki i z uśmiechem powiodła wzrokiem po rymowankach na tapecie. Jack i Jill mozolnie pięli się na szczyt. Jill niosła drewniany cebrzyk na wodę ze studni, do której nie było jej dane dojść, dalej na zboczu mała Bo-Peep szukała zaginionej owieczki. Olivia nie martwiła się o stadko, bo widziała, że śliczne jagniątko z niebieską wstążką na szyi chowa się za niedalekim żywopłotem. Nie pojmowała, co znaczą słowa „dziecko po namyśle”, ale z radością powita nowego niemowlaka. Dzieci i zwierzęta lubiła bardziej niż wszystko inne. Poruszyła się i poczuła w nogach cielsko Rascala, domowego teriera. Rascalowi absolutnie nie było wolno spać w sypialniach dziewcząt, ale codziennie któraś z nich przemycała go na noc do siebie. A nad ranem i tak zawsze potrafił znaleźć drogę do łóżka Olivii.

Potrząsnęła delikatnie Niebieską Myszka, by ją zbudzić. Niebieska Myszka była mięciutką, podłużną przytulanką z flaneli. Dla Olivii była wyrocznią. Konsultowała z nią każdą

trudną kwestię.

Po ścianie powoli przesuwała się jasna smuga słońca. Kiedy dotarła do schowanego za żywoplotem jagnięcia, Olivia wstała z łóżka i grzecznie włożyła na nogi różowe paputki z pyszczkiem królika. Starsza Julia wciąż patrzyła na nie pożądlivym wzrokiem. Pozostałe dziewczęta nie przejmowały się kapciami, a na dworze panował taki upał, że Rosemary trudno było je nakłonić choćby do wkładania butów. Ale Olivia była bardzo posłusznym dzieckiem.

Rosemary leżała w łóżku, rozbudzona, ale ledwie mogła ruszać kończynami, jakby w jej kościach zamiast szpiku zalegał ołów. Leżała i rozmyślała o tym, jak nie pozwolić trójce starszych córek zepsuć małej Olivii. Nowy bobas w brzuchu sprawiał, że nie czuła się najlepiej. Miewała mdłości. Pomyślała, jak byłoby cudownie, gdyby Victor się obudził, przestał chrapać i zapytał: „Potrzeba ci czegoś, kochanie?”, a ona odpowiedziałaby: „Och, tak, bardzo proszę o filiżankę herbaty, bez mleka, i kawałek tostu cienko posmarowanego masłem. Dziękuję ci, Victorze”. Prędzej jej kaktus na ręce wyrośnie.

Gdyby tylko nie była taka płodna. Nie mogła zażywać pigułek antykoncepcyjnych, bo miała po nich za wysokie ciśnienie. Próbowwała ze spiralą, ale wysunęła się z niej jeszcze tego samego dnia, a Victor zawzięcie twierdził, że prezerwatywa to zamach na jego męskość. Po prostu była dla niego klaczą rozplodową. Jediną dobrą stroną ciąży było to, że nie musiała uprawiać z nim seksu. Wmówiła mu, że to nie służy dziecku, a on uwierzył, bo o płodach nie wiedział nic, absolutnie nic, podobnie jak o niemowlakach, kobietach i dzieciach. Nie wiedział absolutnie nic o życiu. Kiedy za niego wychodziła, była dziewicą. Z miodowego tygodnia, który spędzili w Walii, wróciła w szoku. Już wtedy powinna była wstać i wyjść z sypialni, tam na miejscu, ale on już wtedy zaczął wyczerpywać zasoby jej sił. Czasem zdawało się jej, że najzwyczajniej w świecie się nią żywi.

Gdyby tylko miała więcej energii, wstałaby i przeszła na czworakach do pustego pokoju dla gości i z ulgą położyła się na

pojedynczym małym łóżku zasłanym prześcieradłem umocowanym w narożnikach gumkami i świeżą, białą, pachnącą stokrotkami pościelą. Pokój dla gości pełnił dla niej funkcję poduszki powietrznej. Jego atmosfery nie zakłócały niczyje oddechy, jego dywanu nie deptały niczyje nieostrożne stopy. Mogło nie mieć znaczenia, ile dzieci ma jeszcze urodzić. Mogłaby je wydawać na świat jak krasula, rok po roku (choć prędzej chyba by się zabiła), ale żadne z nich, ani jedno, nigdy nie mogłoby zająć jej świętego pokoju dla gości. Był czysty, nietknięty, nienaruszony. Był jej.

Jeszcze lepsze byłoby poddasze. Położyłaby tam nową podłogę, pomalowałaby ściany na biało i zamontowałaby wypuszczane schody. Mogłaby wejść na górę, wciągnąć schody jak zwodzony most w zamczysku i nikt by jej nie znalazł. Wyobraziła sobie, jak cała rodzina wałęsa się od pokoju do pokoju i powtarza jej imię – i roześmiała się na głos. Victor sapnął głośno przez sen. Wtedy wyobraziła sobie jeszcze małą Oliwię: ona też błąkała się po domu i nie mogła znaleźć mamy. I nagle poczuła, jak strach zaciska się na jej piersi. Oliwię będzie musiała zabrać ze sobą na poddasze.

Tymczasem Victor był w tym dziwnym stanie między jawą a snem, w miejscu jeszcze nieskażonym gorzkimi doznaniem codzienności, w której przychodziło mu żyć, w domu pełnym kobiet, istot zupełnie mu obcych.

Olivia z kciukiem w buzi i Niebieską Myszka wciśniętą pod pachę przeszła cichutko do pokoju Julii i Amelii i wdrapała się na łóżko Julii. Śniło jej się coś niepokojącego. Zwichrzone, mokre od potu włosy przylegały jej do czoła, wargi drżały nieustannie w niezrozumiałym cichym bełkocie. Najwyraźniej walczyła z jakimś niewidzialnym demonem. Spała jak suseł. Potrafiła przez sen mówić, chodzić, toczyć zapasy z kołdrą i poduszką, budzić się z krzykiem i patrzeć dzikim wzrokiem w jakiś wytwór własnej wyobraźni. Znikał, zanim zdążyła go zapamiętać. Czasami miała sny tak śpiewne, że wywoływały atak astmy i budziła się głośno, w śmiertelnym strachu. Umiała być bardzo irytująca. Amelia i Sylvia coś o tym wiedziały. Miała iście lisią osobowość. Potrafiła w jednej minucie bić i kopać,

a w następnej gruchać wesoło, tulić się i rozdawać buziaki. Gdy była mała, często padała ofiarą wyczerpujących napadów gniewu, ale jeszcze teraz właściwie nie było dnia, żeby się nie wściekła na kogoś albo na coś i nie miotała się po pokoju. Tą, która chodziła za nią i próbowała ją uspokoić i pocieszyć, kiedy nikt już się na nią nie oglądał, najczęściej była Olivia. Ona jedna zdawała się rozumieć, że Julia chce tylko zwrócić na siebie uwagę (a trzeba przyznać, że pożądała tej uwagi zawrotnych ilości).

Olivia uczepiła się rękawa koszuli Julii. Chciała obudzić siostrę, ale to wymagało więcej czasu i zabiegów. Amelia leżała w sąsiednim łóżku. Już nie spała. Leżała z zamkniętymi oczami. Pragnęła ocalić ostatnie krople snu. Wiedziała, że nawet gdyby udawała, że śpi, Olivia wesłaby jej do łóżka i jak małpka uwiesiłaby się jej słabej ręki albo nogi. Przyłgnęłaby do niej ciepłą, ogorzałą od słońca skórą, a między swoje a jej ciało wgniotłaby miękką flanelę Niebieskiej Myszki.

Przed narodzinami Olivii Amelia dzieliła pokój z Sylvią, co, choć miało złe strony, było dużo lepszym rozwiązaniem niż dzielenie pokoju z Julią. Między przeciwnymi biegunami charakterów Julii i Sylvii Amelia czuła się osamotniona, wyobcowana i mało ważna. Wiedziała, że niezależnie od tego, ile dzieci po namyśle zdarzy się jeszcze w ich rodzinie, ona zawsze będzie w środku, zagubiona i niezauważona. Amelia była wrażliwsza od Sylvii, bardziej myśląca i bardziej pogrążona w książkach. Sylvia przedkładała emocje nad porządek (i właśnie dlatego, jak utrzymywał Victor, nigdy nie zostanie wybitnym matematykiem, co najwyżej przyzwoitym). Sylvia była niezłe pokręcona. Powiedziała Amelii, że przemówił do niej Bóg (o Joannie d'Arc nie było co wspominać, ta mówiła do niej bez przerwy). Jeśli Bóg rzeczywiście zechciałby się do kogoś odezwać, to Sylvia nie wydawała się odpowiednim adresatem.

Sylvia uwielbiała tajemnice i nawet jeśli akurat żadnej nie miała, robiła wszystko, żeby inni myśleli, że ma. Amelia nie miała sekretów. Amelia nic nie wiedziała. Postanowiła sobie, że kiedy dorośnie, wszystkiego się dowie. Nikomu nie piśnie

słowa i będzie miała swój sekret.

Czy pojawienie się dziecka po namyśle będzie oznaczać, że mama znowu zacznie je przerzucać z pokoju do pokoju, że arbitralnie zarządzi kolejną układankę? Gdzie przeniesie Olivię? Kiedyś kłóciły się o to, w którym łóżku będzie spał pies, a teraz zabiegają o względy Olivii. W domu było pięć sypialni, ale jedna pełniła funkcję pokoju dla gości, choć żadna z nich nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy jakiś gość został u nich na noc. Teraz mama zaczęła przebąkiwać o wyremontowaniu poddasza. Amelii bardzo spodobał się pomysł, żeby mieć pokój na poddaszu, z dala od wszystkich. Wyobrażała sobie kręcone schody biegnące na górę, białe ściany, białą sofę, biały dywan, a w oknach białe, lekkie, prześwitujące firanki. Kiedy dorośnie i wyjdzie za mąż, będzie miała tylko jedno dziecko. Jedno idealne dziecko (przypominające Olivię). I będzie mieszkać w białym domu. Gdy próbowała wyobrazić sobie męża, który by z nią w tym białym domu zamieszkał, jawił jej się tylko cień mężczyzny, jakiś zamazany kształt. Mijał ją na schodach albo na korytarzu i mruzczał uprzejme pozdrowienia.

Dochodziło wpół do ósmej, gdy Olivia postawiła je wreszcie na nogi. Każda z dziewcząt przygotowała sobie śniadanie. Z wyjątkiem Olivii. Ją usadzono na wysokim krześle na poduszce. Amelia karmiła ją płatkami na mleku, a Julia kawałeczkami tostów. Olivia należała teraz wyłącznie do nich, była ich uwielbianym jagniątkiem, a to dlatego, że mama czuła się wymęczona brzemieniem dziecka po namyśle, a tata był przecież wielkim matematykiem.

Julia napychała usta jedzeniem (Rosemary przysięgłaby, że w żołądku Julii kryje się labrador, który połyka jej posiłki) i zacięła się nożem do chleba, ale Sylvia nie pozwoliła jej zbudzić bekiem rodziców. Błyskawicznie zamknęła jej dłonią usta, jakby jej zakładała maskę chirurgiczną. Przynajmniej jeden incydent z mniejszym lub większym krwawieniem dziennie to norma. Dziewczynki były bodaj najbardziej podatnymi na wypadki dziećmi na świecie. Tak twierdziła mama. Miała serdecznie dość ciągłych wizyt w szpitalu Addenbrooke – a to Amelia złamała rękę, próbując zrobić

gwiazdę, a to Sylvia sparzyła się w stopę, napelniając butelkę wrzątkiem, a to Julia rozcięła sobie wargę, skacząc z dachu garażu. A raz Julia usiłowała przejść przez zamknięte szklane drzwi ogrodowe, pod nosami Amelii i Sylvii. Stały i patrzyły na nią osłupiałe (jak mogła nie zauważyć drzwi?!). Aha, i jeszcze tajemnicze omdlenia Sylvii. Bez ostrzeżenia zmieniała pozycję z pionowej na horyzontalną, odpływała z niej krew, bladła skóra, schły wargi. Istna próba generalna przed umieraniem – że to tylko próba, zdradzały lekko drżące powieki.

Jedyną osobą całkowicie odporną na te zbiorowe akty wyjątkowej niezdarności była Olivia. W ciągu trzech lat swego krótkiego życia nie nabawiła się niczego poza paroma siniakami. Jeśli chodzi o pozostałe dziewczynki, ich matka zawsze mówiła, że opatrywanie ich ran i skaleczeń zajmuje jej tyle samo czasu co praca w szpitalu.

Oczywiście najstraszniejszy i najbardziej emocjonujący był dzień, kiedy Julia odcięła sobie palec (przejawiała dziwną słabość do ostrych narzędzi). Miała wtedy pięć lat. Spokojnie weszła do kuchni, mama jej nie zauważyła. Zorientowała się, że palec został amputowany, dopiero wtedy, gdy na chwilę odwróciła głowę od marchewki, którą wściekle siekała, i jej wzrok padł na zszokowaną Julię. Dziewczynka w niemym osłupieniu unosiła wysoko dłoń i w pozie umęczonego dziecięcego świętego eksponowała straszną ranę. Rosemary jednym ruchem rzuciła na jej rękę kuchenny ręcznik, zgarnęła ją na ręce i popędziła do sąsiada. Sąsiad z piskiem opon na wirażach zawiózł je do szpitala. Amelia i Sylvia musiały rozwiązać kłopotliwą kwestię: co zrobić z białym paluszkiem leżącym na linoleum.

(Nie w ciemię bita Sylvia natychmiast wrzuciła palec do torebki z mrożonym groszkiem i obie pojechały autobusem do szpitala. Sylvia przez całą drogę mocno ścisnęła rozmrażającą się torebkę, jakby od tego groszku zależało życie Julii).

Dziś planowały spacer brzegiem rzeki, aż do Grantchester. W te wakacje odbywały tę wyprawę co najmniej dwa razy w tygodniu. Kiedy Olivia była zmęczona, brały ją na barana. Włóczęga zabierała im niemal cały dzień, bo po drodze



zatrzymywało je tyle ciekawych rzeczy – nad rzeką, na pobliskim polu, a nawet w ogródkach domów, które mijają. Jediną przestrogą, jakiej udzielała im Rosemary na odchodne, był absolutny zakaz kąpieli. Ale dziewczynki zawsze wychodziły z domu z kostiumami kąpielowymi ukrytymi pod spódniczkami albo spodenkami i niemal się nie zdarzało, żeby się nie przebrały i nie wykapały w rzece. Były wdzięczne nowemu dziecku po namyśle, że przemieniło ich srogą i surową mamę w tak lekkomyślnego i nieuważnego strażnika. Żadne inne dzieci w okolicy nie mogły się tamtego lata cieszyć tak bujną i ryzykowną wolnością.

Czasem Rosemary dawała im drobne na herbatę w Orchard Tea Rooms (gdzie nie patrzono na nie przychylnym okiem), ale zwykle brały ze sobą przygotowany w pośpiechu suchy prowiant. Najczęściej pałaszowały go jeszcze przed Newnham. Ale nie tamtego dnia. Tamtego dnia słońce wzeszło wysoko nad Cambridge i zatrzymało je w ogrodzie. Próbowaly wykrzesać z siebie trochę energii, bawiąc się na pół gwizdka w chowanego, ale żadna nie potrafiła się dobrze schować. Nawet Sylvia zadowolila się byle kępą tymotki za czarnymi porzeczkami na końcu ogrodu – Sylvia, której kiedyś udało się ukrywać przez trzy godziny (wyciągnęła się jak leniwiec na grubym konarze buku w ogrodzie sąsiadki, pani Rain, naprzeciwko domu). Szukali jej wszyscy, ale nikt nie umiał jej znaleźć, dopóki nie zasnęła i nie spadła z drzewa. Przy uderzeniu o ziemię złamała rękę. Rosemary wdała się w potworną kłótnię z panią Rain, która chciała, żeby policja zatrzymała Sylvię za wejście na teren prywatny (głupia baba!). Dziewczęta często zakradały się do jej ogrodu. Kradły kwaśne jabłka z sadu, grały jej na nosie i robiły wymyślne psoty – była starą wiedźmą i zasłużyła na złe traktowanie.

Po mało apetycznym lunchu, na który złożyła się głównie sałatka z tuńczyka, zaczęły grać w podwórkowego palanta. Ale Amelia się przewróciła i z nosa poleciała jej krew, a Sylvia pokłóciła się z Julią i trzasnęła ją w policzek. Potem się pogodziły i zaczęły splatać wianki ze stokrotek i uwiązywać je we włosach Olivii i przy obroży Rascala. Wkrótce jednak nawet

to okazało się zajęciem zbyt męczącym. Julia przeszła na czworakach w cień pod krzakiem hortensji i zasnęła przytulona do psiaka. Sylvia wzięła Olivię i Niebieską Myszkę do namiotu i zaczęła im czytać książkę. Namiot, starość nad starociami, zostawiony w szopie przez poprzednich właścicieli domu, został rozbity na trawniku już pierwszego ciepłego dnia lata i odtąd dziewczynki rywalizowały o miejsce pod pleśniejącym płótnem, choć było pod nim duszniej niż w ogrodzie. Po kilku minutach Sylvia i Olivia zapadły w sen. Zapomniały o książce.

Oslabiona upałem Amelia leżała ospale na plecach w wysokiej poźółkłej trawie, na spieczonej ziemi, i gapiała się bezmyślnie w bezchmurne niebo, przecięte z jej perspektywy tylko malwami, które rosły w ogrodzie jak chwasty. Obserwowała brawurowe loty jaskółek i wsłuchiwała się w bzyczący i grający świat owadów. Po zmarszczonej skórze jej przedramienia przechadzała się biedronka. Wysoko nad głową zobaczyła sunący leniwie balon. Żałowała, że nie chce jej się wstać, obudzić Sylvii i powiedzieć jej o balonie.

Krew w żyłach Rosemary toczyła się wolno. Wypiła w kuchni duszkiem szklankę wody z kranu i wyjrzała przez okno do ogrodu. Po niebie przesuwiał się balon, niczym ptak wznoszący się z prądem ciepłego powietrza. Dzieciaki spały w najlepsze. Niespodziewanie ten rzadki stan błęgiego spokoju sprawił, że poczuła nagły przypływ miłości do dziecka, które nosiła w łonie. Gdyby dzieci spały bez przerwy, nie miałyby nic przeciw matkowaniu. No, może poza Olivią. Nie chciałyby, żeby Olivia cały czas spała.

Kiedy czternaście lat temu Victor się jej oświadczył, nie miała zielonego pojęcia, jak może wyglądać życie żony uniwersyteckiego wykładowcy. Ale wyobrażała sobie, że będzie to oznaczać wyjściowe suknie (jak nazywała je mama), przyjęcia na łąkach Backs pod zabytkowymi murami college'ów, przechadzanie się eleganckim krokiem po trawnikach średniowiecznych dziedzińców i szepty ludzi: „Proszę spojrzeć, to żona słynnego Victora Landa, wie pan, bez niej byłby nikim”.

Oczywiście życie żony uniwersyteckiego wykładowcy w ni-

czym nie przypominało jej wyobrażeń. Nie było przyjęć na wspaniałych łąkach Backs i z całą pewnością nie było eleganckich spacerów po średniowiecznych dziedzińcach. Rosnącą na nich trawę traktowano z czcią równą tej, jaką rezerwowano dla wielkich dzieł sztuki. Co prawda krótko po ślubie rzeczywiście zostali zaproszeni na przyjęcie do ogrodów Master's, ale natychmiast ujawniła się tam niedyskretna natura kolegów Victora. Powtarzali, że ożenił się (straszliwie) poniżej swej pozycji (pielęgniarka... – ktoś wyszeptał to takim tonem, jakby mówił o profesji mniej szanowanej od prostytutki). Jedna rzecz była prawdą: bez niej Victor byłby nikiem. Ale prawdą było także to, że również ona byłaby nikiem bez niego. Victor siedział w swoim ciemnym i chłodnym gabinecie. Ciężkie koronkowe zasłony odgradzały go od lata. Był zatopiony w pracy, która jeszcze nigdy nie wydała owoców, nie zmieniła świata, nie przyniosła mu sławy. Nie był nikiem wybitnym w swojej dziedzinie, był ledwie poprawny. To dawało Rosemary pewną satysfakcję.

Dzięki życzliwej uprzejmości jednego z jego kolegów wiedziała, że w matematyce uczeni dokonują wielkich odkryć przed trzydziestym rokiem życia. Tymczasem ona miała trzydzieści dwa lata – swoją drogą trudno jej było uwierzyć, że to się wydaje tak mało, a człowiek czuje się tak staro.

Przypuszczała, że Victor ożenił się z nią dlatego, że uważał ją za osobę przywiązaną do domowych pieleszy. Suto zastawione stoliki podczas podwieczorków u jej matki zwiódły go jednak na manowce. Nie potrafiła upiec nawet placuszków z jęczmiennej mąki. A że była pielęgniarką, to niewątpliwie założył też, że jest bardzo troskliwa i opiekuńcza. Zresztą wtedy sama miała prawo tak o sobie myśleć, ale teraz nie czuła się na siłach, żeby się opiekować choćby kotem, a co dopiero czwórką, a niebawem piątką dzieci, o wielkim matematyku nie wspominając.

Co więcej, od dłuższego czasu nie opuszczało jej dziwne przekonanie, że praca wielkiego matematyka to jedna wielka bujda. Czasem kiedy odkurzała tę jego dziuplę, widziała na biurku kartki ze słupkami rachunków i dochodziła do wniosku,

że nie różnią się wiele od cyfrowych układanek jej ojca, który wieczorami kalkulował wygrane z wyścigów konnych i zakładów bukmacherskich. Musiała jednak przyznać, że Victor nie robił wrażenia hazardzisty. Ojciec, owszem, ku bezgranicznej rozpaczy matki był hazardzistą. Pamięta, jak w dzieciństwie zabrał ją raz na tory do słynnego Newmarket. Posadził ją sobie na ramionach i stanął tuż przy mecie. Była przerażona zgielkiem na trybunach, tumultem, tętentem kopyt na ostatniej prostej i gęstym tłumem przy mecie, szalejącym tak, jakby się zbliżał koniec świata, a nie zwycięstwo o pół lba konia, na którego stawiano trzydzieści do jednego. Nie potrafiła sobie wyobrazić Victora opętanego szaleństwem wyścigów konnych, nie widziała go też w zadymionym wnętrzu punktu bukmacherskiego.

Po chwili spod hortensji wynurzyła się Julia, wciąż wyraźnie zmęczona upałem. Jakim cudem uda jej się zapędzić je po wakacjach do szkoły? Ciągłe przebywanie na świeżym powietrzu zmieniło je w Cyganiątka. Ich podrapana skóra ogorzała od opalenizny, a zmierzwiłone, opalone słońcem włosy nie dawały się już rozczesać. Miała wrażenie, że są cały czas umorusane, bez względu na to, czy się kąpią, czy nie. W wejściu do namiotu stanęła zaspana Olivia. Serce Rosemary zabiło mocniej. Dziewczynka miała ubrudzoną buźkę, rozjaśnione warkoczyki sterczały jej na prawo i lewo. Rosemary nie była pewna, ale wydawało jej się, że ktoś wplótł w nie zwiędłe kwiaty. Olivia szeptała w ucho Niebieskiej Myszki jakieś sekrety. Była jej jedynym naprawdę pięknym dzieckiem. Julia, owszem, z czarnymi lokami i zadartym nosem była nawet ładna, ale za to charakter miała paskudny. Sylvia, biedna Sylvia, cóż tu w ogóle mówić? Z kolei Amelia była jakaś... no, słodka. Za to Olivia... Olivia była uprzedzona z promyków światła. Wydawało się nieprawdopodobne, że jest dzieckiem Victora, ale niestety co do tego nie było żadnych wątpliwości. Olivia była jedyną córką, którą Rosemary darzyła prawdziwą miłością, choć, Bóg świadkiem, w wypadku pozostałych dziewczynek starała się jak umiała. Ale wszystko to z obowiązku, nic z miłości. Obowiązek w końcu zabija.

Coś było nie tak. Jakby miłość, którą miała obdarzyć pozostałe córki, została do cna wyszana i w całości przelana na Olivię – do tego stopnia, że kochała najmłodsze dziecko z siłą, która nie zawsze wydawała jej się naturalna. Czasem miała ochotę ją pożreć, wgryźć się w jej delikatne przedramię albo w mięciutki mięsień łydki, a nawet połknąć ją w całości jak wąż i trzymać w sobie. Tam byłaby najbardziej bezpieczna. Była okropną matką, nie miała co do tego wątpliwości. Ale brakowało jej sił, żeby czuć się w związku z tym winną. Olivia zauważyła ją i pomachała.

Przy obiedzie dziewczynki nie grzeszyły apetytem. Dłubały od niechcienia w jagnięcym gulaszu z ziemniakami, potrawie niewłaściwej na tę porę roku. Co gorsza, jej przyrządzenie zabrało Rosemary mnóstwo czasu. Zjawił się Victor. Wyszedł ze swej jaskini, mrużąc oczy w jasnym świetle, niczym człowiek pierwotny. Szybko zjadł, co miał na talerzu, i natychmiast poprosił o dokładkę. Rosemary zastanawiała się, jak jej mąż będzie wyglądał po śmierci. Patrzyła, jak je, jak jego widelec płynnie wędruje w dół i w górę, od talerza do ust, w rytmie rozruszanego robota, patrzyła na jego dłonie, potężne jak pletwy, i grube palce owinięte wokół sztućców. Miał duże chłopskie ręce. To była pierwsza rzecz, jaka rzuciła jej się w oczy, kiedy go poznała. Matematyk powinien mieć smukłe, delikatne dłonie. Właściwie już kiedy spojrzała na jego ręce, powinna była się na nim poznać. Nagle dostała mdłości i poczuła lekkie skurcze. Może poroni? To by była prawdziwa ulga.

Gwałtownie wstała od stołu. „Czas spać!” – oznajmiła krótko. Normalnie usłyszałyby protesty, ale Julia już oddychała ciężko. Czy miała zaczerwienione od nadmiaru słońca i pyłków traw – cierpiała na wszelkiego rodzaju letnie alergię. Sylvia wyglądała tak, jakby dostała czegoś w rodzaju udaru słonecznego. Była blada, chlipała, wyglądała na chorą i wciąż powtarzała, że boli ją głowa. Nie powstrzymało jej to przed histerycznymi dąsami, gdy Rosemary kazała im wcześniej pójść do łóżka.

Niemal co wieczór trzy starsze córki dopytywały się, czy

mogą nocować w namiocie, i co wieczór Rosemary odpowiadała: Nie! Powód był zawsze ten sam: nawet kiedy nie śpią w namiocie, i tak wyglądają jak Cyganiątka i nie ma znaczenia, że Cyganie mieszkają w wozach, a nie w namiotach, co (nie bez pewnego wysiłku umysłowego) zauważyła raz z przekąsem Sylvia. Rosemary starała się jak mogła dobrze zarządzać rodziną, wbrew wszelkim przeciwnościom i bez najmniejszej pomocy męża, dla którego codzienne obowiązki związane z przygotowaniem posiłków, sprzątaniami i opieką nad dziećmi nie znaczyły zupełnie nic i który ożenił się tylko po to, żeby ktoś się o niego zatroszczył. W jeszcze gorszy nastrój wprawiły ją słowa Amelii:

– Mamo, dobrze się czujesz?

Bo miała wrażenie, że Amelię zaniedbuje najbardziej. Głównie z tego powodu westchnęła ciężko, łyknęła w milczeniu paracetamol i tabletkę nasenną (dla dzieciaka w jej łonie prawdziwie zabójcza mieszanka) i oznajmiła najbardziej zapomnianemu dziecku:

– Jeśli masz ochotę, Amelio, proszę, śpij dzisiaj z Olivią w namiocie.

Jakże cudownie jest obudzić się w zapachu wonnej rosy i mokrego namiotowego płótna, w każdym razie lepiej niż przy oddechu Julii, który w nocy zawsze nabiera mocno nieświeżego odoru. A niedefiniowalna woń Olivii jest ledwie wyczuwalna. Amelia przymknęła powieki. Raziło ją światło. Wyczuwała, że słońce jest już bardzo wysoko. Drzemiąc, czekała, aż Olivia się obudzi i wpełźnie pod jej starą puchową kołdrę, która znakomicie pełniła rolę śpiwora. Ale to nie Olivia, lecz Rascal obudził ją ostatecznie, liżąc ją radośnie po twarzy.

Po Olivii nie było śladu. Wymoszczone gniazdko z koców, którymi była przykryta, świeciło pustką, jakby ktoś ją stamtąd bezszelestnie wyłuskał. Amelia była zawiedziona, rozczarowana, że mała siostra wstała sama i jej nie obudziła. Wyszła z namiotu i boso poszła po mokrej trawie do domu. Rascal dreptał za nią, tuż przy jej nodze. Podeszła do tylnych drzwi i sięgnęła do klamki, ale drzwi okazały się zamknięte – najwyraźniej mama w ogóle nie pomyślała, żeby jej dać klucz.

Co to za rodzic, który zamyka dom przed własnymi dziećmi?

Wokół panował spokój. Amelii wydawało się, że jest jeszcze wcześniej, ale nie wiedziała, która dokładnie jest godzina. Zastanawiała się, czy Olivia jakimś sposobem nie weszła do domu, bo w ogrodzie jej nie widziała. Zawołała ją głośno i przeraziło ją drżenie jej własnego głosu. Nie zdawała sobie sprawy z własnego strachu, póki nie usłyszała go na własne uszy. Przez jakiś czas pukała w tylne drzwi, ale ponieważ nikt nie otwierał, pobiegła ścieżką wzdłuż bocznej ściany domu – mała furtka z boku była uchylona, co zaniepokoiło ją jeszcze bardziej. Wybiegła na ulicę, krzycząc: „Olivia!”. Już o wiele głośniej. Rascal, biorąc to za zabawę, zaczął poszczekiwać.

Ulica była pusta jak okiem sięgnąć. Tylko jeden mężczyzna właśnie wsiadał do samochodu. Spojrzał na nią zaskoczony. Amelia była bosa, miała na sobie tylko koszulę nocną, nieco przydługawą, po Sylvii. Domyśliła się, że pewnie wygląda dziwnie, ale nic jej to nie obchodziło. Podbiegła do frontowych drzwi i z całych sił wcisnęła dzwonek. Trzymała palec na przycisku cały czas, dopóki ojciec (ze wszystkich domowników właśnie on) nie otworzył drzwi. Najwyraźniej dzwonek wyrwał go z głębokiego snu. Skóra na jego twarzy zdawała się być nie mniej pomarszczona niż piżama, którą miał na sobie. Włosy szalonego profesora sterczały na wszystkie strony. Patrzył na nią ze zdumieniem, jakby ją zobaczył pierwszy raz w życiu i nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. Kiedy w końcu rozpoznał własne dziecko, ogarnęło go jeszcze większe zdumienie.

– Olivia – wyrzuciła z siebie Amelia, tym razem niemal szeptem.

Po południu zagrzmiało i jasna błyskawica rozdarła niebo nad Cambridge, zwiastując koniec upałów. Namiot stanowił już wtedy centrum dowodzenia akcji poszukiwawczej, która w miarę upływu czasu zataczała coraz większe koło i angażowała coraz więcej ludzi. Najpierw tylko Landów. Biegali po ulicy, wchodzili w zarośla, za żywopłoty, wykrzykiwali imię Olivia aż do ochrypnięcia. Potem dołączyli się policja i sąsiedzi. Wszyscy dokładnie przeszukiwali swoje ogrody, piwnice, altany i dobudówki. Niebawem dołączyli

policijni nurkowie. Penetrowali dno rzeki. I zupełnie obcy ludzie, ochotnicy. Przeczesywali łąki i nadrzeczne rozlewiska. Policyjne helikoptery krążyły nisko nad podmiejskimi wioskami i całą okolicą, docierały aż do granic hrabstwa. Powiadomieni kierowcy tirów obserwowali szosy, a sprowadzona specjalnie jednostka wojskowa sprawdzała rozległe przestrzenie Fens. Ale nikt – począwszy od wydzierającej się wniebogłosey w ogrodzie Amelii, na rekrutach Armii Terytorialnej pełzających na czworakach w deszczu przez połacie Midsummer Common skończywszy – nie natrafił na choćby najmniejszy ślad Olivii, bodaj włos, płatek naskórka, różowy papuś z uszami królika albo Niebieską Myszkę.



## **Historia nr 2, 1994**

### **Zwykły dzień**

Theo musiał więcej chodzić. Oficjalny werdykt brzmiał: chorobliwie otyły. Tak orzekła jego nowa, niezbyt sympatyczna lekarka rodzinna. Doskonale wiedział, że nowa lekarka – młoda kobieta o krótko przyciętych włosach, ze sportową torbą rzuconą niedbale w kąt gabinetu – użyła tego sformułowania tylko po to, żeby go przestraszyć. Dotychczas nie uważał się za osobnika chorobliwie otyłego. Skłonny był raczej myśleć, że jest mężczyzną z radosną nadwagą, kimś w rodzaju puciołowatego Świętego Mikołaja. Nie miał więc zamiaru przejmować się jej przestrogą. Kiedy jednak wrócił do domu i opowiedział o tym, co usłyszał w gabinecie, swojej córce Laurze, ta naprawdę się przestraszyła. Natychmiast opracowała harmonogram ćwiczeń gimnastycznych i specjalną dietę. Właśnie dlatego Theo jadał teraz na śniadanie owsiankę z mlekiem, a do biura w Parkside, oddalonego o trzy kilometry, codziennie rano chodził pieszo.

Jego żona, Valerie, zmarła z powodu pooperacyjnego zakrzepu krwi w mózgu w absurdalnie młodym wieku trzydziestu czterech lat. Było to tak dawno, że czasem z trudem przyswajał myśl, że w ogóle był kiedyś żonaty. Valerie poszła do szpitala na zabieg usunięcia wyrostka robaczkowego. Teraz, z perspektywy czasu, zdaje sobie sprawę, że powinien był podać do sądu szpital albo administrację. Zaniedbali swoje obowiązki. Był jednak tak pochłonięty koniecznością opiekowania się córeczkami – gdy ich matka zmarła, Jennifer miała siedem lat, a Laura dwa – że nie miał nawet czasu ani sił oplakiwać śmierci żony, a co dopiero walczyć w sądzie o odszkodowanie. Gdyby nie to, że dziewczęta przypominały matkę – im były starsze, tym bardziej – trudno byłoby mu przywołać w pamięci obraz

żony. Widziałby tylko bardzo niewyraźny, odległy zarys jej postaci.

Małżeństwo i macierzyństwo zrobiły z Valerie kobietę dużo bardziej zasadniczą i dużo poważniejszą od tamtej studentki, o której względy Theo tak ochoczo i gorliwie zabiegał w młodości. Nieraz się zastanawiał, czy ludzie, którym gdzieś na górze przeznaczono krótkie życie, nie przeczuwają tego, że mają mało czasu, i czy ich życie nie nabiera intensywności i powagi, czy nie stają się one jak nieodstępujący ich cień. Ich łączyła raczej wzajemna sympatia niż namiętność. Nigdy nie był pewien, czy ich małżeństwo przetrwałoby próbę czasu, gdyby Valerie żyła.

Jennifer i Laura jako dzieci nie przysparzały mu kłopotów i bardzo mu ułatwiły granie roli kochającego, dobrego rodzica. Teraz Jennifer studiowała medycynę w Londynie. Była dziewczyną rzeczową, śmiertelnie poważną. Wiedziała, czego chce od życia. Zabawy i chwile słabości nie leżały w jej charakterze, co nie znaczyło, że nie potrafiła okazywać innym zrozumienia. Nie potrafił sobie jej wyobrazić siedzącej w gabinecie lekarskim i chłodnym tonem cedzącej jakiemuś grubasowi, którego widzi pierwszy raz w życiu, że jest chorobliwie otyły i że powinien częściej ruszać dupę z domu. Co prawda jego nowa lekarka rodzinna nie użyła dokładnie takich słów, ale nie zdziwiłby się, gdyby je od niej usłyszał.

Także Laura, podobnie jak jej starsza siostra, należała do dziewcząt zdolnych i konsekwentnych, do takich, które z niewielkim wysiłkiem potrafią dążyć do swoich celów. Ale w przeciwieństwie do Jennifer była dość niefrasobliwa. Nie znaczy to, że nie osiągała sukcesów – zdobyła już wszystkie stopnie szkolenia na pletwonurka, a przed dwudziestką zamierzała zdobyć amatorski certyfikat nurka głębinowego. W najbliższym miesiącu czekał ją egzamin na prawo jazdy, a ze wszystkich szkolnych egzaminów spodziewała się najwyższych ocen. Miała już zapewnione miejsce w college'u w Aberdeen, na biologii morskiej.

W czasie letniej przerwy znalazła pracę w pubie przy King Street. Theo zamartwiał się, że sama wieczorami wraca do

domu. Wyobrażał sobie, jak jakiś maniak zwała ją z roweru w parku Christ's Pieces i robi jej coś nie do pomyślenia. Poczul niewysłowioną ulgę, kiedy usłyszał, że postanowiła rozpocząć studia zgodnie z planem i w październiku pojechać na uczelnię, a nie na jakąś wędrówkę z plecakiem po Tajlandii albo Ameryce Południowej, co czyniła większość jej rówieśników. Świat to miejsce pełne niebezpieczeństw. O Jennifer tak się nie martwisz – wytykała mu Laura, i była to prawda. Nie martwił się o Jennifer i udawał (przed sobą i przed Laurą), że jest tak dlatego, że w dalekim Londynie Jennifer jest dla niego niewidoczna. Ale prawda była inna. Nie kochał Jennifer tak bardzo, jak kochał Laurę.

Bał się o nią za każdym razem, gdy wychodziła z domu, gdy wskakiwała na rower, gdy wkładała strój pletwonurka albo wsiadała do pociągu. Bał się, że spadnie jej na głowę dachówka, kiedy wychodziła w czasie silnego wiatru. Bał się, że w akademiku dostanie pokój z niesprawnym kotłem gazowym i w nocy zatruje się tlenkiem węgla. Bał się, że spóźni się z kolejnym szczepieniem przeciwężcowym, że wejdzie do publicznego budynku, którego klimatyzatory włączają do wnętrza powietrze skażone legionellą, że pójdzie do szpitala na rutynowy zabieg i nigdy z niego nie wyjdzie, że umrze wskutek szoku anafilaktycznego po użądleniu pszczoły (przecież nigdy nie użądliła jej pszczoła, więc skąd ma wiedzieć, że nie jest uczulona?). Oczywiście nigdy tych obaw głośno nie wyrażał. Laurze wydałyby się śmieszne. Nawet gdyby delikatnie o czymś napomknął (Uważaj, jak będziesz skręcać w lewo, w lusterku wstecznym masz ślepy punkt, albo: Zanim zmienisz żarówkę, wyłącz korki), śmiałyby się z niego i na pewno by powiedziała, że jej ojciec jest starą babą i głupiej żarówki nie potrafi wymienić, nie roztaczając katastroficznej wizji łańcucha nieszczęśliwych wypadków. Ale Theo dobrze wiedział, że długa podróż, która zaczyna się od źle wkręconej śrubki, kończy się eksplozją luku bagażowego w chwili, kiedy samolot leci na najwyższym pułapie.

Po co się tak zamartwiasz, tato? – pytała Laura, rozbawiona jego niepokojami. A dlaczego nie? – odpowiadał bezgłośnie. Po

któreś z kolejnych nieprzespanych nocy, kiedy do świtu czekał, aż wróci z pubu (kiedy wchodziła do domu, zawsze udawał, że już śpi), powiedział jej, niby mimochodem, że jego kancelaria poszukuje na krótko pomocy biurowej, więc może mogłaby to rozważyć. Ku jego bezmiernemu zdumieniu Laura pomyślała kilka minut i powiedziała: W porządku. I posłała mu ten swój czarujący uśmiech (godziny wytrwałej i nietaniej pracy dobrego ortodonta, gdy była jeszcze mała), a on pomyślał: Dzięki ci, Boże! Bo choć był człowiekiem niewierzącym, często rozmawiał z Bogiem.

W pierwszym dniu pracy Laury w kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton (Wyre to właśnie Theo) nie było go w biurze. Oczywiście był z tego powodu rozgoryczony bardziej niż ona. Musiał pojechać do sądu do Peterborough, w sprawie jakiegoś nudnego sporu o granicę między gruntami, którą z urzędu powinien się zająć jakiś miejscowy prawnik, ale klient był jego starym znajomym, który niedawno się przeprowadził w tamte rejony. Laura miała na sobie czarną spódniczkę i białą bluzkę. Kasztanowate włosy starannie upięła z tyłu. Patrzył na nią i myślał, że wygląda słodko, pięknie.

– Obiecuj, tato, że do stacji pójdziesz pieszo – powiedziała Laura stanowczym tonem, gdy wstawał od stołu.

– Skoro muszę... – odparł, ale wiedział, że gdyby poszedł pieszo, nie zdążyłby na pociąg, więc postanowił udać, że idzie pieszo, a za rogiem złapać taksówkę.

Zjadł do końca niskokaloryczne płatki na mleku, bogate w błonnik nie mniej niż pasza dla bydła, i dopił czarną kawę, marząc o cukrze, śmietance i kawałku słodkiego ciasta, tego z morelami i gęstym kremem, które wygląda jak żółtko wrzucone do wrzątku, i pomyślał z nadzieją, że może będą mieli takie ciastko w bufecie na stacji.

– Nie zapomnij inhalatora, tato – przypomniała mu jeszcze Laura, a on poklepał się po kieszeni kurtki, zapewniając córkę, że ma wszystko co trzeba.

Na samą myśl o tym, że nie ma przy sobie ventolinu, zaczynał panikować, choć nie wiedział dlaczego: gdyby miał atak astmy, prawdopodobnie połowa przechodniów na

angielskiej ulicy byłaby w stanie zaoferować mu własny inhalator.

– Cheryl ci wszystko pokaże. – Cheryl to jego sekretarka.  
– Na pewno zdążę wrócić przed lunchem. Pójdziemy coś zjeść?

– Bardzo dobry pomysł, tato – odpowiedziała Laura.

Odprowadziła go do drzwi, pocałowała na pożegnanie w policzek i powiedziała:

– Kocham cię, tato.

A on odparł:

– Ja ciebie też, moje słonko.

Kiedy na rogu jeszcze raz się odwrócił, ciągle jeszcze do niego kiwała.

Laura, która miała brązowe oczy i jasną skórę, która lubiła dietetyczną pepsi i słone frytki, która była bystra i miała cięty język, która w niedzielne poranki robiła mu sadzone jajka, która była jeszcze dziewicą (wiedział, bo sama mu to powiedziała, ku jego wielkiemu zakłopotaniu), co sprawiło mu wielką ulgę, choć był świadom, że nie będzie tak do końca świata. Laura, która trzymała w pokoju tropikalne rybki w akwarium ze słoną wodą, której ulubionym kolorem był niebieski, a ulubionym kwiatem przebiśnieg, która lubiła słuchać Radiohead i Nirvany, nienawidziła pana Blobby'ego, maskotki, i dziesięć razy widziała w kinie *Dirty dancing*. Laura, którą kochał z siłą kataklizmu, katastrofy.

Theo i David Holroyd założyli spółkę krótko po ślubie Theo i Valerie. Jean Stanton dołączyła do nich kilka lat później. Cała trójka знаła się jeszcze ze studiów i już wówczas marzyli o tym, żeby otworzyć „otwartą i wrażliwą społecznie” praktykę adwokacką, żeby mogli działać na rzecz zwykłych biednych ludzi. Chcieli się zajmować przede wszystkim konfliktami rodzinnymi i małżeńskimi i doradztwem. W miarę upływu lat ich dobre intencje stopniowo gasły. Jean Stanton odkryła, że duże procesy sądowe zajmują ją o wiele bardziej niż burdy uliczne, a jej poglądy polityczne zmieniły się z centrolewicowych na konserwatywne, i to przez wielkie K. David Holroyd, wschodnioangielski prawnik w piątym pokoleniu, uznał z kolei, że we krwi ma wielkie sprawy

własnościowe. Tak więc misja zadbania o „stronę etyczną wizerunku ich kancelarii”, jak mawiał David, spadła na barki Theo. Kancelaria szybko się rozrastała. Poza sekretariatem zatrudniali trzech aplikantów i dwoje stałych asystentów, a ich biuro w Parkside pękało w szwach. Ale nikt nie myślał o przeprowadzce.

Budynek, w którym mieściła się kancelaria, był kiedyś zwykłą czynszówką. Miał wszystkiego pięć kondygnacji, od wilgotnej kuchni w piwnicy po służbówki na zimnym poddaszu. Pokoje wydawały się rozrzucone bez ładu i składu, lecz mimo to dom doskonale spełniał funkcję przyzwoitego mieszkania dla zamożnej rodziny. Po wojnie wydzielono w nim część mieszkalną i część na biura pod wynajem. Teraz z dawnych wnętrz zostały już tylko fragmentaryczne i raczej przerażające ślady – gipsowy ornament festonowy nad biurkiem Cheryl i astragalowy fryz pod sufitem w głównym korytarzu.

Dawny salon, owalny i bardzo klasycystyczny w swym umiarze, z widokiem na park Parker's Piece, był teraz salą konferencyjną firmy Holroyd, Wyre & Stanton. Zimą w palenisku marmurowego kominka palił się najprawdziwszy węgiel, gdyż David Holroyd był człowiekiem bardzo staroświeckim. Theo stał w tym salonie dziesiątki razy, nie raz wznosił kieliszek wina z aplikantami i asystentami – wszyscy jowialni i dobroniuszni, wszyscy w pełni profesjonalni, odnoszący sukcesy. Oczywiście Jennifer i Laura bywały tam od dziecka, ale mimo wszystko dziwnie było pomyśleć, że Laura będzie tu od dzisiaj pracować, że będzie porządkować teczki, coś odbierać, coś przynosić. Wiedział, że będzie jak zawsze miła i uprzejma, i był dumny, bo wszyscy w kancelarii będą powtarzać: Sympatyczna dziewczyna z tej Laury, prawda? Zawsze wszyscy tak o niej mówili.

Owce na torach. Konduktor nie rozwodził się już nad tym, czy chodzi o całe stado, czy o kilka zabłąkanych sztuk. W każdym razie było ich wystarczająco dużo, żeby każdy pasażer pociągu do Cambridge poczuł uderzenie, a potem gwałtowne wstrząsy. Pociąg stał dobrych dziesięć minut, zanim kierownik przeszedł przez cztery wagony, informując

wszystkich o zderzeniu z owcami i ucinając tym samym spekulacje i domysły, że może to były krowy, może konie, a może nawet samobójca. Minęło pół godziny, a pociąg nie ruszał. Więc Theo doszedł do wniosku, że chodzi raczej o stado niż o zbłąkaną owieczkę. Chciałby już być w Cambridge i zabrać Laurę na lunch. Tymczasem, jak to ujął maszynista, wszystko było w rękach bogów. Theo zastanawiał się, dlaczego w rękach bogów, a nie Boga.

W wagonach było coraz duszniej. Ktoś, prawdopodobnie konduktor, otworzył drzwi i pasażerowie zaczęli wysiadać. Theo nie miał wątpliwości, że nie jest to w zgodzie z przepisami kolejowymi, ale wzdłuż pociągu biegł nasyp. Wydawał się dość bezpieczny – nie było możliwe, żeby inny pociąg wbił się w nich tak, jak ich pociąg wbił się w owce. Theo ostrożnie (nie bez trudu) wyszedł na nasyp, trochę nawet zadowolony, że niespodziewanie stał się łowcą przygód. Ciekawiło go, jak może wyglądać owca po bliskim spotkaniu trzeciego stopnia z rozpędzoną lokomotywą. Idąc wzdłuż torów, niebawem znalazł odpowiedź na nurtujące go pytanie – niemal wszędzie widział poszarpane kołami ochłapy krwistego mięsa, pozlepiane kołtunami żywej wełny, jakby owce zmasakrowała wataha wilków. Patrząc na tę rzeź, dziwił się, ile potrafi znieść. Ale z drugiej strony w zawodzie prawnika zawsze widział coś z profesji policjanta i coś z profesji pielęgniarce. Wszyscy ci ludzie mają tę samą umiejętność wznoszenia się ponad chaos zwykłych, codziennych tragedii i podchodzenia do nich bez emocji. Doznał dziwnego, zabarwionego triumfem olśnienia: był w pociągu, który miał kolizję i niemal się wykoleił, ale nikomu nic się nie stało. Wszelkie znaki na niebie i ziemi każą teraz myśleć, że prawdopodobieństwo udziału (jego i pozostałych pasażerów) w kolejnej katastrofie kolejowej definitywnie zmalało.

Maszynista stał przy lokomotywie z bardzo niewyraźną miną. Theo zapytał go, czy dobrze się czuje, a on w odpowiedzi mruknął:

– Widziałem tylko jedną... Pomyślałem, że dla jednej nie muszę gwałtownie hamować, a potem... – Zrobił niezręczny

gest, jakby chciał pokazać stado pierzchających owiec. – A potem nagle świat zrobił się wełnianobiałą.

Ten obraz poruszył wyobraźnię Theo i pozostał w nim przez resztę drogi. Pozostały dystans pokonali już innym, podstawionym pociągiem. Wyobrażał sobie, jak opowiada o tej przygodzie Laurze. Wyobrażał sobie, co robi – będzie przestraszona, ale też ubawiona, chociaż to ponura opowieść. Wysiadł z pociągu i wziął taksówkę, ale w połowie drogi wysiadł i ruszył dalej pieszo. Co prawda spóźni się jeszcze bardziej, ale Laura się ucieszy.

Przez dobrą minutę odpoczywał na chodniku, zanim wreszcie zdecydował się wspinać po stromych schodach na wysoki parter, wprost do siedziby firmy Holroyd, Wyre & Stanton. Lekarka miała rację. Laura też ma rację. Musi zrzucić kilka kilogramów. Drzwi były otwarte na oścież i zablokowane żelazną podpórką. Podziwiał te drzwi za każdym razem, gdy wchodził do budynku. Pomalowano je połyskującą ciemnozieloną farbą. Zachowały się oryginalne mosiężne zdobienia – okucia szpary na listy i dziurki od klucza i kołatka z lwim łbem. Na mosiężnym szyldzie, codziennie polerowanym przez sprzątaczkę, widniał napis: „Holroyd, Wyre & Stanton – radcy i adwokaci”. Wziął głębszy oddech i zaczął się wspinać po stopniach.

Wewnętrzne drzwi, prowadzące do recepcji, także były otwarte. To nie było normalne. Z chwilą gdy przekroczył próg kancelarii, natychmiast do niego dotarło, że stało się coś złego. Sekretarka Jean Stanton siedziała skulona na podłodze, a przez jej bluzkę ciągnęła się smuga wymiocin. Recepcjonistka Moira stała przy telefonie i nerwowo, choć cierpliwie, dyktowała do słuchawki adres firmy. We włosach i na twarzy miała krew. Theo pomyślał, że jest ranna, ale kiedy do niej podszedł, żeby jej pomóc, zaczęła machać ręką. Najpierw pomyślał, że chce go odpędzić, ale po chwili zrozumiał, że daje mu znaki, żeby poszedł do sali konferencyjnej.

Później wiele razy składał w całość to, co poprzedziło tę jedną jedyną chwilę.

Laura skończyła kserować jakiś wypis z rejestru gruntów, kiedy do recepcji wszedł mężczyzna. Był to człowiek



o wyglądzie tak pospolitym i nieokreślonym, że nikt, absolutnie nikt z pracowników firmy Holroyd, Wyre & Stanton nie potrafił go potem opisać. Nikt nie potrafił podać choć jednej jego cechy. Wszyscy pamiętali za to, że miał na sobie jasnożółty sweter, modny wśród graczy w golfa.

Mężczyzna robił wrażenie zagubionego i kiedy Moira, recepcjonistka, zapytała: „W czym mogę panu pomóc?”, odparł wysokim, ściśniętym głosem: „Pan Wyre, gdzie jest?”. Moira, trochę zaniepokojona jego nienaturalnym zachowaniem, odpowiedziała: „Pan Wyre powinien już wrócić z sądu, ale niestety się spóźnia. Czy jest pan umówiony? Czym mogłabym panu służyć?”. Ale mężczyzna się odwrócił i pobiegł korytarzem, dziwnym, niezdarnym krokiem, jak dziecko, i wpadł do sali konferencyjnej, gdzie członkowie spółki mieli spotkanie. Spotkali się bez Theo, który był jeszcze w drodze ze stacji (i który zresztą zupełnie o tym spotkaniu zapomniał).

Spotkanie odbywało się w czasie lunchu, więc poprosili Laurę o kanapki – z rostbefem, tuńczykiem, do tego koktajl z krewetek, ser i surówka z kapusty, słodka kukurydza, a dla ojca lekka sałatka z kurczaka (bez majonezu), bo naprawdę powinien zacząć poważniej myśleć o zdrowym odżywianiu. Poza tym, pomyślała zapewne z tkliwością Laura, co za gapa z niego, skoro umawia się na lunch w czasie, kiedy ma naradę w kancelarii. Kanapki, kawa i notatniki – wszystko to leżało już na mahoniowym stole w sali konferencyjnej (także owalnym, żeby kształtem wpasował się w bryłę pokoju), ale nikt jeszcze nie usiadł. David Holroyd stał przy kominku i opowiadał obu aplikantom o obłędnie fantastycznych wakacjach, z których właśnie wrócił, kiedy nieznajomy wtargnął do środka, wy dobył nie wiadomo skąd myśliwski nóż (zapewne spod jasnożółtego swetra, ale nikt nie był tego pewien) i ciął nim przez ciemny samodziąłowy garnitur Davida Holroyda, firmy Austin Reed, przez białą popelinową koszulę firmy Charles Tyrwhitt, przez tropikalną opalenizną skóry jego lewego ramienia i wreszcie przez tętnicę w tym ramieniu. A Laura, ta sama Laura, która lubiła jogurt morelowy i nigdy nie piła kawy, tylko herbatę, która nosiła buty rozmiar sześć i kochała konie, która wołała

gorzką czekoladę od mlecznej i która przez pięć lat uczyła się grać na gitarze, ale nigdy potem na niej nie grała, która wciąż nie mogła odżałować, że Makuchna, jej suczka, ubiegłego lata wpadła pod samochód, ta sama Laura, która była dzieckiem Theo i jego najlepszym przyjacielem, wypuściła z rąk wypis z rejestru gruntów i wbiegła do sali za nieznanym – może dlatego, że była członkinią Czerwonego Krzyża, może dlatego, że w college’u przeszła kurs samoobrony, może powodowała nią zwykła ciekawość, może instynkt... Nikt się nigdy nie dowie, co myślała, biegnąc do sali, w której nieznanemu mężczyźnie, zupełnie obcy człowiek, obracał się właśnie na pięcie z gracją i zwinnością tancerki, opuszczając rękę w tym samym potężnym zamachu, którym ciał ramię Davida Holroyda i którym teraz jak sierpem zahaczył o szyję Laury, wrzynając się w jej tętnicę szyjną i puszczając na ścianę pióropusz pięknej, drogocennej krwi.

Jak we śnie, jakby w zwolnionym tempie, jakby pod wodą Theo ruszył do sali konferencyjnej. Na mahoniowym stole zobaczył filiżanki do kawy i kanapki i dotarło do niego, że zapomniał o spotkaniu. Kremowe ściany pokoju były spryskane krwią, a David Holroyd leżał przed marmurowym kominkiem, rzucony bezwładnie jak krwawy worek, a bliżej drzwi leżało na podłodze jego rodzone dziecko, córka. Z otwartej rany w jej gardle łagodnymi pchnięciami tryskała spieniona krew. Docierało do niego czyjeś chlipanie i czyjeś słowa: „Dlaczego jeszcze nie ma karetki, dlaczego?”.

Padł na kolana przy Laurze. Cheryl, sekretarka, klęczała obok niego, w samej tylko spódniczce i staniku – absurdalny widok. Zdjęła bluzkę, żeby zatamować krew. Trzymała ją zmiętą w dłoni, już tylko ścierkę mokrą od krwi, a jej skóra była śliska od krwi. Krew płynęła wąskimi strumykami wzdłuż wgłębień jej ciała. Krwawa łaźnia, tylko te dwa słowa przysły mu do głowy. Krew była wszędzie. Klęczał w kałuży, dywan nasiąkł do czerwoności. Krwią Laury. Która była także jego krwią. Jej biała bluzka zrobiła się szkarłatna. Czuł zapach krwi – miedzi i soli, zjełczały zaduch sklepu rzeźnickiego. Zastanawiał się, czy jest sposób, żeby naciąć sobie żyły, własne tętnice, żeby zassać

z nich krew i oddać ją córce. I przez cały czas się modlił: „Proszę, Boże, niech jej nic nie będzie”. Szeptał te słowa jak potworną, niekończącą się mantrę i czuł, że jeśli zdoła ją w kółko, bez końca powtarzać, zapobiegnie najgorszemu.

Oczy miała półotwarte. Nie był pewien, czy żyje. Pamiętał, jak ubiegłego lata klęczał przy Makuchnie na skraju drogi, kiedy potrącił ją samochód. Pies był mały, terierek. Trzymał go na rękach i czuł, jak uchodzi z niego życie. Widział w jego oczach takie samo mętne spojrzenie. Uciekało w głąb, w jakieś niedostępne miejsce, z którego nie ma powrotu. Przycisnął palce do rany, ale właściwie nie było już czego tamować, więc wziął ją tylko za rękę, delikatną, ciepłą rękę, i trzymał, i nachylił się do jej twarzy, i szeptał jej do ucha: „Wszystko dobrze, Lauro”. Potem ujął jej głowę w obie dłonie, pogłaskał jej zlepiione krwią włosy, a jego sekretarka, Cheryl, powiedziała: „Bóg jest z tobą, Lauro”.

W chwili kiedy przestał się modlić, w chwili gdy zrozumiał, że nie żyje, zrozumiał też, że ta chwila nie będzie miała końca. Laura zawsze będzie stała tu, przy kserokopiarce, odgadywała zawilosci rejestrów gruntów, zastanawiała się, kiedy wróci jej ojciec, bo brzuch burczy jej z głodu i ma już ochotę wyjść na lunch. Może żałowała, że przyjęła tę pracę, bo była strasznie nudna, ale zgodziła się, żeby mu zrobić przyjemność, bo lubiła dawać mu chwile szczęścia, bo go kochała. Ta sama Laura, która sypiała zwinięta w kłębek jak kot, która lubiła gorące tosty posmarowane masłem i kochała wszystkie części *Indiany Jonesa*, za to nie znosiła *Gwiezdných wojen*, której pierwszym słowem było słowo pies, która lubiła deszcz, ale bała się wiatru, która zamierzała urodzić troje dzieci, ta sama Laura, która zawsze już będzie stała przy kserokopiarce w kancelarii w Parkside, czekając na nieznanego z nożem, czekając, aż świat utonie w oślepiającej bieli.

### **Historia nr 3, 1979**

#### **Wszystko z obowiązku, nic z miłości**

Każdego kolejnego dnia Michelle nastawiała budzik na pięć minut wcześniej. Tego ranka zadzwonił dwadzieścia po piątej. Jutro zadzwoni kwadrans po piątej. Wiedziała, że kiedyś będzie musiała z tym skończyć. W przeciwnym razie przyjdzie jej się budzić, zanim położy się spać. Ale jeszcze nie teraz. Wciąż niewiele wyprzedzała dziecko, które budziło się ze świtem i śpiewem ptaków, a o tej porze roku świt i ptaki z każdym dniem budziły się wcześniej.

Potrzebowała więcej czasu, po prostu jej go brakowało. To był jedyny pomysł na pomnożenie go, jaki jej przyszedł do głowy. Oczywiście nie pomnożenie w sensie dosłownym. Byłoby cudownie, gdyby czas można było wyprodukować od zera – czas nówka, prosto z fabryki. Zastanawiała się, jak można by wyprodukować coś tak abstrakcyjnego. Do głowy przychodziły jej wyłącznie sposoby, które знаła z własnego niewielkiego gospodarstwa domowego: robienie na drutach, szycie, pieczenie ciast. Wyobraźmy sobie, że czas można zrobić na drutach. Jezu, jej druty fruwałyby w powietrzu jak dzikie, dzień i noc. Jaką miałyby przewagę nad przyjaciółkami, z których żadna nie wiedziałyby, jak zrobić czas na drutach (albo uszyć, albo upiec w piekarniku). Ale z drugiej strony żadna z nich nie urządziła się tak głupio jak ona – w wieku osiemnastu lat ma już dziecko i męża i mieszka w zakichanym domku na kompletnym odludziu, z czterech stron świata otoczona wyłącznie liniami horyzontu. Może się tu czuć tak, jakby niebo było gigantycznym kamieniem wgniatającym ją w ziemię. No, wcale się tak nie urządziła. Kocha ich. Naprawdę.

Zresztą skąd wzięłyby czas na produkowanie czasu? Nie miała na to czasu. W tym szkopał. Więc może w ogóle przestanie spać? Zamknęłyby się na klucz w jakiejś komnacie

na szczycie wysokiej wieży, jak królewna z bajki, i przedłaby czas jak złoto. Mogłaby nie kłaść się spać i uprzedłaby tyle czasu – leżałby w złotych motkach u jej stóp – że wystarczyłoby go do końca życia i już nigdy nie musiałaby się śpieszyć. Pomysł, żeby żyć w zamkniętej wieży i żeby się odciąć od wszystkich i od wszystkiego, podziałał na nią jak obraz rajy.

Dziecko było dla niej trochę jak przesyłka wysłana pod niewłaściwy adres, której nie można już ani zwrócić nadawcy, ani zamówić w późniejszym terminie. („Ona ma imię”, przypominał jej ciągle Keith, „Nie mów o niej »to dziecko«, tylko Tanya”). Dopiero co sama zostawiła za sobą dzieciństwo (niezbyt szczęśliwe), więc jak teraz ma się opiekować kimś innym? Wiedziała, że cała tajemnica tkwi w słowie związać się, związać się z dzieckiem. Wyczytała to w poradniku (*Jak wychować szczęśliwe dziecko*, jasne, nie ma problemu!). Ale ona nie związała się z dzieckiem, dała mu się raczej zakuć w kajdany.

Rację mieli ci, którzy radzili jej, żeby przerwała ciążę i zdała chociaż egzaminy maturalne. Gdyby mogła cofnąć wskazówki zegara – to kolejny sposób na produkcję czasu na niewielką skalę – z pewnością tak by postąpiła. Studiowałaby teraz, gdyby nie miała dziecka – piłaby na umór w pubach, ćpałaby, oddawałaby eseje na temat reform parlamentarnych z 1832 roku albo na temat powieści Anny Brontë *Mieszkaniec Wildfell Hall*, a nie chodziłaby, jak teraz, z konewką w ręku i podlewała nasiona kolendry na tacce z kompostem, i nie słyszałaby beku dzieciaka, nie wiadomo nawet skąd. Nie mogła już tego głosu znieść. Prawdopodobnie jest w sypialni, zamiast spać, nawet teraz. Podpełzło gąsienicowatymi ruchami swego ciała na skraj łóżeczka i lada chwila spadnie albo wpija się ząbkami w kabel elektryczny, albo wtuliło twarz w poduszkę i nie może złapać tchu.

Postawiła tacę z nasionami na kuchennym parapecie. Tam będzie mogła codziennie obserwować, jak kielki lgną ku światłu. Z tego samego okna widzi kawałek swojego warzywnika: równe kopczyki przekopanej ziemi, geometryczne poletka wyznaczone sznurkami i patykami podtrzymującymi

pnący groch. Keith nie mógł zrozumieć, po co jej warzywnik.

– Do cholery, mieszkamy na farmie – mówił, rozkładając szeroko ramiona jak strach na wróble. – Dookoła masz pełno warzyw. Możesz zbierać, ile ci się podoba!

Tak naprawdę wszędzie dookoła rosły ziemniaki, a to nie to samo. I jeszcze brukiew i kapusta pastewna, wszystko na paszę dla bydła. Chłopskie żarcie. Michelle chciała mieć cukinię i szpinak, i młode buraki. I oczywiście kolendrę. I chciała mieć kwiaty. Piękne, pachnące kwiaty, róże i wiciokrzew, i lilie, białe, czyste lilie, takie, jakie się wręcza pannie młodej albo kładzie na grobie.

W miejscu, o który toczyli spór, nie było absolutnie nic poza nierówną połącią trawska z kopczykami piachu. Michelle omijała je z wściekłością w oczach, pchając wózek i trzęsąc nim tak, że dziecko obijało się o burty jak manekin w czasie testów zderzeniowych. Ze złości szła tak szybko, że Keith, chociaż miał długie nogi, drobił za nią szybkimi kroczkami, żeby nie zostać w tyle.

– Co masz do kartofli? – zapytał.

– To, że jest marzec i nie ma żadnych pieprzonych kartofli! – odpowiedziała mu. Teraz już krzyczała. – Nie ma tu nic. Nic, tylko błoto. Wszędzie błoto. I deszcz. Cholera, to wygląda jak pod zasraną Sommą!

On powiedział:

– Nie rób z siebie idiotki. Zachowujesz się jak walnięta paniusia w teatrze.

Ona pomyślała, że jego prowincjonalny akcent brzmi zabawnie, jak u jakiegoś prostaka z telewizyjnego sitcomu. Niech go szlag trafi. Wieśniak, burak, stuknięty kartoflojad. Jej udało się zgubić akcent dzięki ciągłemu wsłuchiowaniu się w programy telewizyjne z udziałem ludzi z wyższych sfer i dzięki uważnemu słuchaniu nauczycieli w szkole. W końcu zaczęła mówić tak neutralnie, bez żadnego charakterystycznego akcentu, że trudno byłoby wskazać, skąd pochodzi. Ruszyła jeszcze szybszym krokiem, niemal truchtem.

– Zresztą! – krzyknął za nią Keith. – Może wcale nie mam ochoty na kolendrę?!

Michelle zatrzymała się nagle, aż dzieckiem rzuciło w wózek. Odwróciła się.

– Tak? Ale może ja mam? – wycedziła.

Posłała mu przeciągłe, długie, jak najdłuższe spojrzenie, żalując w duchu, że nie ma pod ręką siekiery, która z łatwością rozłupałaby jego czaszkę na dwie części, jak melona albo dynię. Nie, nie melona. Melony są słodkie i egzotyczne, nie dość prozaiczne na tak tępy łeb. Z kolei dynie to warzywa rodem z baśni. Duża rzepa. Dobra byłaby rzepa. Warzywo ordynarne i brutalne, idealne dla takiego kmiotka. Padłby jak bezgłowy strach na wróble, tutaj, na tym swoim polu, i wsiąkłby w ziemię, i nigdy już nie musiałyby go oglądać, i mogłaby oddać dziecko mamie, i zmarnować jeszcze jedno życie.

A może – koszmarny pomysł – wzrosłby w tej glebie, rozplenił się, rozmnożył w niewidoczny sposób, a latem wystrzeliłby nagle nad ziemię łodyżkami, setki Keithów, tysiące Keithów potakujących głową i kiwających się jak słoneczniki na polu.

Siekiera do rąbania drewna – czy to rzeczywiście absurdalny pomysł? Ludzie mają dzisiaj w domach centralne ogrzewanie, a przynajmniej pochodzące ze źródła, którym nie muszą sobie zaprzętać głowy. Nie muszą wychodzić z domu bez względu na pogodę, żeby pociąć i porąbać drewno, i nie muszą potem czekać, aż ogień ogrzeje wodę w głównym bojlerze w komórce, żeby mieć w kranie ciepłą wodę.

Oni tymczasem nie kupowali nawet węgla, bo drewno mieli za darmo i na miejscu. Siekiera to także przedmiot rodem z baśni. Może właśnie to jej się przytrafiło, może znalazła się w świecie złej baśni i nie ucieknie z niego, dopóki nie wyzbiera z pola wszystkich kartofli, co do jednego, i nie zetnie w lesie wszystkich drzew, co do jednego. Chyba że nauczy się przuć czas. Albo eksploduje jej głowa. Taki znój, taka mordęga. Czuli się jak średniowieczny chłop pańszczyźniany. To przecież feudalizm.

– Daj mi wózek – nakazał Keith. – Jak dalej będziesz go tak prowadzić, to Tanya dostanie wstrząsu mózgu.

Z Michelle raptem opadł gniew. Zawsze była zbyt zmęczona,

żeby długo znosić różne stany ducha, nawet złość. Szli obok siebie, ramię w ramię, wolnym krokiem, a dziecko po chwili zasnęło spokojnie – to był pierwotny cel tego spaceru, kiedyś, dawno, dawno temu.

Po pewnym czasie Keith objął ją, otarł pieszczotliwie policzek o czubek jej głowy i powiedział:

– Kocham cię, kiciusiu. Wiesz, że cię kocham, prawda?

Mogłaby to być całkiem sympatyczna chwila, gdyby nie zaczął siąpić zimny deszcz i gdyby pędrak znowu się nie rozdarł.

Michelle wychowywała się w trudnej rodzinie w Fen Ditton, jednej z posepnych wiosek satelitów, na które byli skazani niezamożni mieszkańcy Cambridge. Ojciec był pijakiem i zawałidrogą, jak mówiła mama. Ale mama wbrew wszystkiemu nie rzuciła go, bo nie chciała zostać sama ze wszystkim na głowie (Michelle i jej siostra uważały, że to żalodne). Zresztą mama także popijała, ale przynajmniej ich nie biła. Młodsza siostra Michelle, Shirley, miała piętnaście lat i mieszkała z rodzicami. Michelle też chciałaby z nimi mieszkać, ale w domu nie było dla niej miejsca. Tęskniła za Shirley. Naprawdę tęskniła. Shirley chciała zostać lekarką. Była mądrą dziewczyną, wszyscy mówili, że Shirley wyrośnie na ludzi. To samo mówili o Michelle, zanim pojawił się Keith i zanim urodził się pędrak. Teraz wydawało się, że nie udało jej się wyrosnąć na nikogo szczególnego.

Domek był ciasny. Wnętrze ich sypialni wciskało się pod skosy dachu, a pokój dziecka przypominał garderobę, choć akurat dziecko rzadko spędzało czas w swoim pokoju, w którym powinno leżeć w łóżeczku i słodko spać, a nie wydzierać się wniebogłosy i domagać, żeby je brano na ręce. Odkąd urodziło się dziecko, Michelle nie przeczytała ani jednej powieści. Podczas karmienia piersią próbowała czytać książkę ułożoną obok krzywo na poduszce, ale dzieciak nie chciał ssać, jeśli czuł, że jego mama skupia się na czymś innym. Potem, kiedy przestała karmić piersią (Bogu dzięki!), bo skończył jej się pokarm („Musi pani jeszcze spróbować, trzeba się zrelaksować, cieszyć dzieckiem”, mówiła położna, ale czym tu



się cieszyć?), manewrowanie dzieckiem, butelką i przewracanie kartek wymagało trzech par rąk. Trzy pary rąk – to też dobry sposób na produkowanie czasu.

Kiedy była w ciąży, wiele wysiłku włożyła w urządzenie pokoju dla dziecka. Ściany pomalowała na kolor żółtka, od szablonu odrysowała na nich fryz z kroczącymi kaczuszek i jagniąt, a na okienko uszyła zasłony z materiału w wesołe żółto-białe pasy – pokój wyglądał jak pełne słońca pudełko. Zawsze robiła wszystko jak należy. Od najmłodszych lat była pedantycznie staranna. Własna matka śmiała się z niej i mówiła: „Ciekawe, po kim to ma, bo po mnie na pewno nie” (to była szczerza prawda). Tak samo było w szkole. Jej podręczników nigdy nie zbrudził najmniejszy kleks, jej rysunki i mapki w zeszytach były idealnie wykończone, wszystko ładnie podkreślone, ujęte w tabele, zaopatrzone w indeksy. Pracowała tak pilnie i systematycznie, że nauczyciele stawiali jej najlepsze stopnie nawet wtedy, kiedy jej pracom czegoś brakowało. Miała iść na studia, miała uciec, uwolnić się, ale zamiast tego ktoś ją nawrócił, ktoś z certyfikatem HNC po szkole rolniczej, z najniższym certyfikatem pomaturalnym, ktoś, kto gospodarował na dzierżawionym od państwa majątku, ktoś biedny jak mysz kościelna.

Zacząła chodzić z Keithem, kiedy miała szesnaście lat. On miał dwadzieścia jeden. Niemal wszystkie koleżanki strasznie jej zazdrościły, bo był starszy, bo miał motor, a przede wszystkim, bo był cholernie przystojnym i seksownym facetem, z kolczykiem w uchu, czarnymi włosami i łotrowskim uśmiechem na twarzy. Zacząła widzieć w nim Cygana, co wydawało jej się bardzo romantyczne, choć przecież ani kolczyk w uchu, ani łotrowski uśmiech nikogo jeszcze nie czynią Cyganem. Właściwie same w sobie w ogóle nikim człowieka nie czynią. Teraz nie ma nawet motoru, bo go sprzedał i kupił starą furgonetkę.

Dawniej, kiedy martwiła się tylko o to, czy zdąży oddać na czas wypracowanie albo czy ma ładne uda, dawniej, czyli w czasach gdy była piękna i młoda, uważała, że dom na wsi to coś bardzo romantycznego. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła

domek Keitha, pomyślała, że to najpiękniejsza i najbardziej osobliwa rzecz, jaką w życiu widziała: mały i przytulny, i taki stary, liczący ponad dwieście lat, z czerwonej wypalanej cegły, z paskami kamiennych mozaik w nadprożach i wzdłuż parapetów – swego czasu był to domek (tak, tak) leśniczego. Kiedy wzięli ślub, państwo oddało im domek i gospodarstwo w użytkowanie na czas zatrudnienia. Bardzo wiązający układ, myślała Michelle z uśmiechem (choć wcale jej do śmiechu nie było), bo wiedziała, że nie tyle układ z domkiem jest wiązający, ile jej nowe życie.

Widziała kawałki przyszłości, która ją czeka: śliczny wiejski domek, ogród pełen kwiatów i warzyw, pachnący chleb w piekarniku, na stole miska soczystych truskawek i śmiejące się dziecko uczone jej biodra, gdy ona rzuca kurom ziarno. Obrazek niemal z powieści Hardy’ego, zanim wszystko zacznie się psuć.

Kiedy wyszła za mąż, w szóstym miesiącu ciąży, rzuciła szkołę i popołudniową pracę w kawiarni.

– To nic – mówił Keith. – Jak dziecko się urodzi, będziesz mogła wrócić do szkoły i do pracy.

Ale oboje wiedzieli, że nie będzie to już uniwersytet, tylko jakaś marna szkółka w jakiejś marnej mieścinie (byłe nie Cambridge, Boże), w szkole biznesu albo w szkole hotelarskiej, w której zrobi najwyżej dyplom HND, stopień wyżej od certyfikatu HNC, ale nawet nie bakalaureat. Mimo wszystko myślała: „Tak, będę się uczyć, oczywiście, że tak”, ale jednocześnie miała zamiar idealnie wywiązywać się z roli żony i matki. Dlatego dni upływały jej na sprzątaniu, szorowaniu, praniu, pieczeniu i gotowaniu, na pilnym i wytrwałym czytaniu poradników dla gospodyń. Pozostawała pod ogromnym wrażeniem tego, ile wysiłku i trudnych umiejętności trzeba, żeby stworzyć ognisko domowe: można uszyć pikowany patchwork, sfałdować firanki, zakisić ogórki, zrobić dżem z rabarbaru i specjalne dekoracje z lukru na bożonarodzeniowy placek – który powinno się zacząć robić najpóźniej we wrześnie (Jezus Maria!) – i trzeba pamiętać, żeby w tym samym czasie zasadzić w domu cebulki kwiatowe, które dzięki

temu wzrosną dokładnie w sezonie, i tak dalej, i tak dalej, co miesiąc długa lista prac, które powaliłyby samego Herkulesa. Do tego trzeba dodać codzienne przygotowywanie posiłków – robotę w dwójnasób trudną, odkąd odstawiła dziecko od piersi.

Kiedy jej matka zobaczyła, jak przygotowuje miazgę z gotowanej marchewki i gotuje dla małej budyń na jajkach, załamała ręce.

– Boże miłosierny, Michelle, daj jej po prostu odżywkę Heinza!

Ale gdyby zaczęła kupować odżywki, Tanya puściłaby ich z torbami, taka była zachłanna i łakoma. Tuczyla się jak mała poczwarka. Zawsze była głodna, nigdy nie miała dość. Poza tym odżywki w słoiczkach to jedno wielkie oszustwo, bo jak już się coś robi, to trzeba to robić porządnie. Chociaż nawet Shirley, która zwykle brała jej stronę, powtarzała: „Michelle, nie musisz wkładać we wszystko maksimum wysiłku”. Ale Michelle nie potrafiła inaczej. Czowała, że coś w środku na nią napiera, choć nie wiedziała co. Ale nie opuszczało jej przekonanie, że jeśli któregoś dnia wreszcie jej się uda zrobić wszystko jak należy, uwolni się od tego czegoś, co na nią tak napiera.

– Nigdy ci się nie uda zrobić wszystkiego perfekt, Michelle – ostrzegła Shirley. – To niemożliwe.

Ale to nieprawda. Człowiek może wszystko zrobić perfekt, jeśli tylko poświęci temu odpowiednio dużo czasu.

Pomyślała, że mogliby hodować kury albo kupić mleczną kozę – bo może ich gospodarstwu po prostu czegoś brakuje? Może jedna tłusciutka biała wajandotka dopełniłaby całości i stworzyła wymarzoną sielankę? Albo leghorn. Kury mają takie urocze nazwy – brahmy, kochiny, fawerole. Wypożyczyła z biblioteki książkę o kurach. Właściwie to ukradła, bo nie miała czasu, żeby pojechać do miasta i oddać. Nie twierdziła, że kradzież to dobra rzecz, ale też nie twierdziła, że dobre są niewiedza i ignorancja chłopka-roztropka. Więc może kózkę? Kozę la mancha albo appencelską? Książka o rasach kóz także została skradziona. Życie na wsi zrobiło z niej złodziejkę. Angielskie kozy mają śmieszne nazwy: karzeł zachodnioafrykański albo mdlejąca koza z Tennessee. Ale poza

kozami potrzebują także grządki truskawek, namiotu wielokwiatowej fasoli albo długiego rządku dyni – może wtedy, jak za dotknięciem magicznej różdżki, wszystko nagle zacznie grać? Keithowi nie wspomniała słowem ani o fawerolach, ani o karle zachodnioafrykańskim, bo chociaż urodził się i wychował na wsi, wolał jeździć do supermarketu, niż hodować zwierzęta. Zresztą ostatnio w ogóle mało się do niej odzywał, bo gdy wyciągał do niej ręce w łóżku, ona za każdym razem odpychała go i odwracała się do niego chłodnymi plecami. Myślała wtedy: „Więc tak to jest, właśnie tak to jest, gdy człowiek przestaje kochać”.

Czasem próbuje sobie przypomnieć czasy, kiedy nie było jeszcze dziecka, kiedy byli tylko we dwoje i mogli leżeć w łóżku cały dzień, kochać się do utraty tchu, a potem pogryźć tost z dżemem i obejrzeć coś w starym telewizorze, który stał w nogach łóżka, dopóki nie zrzuciła go ze wściekłością na podłogę, bo oglądał snookera (w czarno-białym telewizorze, jaki to ma sens?). Niemowlak się rozdarł i po prostu nie mogła już tego wszystkiego znieść.

Kochała ich. Naprawdę ich kochała. Tylko nie czuła miłości.

Nie czuli się połączeni, przypominali raczej dwa atomy, które nie umieją się połączyć w jedną cząsteczkę, które krążą i wpadają na siebie niczym kulki z numerkami w bębnie na loterii. Powinna była studiować jakieś nauki ścisłe, a nie zatapiać się w literaturze. Powieści pokazują człowiekowi wypaczony, fałszywy obraz życia, opowiadają brednie i sugerują, że wszystko ma zakończenie, a w rzeczywistości żadnego zakończenia nie ma, wszystko trwa, trwa i trwa bez końca.

Wkrótce zaczęła wstawać jeszcze wcześniej: jeśli rzeczywiście chce się wydostać z tego bagna, musi się przecież przygotowywać do studiów. Jeśli wstanie o czwartej – kiedy wszystko cudnie śpi, nawet ptaki i dzieciak – to mogłaby szybko przygotować obiad, posprzątać kuchnię, wziąć prysznic i wreszcie, przy odrobinie szczęścia, sięgnąć po swoje stare podręczniki i uczyć się od miejsca, w którym przerwała. Bo czasu nie da się wyprodukować, trochę dała się tej myśli

zbałamucić. Czas to złodziej, okrada człowieka z życia, a jedyny sposób na odzyskanie życia to wywieść czas w pole i wydrzeć mu swoją własność.

To był zwykły dzień (w każdym razie zwykły dla Michelle). Sobota. Była na nogach od wpół do czwartej, wyjątkowo zadowolona z nowej strategii. Półmisek z lasagne, owinięty ciasno folią spożywczą, stał już w lodówce, gotowy do podgrzania. Upiekła też czekoladową babkę – ulubiony wypiek Shirley, bo w soboty siostra często przyjeżdżała do nich autobusem. Przeczytała trzy rozdziały *Między dwiema wojnami* Charlesa Mowata i zrobiła notatki do eseju na temat *Króla Leara*. Tanya była już nakarmiona, umyta i ubrana w śliczne ogrodniczki Osh-Kosh, w biało-niebieskie pasy. Dostała je od Shirley. Spokojnie bawiła się w kojcu, a Michelle myła okna. Niebo było błękitne, twarz owiewał jej przyjemny świeży wiaterek. W warzywniku dostrzegła pierwsze zielone kiełki. Nawet kolendra puściła pędy.

Kiedy po pewnym czasie zajrzała do kojca, dziecko spało w najlepsze, zwinięte w kłębek jak prawdziwy pędrak. Pomyślała, że to znakomita okazja, żeby się wziąć do geografii. I wtedy nagle do domu wtoczył się Keith ze stosem porąbanego drewna w rękach. Zrzucił to wszystko z łomotem pod palenisko. Obudził Tanyę. Natychmiast się rozdarła, jak sprawny automat uruchamiany przełącznikiem. Michelle też się rozdarła, tak jak stała na środku pokoju, z opuszczonymi bezradnie rękami. Krzyczała, dopóki Keith nie uderzył jej w policzek. Mocno. Miała wrażenie, że ktoś przypala jej policzek rozgrzanym w ogniu stemplem do znakowania bydła.

Gardło kłuło ją boleśnie od krzyku i czuła się tak słaba, że bała się, że zaraz padnie zemdlona na podłogę. Teraz wypadki powinny się potoczyć następująco – bo przecież, powiedzmy sobie szczerze, nieraz byli w takiej sytuacji (no, co prawda nigdy jej nie uderzył) – ona wybuchnie płaczem, Keith położy ręce na jej ramionach i zacznie ją uspokajać: „Już dobrze, kiciusiu mój, już dobrze”, a ona będzie trochę płakać, potem chlupać, wreszcie się uspokoi, wezmą dziecko między siebie do łóżka i ono także się uspokoi.

Potem mogliby rozpalić w kominku, bo wieczorami było przejmująco zimno. Mogliby odgrzać lasagne i obejrzeć jakąś bzdurę w nowym kolorowym telewizorze. Poszliby z pełnymi żołądkami do łóżka, kochaliby się, żeby spalić kalorie, a potem spaliby głęboko, przytuleni, przez całą noc, gotowi do kolejnego zwykłego dnia życia. Ale wypadki potoczyły się inaczej. Kiedy Keith wyciągnął ręce, żeby je położyć na jej ramionach, splunęła mu w twarz, co również było czymś zupełnie nowym, a potem wybiegła na podwórze i złapała siekierę. Była wbita w pień, na którym Keith chwilę wcześniej rąbał drewno. I wróciła z siekierą do domu.

Było bardzo zimno. Ogień w kominku nie został rzecz jasna rozpalony. Michelle siedziała na podłodze. Tanya znowu spała. Wyglądała na wyczerpaną długim płaczem. Raz po raz wydawała jeszcze przez sen cichutkie czknięcia i chlipnięcia. Jak wtedy, gdy Michelle zostawia ją, żeby się sama wypłakała i zasnęła ze zmęczenia. Michelle czuła się tak, jakby połknęła kamień, coś potwornie ciężkiego, niestrawnego, twardego i nieustępującego, coś, co przyprawia o mdłości. Nie miała pojęcia, że człowiek może się czuć tak źle. Spojrzała na Keitha i zrobiło jej się go żal. Kiedy się rąbie drwa, a one rozpryskują się na szczapy, to pięknie pachną i przypominają Boże Narodzenie. Kiedy przerąbuje się na dwie części głowę, pachnie jak w ubojni i ten zapach zabija woń dzikich lilii naciętych rano w ogrodzie i przyniesionych do domu. Ta woń należała już do innego świata.

Gdyby mogła teraz mieć jedno życzenie – gdyby, jak w bajce, zjawiała się raptem jej matka chrzestna (wyraźnie do tej pory nieobecna w jej życiu), gdyby stanęła obok niej w tej zimnej wiejskiej izbie i gdyby podarowała jej jedno jedyne życzenie, dobrze by wiedziała, o co poprosić. Poprosiłaby, żeby było jej wolno zacząć całe życie od początku.

Zastanawiała się, czy nie powinna wstać z podłogi i posprzątać, ale była tak zmęczona, że postanowiła nie ruszać się z miejsca i czekać na policję. Wreszcie ma bardzo dużo czasu.

## Jackson

2004

Jackson włączył radio i wsłuchał się w spokojny głos Jenni Murray. Zaczęła się audycja *Godzina kobiety*. Odpalił od gasnącego niedopałka kolejnego papierosa, bo skończyły mu się zapalki, a stanąwszy przed wyborem między paleniem ciągłym a abstynencją, zdecydował się na to pierwsze – dość miał już w życiu różnych abstynencji. Gdyby naprawił samochodową zapalniczkę, nie musiałby przez całą drogę odpalać papierosa od papierosa, ale w samochodzie wiele rzeczy wymagało naprawy, a zapalniczka wcale nie zajmowała na tej liście czołowego miejsca. Jackson jeździł czarną alfą romeo 156. Kupił ten samochód od pierwszego właściciela cztery lata temu za trzynaście tysięcy funtów. Dzisiaj był zapewne wart mniej niż rower górski Emmelle Freedom, jaki sprezentował niedawno córce na ósme urodziny (z zastrzeżeniem, że nie wolno jej jeździć po ulicy co najmniej do czterdziestego roku życia).

Kiedy przyjechał do domu świeżo kupioną alfą romeo, żona spojrzała na nie z dezaprobatą.

– No to kupiłeś autko dla policjanta.

Wtedy, cztery lata temu, Josie jeździła własnym volkswagenem polo i była jego żoną. Teraz mieszkała z brodatym wykładowcą angielskiego i jeździła jego volvo V70 z nalepką „Uwaga, dziecko!” na tylnej szybie, mającej świadczyć zarówno o stałości ich związku, jak i o brodacza (zadowolonego z siebie skunksa) chorej potrzebie ogłoszenia światu swej troski o dziecko innego mężczyzny. Jackson nienawidził tych nalepek.

Był odrodzonym palaczem, pół roku wcześniej znowu zaczął palić. Wcześniej przez piętnaście lat nawet nie spojrzał na

papierosa, a teraz czuł się tak, jakby nigdy nie miał przerwy. Wrócił do palenia bez specjalnego powodu, „Ot tak, po prostu” – powiedział, robiąc do wstecznego lusterka nieszczęśliwą minę à la Tommy Cooper. Oczywiście nie było to ot tak, po prostu. Nic nigdy nie dzieje się po prostu.

Niech ta kobieta się pospieszy. Co ona robi? Drzwi do jej domu stały nieruchome, jak zakłete. Mógł się im przyjrzeć uważniej. Zrobione z taniego lakierowanego drewna, z półkolistym oknem mającym imitować styl georgiański, były żywym odbiciem bodaj każdych wejściowych drzwi w Cherry Hinton. Mógłby je bez wysiłku wyważyć jednym kopniakiem. Spóźniała się. Samolot miała o pierwszej. Powinna już być w drodze na lotnisko. Otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i wypuścić papierosowy dym.

Kawa nie była w tej chwili dobrym pomysłem na przerwanie nudy, chyba że miałby butelkę, w którą mógłby się potem wysikać. Ale nie miał. Teraz, po rozwodzie, mógł do woli używać takich słów jak sikać i gówno – słów, które Josie niemal doszczętnie wypleniała z jego słownika. Była nauczycielką w szkole podstawowej i większą część dnia spędzała na sztorcowaniu pięcioletnich chłopców. W czasach kiedy byli małżeństwem, potrafiła wrócić z pracy i sztorcować dalej jego („Na miłość boską, Jackson, mówi się penis!”) podczas wspólnych wieczorów, przy gotowaniu makaronu i przy ziewaniu przed telewizorem nad jakimś kolejnym dennym programem. Josie chciała, żeby ich córeczka Marlee uczyła się „poprawnych określeń dotyczących genitaliów”. Jackson zdecydowanie wołał, żeby Marlee nawet nie wiedziała, że istnieje coś takiego jak genitalia, nie mówiąc już o informowaniu jej, że została poczęta, kiedy „tatuś wsadził penisa w waginę mamusi” – dziwne, niemal kliniczne określenie nagłego, wyciskającego pot z czoła zdarzenia, które miało miejsce gdzieś w polu, przy szosie A1066 między Thetford i Diss, w akrobatycznej pozie w starym bmw (320i, dwudrzwiowy, w każdym calu autko dla policjanta, bardzo mu go brakuje, niestety świętej pamięci). To były czasy, kiedy spontaniczny seks był w ich związku czymś częstym



i naturalnym. Tym, co ten jeden raz uczyniło wybitnie szczególnym, było to, że Josie – co nie było dla niej typowe – z kontroli narodzin zrobiła zabawę w rosyjską ruletkę.

Winą za konsekwencje (czyli za Marlee) obarczała później jego – bo się odpowiednio nie zabezpieczył. Ale Jackson uważał w duchu, że Marlee to konsekwencja godna pochwały. Zresztą czego Josie się spodziewała, łapiąc go za – dobrze, użyjmy poprawnego określenia – penisa, podczas gdy jemu zależało wyłącznie na tym, żeby dojechać do Diss, choć dzisiaj już nie pamięta dlaczego? Sam został poczęty w czasie wakacji, w domku letniskowym w Ayrshire, co jego ojciec nie wiedząc czemu uważał za bardzo zabawne.

Nie powinien był nawet myśleć o kawie, bo w pęcherzu cisnęło go tak, że czuł tylko nieznośny tępy ból. Kiedy skończyła się *Godzina kobiety*, włączył płytę *Alabama song* Allison Moorer, album, w którym odnalazł odrobinę kojącej melancholii. *Bonjour Tristesse*. Uczył się francuskiego z myślą o dniu, kiedy zlicytuje wszystkie ruchomości, wyjedzie za granicę i będzie robił to, co robią ludzie, którzy przechodzą na wczesną emeryturę. Grają w golfa? Czy Francuzi grają w golfa? Nie umiał sobie przypomnieć ani jednego nazwiska francuskiego golfisty, co zresztą było dobrym znakiem, bo nie znosił golfa. Więc może będzie grał w *boules*, a papierosami zapali się na śmierć. Francuzi umieją palić papierosy.

W Cambridge nigdy nie czuł się dobrze. Jeśli już o tym mowa, w ogóle nie czuł się dobrze w południowej Anglii. Znalazł się tutaj trochę przez przypadek. Przyjechał za dziewczyną, a został dla żony. Latami myślał o tym, żeby się przeprowadzić z powrotem na północ, ale wiedział, że nigdy tego nie zrobi. Nic tam na niego nie czekało, tylko złe wspomnienia i przeszłość, która się już nie odstanie. Poza tym po co jechać na północ, skoro zaraz po drugiej stronie kanału rozpościera się Francja, wielki patchwork słoneczników, winogron i kawiarenek, w których mógłby przesiadywać długimi popołudniami, popijając miejscowe wino i gorzkie espresso, paląc papierosy gitanes. Wszyscy mówiliby do niego *Bonjour, Jackson* (tyle że inaczej wymawialiby jego imię:

Żaksą), a on byłby naprawdę szczęśliwy. A zatem byłby w całkowicie odmiennym stanie ducha niż obecnie.

Oczywiście jeśli wziąć pod uwagę tempo, w jakim wybierał się na emeryturę, należało stwierdzić, że nie będzie to wczesna, ale zwykła emerytura. Pamiętał, że w dzieciństwie miał emerytów za zramolałych dziadków, którzy ostrożnymi małymi kroczkami ciągle wędrują między działką a swoim stałym kącikiem w najbliższym pubie. Wtedy wydawali mu się naprawdę wiekowi, ale może wcale nie byli starsi, niż on jest teraz? Miał czterdzieści pięć lat, ale czuł się o wiele starzej. Był to ten niezbyt ciekawy i niezbyt bezpieczny dla mężczyzn okres życia, kiedy nagle zaczyna się rozumieć, że się umrze, nieodwołalnie i na pewno, i absolutnie nic nie można z tym zrobić, a mimo wszystko próbuje się coś zrobić, ima się różnych sposobów, pieprzy wszystko, co się rusza, słucha starych piosenek Bruce'a Springsteena, nabywa najnowszy model motocykla (zwykle bmw K 1200 LT, znacząco zwiększając szanse na spotkanie śmierci wcześniej, niż się zakładało) albo pakuje się w koleiny alkoholowej szarzyzny – to samotna i zagubiona arteria słabszego osobnika płci męskiej, samca beta. To był sposób jego ojca. Była też droga, którą on wybrał, droga, która wiodła przez codzienne medytacje ku domowi we Francji, z białymi ścianami pokrytymi sztukaterią, z geranium na parapetach i z ciemnoniebieskimi drzwiami, z których obłazi farba, bo kto na francuskiej prowincji zaprzętałby sobie głowę domowymi naprawami?

Kiedy tu przyjechał, zatrzymał się w cieniu, ale słońce przesunęło się już wyżej i temperatura w samochodzie zaczynała mu mocno doskwierać. Nazywała się Nicola Spencer, miała dwadzieścia dziewięć lat i mieszkała na ładnym zamkniętym osiedlu domków z czerwonej cegły. W oczach Jacksona wszystkie domy i ulice wyglądały tak samo i gdyby choć na moment stracił orientację, znalazłby się w trójkącie bermudzkiem identycznych frontów i trawników. Był dziwnie, niemal niedorzecznie uprzedzony do osiedli. Niewykluczone, że miało to coś wspólnego z jego eksmałżonką i nieudanym małżeństwem. To Josie koniecznie chciała mieć dom na nowo

wybudowanym osiedlu, to Josie była jedną z pierwszych, którzy podpisali umowę kupna mieszkania w Cambourne, na przedmieściach Cambridge, na osiedlu zaprojektowanym w stylu Disneylandu, z polem do krykieta w „tradycyjnej zieleni wiejskiej” i terenem rekreacyjnym „w duchu antycznego Rzymu”. To za sprawą Josie wprowadzili się do domu, kiedy ulica była jeszcze placem budowy, to Josie nalegała, żeby się zdecydowali na funkcjonalne, modernistyczne umeblowanie i wystrój, to ona stwierdziła, że wiktoriańskie meble to rupiecie i przeżytek, i to ona uznała, że nadmiar dywanów i zasłon dusi człowieka. Ale to nikt inny jak właśnie Josie zamieszkiwała teraz „świat w zupełnie starym stylu”, z Davidem Lastinghamem, nie dom, a raczej sklep z antykami – wiktoriańska weranda była zagracona starymi meblami, które David odziedziczył po rodzicach, a draperie, zasłony, chodniki i dywany przesłaniały każdy wolny kawałek płaskiej powierzchni. („Jesteś pewna, że on nie jest gejem?” – zapytał ją kiedyś, tylko po to, żeby się z nią podrażnić – do diabła, facet chodził do manikiurzystki! – a ona roześmiała się i odparła: „Ręczę ci, że nie ma problemów z męskością, Jackson”).

Znowu rozboleły go zęby. Coraz częściej bywa u swojej dentystki. Pomyślał, że widuje ją częściej niż żonę w ostatnim roku małżeństwa. Dentystka miała na imię Sharon i, jak zwykł mawiać jego ojciec, była nadziana. Miała trzydzieści sześć lat i jeździła bmw z3, który według niego był raczej samochodem dla fryzjera niż dentysty, ale babka i tak robiła na nim wrażenie. Niestety absolutnie nie widział możliwości wejścia w bliższy związek z kimś, kto żeby dotknąć drugiego człowieka, musi zakładać maskę, ochronne okulary i gumowe rękawiczki. (Albo z kimś, kto zagląda mu do jamy ustnej i mówi, kręcąc głową: „Palimy papieroski, co, Jackson?”).

Rozłożył przed sobą stary numer „Le Nouvel Observateur” i próbował czytać artykuły, bo nauczycielka francuskiego powiedziała im, że powinni się zagłębić w kulturę francuską, nawet jeśli nie potrafią jej zrozumieć. Jackson umiał najwyżej wyłowić słówko, które coś tam znaczyło, ale generalnie wszędzie widział rozstrzelony po całym tekście tryb łączący

– jeśli w gramatyce niepotrzebny był jakiś czas, to właśnie francuski *subjonctif*. Jego wzrok przesuwiał się wolno po szpaltach. Zasadnicza część jego życia upływała ostatnio na czekaniu. Na czymś, do czego dwadzieścia lat wcześniej byłby zupełnie niezdatny, a co dzisiaj przyjmuje niemal z zadowoleniem. Nicnierobienie jest o wiele bardziej produktywnie, niż to się ludziom wydaje. Kiedy jest absolutnie beczny, często przeprowadza najbardziej wnikliwe analizy. Wcale się nie nudzi, po prostu zatapia się w jakimś pustym miejscu. Czasem myślał, że chętnie wstąpiłby do klasztoru, że byłby absolutnie doskonałym ascetą, pustelnikiem, mnichem zen.

Kiedyś zatrzymał jubilera, starszego pana, który sprzedawał kradzioną biżuterię. Kiedy przyszedł po niego do pracowni na tyłach sklepu, zastał go siedzącego w starym fotelu, palącego fajkę i kontemplującego jakiś kamień. Kamień leżał przed nim na warsztacie. Jubiler bez słowa wziął kamień do ręki i położył go na jego dłoni, jakby to był prezent. Jacksonowi przypomniał się szkolny nauczyciel biologii, który podawał coś uczniowi do ręki – ptasie jajo albo liść – i zamiast samemu omawiać ów przedmiot, sprawiał, że objaśniał wszystko uczeń. Kamień był jakąś ciemną rudą, wyglądał jak zwęglona kora, a przez sam środek, jakby to była kanapka, biegł mleczny szew opalu, niczym mgliste niebo o zmierzchu w środku lata. „Bardzo trudny do obróbki” – powiedział fachowo stary człowiek. Siedział nad nim już od dwóch tygodni i dopiero za następne dwa, jak powiedział, może będzie gotów do dalszego cięcia i szlifowania. Jackson powiedział mu, że za dwa tygodnie będzie siedział w celi. Ale leciwy dziadek miał znakomitego adwokata. Wyłożył na kaucję, a potem dostał wyrok w zawieszeniu.

Rok później Jackson otrzymał paczuszkę – adresowaną na posterunek policji. W środku nie było listu, tylko pudełko, a w nim, w welwecie koloru ciemnogramatowej nocy, wisiorek z opalem, miniaturowe sklepienie nieba. Jackson zrozumiał, ale dopiero po wielu latach, że stary człowiek udzielił mu lekcji. Schował wisiorek na osiemnaste urodziny Marlee.

Mąż Nicoli, Steve Spencer, był pewien, że jego żona „wzięła sobie kochanka” – dokładnie tak to określił, dość delikatnie, wręcz dworsko jak na uszy Jacksona, bo zdecydowana większość jego klienteli sięgała w takich okolicznościach, by wyrazić swoje podejrzenia, po daleko bardziej dosadne określenia. Steve był histerykiem, nawet paranoikiem, i do tej pory nie mógł pojąć, jak mu się udało złapać w sieć Nicolę. Bo przecież była „taka boska”. W swoim czasie Jackson znalazł niejedną „taką boską”. Nie same Nicole Spencer rządzą światem. Ale pomyślał sobie, że gdyby był żoną Steve’a Spencera, to też miałby ochotę „kogoś sobie wziąć”. Steve był farmaceutą i pracował w jednej z dziesiątek aptek. Mogło się wydawać, że Nicola jest jego jedynym zainteresowaniem i jedynym hobby. Była dla niego tą „jedyną na świecie”. Jackson nie wierzył, że istnieje coś takiego jak ta „jedna jedyna tobie przeznaczona”. Ale pomyślał, że nawet jeśli tak, to jak zna swoje pieskie szczęście, na pewno jest to kobieta pracująca na polach ryżowych w środkowych Chinach albo wielokrotna zabójczyni, która uciekła z więzienia.

Po pracy Nicola Spencer szła do klubu fitness albo do supermarketu Sainsbury (raz, nie wiadomo po co, poszła do Tesco), czasem wpadała do matki albo jednej z koleżanek o imieniu Louise albo Vanessa. Vanessa i jej mąż Mike byli małżeństwem, przyjaźnili się ze Steve’em i Nicolą. Wszystko natomiast wskazywało na to, że Vanessa i Louise w ogóle się nie znają. Nicola regularnie jeździła też na stację benzynową, oczywiście po benzynę. W sklepiku na stacji często kupowała mleko i bardzo często czekoladę, i jeszcze któreś z kolorowych plotkarskich pisemek, „Hello!” albo „Heat”. Bywała też w centrum ogrodniczym. Raz kupiła nasionka, które po powrocie do domu wsadziła do ziemi w ogrodzie i które najpewniej zapomniała podlewać, co zauważył Jackson po krótkim rekonesansie, kiedy wspiął się na ogrodzenie, żeby sprawdzić, co się dzieje *chez* pani Spencer, a dokładniej *au jardin* pani Spencer.

W ciągu ostatnich czterech dni Nicola była także w markecie Zrób To Sam. Kupiła śrubokręt i nóż marki Stanley. Była

w sklepie Habitat i kupiła lampkę na stół, w Top Shopie, skąd wyszła z nowym T-shirtem, weszła do Next po nową bluzkę, do Boots (dwukrotnie, raz po kosmetyki i przybory toaletowe, raz po lek ponstan na receptę), była też w sklepie Roberta Sayle'a, gdzie kupiła dwa niebieskie ręczniczki do rąk, a także na stoisku rybnym, gdzie kupiła (bardzo drogą) żabnicę na kolację z Vanessą i Mikiem, która, jak zdradził później Steve Spencer, okazała się „kulinarną katastrofą”. Najwyraźniej Nicola nie należała do kucharek wybitnych. Zresztą wiodła śmiertelnie nudny żywot, chyba że faktycznie, jak podejrzewał mąż, zdarzyło się coś fantastycznego, gdy przepychała wózek z napojami między lotniczymi fotelami klasy ekonomicznej. Czy właśnie coś takiego przytrafiło się Josie, kiedy „wzięła sobie” Davida Lastinghama? Tak bardzo miała jego, Jacksona, powyżej uszu, że powiedziała sobie: dość? Poznała go na przyjęciu, na które Jackson nie mógł pójść, ponieważ musiał pracować. Początkowo próbowali „panować nad uczuciami”, ale bez szczególnej determinacji, skoro nie minęło pół roku, a nie przepuszczała żadnej okazji, żeby pójść na schadzki we dwoje. Teraz David Lastingham może wkładać „penisa do waginy mamusi”, kiedy tylko zapragnie.

Josie bardzo szybko wystąpiła o rozwód. Nieodwracalny rozpad więzi małżeńskiej – jakby Jackson był współwinny, jakby to nie ona gziła się z brodaczem o wyglądzie sutenera. (David. Marlee nie wymawiała tego imienia z niechęcią, jak życzyłyby sobie Jackson. „Jest w porządku, kupuje mi czekoladę, robi świetną pastę”. Przez żołądek do serca Marlee wiodła sześciopasmowa autostrada. „To ja gotuję świetną pastę” – powiedział Jackson i natychmiast poczuł, jak głupio to zabrzmiało, ale miał to gdzieś. Znał kogoś, kto na jego prośbę sprawdził, czy Lastingham nie jest notowany jako pedofil. Tylko dla pewności).

Wypalał ostatniego papierosa. Inwigilowana Nicola nie zrobiła nic podejrzanego. Jeśli więc rzeczywiście ma romans, to gdzieś daleko. Noclegi w lotniskowych hotelach, ciepłe wieczory i tani alkohol stwarzają idealne warunki ku temu, żeby się źle prowadzić. Jackson próbował wytłumaczyć

Steve'owi, że będzie musiał zapłacić za loty z Nicolą, jeśli naprawdę chce się dowiedzieć, czy jest coś na rzeczy. Ale Steve'owi nie uśmiechało się płacić za coś, co w jego mniemaniu było gratisowymi wakacjami Jacksona za granicą. Jackson dopuszczał myśl, że mimo wszystko mógłby polecieć z Nicolą, a później, przy wystawianiu rachunku, uciec się do kreatywnej księgowości. Bilet w dwie strony do każdego dużego miasta w Europie bez trudu można by ukryć we wszechporejnej rubryce wydatki różne. Może poczeka, aż będzie leciała do Francji, i wtedy się jej uczepi? Jackson wcale nie chciał mieć wakacji. Chciał nowego życia. Chciał już skończyć z Nicolą Spencer i jej nudnym życiem.

Kiedy dwa lata temu otworzył biuro detektywistyczne, nie ludził się, że czeka go zawód. Przez dwanaście lat służył w policji hrabstwa Cambridge, a przedtem w policji wojskowej, więc nie miał złudzeń, jak urządzony jest świat. Dobrze się znał na jednym: na prowadzeniu dochodzeń tam, gdzie komuś powinęła się noga, gdzie doszło do ludzkiej tragedii i nieszczęścia. Przywykł już, że jest podglądaczem, kimś obcym, kto zagląda w czyjeś życie, i nic, absolutnie nic, nie było w stanie go zadziwić. Ale mimo tego, co widział i czego się nauczył, tliła się w nim wiara – niewielka, poraniona i posiniaczona człowiecza wiara – że to, co robi, robi dla dobra drugiego człowieka, że chce mu pomóc, a nie ukarać za to, że jest zły.

Odszedł z policji i założył biuro po tym, jak ich małżeństwo legło w gruzach. „Co teraz z twoją pensją?” – zapytała wtedy Josie. „A co ma być?” – odparł. Bardzo wojownicze nastawienie. Powoli zaczynał tego żałować.

Większość zleceń, które przyjmował, wiązała się z mało satysfakcjonującą, a przede wszystkim nudną pracą – pomoc w procedurach procesowych, wywiady środowiskowe, a poza tym ściąganie długów albo ściganie oszustów i handlarzy, którymi policja nigdy się serio nie zajmie („Zapłaciłem mu z góry trzysta funtów za materiał, a gość mi zniknął!” Och, to ci niespodzianka!) Nie mówiąc już o zaginionych kotach.

Jak na zawołanie właśnie dzwoni jego telefon komórkowy.

Dźwięczna wersja *Carmina Burana*, dzwonek zarezerwowany dla Binky Rain (Binky – co to za imię?). Binky Rain to jego pierwsza klientka. Poznał ją zaraz po tym, jak otworzył biuro, i obawiał się, że się jej nie pozbędzie aż do emerytury. Choć w czarnych snach widział, że nawet wtedy jedzie za nim do Francji, a za nią ciągnie sznur przygarniętych kotów, jak dzieci biegnących wesoło za kobziarzem w wierszu Browninga *Grajek z Hamelin*. Była to szurnięta baba, kociara. Drzwi miała otwarte dla każdego dachowca i każdego kociego próżniaka z Cambridge.

Miała grubo ponad dziewięćdziesiątkę, była wdową po profesorze college’u Peterhouse, najstarszego college’u w Cambridge, wykładowcy filozofii z tytułem don (choć Jackson mieszkał w tym uniwersyteckim mieście czternaście lat, to śmieszne słówko kojarzyło mu się wyłącznie z mafią). Julian Rain, z tytułem doktora, dawno już odszedł do „Ich Magnificencji w Niebiesiech”. Binky wychowała się w środowisku kolonialnym w Afryce i traktowała Jacksona (jak wszystkich) jak czarnego służącego. Mieszkała w Newnham, przy drodze do Grantchester Meadows, w domu, który w okresie międzywojennym był zapewne przykładem klasycznej i najzupełniej normalnej ceglanej zabudowy, ale wskutek wielu lat zaniedbań popadł w ruinę i przedstawiał już tylko ponury obraz gotyckiej grozy. Wokół domu roilo się od kotów. Dziesiątki tych diabelskich stworzeń. O zawrót głowy przyprawiła Jacksona myśl o smrodzie, jaki musi panować w środku – kocia uryna, strzyknięcia kocurów, wszędzie miseczki stęchłej karmy z puszek, jakiejś taniochy zmielonej ze zwierzęcych odpadów, których nie kupują nawet sieci fastfoodów do burgerów. Binky Rain nie miała pieniędzy, nie miała też przyjaciół ani rodziny. Sąsiedzi unikali jej jak ognia. A mimo to z łatwością zachowywała pozory arystokratycznego *hauteur*, niczym uchodźca jakiegoś *ancien régime*’u żyjący dawnym życiem, choćby w lachmanach. Binky Rain, ma się rozumieć, należała do tej grupy starszych ludzi, których martwe ciała długo leżą w zamkniętych od środka mieszkaniach i których zniknięcie tygodniami pozostaje



niezauważone. Choć zapewne w tym szczególnym wypadku stara Binky Rain pożałyby jej własne kociaki.

Kiedy zatrudniła Jacksona pierwszy raz, sprawa dotyczyła kradzieży kotów. Jackson nigdy nie potrafił zgadnąć, czy jej koty rzeczywiście zniknęły, czy też tylko jej się wydawało, że zniknęły. Najczęściej zgłaszała zaginięcie czarnych kotów. „Ktoś je kradnie” – mówiła uparcie słabym skrzeczącym głosem, z akcentem równie anachronicznym, jak cała reszta jej osoby – relik, pozostałość dawnych czasów, innego miejsca, dawno już przemienionego w cząstkę historii. Pierwszym, który zniknął, był czarny kot (czarny koot), imieniem Czarnuch – Binky Rain naprawdę uważała, że nie ma w tym nic niestosownego! Imię wcale nie było aluzją do czarnego człowieka (czarnego człoowieka), stwierdziła wymijająco, gdy spojrział na nią nieco zdziwiony. Dała mu je na cześć kota kapitana Scotta, którego widziała w telewizji na Discovery. (Nie daj Boże Binky chodziła po spokojnych uliczkach Newnham i nawoływała kota: „Czarnuch! Czarnuch!”). Jej szwagier był członkiem Instytutu Badań Polarnych imienia Scotta przy Lensfield Road. Zimę spędzał na Morzu Rossa, przez co najwyraźniej uczynił Binky wybitnym ekspertem w dziedzinie badań antarktycznych. Scott był „głupcem”, Shackleton „kobieciarzem”, a Peary „Amerykaninem”, co samo w sobie wydawało się godne potępienia. Rozmach, z jakim rozprawiała o ekspedycjach polarnych („Konie! Tylko idiota zabrałby konie!”), zdawał się zadawać kłam temu, że najbardziej niebezpieczną podróżą, jaką odbyła w życiu, był rejs z Kapsztadu do Southampton pierwszą klasą statkiem „Dunnottar Castle” w 1938 roku.

Najlepszy przyjaciel Jacksona, Howell, był czarny. Kiedy Jackson powiedział mu, że Binky Rain ma kota, którego nazwała Czarnuch, Howell zaniósł się serdecznym śmiechem. Znali się jeszcze z wojska, razem chodzili na pierwsze patrole. „Czarny człoowiek” – śmiał się Howell, natrzęsając się ze starej białej damy. Nawet Jacksona trochę niepokoił, bo mierzył blisko dwa metry i był najczarniejszym z czarnych, jakich Jackson znał. Po zwolnieniu ze służby Howell wrócił do

rodzinnego Birmingham. Pracował teraz jako portier w dużym hotelu. Musiał nosić śmieszny, teatralny, szamerowany mundur, ciemnobłękitny surdut obszyty złotym galonem, a na głowie jeszcze śmieszniejszy cylinder. Ale prezentował się w nim bardzo okazale. Lokajski strój nie tylko nie odbierał mu poczucia godności, ale wręcz przydawał mu dostojęstwa.

Howell zapewne też był w wieku niebezpiecznym dla mężczyzny. Jak sobie z tym radził? Nie rozmawiali ze sobą od pół roku. Tak traci się bliskich ludzi. Trochę nieuwagi i przeciekają przez palce jak woda. Jacksonowi brakowało Howella. Jakoś w ciągu ostatnich lat udało mu się stracić nie tylko żonę i dziecko, ale również przyjaciół. (Z drugiej strony czy poza Howellem miał jeszcze jakichś przyjaciół?) Może dlatego ludzie zapełniają swoje domy smrodliwymi kotami, żeby nie zauważać swojej samotności, żeby nie mieć obaw, że ich śmierci nie zauważy żadna żywa dusza? On ma zamiar umrzeć we Francji, na leżaku w ogrodzie, po smacznym posiłku. Może przyjedzie Marlee? Razem z dziećmi? Zobaczyłby wtedy jeszcze jakąś część siebie, która zostanie w doczesności i jeszcze będzie miała przed sobą przyszłość. Widziałby, że śmierć nie jest końcem wszystkiego.

Połączył się z pocztą głosową, odszukał wiadomość od Binky Rain i wsłuchał się w władczy ton starszej pani. Nakazywała mu, żeby natychmiast przyjechał „w sprawie niecierpiącej zwłoki”, dotyczącej kotki Frisky.

Od dwóch lat, czyli odkąd się znają, Binky Rain nie zapłaciła mu ani grosza. Ale on uważał, że wszystko jest w porządku, bo w ciągu tych dwóch lat nie udało mu się odnaleźć ani jednego kota. Odwiedzał staruszkę raczej z poczucia społecznego obowiązku. Nikt starej babci nie odwiedzał, a on tolerował jej manie, choć czasem zdumiewały nawet jego. Była starą faszystką, ale on uważał, że nie sposób nie podziwiać hartu jej ducha. Jak wyjaśniała, dlaczego jest przekonana, że jej koty padają ofiarą kradzieży? Jackson spodziewał się, że na pewno oskarży złodziei o to, że się bawią w wiwisekcje – klasyczne przekonanie każdego paranoicznego miłośnika kotów – ale nie, według Binky kradli koty, żeby zrobić z ich skóry rękawiczki

(„czarne” rękawiczki oczywiście).

Jackson zastanawiał się, czy nie dać sobie spokoju ze spóźniającą się Nicolą i nie wykonać posłusznie polecenia Binky, gdy raptem frontowe drzwi otworzyły się z hukiem. Jackson zsunął się lekko z siedzenia, schylił głowę i udał, że cały jest zatopiony w lekturze „Le Nouvel Observateur”. Z odległości pięćdziesięciu metrów doskonale widział, że Nicola jest w podłym humorze, choć trzeba dodać, że to standardowy poziom jej nastrojów. Wyglądało na to, że jest jej bardzo gorąco. Była ubrana w zapięty ciasno pod szyją kiczowaty uniform linii lotniczych. Ubiór całkowicie skrywał kształty jej ciała, a ciemne półbuty – podobne do reprezentacyjnego obuwia angielskiej królowej – potwornie pogrubiały jej nogę w kostce. Jedyną sposobnością, żeby mógł ją zobaczyć bez makijażu, był jogging. *Au naturel*. Biegała z pasją, jak ktoś, kto regularnie trenuje przed biegiem maratońskim. On także biegał – codziennie rano pięć kilometrów. O szóstej na nogach i na ulicę. Po powrocie lekka kawa – w czasie kiedy większość ludzi zaczyna się dopiero budzić. To wszystko dzięki surowej zaprawie w wojsku. Dzięki armii, policji wojskowej, a także dzięki mocnym genom pastora szkockiego Kościoła prezbiteriańskiego. („Nic tylko biegasz i biegasz” – narzekała Josie. „Jeśli będziesz biegł przez cały czas, to dobiegniesz tam, skąd wybiegłeś. Nie słyszałeś o zakrzywieniu czasoprzestrzeni?”)

W stroju sportowym Nicola wyglądała szalowo. W uniformie stewardesy wyglądała na starą heterę, ale kiedy biegła labiryntem uliczek w okolicach domu, robiła wrażenie kobiety silnej i wysportowanej. Do joggingu wkładała sprinterskie spodenki i T-shirt klubu baseballowego z Toronto Blue Jays. Zapewne kupiła je w Kanadzie, chociaż odkąd Jackson miał ją na oku, nie odbywała lotów za ocean. Trzy razy była w Mediolanie, dwa razy w Rzymie i po jednym razie w Madrycie, Düsseldorfie, Perpignan, Neapolu i Faro.

Wsiadła do samochodu, dziewczęcego forda ka, i z piskiem opon odjechała w kierunku lotniska, do Stansted. Jackson nie należał do kierowców ślamazarnych, ale Nicola jeździła

z zawrotną prędkością. Jackson zastanawiał się nawet, czy kiedy zamknie zlecenie, nie powinien podać jej numerów policji drogowej. Zanim trafił do cywila, czasem pełnił służbę w drogówce i czasem brała go teraz ochota, żeby ją zatrzymać i doprowadzić na posterunek.

W pobliżu Stansted ruch na drodze zgęstniał i znowu zadzwonił telefon. Tym razem jego sekretarka, Deborah.

– Gdzie jesteś? – rzuciła, jakby miał być nie wiadomo gdzie.

– Dziękuję, u mnie w porządku, a co u ciebie? – odparł kąśliwie.

– Ktoś do ciebie wydzwania, więc skoro gdzieś tam jesteś, podaję ci adres.

Słowa „gdzieś tam” wypowiedziała takim tonem, jakby od rana pił w barze i podrywał dziewczyny.

– Byłabyś łaskawa mnie oświecić i podać kilka szczegółów? – zapytał.

– Nie sądzę – usłyszał. – Ktoś coś zgubił, ktoś chce coś znaleźć.

Na lotnisku Nicola trzymała się już rutyny. Zostawiła samochód na parkingu i weszła do terminalu. Jackson obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Potem skorzystał z toalety, wypił podwójne espresso (ani trochę nie ochłodziło upalnego dnia), kupił papierosy, rzucił okiem na tytuły gazet, nie kupił ich i odjechał z lotniska.

Kiedy samolot do Pragi z Nicolą na pokładzie wzbijał się w niebo, w oczach oddalając się od powierzchni ziemi, Jackson szedł już alejką pod drzwi domu przy Owlstone Road, zatrważająco blisko miejsca, gdzie mieszkała Binky Rain. Drzwi otworzyła kobieta po czterdziestce. Zlustrowała go zza półokrągłych okularów. „Naukowiec”, pomyślał Jackson.

– Pani Land? – zapytał.

– Panna Land – poprawiła go. – Amelia Land. Dziękuję, że przyjechał pan tak szybko.

Amelia Land zaparzyła wstępną kawę. Jackson już po pierwszym łyku poczuł, że pali go w żołądku. Chwilę później zaczęła krążyć po nieposprzątej kuchni w poszukiwaniu herbatników, chociaż dwa razy za nie podziękował. W końcu na

dnie kuchennego kredensu udało jej się znaleźć napoczętą paczkę zwilgotniałych krakersów. Jackson zjadł jednego, tylko po to, żeby nie urazić gospodyni. Smakiem i konsystencją przypominały zleżały drobny piach, ale Amelia Land wydawała się zadowolona, że spełniła swój obowiązek wobec gościa.

Robiła wrażenie osoby bardzo roztargnionej i niespokojnej. Można nawet powiedzieć, że trochę zbzikowanej. Mieszkając od dawna w Cambridge, Jackson zdążył już przywyknąć do rozmaitych uniwersyteckich typów, choć panna Land podkreślała, że „nie mieszka w Cambridge, lecz w Oksfordzie, a to co innego”, a Jackson pomyślał tylko: „Jasne, absolutnie co innego”, ale nie odezwał się. Paplała coś bez przerwy o niebieskich myszkach, a kiedy delikatnie poprosił: „Byłaby pani łaskawa zacząć od początku, panno Land?”, nadal mówiła o niebieskich myszkach. Oświadczyła, że to właśnie jest początek.

– I proszę mi mówić Amelia.

Jackson ciężko westchnął pod nosem. Przeczuwał, że rozmowa będzie okraszona miłymi półsłówkami.

Do pokoju weszła jej siostra. Po chwili wyszła, żeby szybko znów się pojawić. W rękę trzymała coś, co na pierwszy rzut oka przypominało starą lalkę. Trudno było je wziąć za siostry – jedna wysoka, przyciężkawa, mocno siwiejąca, z włosami niedbale ułożonymi w rozsypujący się kok, druga niższa i zgrabniejsza, o nader wydatnych kształtach, z całą pewnością flirtująca (Jackson dobrze znał ten typ) ze wszystkim płci przeciwnej, co jeszcze dyszy. Ta niższa miała usta pomalowane czerwoną szminką. Ubrana była w coś, co wyglądało na ciuchy kupione na wagę, w niezliczone warstwy ekscentrycznej, wymieszanej bez stylu konfekcji. Włosy miała niedbale zgarnięte na czubku głowy, skręcone i spięte ołówkiem. Obie ubrały się tak, jakby panowało przenikliwe zimno, a nie upał. Jackson domyślał się dlaczego. Już kiedy przekraczał próg ich domu, zatrząsł się z zimna – porzuciło go ciepłe jasne słońce i powitał lodowaty chłód ponurego wnętrza.

– Dwa dni temu zmarł nasz ojciec – powiedziała Julia takim tonem, jakby ojciec codziennie czynił im taką niegrzeczność.

Jackson zerknął na leżącą na stole lalkę. Uszyto ją z jakiegoś grubego, flanelowego gałganu. Miała długie i cienkie ręce i nogi, i pysk myszy. Była niebieska. Wreszcie go olśniło.

– To o tę mysz chodzi, tak? – kiwnął głową w stronę maskotki.

– O Niebieską Myszkę – poprawiła go Amelia, jakby to robiło różnicę całemu światu.

Amelia Land mogłaby mieć wytatuowane na czole: „Nikt mnie nie kocha”. To, co miała na sobie, zdawało się zdradzać, że ostatni raz kupiła sobie coś do ubrania dwadzieścia lat temu i że jeśli to prawda, to robi zakupy wyłącznie w tradycyjnych sklepach dla gospodyń Laury Ashley. Ten styl nieodparcie przywodził mu na myśl stare fotografie jarmarcznych handlarek – bryłowane obuwie, wełniane trykoty, bawarska sztruksowa suknia typu dirndl, bez rękawów, obcisła na piersiach, i szal okręcony wokół szyi, do którego handlarka tuli się, jakby jej było zimno. Jackson nie był zdziwiony. Pomyślał sobie, że to miejsce to północny Bałtyk. Zupełnie jakby w domu panował szczególny mikroklimat.

– Umarł nasz ojciec – powiedziała sucho Amelia. – Dwa dni temu.

– Wiem – odparł ostrożnie Jackson. – Siostra już o tym wspomniała. Serdecznie współczuję – dodał na wszelki wypadek, choć widział, że żadnej z nich współczucie nie wydaje się potrzebne.

Amelia zmarszczyła brwi.

– Chodzi o to, że... – Spojrzała błagalnie na siostrę, jakby oczekiwała pomocy.

Na tym polega cały kłopot z naukowcami, pomyślał Jackson. Nigdy nie potrafią powiedzieć tego, co myślą, a w połowie przypadków nie mają na myśli tego, co mówią.

– Pozwólcie, że zaryzykuję samodzielne rozwiązanie tych zawiłości. – Jackson wyciągnął do nich pomocną dłoń. – Zmarł wasz ojciec...

Obie przytaknęły gorliwie, jakby z ulgą, że ich gość z taką łatwością pojął tę ważką kwestię.

– Umarł ojciec – ciągnął dalej Jackson. – Po jego śmierci

zaczęłyście porządkować stary rodzinny dom... – Tu się zawahał, bo tym razem w ich oczach dostrzegł mniej pewności.

– To nie jest stary rodzinny dom?

– Owszem, jest – odparła Julia. – Tylko... – Wzruszyła ramionami. – Wie pan, to brzmi tak... ciepło. Nasz stary rodzinny dom...

– Cóż. – Jackson chrząknął. – Umówmy się zatem, że pozbawiamy to zdanie wszelkiego emocjonalnego znaczenia i traktujemy je wyłącznie jako dwa przymiotniki i rzeczownik. Stary. Rodzinny. Dom. Prawda czy nie?

– Prawda – przyznała z ociąganiem Julia.

– Oczywiście, tyle że jeśli chodzi o ścisłość... – powiedziała Amelia, patrząc w kuchenne okno, jakby mówiła do kogoś stojącego w ogrodzie. – W zdaniu byłyby to raczej przydawki przymiotnikowe niż przymiotniki...

Jackson doszedł do wniosku, że najlepiej będzie pominąć to trafne spostrzeżenie.

– Nie miały panie z ojcem dobrego kontaktu? – zapytał Julię.

– Nie, nie miałyśmy – odpowiedziała Amelia, odwracając się wreszcie od okna i poświęcając mu całą uwagę. – Znalazłyśmy to w szufladzie, która była zamknięta na klucz.

Znowu ta mysz. Ta Niebieska Myszka.

– Więc jakie znaczenie ma ta niebieska myszka? – zapytał Jackson.

Miał cichą nadzieję, że nie odkryły, że ich stary był fetyszystą i kolekcjonował maskotki.

– Słyszał pan kiedyś o sprawie Olivii Land? – zapytała Julia.

– Coś mi się obilo o uszy – odparł Jackson. – Ale słabo.

– To była nasza siostra – wyjaśniła Amelia. – Zniknęła trzydzieści cztery lata temu. Została uprowadzona.

Uprowadzona trzydzieści cztery lata temu? Och, byle nie przez kosmitów, tego mu jeszcze dzisiaj brakuje! Julia sięgnęła po paczkę papierosów i poczęstowała go. Wyciągnęła do niego rękę gestem tak uwodzicielskim, jakby go zapraszała do łóżka. W oczach jej siostry dostrzegł cień dezaprobaty, ale nie był pewien, czy chodzi o nikotynę, czy o erotyczny podtekst. Zapewne o jedno i drugie. Grzecznie podziękował – nigdy nie

palili w obecności klienta. Ale kiedy Julia zapaliła, zaczął łapczywie wdychać dym.

– Została porwana – mówiła dalej Julia. – Z namiotu, z ogrodu.

– Z namiotu?

– To było latem – wtrąciła Amelia. – Zdarza się przecież, że latem dzieci śpią w ogrodzie, prawda?

– Naturalnie – odparł spokojnie Jackson.

Wyczuł, że Amelia Land jest tą, która feralnej nocy spała z siostrą w namiocie.

– Miała zaledwie trzy lata – powiedziała Julia. – Już nigdy nikt jej nie widział.

– Naprawdę nie słyszał pan o tej sprawie? – zapytała Amelia.

– Było o niej bardzo głośno.

– Nie pochodzę z tych okolic – wyjaśnił Jackson.

Pomyślał o wszystkich dziewczętach, które musiały zaginać w ciągu tych trzydziestu czterech lat. Ale, co oczywiste, z punktu widzenia sióstr Land interesujący był tylko jeden przypadek. Poczuli się staro i poczuli, że bardzo mu smutno.

– Było wtedy gorąco – mówiła Amelia. – Potworne upały.

– Jak teraz?

– Tak. Nie będzie pan notował?

– A uszczęśliwi to panie?

– Nie – ucięła Amelia.

Najwyraźniej nastąpił impas. Jackson spojrział na Niebieską Myszkę. Zdawało się, że maskotka aż krzyczy do niego: „To ja jestem tropem”. Spróbował powiązać wszystko w całość.

– A zatem – zaczął dedukować – ta maskotka należała do Olivii. Miała ją przy sobie, gdy została porwana, tak? I nikt tej maskotki nie widział aż do teraz, kiedy odnalazła się po śmierci ojca pań w jego szufladzie? I nie zawiadomiły panie policji?

Równocześnie podniosły brwi. Śmiesznie wyglądały, bo choć były do siebie bardzo niepodobne, miny robiły dokładnie takie same. Jackson pomyślał, że to właśnie jest podobieństwo trudne do uchwycenia.

– Cóż za błyskotliwy umysł, panie Brodie – jęknęła Julia z zachwytem. Trudno było wyczuć, czy to ironia, czy



rzeczywiście chciała mu schlebić.

Mówiła charakterystycznym ochrypłym głosem, jakby cierpiała na ostry nieżyt gardła związany z chronicznym przeziębieniem. Podobno w takim głosie u kobiety mężczyźni widzą coś bardzo seksownego. Jacksona to dziwiło, bo taki głos kojarzył mu się raczej z mężczyzną niż z kobietą. Ale może miało to coś wspólnego z gejami?

– Policja nie umiała jej znaleźć – powiedziała Amelia. Zignorowała to, co powiedziała Julia. – A teraz nie będzie sprawą zainteresowana. Zresztą to chyba nie jest sprawa dla policji.

– Ale dla mnie tak?

– Panie Brodie – odezwała się znowu Julia, bardzo przymilnym, słodkim głosem, zbyt słodkim. Były jak dobry i zły policjant. – Panie Brodie, my tylko chcemy wiedzieć, dlaczego Victor trzymał Niebieską Myszkę Olivii u siebie w szufladzie.

– Victor?

– Ojciec. Wydaje nam się, że...

– ...coś tu nie gra? – Jackson wszedł jej w słowo.

Jackson wynajmował teraz dom. Bardzo daleko od osiedla w Cambourne. Właściwie był to domek. Stał w rzędzie innych podobnych domków, przy ulicy, która kiedyś musiała być pełną drogą. Prawdopodobnie jeden z kilku starych, wiejskich domków. Nie wiadomo, czy kiedyś była tam farma, ale bez względu na to, do jakich chłopów należały kiedyś te domki, cały teren już dawno został zabudowany uliczkami z dziesiątkami robotniczych szeregowych wiktoriańskich domów. Teraz prawdziwą fortunę kosztowały w okolicy dużo późniejsze domy, złączone tylnymi ścianami, wychodzące wprost na ulicę. Biedota wyprowadziła się w takie miejsca jak Milton i Cherry Hinton, ale teraz nawet tam komunalne budynki zasiedliła uniwersytecka klasa wyższa (i Nicole Spencer całego świata), co z pewnością wkurza tych najbiedniejszych. Biednych zawsze macie u siebie. Ale Jackson mocno się zastanawiał, gdzie mieszkają ci ludzie w dzisiejszych czasach.

Kiedy Josie go zostawiła, żeby zaznać pozamałżeńskich rozkoszy życia z Davidem Lastinghamem, rozważał pozostanie

wich małżeńskim domu, jak się okazało, zbudowanym na piasku. Ta myśl zajmowała go przez ledwie dziesięć minut. W końcu chwycił za słuchawkę, wybrał numer biura obrotu nieruchomościami i wystawił dom na sprzedaż. Po podziale nie zostało mu tyle, żeby mógł kupić coś innego, więc postanowił wynająć domek. Był to ostatni domek w szeregu, po starszej i bardziej zniszczonej stronie ulicy, a ściana dzieląca jego dom od domu sąsiadów była tak cienka, że można było usłyszeć zza ściany byle pierdnięcie i miauczenie kota. Meble, które zastał w pokojach, były z tych najtańszych. W środku było bezosobowo, jak w kiepskim domku wczasowym. Ale Jackson czuł się tam dziwnie spokojny.

Kiedy opuszczał dom, w którym mieszkał z żoną i córką, obszedł każdy pokój i zajrzał w każdy kąt, żeby się upewnić, że nic nie zostawia (jeśli oczywiście nie liczyć ich wspólnego życia). W łazience zdał sobie sprawę, że wciąż czuje woń perfum Josie – L’Air du Temps – zapach, którego używała, zanim jeszcze się poznali. Teraz skrapiała się perfumami Joy Jeana Patou, które kupił jej David Lastingham, zapachem tak staromodnym, że w jego oczach robił z Josie zupełnie inną kobietę, którą przecież rzeczywiście była. Josie, którą znał, odrzucała wszelkie atrybuty idealnej żony, charakterystyczne dla pokolenia jej mamy. Była kiepską kucharką, w domu brakowało nawet koszyka z przyborami do szycia, ale za to samodzielnie dokonywała domowych napraw. Powiedziała mu kiedyś, że gdyby kobiety odkryły, że blachowkręty nie są czymś tak tajemniczym, jak się może początkowo wydawać, to już dawno rządziłyby światem. Jacksonowi wydawało się jednak, że kobiety potrafią rządzić światem bez rozwikływania tajemnicy blachowkrętów, i popełnił ów błąd, wyrażając tę opinię na głos, co skończyło się długim wykładem na temat statystyk dotyczących globalnej polityki równouprawnienia płci.

– Dwie trzecie roboty na całym świecie odwalają kobiety, Jackson, a mimo to należy do nich zaledwie dziesiąta część prywatnej własności. Nie przeszkadza ci to?

(Owszem, przeszkadza). Teraz, rzecz jasna, Josie zmieniła się

w kobietę w stylu retro, na modłę idyllicznych żon z filmu *Żony ze Stepford*, które wypiekają chleb i chodzą na kurs robienia na drutach. Josie robi na drutach! Zgrywa się przed nim czy co?

Kiedy się wprowadził do wynajętego domku, kupił flakonik L'Air du Temps i skropił małą kąpiel. Ale to już nie było to samo.

Amelia i Julia podały mu fotografię. Małe, kwadratowe, wyblakłe kolorowe zdjęcie z dawnych czasów. Olivia szeroko uśmiechnęła do obiektywu, szczerząca wszystkie swoje białe ząbki. Zadarty nos, na nim piegi, krótkie warkoczyki przewiązane wełnianymi zielonymi i białymi wstążkami, choć barwy zdążyły po tylu latach nabrać rdzawego odcienia. Miała na sobie sukienkę, która idealnie pasowała do wstążek, jakie miała we włosach. Fałdy sukienki zasłaniała niebieska myszka, którą tuliła do piersi. Jackson domyślał się, jak przygotowywała maskotkę do zrobienia fotografii. Niemal słyszał, jak każe jej uśmiechać się do aparatu, jak mówi, że zaraz wyfrunie ptaszek. Ale rysy na pyszczku maskotki, naszyte czarną wełnianą nicią, miały ten sam pełen powagi wyraz co obecnie, tyle tylko że nieubłagany czas pozbawił myszkę noska i jednego oka.

Była to fotografia, którą wtedy publikowały gazety. W drodze do domu Jackson przejrzał w bibliotece mikrofilmy starych numerów. Znalazł niezliczone artykuły opisujące poszukiwania Olivii Land. Historia ciągnęła się na łamach prasy tygodniami. Amelia się nie myliła – poprzednią sprawą, której gazety poświęcały tyle miejsca, była fala upałów. Jackson spróbował sobie przypomnieć dni sprzed trzydziestu czterech lat. Sam miał wtedy lat jedenaście. Rzeczywiście było tak gorąco? Nie miał pojęcia. Nie pamiętał, co się działo, kiedy miał jedenaście lat. Ważne było najwyżej to, że nie był to jeszcze dwunasty rok jego życia. Wszystkie lata przed dwunastym jaśniały jednolitym, nieskażonym i niepokalanym światłem. Po dwunastym zapadała ciemność.

Odsłuchiwał wiadomości na automatycznej sekretarce. Jedna od córki, Marlee. Skarży się, że mama zabrania jej pójść na koncert do parku Parker's Piece, i prosi, żeby „tato z nią

porozmawiał, proszę, proszę...”. (Marlee ma osiem lat, nie ma mowy, żeby sama wybrała się do parku na koncert). Dalej kolejna kocia wiadomość od Binky Rain i wiadomość od sekretarki, Deborah Arnold. Łaje go, że nie pokazał się jeszcze w biurze. Telefonowała z domu, w tle słyszał głosy jej dwojga nieokrzesanych nastolatków przekrzykujących jazgot MTV. Musiała wrzeszczeć w słuchawkę, żeby go poinformować, że od dłuższego czasu usiłuje się z nim skontaktować niejaki Theo Wyre i że nie wie, o co mu chodzi, ale jak się domyśla, zapewne „ktoś coś zgubił, ktoś chce coś znaleźć”. Nazwisko Theo Wyre zabrzmiało w uszach Jacksona swojsko, ale nie potrafił go skojarzyć z człowiekiem. Stare czasy, pomyślał.

Wziął z lodówki piwo Tiger, zrzucił buty (wysokie magnum z serii Stealth, jedyne buty, które jego zdaniem można nazwać butami), położył się na niewygodnej kanapie i sięgnął do odtwarzacza CD (dobrą stroną małych mieszkań jest to, że wszystko jest pod ręką, nie trzeba wstawać z łóżka). Nastawił płytę Trishy Yearwood z 1995 roku, *Myślę o tobie*. Dzisiaj z jakiegoś powodu zapomnianą. Może i Trisha należy do głównego nurtu, ale to nie znaczy, że nie jest dobra. Umie zrozumieć ból. Otworzył *Wprowadzenie do gramatyki języka francuskiego* i spróbował skoncentrować się na chwilę na zasadach konstruowania czasu przeszłego z użyciem czasownika posiłkowego *être* (choć kiedy będzie już mieszkał we Francji, nie będzie istniała ani przeszłość, ani przyszłość, tylko wyłącznie terażniejszość), ale nie pozwolił mu na to rwący ból dżiąsła nad zepsutym zębem.

Westchnął, zdjął z kominka niebieską myszkę, położył ją sobie na ramieniu i poklepał pieścotliwie po malutkich miękkich pleckach. Podobnie uspokajał Marlee, gdy była mała. Myszka była zimna, jakby bardzo długo leżała w jakimś ciemnym miejscu. Jacksonowi ani na chwilę nie przyszło do głowy, że mógłby odnaleźć dziewczynkę z wełnianymi wstążkami w warkoczykach.

Zamknął oczy i natychmiast je otworzył, bo raptem przypomniał sobie, kim jest Theo Wyre. Jęknął z rozpacz. Nie chciał pamiętać, kto to jest. W ogóle nie chciał mieć do

czynienia z Theo Wyre'em.

Trisha śpiewała *Autobusem do St Cloud*. Jacksonowi czasem wydawało się, że świat jest jednym wielkim arkuszem rachunkowym – rzeczy zagubione w lewym słupku, rzeczy znalezione w prawym – ale te wartości nigdy się nie równoważą. Amelia i Julia coś odnalazły. Theo Wyre coś zgubił. Jakie życie byłoby proste, gdyby to było to samo.

## Amelia

Victor umarł tak, jak sobie życzył, we własnym domu, we własnym łóżku, wyłącznie ze starości. Liczył sobie osiemdziesiąt cztery lata i jak sięgały pamięcią, zawsze uparcie przypominał, że po śmierci nie chce być skremowany, lecz pochowany w trumnie. Przed trzydziestoma czterema laty, kiedy umarła ich nowo narodzona siostra, Annabelle, wykupił na miejscowym cmentarzu „grób rodzinny”, miejsce pochówku dla trzech osób. Amelia i Julia nie roztrząsały niekonsekwentnej arytmetyki tego zakupu aż do dnia, kiedy Victor umarł. Dotarło do nich, że grób jest już zajęty w dwóch trzecich – ich matka podążyła za Annabelle w niczym nieuzasadnionym pośpiechu – co pozwalało jeszcze pochować Victora, ale dla pozostałych dzieci zabrakło miejsca.

Julia twierdziła, że to dowód typowego dla ojca lekceważenia innych ludzi, ale Amelia utrzymywała, że ojciec najprawdopodobniej celowo tak to sobie zaplanował, na wypadek gdyby się okazało, że po życiu nie ma życia i musiałby leżeć w grobie razem z nimi wszystkimi. Tak naprawdę Amelia sama nie wierzyła w to, co mówiła – Victor był zatwardziałym ateistą i w jego niezłomnym charakterze nie leżało asekurowanie się – ale mówiła tak, ponieważ wygłaszanie opinii innych niż Julia weszło jej w krew. Robiła to automatycznie. Z kolei Julia, gdy dochodziło do konfliktu, stawała się nieustępliwa i zadziorna (i pyskata) niczym szczekający terier. Nieustannie więc zdarzało się, że przerzucały się argumentami, które wcale ich nie obchodziły, jak para adwokatów dogadujących sobie zajadle na sali sądowej, mimo krańcowego zmęczenia. Niekiedy czuło się, że na powrót wcieliły się w nie małe jestestwa z burzliwego dzieciństwa i lada moment zaczną się szczypać, ciągnąć za

włosy i obrzucać wyzwiskami, jak za dawnych lat.

Ojciec je wezwał.

– Jak przed oblicze króla na łożu śmierci – stwierdziła Julia z urazą.

– Pewnie masz na myśli *Króla Leara* – odpowiedziała Amelia.

Julia:

– A jeśli tak?

Amelia:

– Potrafisz się odnieść do życia, tylko kiedy kojarzy ci się z teatrem.

Julia:

– Nie wspomniałam o żadnym popieprzonym Learze...

Zaczęły się spierać, zanim jeszcze pociąg zdążył odjechać z dworca King's Cross. Victor zmarł kilka godzin po ich przyjeździe. „I bardzo, kurna, dobrze” – rzuciła Julia, ponieważ obie obawiały się, że tatko zamierza podstępem zwabić je do rodzinnego domu, żeby się nim zaopiekowały. Nie cierpiały słowa dom. Minęły dziesiątki lat, odkąd ostatnia z nich się wyprowadziła, a mimo to nie potrafiły nie nazywać go domem.

– To przepraszam – odparła Amelia.

Julia wpatrzyła się w ciągnący się za oknem podmiejski Londyn i nie odezwała się słowem, dopóki pociąg nie wjechał między zalane słońcem pola wschodniej Anglii. Dopiero wtedy powiedziała:

– Lear nie umierał. Abdykował.

– Czasem to jedno i to samo – odparła Amelia, zadowolona, że udało im się pogodzić.

Usiadły po obu stronach ojca, czekały na jego śmierć. Victor leżał przykuty do łóżka w dawnej małżeńskiej sypialni, w pokoju wciąż urządzonym w kobiecym, górniczym stylu, w którym gustowała ich matka. Czy Rosemary przygotowywała się właśnie na powitanie Victora w wilgotnej ziemi rodzinnego grobu? Amelia wyobraziła sobie, jak ich rodzice obejmują się w chłodnym uścisku, i zrobiło jej się żal biednej mamy, która zapewne sądziła, że już na zawsze się Victora pozbyła.

Zresztą, jak zauważyła głośno Amelia, podnosząc ów

argument mimo najlepszych intencji, żadna z nich nigdy nie miała ochoty być blisko ojca za jego życia, dlaczego więc miałyby teraz chcieć towarzyszyć mu po śmierci? Julia odparła jednak, że nie w tym rzecz, bo tu „chodzi o pryncypia”, na co Amelia rzuciła z przekąsem: „Od kiedy dbasz o pryncypia?”. I tak rozmowa toczyła się dalej, długo, aż wreszcie zmuszone były podjąć daleko trudniejszy temat, temat ceremonii pogrzebowej, co do której Victor nie zostawił wskazówek.

Kiedy zaczęły się do niego zwracać po imieniu, zamiast mówić tato? Julia czasami mówiła do niego tato, zwłaszcza kiedy przymilaniem chciała go wprowadzić w dobry humor. Ale Amelii spodobał się ten dystans, który powstawał, kiedy mówiła do ojca po imieniu: Victorze. W jakimś sensie czyniło go to bardziej ludzkim.

Podbródek Victora obrastała teraz siwa szpecinka. Ta nowa bródka, w parze z widoczną utratą wagi, sprawiła, że wydawał się kimś obcym. Można było odnieść wrażenie, że nie wychudły tylko jego dłonie, wciąż grube i szerokie, zwierzęce, jak dwie kościste łopaty. A przy nich nadgarstki chude jak szczapy. Nagle wymamrotał coś niezrozumiale i Julia ze strachem spojrzała na Amelię. Spodziewała się ojca umierającego, a nie ojca, który wciąż jest sobą i coś gada.

– Co byś chciał, tato? – zapytała głośno, a on potrząsnął głową, jakby odganiał rój niewidocznych muszek, ale trudno było stwierdzić, czy je słyszy.

Jego lekarz powiedział im przez telefon, że pielęgniarki z rejonu przychodzą do niego trzy razy dziennie. Zaglądają, takiego użył sformułowania, co zdawało się nadawać tym wizytom lekko nieformalny charakter, może nawet towarzyski. Ale ani Amelia, ani Julia nie oczekiwały, żeby te przymiotniki były stosowne w obliczu śmierci Victora, podobnie zresztą jak nie były stosowne do opisu całego jego życia. Łudziły się, że pielęgniarki zostaną w domu, ale gdy tylko przekroczyły próg, jedna z nich sapnęła: „No, nic tu po nas”, a druga krzyknęła przez ramię do Victora: „Przyjechały!”, bardzo wesołym głosem, jakby Victor nie mógł się ukochanych córek doczekać. Oczywiście nie było to prawdą, a jedynym stworzeniem



uradowanym ich widokiem był pies Victora, Sammy, wiekowy golden retriever. Powitał je szarmancko, człapiąc wolno w ich kierunku, trąc pazurami po parkiecie i z trudem poruszając obolałym zwyrodniałym biodrem.

Lekarz poinformował je również przez telefon, że Victor przeszedł rozległy wylew krwi do mózgu. Miesiąc wcześniej inny lekarz zapewniał je, że z Victorem nie dzieje się nic poważnego, poza tym oczywiście, że ma już swoje lata, ale „serce ma jak wół”. Wyrażenie „ma serce jak wół” wydało się Amelii nie całkiem właściwe. Lekarz zapewne poplątał frazy. Mówi się raczej silny jak wół, a serce może być lwie albo gołębie. Właściwie co to jest wół? Krowa? Tylu rzeczy Amelia nie była pewna (albo po prostu o nich nie wiedziała). Niebawem bliżej jej będzie do pięćdziesiątki niż do czterdziestki. Nie wątpiła, że z każdym dniem coraz dotkliwiej będzie czuła, jak zanikają jej włókna nerwowe – łączą się, napinają, obumierają – i pozbawiają ją zdolności percepcji. Umysł Victora do samego końca pozostał sprawny. Funkcjonował jak duża, dobrze zorganizowana biblioteka. Tymczasem jej umysł, tak uważała, bardziej niż bibliotekę przypominał zagraconą wnękę pod schodami, do której kije do hokeja wepchnięto obok zepsutych odkurzaczy i pudełek z ozdobami choinkowymi, a jedyne przedmioty, o których człowiek wie z całą pewnością, że tam są – pięcioamperowy bezpiecznik, pudełko brązowej pasty do butów i śrubokręt krzyżowy – to na pewno te, których nie będzie mógł w tym bałaganie znaleźć.

Umysł Victora do końca był w jak najlepszym porządku, ale jego dom na pewno nie. Od czasu kiedy się wyprowadziły, stopniowo popadał w ruinę, aż w końcu przedstawiał prawdziwie nędzny widok. Przywodził na myśl mieszkania, do których wzywa się ekipę porządkową inspekcji sanitarnej, żeby posprzątała po nieszczęśniku zmarłym kilka tygodni wcześniej, przez nikogo niezauważonym, długo leżącym w kałuży własnej zgnilizny.

Gdzie nie spojrzeć, leżały książki, niemal wszystkie pożółkłe, z niezachęcającymi do czytania plamami pleśni. Victor dawno

porzucił matematykę. Minęły lata, odkąd ostatni raz pracował naukowo albo zainteresował się jakimś czasopismem czy publikacją. Kiedy były dziećmi, Rosemary mówiła, że jest „wielkim” matematykiem (może to sam Victor im to mówił), ale nawet jeśli kiedyś cieszył się w środowisku akademickim estymą, to szybko o niej zapomniano. Był zwykłym pracownikiem wydziału. Specjalizował się w rachunku prawdopodobieństwa i ryzyka, czego Amelia za grosz nie rozumiała (ojciec niezmiennie usiłował wyłuszczyć jej teorię prawdopodobieństwa przy użyciu rzuconej monety), ale wydawało się jej co najmniej śmieszne, że człowiek, który zawodowo zajmuje się ryzykiem, nigdy nie potrafi podjąć go w życiu.

– Milly? Wszystko w porządku? – zapytała Julia.

– Co to właściwie jest wół?

– To krowa, byk... czy coś. – Julia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Dlaczego pytasz?

W dzieciństwie czasem jadały wołowe serce. Rosemary, która przed ślubem potrafiła ugotować najwyżej jajko, nauczyła się gotować według tradycyjnych, trochę może staroświeckich przepisów. Victor zachwalał taką kuchnię jako pożywną i jednocześnie tanią – kuchnia stołóvkowa, taka, na jakiej sam się wychował w szkole z internatem. Już sama myśl o potrawkach z wątróbki i bekonu albo steku i cynader przyprawiała Amelię o mdłości. Jakby to było dzisiaj, widzi leżące w kuchni na desce krwawe serce, ciemne i połyskujące, pokryte pasmami tłuszczu, wyglądające tak, jakby dopiero co przestało bić, a obok matkę z wielkim kuchennym nożem, kontemplującą ten widok z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Pamiętam zupę ogonową – powiedziała Julia, krzywiąc się niemiłosiernie. – Myślisz, że mama robiła ją z wołowego ogona?

Rosemary wymknęła się życiu bardzo szybko i łatwo. Nie okazywała już żadnej chęci do życia, kiedy odkryła, że dziewczynka, którą nosiła w łonie po zniknięciu Olivii, ma bliźniaka, ale nie tak upragnionego przez Victora chłopczyka, tylko guzowatego podrzutka, który bezkarnie rośnie i pęcznieje.

Zanim ktokolwiek się zorientował, że podrzutek oznacza raczej koniec życia niż początek, było za późno. Annabelle żyła tylko kilka godzin, jej nowotworowy towarzysz został wycięty, a Rosemary umarła niespełna pół roku później.

Wydawało się, że Victor chrapie – z jego gardła wydobywał się głęboki, chrapliwy, świszczący odgłos, jakby jego tchawica zwężała się i z wolna rozpruwała. Charczenie co pewien czas przerywało rozpaczliwe chwytnie powietrza, po którym odruchy nagle zaczynały działać i Victor łapał jeszcze jeden oddech. Julia i Amelia spoglądały na siebie z niepokojem.

– To agonalne rżenie? – zapytała rzeczowo Julia.

– Ssz... – uciszyła ją Amelia, bo rozmawianie przy umierającym o mechanice śmierci wydawało jej się czymś niewłaściwym.

– Przecież nic nie słyszy – stwierdziła Julia.

– Nie o to chodzi – odparła Amelia.

Po pewnym czasie ustały wszelkie odgłosy. Wydawało się, że Victor spokojnie zasnął. Amelia poszła do kuchni i zrobiła herbatę – wcześniej wyszorowała druciakiem dwa niemyte od dawna kubki. Piły herbatę, stojąc przy oknie i wpatrując się w ciemny ogród.

– Co z pogrzebem? – zapytała szeptem Julia. – Chyba nie chciałby chrześcijańskiej ceremonii?

Jeśli nie liczyć kilku niezbyt usilnych i nieudanych prób Rosemary posłania dziewczynek na niedzielne katechezy, wszystkie wychowywane były z dala od religii. Jako matematyk Victor poczytywał sobie za obowiązek wpoić córkom ateistyczny sceptycyzm, zwłaszcza że miał je za lekkomyślne i puste, oczywiście z wyjątkiem Sylvii, która korzystała na tym, że lubiła zakuwać matematykę. Kiedy Sylvia się wyprowadziła, zamiast „kujon” Victor zaczął o niej mówić „cudowne dziecko”, a jeszcze później „geniusz” – im dłużej była nieobecna w ich życiu, tym stawała się mądrzejsza, gdy tymczasem Julia i Amelia im były starsze, tym w oczach Victora głupsze. Był czas, kiedy Amelia toczyła z nim spory, chociaż to raczej Julia była osobą, która potrafiła stawić mu czoło porywającą „siłą sztuki”. Amelii bardzo trudno było się sprzeciwić jego naturze

tyrana. Teraz nie była pewna swoich racji. Może ojciec się nie mylił? Może były głupie i rzeczywiście o niczym nie miały pojęcia?

– Jak myślisz – powiedziała Julia – chyba zapisał nam dom, co? Myślisz, że jakieś pieniądze też nam zostawił? Chryste, mam nadzieję!

Victor nigdy z nimi nie rozmawiał o testamencie, nie omawiał też z nimi kwestii finansowych. Robił co prawda wrażenie człowieka biednego jak mysz kościelna, ale wiadomo też było, że jest potwornym dusigroszem. Julia znowu zaczęła burczeć, wspominając ojcowski pomysł z rodzinnym grobem, który nie zmieści całej rodziny, ale Amelia jej przerwała:

– Lepiej skremować zwłoki, będzie szybciej. Wydaje mi się, że załatwianie formalności przy pochówku w trumnie trwa dłużej.

– Będziemy wyklęte do końca życia – szepnęła Julia. – Niczym bohaterki greckiej tragedii, które nie pochowały ojca, która, zgodnie z rytuałem.

– Nie jesteśmy bohaterkami greckich dramatów, Julio – odparła Amelia. – To nie Eurypides.

– Milly, doprawdy – westchnęła Julia. – Wystarczy, że go nie kochamy.

– Wielka mi rzecz – odpowiedziała Amelia i zmarszczyła brwi. Ze zgrozą stwierdziła, że mówi jak jej uczniowie.

Julia powiedziała, że musi się zdrzemnąć, i złożyła głowę na brudnej narzucie na łóżku. Wyglądało to tak, jakby oddawała umierającemu ojcu jakiś dziwny hołd. Potężne dłonie Victora spoczywały na kołdrze, złączone w pobożnym geście, zdającym się mówić, że jest gotów na śmierć. Wystarczyłoby, żeby wykonał jeden mały ruch, żeby uniósł dłoń i położył ją na głowie Julii, udzielając jej ostatniego błogosławieństwa. Czy kiedykolwiek dotknął którejs z nich czule i serdecznie? Pocałował? Przytulił? Poglaskał czule po policzku? Jeśli tak, to Amelii całkowicie wyleciało to z głowy.

– Obudź mnie, jeśli coś się stanie – wymamrotała Julia.

Julia nadal była wielkim śpiochem – dla świata była równie martwa, jak Victor kilka minut później. Amelia spojrzała na

ciemne loki siostry i poczuła nagły przyływ czułości, a może raczej bolesne ukłucie smutku.

Julia nie miała wiele pracy. Kiedyś pracowała bez ustanku, występowała w prowincjonalnym teatrze, w sztukach modernistycznych na londyńskich scenach offowych, a nawet trafiały się jej rólki w telewizji – grała ofiary zbrodni z marginesu społecznego w serialu policyjnym *Rachunki* i nieuleczalnie chore pacjentki w telenoweli *Nieszczęśliwe wypadki* (w ciągu dziesięciu lat umarła dwa razy). Ale Amelia już od dłuższego czasu nie słyszała, żeby ktoś ją zapraszał na castingi. Przed rokiem nakręciła instruktażowy film wideo dla dużej korporacji, a właściwie dla jednej z jej spółek rafineryjnych. Amelia była wściekła, że Julia się na to zgodziła, i zauważyła, że „powinna zdawać sobie sprawę, że to bagno wielkiej polityki”, na co Julia odparła, że „Łatwo mówić o polityce, kiedy się ma pełny talerz”, a Amelia zachnęła się: „To absurd, przesadzasz, ciekawe, kiedy ostatni raz byłaś naprawdę głodna”. Ale dzisiaj było jej żal Julii, żałowała tamtej scysji. Julia była taka szczęśliwa, kiedy jej opowiadała o pracy i kontrakcie, a ona wszystko zepsuła.

Amelia widziała prawie wszystkie role Julii, ale choć wytrwale mówiła jej, że wypadła w nich znakomicie i była „cudowna” – wymóg teatralnej etykiety – to w istocie uważała, że Julia nie prezentuje się na scenie jakoś szczególnie błyskotliwie. Najlepszą, w jakiej ją widziała, była rola psa w pantomimie, w jednym z teatrów w Bristolu – sztuka raczej małego kalibru, bodajże *Kopciuszek*. Julia grała czarnego pudła z lwią grzywką, gadającego z przesadnym francuskim akcentem. Niska i kształtna figura Julii idealnie pasowała do kostiumu, a do tego udało jej się nadać swoim ruchom klasyczną paryską arogancję. Widowni bardzo się to podobało. Nie potrzebowała nawet peruki, wystarczyło, że własne gęste i zmierzwione włosy spinała na czubku głowy w luźny kok. Nigdy wcześniej Amelia nie wyobrażała sobie Julii jako pudła. Prędzej kojarzyłaby ją z terierem jack russell. Nagle znowu zrobiło jej się smutno. Było jej żal, że najlepszą rolą w karierze Julii okazała się rola psa. I że nie potrzebowała nawet peruki,

żeby zagrać pudła.

Już? Nie żył? Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy spał – leżał na plecach z zamkniętymi oczami i rozwartymi jak u pisklęcia ustami. Nie było widać, żeby jego pierś się wznosiła, żadnych oznak, że niespokojnie oddycha. Jego twarz przybrała ziemistą barwę. Nagle przypomniała Amelii martwą matkę w szpitalnym łóżku, tak nagle, że przez chwilę nie potrafiła się ruszyć. Zapewne ona też zapadła w sen. Złe córki króla, który nie mógł liczyć nawet na to, że będą czuwać przy marach.

Sammy zebrał się niezdarnie z leżącego pod łóżkiem dywanika. Poczłapał do Amelii, bujając sztywnym biodrem, i niepewnie wcisnął mokry nos w jej dłoń.

– Biedaczysko – szepnęła do niego Amelia.

Potrząsnęła delikatnie Julią.

– Tato umarł – zakomunikowała.

– Skąd wiesz, że umarł? – zapytała półprzytomna Julia. Na twarzy, tam, gdzie odcisnęła się tarcza jej zegarka, miała bladoczerwoną pręgę.

– Bo nie oddycha – wyjaśniła Amelia.

Po odejściu Victora zrobiło się jakoś odświętnie. Choć dochodziła szósta rano, Julia, jakby odprawiając jakiś pośmiertny rytuał, napełniła dwie szklaneczki brandy. Amelia pomyślała, że jeśli wypije choćby łyk, zrobi jej się słabo, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że brandy bardzo jej smakuje. Po ósmej, mocno wstawione, poszły po zakupy do sklepiku sieci Spar i zapełniły koszyk rzeczami, których Amelia w życiu by nie kupiła – parówkami, bekonem, mącznymi bułkami, czekoladą i dżinem. Chichotały jak małe dziewczynki, którymi kiedyś były, ale już dawno o tym zapomniały.

W domu zrobiły sobie bułki z jajkami na bekonie. Julia zjadła trzy, Amelia jedną. Gdy tylko Julia przełknęła ostatni kęs, zapaliła papierosa.

– Na miłość boską – jęknęła Amelia, odganiając sprzed oczu papierosowy dym. – Wiesz, ty naprawdę masz problem, jak to ujął Freud, z aktywnością oralną, i dobrze o tym wiesz, prawda?

Paląc papierosa, Julia przybrała teatralną pozę, jak zresztą

przy wszystkim, co robiła. Kiedy była nastolatką, ćwiczyła te pozy przed lustrem (Amelia pamiętała, że przećwiczyła przed lustrem sporą część swego młodego życia). Kiedy w smudze światła Julia unosiła dłoń z papierosem, widać było srebrzystą pręgę strasznej blizny, która pozostała w miejscu, gdzie przyszyto jej mały palec.

Dlaczego w dzieciństwie przydarzało im się tyle wypadków? Czy to miał być sposób na to, żeby zwrócić na siebie uwagę Rosemary (właściwie czyjąkolwiek uwagę), żeby mama zauważyła tę jedną i wyróżniła ją z kotłowaniny tria Amelia-Julia-Sylvia? Nawet dzisiaj Julia i Amelia poruszają się jakoś niezdarnie, mają mnóstwo siniaków od wpadania na meble i od potykania się o podwinięty dywan. Tylko w ubiegłym roku Amelia upuściła sobie na nogę żeliwną patelnię i przytrzasnęła sobie palce drzwiami od samochodu. Z kolei Julia uszkodziła sobie kręgi szyjne, kiedy taksówka, którą jechała, nagle zahamowała, a potem skręciła kostkę, spadając z domowej drabinki. Amelia doszła do wniosku, że trudno sądzić, żeby po czterdziestce komuś chciało się jeszcze zwracać na siebie uwagę, zwłaszcza gdy wokół nie ma nikogo, kto mógłby to zauważyć.

– Pamiętasz, jak Sylvia ciągle mdlała? – zapytała.

– Nie. Trochę.

Amelii kręciło się w głowie za każdym razem, gdy myślała o tym, że Victor już nie żyje. Czowała się tak, jakby ktoś zdjął z niej wielki kamień i jakby teraz mogła się unieść, lekka jak latawiec, jak balon napełniony gorącym powietrzem. Ciało Victora spoczywało na łóżku w pokoju na piętrze i chociaż wiedziały, że powinny coś zrobić, gdzieś zadzwonić, kogoś zawiadomić, szybko zareagować na śmierć, bezwiednie poddały się bezczynności.

Dzień później pojechały do klasztoru sióstr klarysek. Po nieznośnie długim oczekiwaniu spotkały się z siostrą Marią Łukaszem – absurdalne imię, do którego żadna z nich nie zdołała przywyknąć, chociaż minęło trzydzieści lat. Kiedy jej powiedziały, że Victor umarł, zaniemówiła z wrażenia.

– Tato? Nie żyje? – powiedziała po chwili powoli.

I po raz pierwszy zobaczyły, jak opada z niej opanowanie i klaszorna powaga. Sylvia parsknęła głośnym śmiechem.

Sylvia była zakonnica, mieszkała w zamkniętym klasztorze i była tak dalece wyłączona ze spraw doczesnych, że żadnej z nich nawet nie przyszło do głowy, żeby omawiać z nią kwestię pochówku. Zresztą zdążyły już ustalić szczegóły. Kiedy zakład pogrzebowy zabrał zwłoki Victora, Julia wyciągnęła z szafy dżin i upiły się jak nieboskie stworzenia. Amelia nie pamiętała, kiedy była tak pijana. Możliwe, że nigdy. Dżin zmieszany z poranną brandy zrobił swoje. Obie szybko straciły poczucie rzeczywistości i gdzieś w połowie pijackiej orgii uznały, że o dalszym losie Victora zdecyduje rzut monetą.

Julia, jak zwykle teatralnie, założyła nogę na nogę, zacisnęła uda i dotykając krocza, zaczęła powtarzać: „O Boże, nie, przestań, zaraz się zsikam!”, a Amelia, porwana torsjami, wybiegła z domu na trawnik. Zbliżał się już świt i wilgotne powietrze chłodnej nocy trochę ją otrzeźwiło.

Amelia wybrała orła, ale moneta spadła do góry reszką (prawdopodobieństwo jeden do dwóch, dzięki ci, tatusiu matematyku) i Julia orzekła: „Stary pierdziel pójdzie do pieca”.

Amelia obudziła się wcześniej, dużo za wcześniej. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby być w domu, w swoim domu w Oksfordzie, ale nie chciało jej się samej wałęsać po świecie, a Julia na pewno będzie spała jeszcze długo. Nieraz jej się zdarzyło zastanawiać, czy geny jej siostry nie są czasem przemieszane z kocimi. Julia zawsze śmiała się z dobowego cyklu „na prowincji”, którego ona się trzymała. Odkąd tu przyjechały, Julia nie kładła się spać przed drugą w nocy. Wstawała około południa, z mętным spojrzeniem, i ochryple błagała o filiżankę kawy („kochanie, błagam...”), jakby całą noc spędziła w pogoni za czymś, co mocno wystawiło na szwank jej nerwy i stan ducha, a nie na sofie przed telewizorem, z butelką czerwonego wina w ręku i ze starymi filmami z kablówki.

Ze zdumieniem odkryły, że Victor – który, jak sięgały pamięcią, nigdy nie oglądał telewizji – nie tylko miał potężny szerokoekranowy telewizor, ale również opłacony pełny abonament na telewizję kablową, i to nie tylko na kanały



sportowe, ale również na erotyczne. Amelia była zszokowana nie tyle zawartością świerszczykowych programów (choć już one same budziły wstręt), ile wyobrażeniem o tym, jak ojciec siada co wieczór przed telewizorem, w swoim starym fotelu, i ogląda *Napalone laseczki* i Bóg jeden wie jakie jeszcze świństwa. Z ulgą spostrzegła, że Julia – zwykle beztrąsko tolerancyjna wobec słabych stron męskiego życia seksualnego – tym razem również doznała szoku. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiły, było pozbycie się starego fotela.

Amelia oglądała w telewizji wyłącznie wiadomości i dokumenty. I od czasu do czasu w niedzielę program o antykach. Całodobowa oferta bezceństw kompletnie wytrąciła ją więc z równowagi. Czy to naprawdę coś wnosi w życie? Czy ludzie naprawdę uważają, że takie plugastwa świadczą o tym, że stoją na wyższym stopniu ewolucyjnego rozwoju?

– Rozchmurz się, Milly – odezwała się Julia, wyczuwając rozterki siostry. – Co to ma za znaczenie, co ludzie robią? I tak każdy w końcu umiera.

– Trudno się z tym nie zgodzić – odpowiedziała Amelia.

Gdy tylko pozbędą się ciała Victora i wszystkich jego doczesnych rzeczy, wystawią dom na sprzedaż i będą miały problem z głowy. A przynajmniej poczynią ku temu wszelkie kroki, bo radca prawny Victora burknął do nich iście dickensowskim ponurym głosem: „Jest jeszcze testament”. Ostatnia wola ojca okazała się jednak bardzo prosta. Wszystko zostało podzielone na dwie równe części, z pominięciem Sylvii, ponieważ (najpewniej) sama sobie tego życzyła.

– Jak Kordelia – rzuciła smętnie Julia.

– Niezupełnie – odpowiedziała Amelia.

Ale nieoczekiwanie nie ciągnęły tego dalej. Od śmierci Victora przed dwoma dniami niemal nie toczyły sporów. Kiedy przetrząsały szafy z ubraniami ojca (sama tandeta), wyrzucały stare aluminiowe garnki i rozsypujące się w rękach książki matematyczne, zrodziła się między nimi jakaś nowa więź. W domu wszystko robiło przykre wrażenie, zarówno w łazience, jak i w kuchni. Amelia czyściła w nich wszystko

w gumowych rękawiczkach, a potem spryskiwała środkiem antybakteryjnym w aerozolu.

– Przecież tu nie ma zarazy – mówiła Julia, ale bez przekonania, bo sama wygotowała pościel i ręczniki, z których teraz korzystały.

Choć był lipiec i było gorąco, dom Victora miał własny, zimny i wilgotny klimacik. Zdawał się mieć niewiele wspólnego z zewnętrznym światem. Odkąd przyjechały, co wieczór rozpałały w kominku i siadały przed nim zadowolone, z czymś w rodzaju czci, jaką zapewne otaczali ogień ludzie pierwotni, strzegący płomieni, żeby nie zgasły. Tyle tylko że ludzie pierwotni nie mieli wykupionej przez Victora telewizji kablowej, żeby się przy tym rozerwać. Najbardziej niezwykłym doświadczeniem było wyjście w południe do zachwaszczonego ogrodu, napełnienie płuc świeżym powietrzem i odkrycie gorącego, śródziemnomorskiego słońca lejącego się z nieba.

Amelia spała w dawnym pokoju Sylvii, tym, w którym Sylvia spała, dopóki nie odkryła w sobie tego absurdalnego, niewytłumaczalnego powołania. Oczywiście już wcześniej otwarcie wyznawała katolicyzm, co doprowadziło Victora do wybuchu furii. Kiedy jednak zrezygnowała z indeksu w college’u Girton, gdzie lada dzień miała rozpocząć studia matematyczne, i wstąpiła do klasztoru, wydawało się, że Victor po prostu ją zamorduje. Julia i Amelia, które chodziły jeszcze do szkoły, były zdania, że porzucanie świata i zamykanie się za murami klasztoru to zbyt dramatyczny sposób na ucieczkę od niego. (Naprawdę już jutro skremują jego ciało? Spalą go na popiół? To niezwykle, że człowiek otrzymuje prawo, żeby zgotować taki los drugiemu człowiekowi. Popiół można wyrzucić jak zwykle śmieci).

Sylvia po śmierci ojca nie musiała sobie niczym zawracać głowy. Być wybranką Chrystusa – cóż za fantastyczny sposób na unikanie kłopotów. Julię niezmiernie bawiło informowanie innych, że ma siostrę zakonnicę, bo wszyscy bez wyjątku byli tą wiadomością zszokowani („Twoja siostra?!”). Ale Amelia czuła się z tym niezręcznie. Bóg przemawiał do Sylvii codziennie, ale ona nie była skora zdradzać im treści tych rozmów.

Demonstrowała tylko święty uśmiech (tyleż zagadkowy, ile denerwujący). Można by pomyśleć, że Bóg był jej tajemniczym bliskim znajomym, kimś, z kim przy ustronnym stolczku w czarującej kawiarence nad rzeką rozmawia się nad lampką wina o sprawach egzystencjalnych. Ta szczególna konwersacyjna relacja łączyła Boga i Sylwię, odkąd Amelia pamiętała. Czy Sylwia rzeczywiście uważała, że On do niej mówi? Miała omamy? Były to co najmniej zachowania historyczne. Słyszała głosy. Jak Joanna d'Arc. Właściwie to rozmawiała też z Joanną d'Arc, czyż nie? Jeszcze przed śmiercią Rosemary i zniknięciem Olivii. Czy komukolwiek kiedykolwiek przyszło do głowy, że Sylvia może cierpieć na schizofrenię? Gdyby to do niej przemówił Bóg, uznałaby, że pomieszało jej się we łbie. Ktoś powinien był zwrócić baczniejszą uwagę na różne zachowania Sylvii, naprawdę powinni byli o tym pomyśleć.

Sammy, rozłożony jak długi u podnóża jej małego łóżka, zaczął cicho skomleć przez sen. Uderzał ogonem w puchową kołderkę, czymś podekscytowany, a pazurami upiornie drapał po parkiecie, jakby mu się śniło, że goni króliki, jak za dawnych młodych lat. Początkowo nie miała zamiaru mu przerywać przepelnionego szczęściem snu, ale potem uderzyła ją myśl, że może Sammy nikogo nie goni, tylko przeciwnie, ktoś goni Sammy'ego, a odgłosy, które wydaje przez sen, nie świadczą o tym, że jest podekscytowany, tylko o tym, że się boi (jakim cudem dwa tak odmienne stany mogą się wyrażać tak podobnie?). Podciągnęła się więc do pozycji siedzącej i zaczęła pieszczotliwie klepać psa po boku, dopóki się nie uspokoił. Jego cielsko zdawało się na starość jeszcze bardziej zapadnięte. O ile dobrze pamiętała, Sammy był jedynym stworzeniem, które Victor uważał za równe sobie.

Spodziewała się, że będzie musiała zabrać Sammy'ego ze sobą do Oksfordu. Julia na pewno powie, że weźmie go do siebie, ale Julia nie poradzi sobie z takim psem w Londynie. Pomyślała, że ona przynajmniej ma w Oksfordzie ogród. Miała pięterko bliźniaka w stylu edwardiańskim (mieszkanko idealne dla jednej osoby). Ogród dzieliła z sąsiadem z dołu, spokojnym

matematykiem z New College, specjalistą od geometrii, który miał na imię Philip i który mógł uchodzić za sąsiada idealnego (albo za seryjnego zabójcę – ostrzegala ją Julia), ponieważ wykazywał absolutny brak seksualnego zainteresowania którąkolwiek z płci. Miał psa (choć był to tylko jazgotliwy pekińczyk) i był niezwykle pomocny przy drobnych domowych naprawach. Co więcej, ku jej zadowoleniu nie był ogrodnikiem i zgadzał się, żeby siała, sadziła i pełła, co tylko zechce. Amelia wierzyła w ogród z mocą nie mniejszą niż Sylvia w Boga. Podobnie jak Sylvia była nawrócona. Aż do trzydziestego roku życia – w październiku posadziła różę białokwiatową, a w czerwcu podziwiała, jak strzela z niej kwiat za kwiatem – nie wiedziała, że kocha ogrody. To było rewelacyjne odkrycie – człowiek coś wsadzi do ziemi, a to rośnie! „Phi!” – prychnęła Julia (jak zwariowana nastolatka), kiedy usiłowała jej objaśnić ten cud.

Była w Cambridge zaledwie kilka dni, a już jej drugie życie, to prawdziwe, wydawało jej się odległe o tysiące kilometrów. Musiała sobie czasem przypominać, że jednak istnieje. Jakaś część niej pragnęła pozostać w Cambridge na zawsze i pogрузić się razem z Julią w pełnej swarów i kłótni starości. Może razem nie dałyby się pokonać takim przeciwnościom jak samotność i strach. Zajęłaby się ogrodem Victora, w którym widziała wiekowe zaległości. Miała ochotę wylegiwać się godzinami w łóżku, aranżować w myślach kwietniki (delphinimus, dzwonki, nachyłek, przetacznik), projektować na nowo front (może woda, stawek japoński?), ale w końcu z niechęcią wyszła spod kołdry i poszła do zimnej kuchni. Wierny Sammy szedł za nią krok w krok. W kuchni napełniła wodą czajniczek i ze złością stuknęła nim głośno o kuchenkę, dając jasno do zrozumienia, jak bardzo jest wściekła, że Julia jeszcze śpi.

Amelia pakowała w jadalni niekończącą się paradę kuchennej porcelany, naczyń i rozmaitych ozdóbek. Julia była w gabinecie ojca, tam gdzie powinna. Była tam od chwili, gdy zabrały się do porządkowania dobytku Victora, i powiedziała (jak zawsze melodramatycznym tonem), że ma wrażenie, jakby

ktoś rzucił na nią zły urok i że będzie skazana na pobyt w tym miejscu do końca życia. Ciemna grota Victora, mokra od wilgoci, nic się nie zmieniła. Jak była, tak została przez wszystkie minione lata czarną dziurą, zarzuconą teraz pnącymi się po sufit stosami różnych papierzysek, teczek i folderów. Była jak palenisko czekające na zapalną.

Odśloniły okna.

– Niech się stanie światłość – powiedziała patetycznie Julia.

– Całkiem przyjemny pokoik – stwierdziła Amelia.

Julia dostała takiego uczulenia na kurz, że mimo tabletek, które ciągle łykała (jak cukierki), założyła na usta maskę, a na oczy robocze okulary, które kupiła w sklepie z narzędziami. Mimo to jej urywany suchy kaszel dał się słyszeć chyba na kilometr.

Amelia była zdumiona, że Julia do południa nie zeszła, żeby coś przekąsić. Weszła na górę i zastała ją przy biurku ojca. Opierała się na nim piersiami, a na jej twarzy malowała się niepewność.

– Co się stało? – zapytała Amelia.

Julia wskazała palcem na jedną z szuflad biurka.

– Włamałam się – powiedziała.

– Cóż z tego? – Amelia wzruszyła ramionami. – I tak musimy wszystko przejrzeć, a poza tym, praktycznie rzecz biorąc, wszystko należy do nas.

– Nie o to chodzi. Zobacz, co znalazłam.

Julia otworzyła szufladę i wyjęła z niej coś ostrożnie, delikatnie, jak archeolog, który wydobywa na powierzchnię wykopalisko, które na świeżym powietrzu może się rozsypać. Podąła jej to coś. Amelia przez chwilę stała, jakby się zastanawiała, co trzyma w ręku, i nagle poczuła, że wpada w czeluść, jakby przeszła przez drzwi, za którymi nie ma już nic. Kiedy padała na podłogę, myślała już tylko o jednym: o Niebieskiej Mysce Olivii, którą kurczowo zaciskała w dłoni.

– Spodobał ci się.

– Nie, wcale nie.

Razem robiły kolację. Amelia gotowała we wrzątku jaja bez skorupki, a Julia odgrzewała na patelni pieczoną fasolę. Obie

były u szczytu swoich kulinarnych umiejętności.

– Właśnie że tak – nie ustępowała Julia. – Dlatego byłaś do niego nastawiona antagonistycznie.

– Do wszystkich jestem nastawiona antagonistycznie – odparła Amelia, ale czując, że oblewa się rumieńcem, pochyliła się szybko nad chlebem, i tak stała nad nim nachylona, jakby wymagał psychicznego wsparcia, żeby móc wyskoczyć z tosteru. – Tobie też się spodobał.

– To prawda. W panu Brodiem jest coś pociągającego. Ma własne zęby, nie zaczął jeszcze łysieć – odpowiedziała Julia.

– Raz, dwa, trzy, zamawiam go dla siebie.

– Dlaczego ty? – zapytała Amelia.

– Dlaczego nie? Przecież ty już masz chłopaka, masz swojego Henry'ego.

Amelia pomyślała, że zwrot „masz chłopaka” brzmi dość absurdalnie w odniesieniu do czterdziestopięcioletniej kobiety. W odniesieniu do niej.

Co za szkoda, że Julia nie wyszła na spotkanie z Jacksonem Brodiem w masce i okularach roboczych. Nie dostrzegłby w niej nic interesującego. Bo nie ulegało wątpliwości, że dostrzegł w niej coś interesującego. Oczywiście są mężczyźni, którzy lubią różne maski, wiązanie sznurem i Bóg wie co jeszcze. (Guma! Dlaczego guma?)

– Och, jaka z ciebie świętoszka, Milly – uśmiechnęła się Julia. – Powinnaś spróbować z Henrym czegoś nowego, poszukać nowych przygód. Dodaj do waszego związku trochę pieprzu. Tak długo szukałaś chłopaka, szkoda byłoby go stracić tylko dlatego, że nie potrafisz porzucić pozycji misjonarskiej.

Amelia posmarowała tosty masłem i ułożyła je na talerzu. Julia położyła na nich odgrzaną fasolę. Amelii zaczynało się podobać dzielenie z Julią domowych zadań, choć, trzeba przyznać, bardzo podstawowych. Od drugiego roku studiów żyła na własny rachunek i zawsze sama. To bardzo długo, ponad dwadzieścia lat. Samotne życie wcale nie było jej wyborem, po prostu nikt nigdy nie chciał z nią zamieszkać. Nie wolno się jej przyzwyczajać do mieszkania z Julią pod jednym dachem. Nie wolno się przyzwyczajać do budzenia się w domu,

w którym mieszka ktoś, kto ją zna od podszewki.

– Kajdanki – rzuciła Julia niedbałym tonem, jakby rozmawiały o ubraniach na różne pory roku. – Troszkę skóry i pejczyk.

– Henry nie jest koniem – odparła Amelia.

Czy w dzisiejszych czasach są ubrania na różne pory roku? Były, gdy żyła ich mama. Latem Rosemary nosiła białe buty i białą torebkę, i nieduży słomiany kapelusik. Zimą wysokie zamszowe buty, zapinane na zamek błyskawiczny – czy Amelia wyobrażała sobie takie buty na swoich nogach? – i szkocki beret z pomponikiem. Szkoda, że nie poświęcała jej więcej uwagi, gdy jeszcze żyła.

– Cóż złego w tym, że trochę się człowiek powiąże? – perorowała dalej Julia. – Z łatwością mogę sobie wyobrazić, że Henry’emu się to spodoba. Mężczyźni lubią takie świniństewka. – Słowo świniństewka wypowiedziała z wyraźnym smakiem.

Kiedyś, jeden jedyny raz i zupełnie nieświadomie, Amelia weszła z Julią do sex shopu w Soho – ekskluzywny sklep z towarami wyłącznie dla kobiet, jakby miał być etykietą triumfującego feminizmu. Tymczasem było to zwykłe pornograficzne łajno. Amelia weszła za Julią w niesłusznym przekonaniu, że sprzedaje się tam przybory do mycia, i kompletnie zgłupiała, kiedy Julia wzięła do ręki włochaty różowy przedmiot przypominający koński ogon i oznajmiła z uciechą:

– Zatyczka do dupci, ależ słodka!

Czasem Amelia zastanawiała się, czy dla kobiet nie byłoby lepiej, gdyby zajmowały się po prostu cerowaniem, szydełkowaniem i wypiekaniem chleba. Co wcale nie znaczyło, że sama świetnie potrafiła to robić.

– Czy nadal szyje się ubrania na różne pory roku?

– Oczywiście – odpowiedziała Julia z przekonaniem, ale po chwili dodała mniej pewnie: – No, chyba tak... Wiesz, Milly, możesz mówić o wielkim szczęściu, że masz stałego chłopaka.

– Dlaczego? Bo jestem tak mało atrakcyjna? – zapytała Amelia.

– Och, moja głupiutka Milly...

Głupiutka Milly. Tak Julia mówiła do niej czasem w dzieciństwie. Lubiła się pośmiać z innych. Potrafiła być bardzo okrutna.

– W twoim wieku – zaczęła Julia (niech się już zamknie!) – kobiety albo są starymi pannami, albo są zaprzężone na amen w stare małżeństwo.

Amelia rzuciła na fasolkę ugotowane we wrzątku jajka.

– W naszym wieku – poprawiła Julię. – Traktujesz mnie protekcyjnie.

Chłopak na stałe i Julia – te słowa nigdy nie wystąpiły razem w jednym zdaniu.

– Jeśli to dla ciebie nic dobrego, to dlaczego widzisz w tym dobre strony dla mnie?

Mogło się wydawać, że w jedzeniu jajek jest coś złego – pochłanianie i unicestwianie czegoś, co daje życie. Skazywanie na banicję, wygnanie w wewnętrzną ciemność.

Julia odegrała rolę osoby głęboko dotkniętej.

– Och, Milly, wiesz, naprawdę tak myślę. Twój Henry wydaje się dokładnie taki, jaki ma być. To niebywale szczęście znaleźć kogoś, kto tak idealnie pasuje. Uwierz mi, gdybym to ja kogoś takiego znalazła, szybko bym się ustabilizowała.

– Nie wierzę.

Amelia patrzyła na pływające we wrzątku, tężejące jaja – para mdławych zawistnych oczu – i pomyślała o własnych jajach. Niewiele ich zostało. Na pewno są stare, zmurszałe i pomarszczone jak zeschnięte owoce, które kiedyś rwały się do światła...

– Milly, jedzmy, bo tosty stygną. Milly?

Amelia wybiegła z kuchni. Potykając się, popędziła po schodach do łazienki i zwymiotowała do muszli klozetowej. Choć długo ją szorowały i dezynfekowały, wciąż widać było na niej plamy po wieloletnim niedbałym użytkowaniu. Sama myśl o niechlujstwach ojca w tym miejscu przyprawiała ją o kolejne wymioty.

– Milly, co się stało? – dobiegł ją z dołu głos Julii.

Po jakimś czasie wyszła z łazienki. Zatrzymała się przed



pokojem Olivii. Nic się w nim nie zmieniło: to samo nieposłane łóżko, ta sama szafa na ubrania i komoda z szufladami, obie puste, opróżnione ze wszystkiego. W tym jednym małym pokoju zdawała się skupiać cała przeszłość. Amelia pomyślała, że w domu mieszka duch, ale wcale nie duch Olivii, tylko jej samej. Duch Amelii, którą byłaby – powinna była być – gdyby jej rodzina się nie rozpadła.

Stojąc w zapuszczonej, niszczej sypialni Olivii, nagle doznała czegoś, co mogła opisać tylko jednym słowem: objawienie. Pomyślała, że czegoś takiego muszą doświadczać ludzie, którzy mają mistyczne wizje. Tacy, którzy jak Sylvia twierdzą, że słyszeli głos Boga, albo czują, że spłynęła na nich Boża łaska (wiedziała, że w istocie są to dowody chwilowego zachwiania równowagi umysłowej). Ona po prostu wiedziała – i ta wiedza przechodziła przez jej ciało jak fala ciepła – że Olivia wraca. Może wraca jako nic ponad cień swoich popiołów, ale wraca. I ktoś musi tu zostać, żeby ją powitać.

– Milly?

## Theo

2004

Co roku pokonywał tę samą drogę. Trzy kilometry pieszo do kancelarii w Parkside i trzy kilometry z powrotem do domu. Ta sama pielgrzymka od dziesięciu lat, sześć kilometrów w obie strony, co roku bardziej męcząca z uwagi na coraz większą tuszę. Ale dzisiaj żaden doktor nie umiałby go wystraszyć swoimi przestrogami.

Kiedy dochodził do Parkside, brakowało mu tchu. Zanim wszedł na schody, stał dłuższą chwilę na chodniku. Łapał oddech. Lekko pochylony odpoczywał z rękami opartymi na udach, wdychając i powoli wypuszczając powietrze, w regularnych odstępach, jak sportowiec, który dobiegł do mety. Przechodnie rzucali mu zaciekawione, ukradkowe spojrzenia (czasem wcale nie ukradkowe). Widać w nich było różny stopień niechęci, jakby zachodzili w głowę, jaką to okropną wadą musi być obciążony ludzki charakter, żeby człowiek się doprowadził do tak chorobliwej otyłości.

W ciągu tych dziesięciu lat tylko trzy razy był w środku. Siedem razy po prostu zatrzymał się na chodniku przed wejściem i oddał cześć temu miejscu.

David Holroyd przeżył atak. Kiedy przyjechała karetka, jeszcze żył. Błyskawicznie przewieziono go do szpitala, gdzie zszyto mu rany i wpompowano w niego krew kilku innych osób. Wciąż pracował, ale tylko trzy dni w tygodniu. Resztę czasu poświęcał ogrodowi przy domku na wsi w hrabstwie Norfolk.

Sala konferencyjna została odmalowana, a niezmywalne sine ślady krwi Laury zasłonił nowy dywan. Ale nikt, kto był w kancelarii tamtego feralnego dnia, nie czuł się już tam

dobrze. W ciągu niespełna roku Holroyd, Wyre i Stanton przenieśli się do brzydkiego budynku z 1960 roku, nieopodal Grafton Centre, ale już pod zmienionym szyldem: Holroyd & Stanton. Po śmierci Laury Theo wycofał swoje udziały z firmy i nigdy nie wrócił do zawodu. Miał dość oszczędności w lokatach, akcjach i obligacjach, żeby bez problemu wieść skromne życie. Pieniądze, które otrzymał w ramach odszkodowania za naruszenie dóbr osobistych w wyniku przestępstwa, przekazał schronisku dla psów, z którego wzięli kiedyś Makuchnę.

Drzwi do budynku, niegdyś pięknie butelkowozielone, przemalowano na białe. Mosiężnych okuć od dawna nikt nie polerował. Wejście właściwie nie było w żaden sposób chronione – nie było zamków, domofonu, kamery. Byłe przechodzień bez problemu mógł się dostać do środka.

Dawną mosiężną tabliczkę z wygrawerowanym napisem: „Holroyd, Wyre & Stanton – radcy i adwokaci”, zastąpiła plastikowa etykieta, na której można było teraz przeczytać: „Świat Rozkoszy – terapia pięknem”. Przed Światem Rozkoszy wisiał tajemniczy szyld „Hellier”, ale krótko, między trzecią a czwartą rocznicą. Kiedy zniknął, biura długo świeciły pustkami, aż w końcu wprowadziła się firma JM Business Consultants. W szóstą rocznicę Theo wszedł na górę, żeby zasięgnąć informacji o szkoleniu informatycznym dla firm. Dziewczyna z recepcji zmarszczyła ze zdziwieniem brwi i powiedziała, że jej firma nie oferuje takiej usługi, ale też nie wyjaśniła mu, czym się tak naprawdę zajmuje, co utwierdziło go w przekonaniu, że niczym specjalnym. Może budynek służył po prostu za magazyn. W każdym kącie było bez liku wielkich kartonów. Chciał zerknąć, zobaczyć to miejsce – to konkretne miejsce – ale nie dość, że kartony utrudniały mu swobodne poruszanie się po korytarzu, to jeszcze wszędzie stały przenośne parawany. Nie chciał robić rabanu i przestraszyć dziewczyny. Wyszedł.

Wspinaczka po schodach wycisnęła z niego ostatnie siły. Odpoczął chwilkę, zanim zaczął się przeciskać przez nowe szklane drzwi, na których zamaszystymi wywijasami

wymalowano słowa „Świat Rozkoszy” – tchnące romantycznym uniesieniem, wielką obietnicą, jakby człowiek miał lada moment wkroczyć do Elizjum albo Krainy Obfitości, mlekiem i miodem płynącej.

Recepcjonistka, w obcisłym, sterylnie białym kaftaniku, jeśli wierzyć identyfikatorowi, miała na imię Milanda. Kojarzyło mu się to raczej z nazwą niskokalorycznej margaryny niż z kobiecym imieniem. Patrzyła na grubego przybysza tyleż zaciekawionym, ile przerażonym wzrokiem. Theo miał ochotę zapewnić ją, że otyłość nie jest zakaźna, ale powiedział tylko, że chce zrobić żonie urodzinową niespodziankę i zafundować jej troszkę rozkoszy. Było to kłamstwo szyte grubymi nićmi, ale nikogo nie skrzywdził. Żałował, że kiedyś nie umiał zapewnić Valerie więcej rozkoszy, ale teraz już nie ma o czym myśleć. Już jest za późno.

Gdy Milanda ochłonęła i pokonała odruchowy lęk przed człowiekiem niezmiernych rozmiarów, uprzejmie zaoferowała pakiet Pół Dnia – pedikiur, manikiur i kuracja wodorostami. Theo odparł, że właśnie o coś takiego mu chodziło, ale jeśli można, chętnie przejrzałby broszurę i poznał więcej szczegółów. Proszę bardzo, odpowiedziała sucho Milanda z przyklepionym do ust urzędowym uśmiechem, bo najwyraźniej zaczynała się martwić, że tusza tego człowieka może być fatalną reklamą jej salonu piękności. Obawiała się, że będzie odstraszał klientów, siedząc na wiklinowej sofie (za małej i za słabej dla niego) w poczekalni, przy szklanej fontannie, której szmer komponuje się z płynącymi z płyty relaksującymi dźwiękami *Medytacji* – dziwnej mieszaniny piszczałek, śpiewu wieloryba i plusku fal bijących o brzeg.

Od czasu jego poprzedniej nieudanej wizyty biuro bardzo się zmieniło. Ściany były teraz pomalowane na liliowo, a na drzwiach mieniła się paleta purpurowych, różowych i niebieskich odcieni. Gipsowymi ścianami zmieniono rozkład pomieszczeń. Powstały nowe, większe, otwarte przestrzenie, a także małe pokoiki – jak można było się dowiedzieć z napisu na drzwiach – studia terapii.

Czy sala konferencyjna jest tam, gdzie była? Nietknięta? Czy

może ona również przeszła metamorfozę i zmieniła się w... W co? Saunę? Pokój parowy? Może została poszatkowana na boksy do tajskiego masażu albo do nakładania brazylijskich wosków (w broszurze wymieniono niewiarygodne oferty)? Do recepcji podeszła jakaś klientka i Milanda dwornie odprowadziła ją do któregoś ze studiów terapii. Theo wstał – zwyczajnie, jakby chciał rozprostować nogi – i bardzo wolnym krokiem, jakby od niechcienia, ruszył korytarzem.

Drzwi dawnej sali konferencyjnej (pomalowane na sinoniebiesko) były lekko uchylone. Kiedy je lekko pchnął, otworzyły się szeroko, odsłaniając całe wnętrze. Jeszcze nigdy nie zabrnął tak daleko i nie miał pojęcia, jak bardzo w ciągu tych dziesięciu lat ten pokój mógł się zmienić. Zdumiał go brak mebli: żadnych urządzeń, żadnych instalacji. Podłoga była porysowana i zabrudzona, ze ścian odpadały płyty starej farby. Ten pokój zawsze był sercem kancelarii, a teraz urządzono w nim magazyn, zagracony pudełkami kremów, balsamów i olejków. O ścianę opierał się składany, przenośny stół do masażu. Z dużego kosza na brudy wysypywały się białe, nieświeże ręczniki. Do prania. Marmurowy kominek znajdował się w tym samym miejscu, na kracie leżał nawet stary, zimny popiół.

Tam, tam, gdzie została zamordowana jego córka, stał stolik na kółkach. Bardziej pasowałby do szpitala, ale zamiast medykamentami zastawiony był dziesiątkami różnobarwnych flakoników z lakierami do paznokci. Kiedyś w Sankt Petersburgu zwiedzał Sobór Zmartwychwstania Pańskiego na Krwi, zbudowany w miejscu, gdzie dokonano zamachu na cara Aleksandra II. Cudowna budowla ze złotą mozaiką, wieżami i lśniącymi emalią cebulastymi kopułami. Ale wnętrze, pozbawione duszy, grające chłodnym echem, zrobiło na nim ponure wrażenie. Teraz zrozumiał, że atmosfera nie ma znaczenia, że liczy się to, co istnieje fizycznie, bo swym istnieniem nie pozwala zapomnieć o tym, co się stało. Miejsce, w którym zginęła Laura, wyznaczał stolik na kółkach z flakonikami lakierów do paznokci. Cóż to za świątynia? Czy w uświęconym miejscu, gdzie połała się krew jego córki, nie

powinno trysnąć źródółko albo wykwitnąć drzewko oliwne?

Wykrwawiona. To obce, dramatyczne słowo, które, zdawać by się mogło, należało do języka tragicznej zemsty. Ale dla niego wendeta nie była możliwa. „Szaleniec zamordował przypadkową osobę!” – krzyczały nagłówki lokalnych, a nawet krajowych gazet. Przez kilka dni trąbiły o tym wszystkie media, a potem, zdaje się, wszyscy nagle zapomnieli. Oczywiście policja nie. Theo nie miał wątpliwości, że policjanci dali z siebie wszystko. Nadal widywał się z Allison, oficerem łącznikowym przydzielonym jego rodzinie. Policja podjęła wówczas każdy możliwy trop i zbadała każdą poszlakę. Wśród klientów kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton nie został ani jeden, którego akta nadal byłyby objęte klauzulą poufności. Policja przeczesała każdą teczkę i każde pismo. Media przedstawiały zbrodnię jako „ślepą”, niezaplanowaną, dokonaną przez psychopatę. Ale przecież ten człowiek – szaleniec z nożem – wszedł do kancelarii i zapytał o niego, o „pana Wyre’a”. Theo musiał coś zrobić, coś nierozważnego, co umknęło jego uwadze. Musiał komuś zająć za skórę, komuś w jasnożółtym swetrze golfisty, i to do tego stopnia, że ów ktoś postanowił go zabić. Czy ta zbrodnia uśmierzyła jego ból? Czy zabijając jego córkę, człowiek w żółtym swetrze poczuł jakąś prymitywną satysfakcję? Przelewając krew jego dziecka. Jego krew.

\* \* \*

Zamierzał przesunąć stolik na kółkach, kiedy nagle otworzyły się jedne z ukrytych w owalnym końcu pokoju drzwi i weszła schludnie ubrana, zadbana kobieta. Miała na sobie taki sam bielutki kaftanik jak Milanda. Na widok intruza podniosła ze zdziwieniem brwi, ale zanim zdążyła zaprotestować, Theo powiedział szybko:

– Przepraszam, pomyliłem pokoje!

I żeby rozwiać jej obawy, zaczął się wycofywać rakiem w kierunku drzwi, w śmiesznych niskich pokłonach, z rękami złożonymi jak do modlitwy.

– Zastanowię się i zadzwonię – powiedział jeszcze jowialnie do Milandy, machając do niej broszurką, którą cały czas

zaciskał w dłoni.

Ruszył ku schodom, na tyle szybko, na ile pozwalała mu tusza, czyli niezbyt szybko – raczej toczył się ciężko kaczkowatym krokiem. W parku Parker's Piece wyobraził sobie, jak Milanda biegnie za nim i zawisa mu na plecach niczym rugbista. Serce zaczęło mu walić ze zdenerwowania. Schronił się w kawiarni przy Mill Road. Zamówił tylko małą kawę z mlekiem i wafelka, a mimo to padł ofiarą karcącego spojrzenia kelnerki. Mówiło wszystko: człowiek z taką nadwagą w ogóle nie powinien jeść.

Czas nie zbliżniał ran, przeciwnie, masował je tylko i jątrzył bezlitośnie. Świat pomknął dalej i zapomniał. Tylko on podtrzymywał płomyk pamięci o Laurze. Jennifer mieszkała w Kanadzie. Choć rozmawiali czasem przez telefon i wymieniali maile, rzadko mówili o Laurze. Jennifer nie potrafiła znieść bólu, który czuła, kiedy rozpamiętywali to, co się stało. Jemu natomiast ból pozwalał pamiętać Laurę – ciągle żywą. Bał się, że gdyby czas zaczął leczyć rany, Laura zniknęłaby z jego pamięci na dobre.

Po tym, zaraz po tym, co się stało dziesięć lat temu, nie chciał z nikim rozmawiać. W ogóle nie chciał mówić, nie chciał przyjąć do wiadomości, że życie toczy się dalej, już bez Laury. Ale po powrocie ze szpitala zebrał siły i zmusił się, żeby zatelefonować do Jennifer. Kiedy podniosła słuchawkę i usłyszała jego głos, powiedziała oschle: „No, co tam?”. Tym swoim zniecierpliwionym tonem, jakby dzwonił tylko po to, żeby ją zdenerwować. Zniecierpliwiała się jeszcze bardziej, bo długo nie potrafił wydobyć z siebie słowa i tylko niezwykłym wysiłkiem woli udało mu się wypowiedzieć zdanie: „Jennifer, stało się coś złego, coś bardzo złego”. Jennifer natychmiast odszepnęła głucho: „Laura...”.

Popęłniłby samobójstwo, może nie tego samego dnia, nie przed pogrzebem, potem, kiedy by już pozałatwiał wszystkie sprawy. Ale nie mógł się zabić, bo Jennifer od razu by się dowiedziała (choć przecież i tak wiedziała, prawda?), że Laurę kochał bardziej. Wiedział, że gdyby to nie Laura, tylko Jennifer straciła życie, myśl o samobójstwie nawet nie przeszłaby mu

przez głowę.

Ciągle żył nadzieją, że człowiek, który go szukał w kancelarii i który zamiast niego znalazł jego córkę, któregoś dnia do niego wróci. Wyobrażał sobie, jak otwiera drzwi mężczyźnie w żółtym swetrze i jak otwiera szeroko ramiona, żeby przytulić zimną stal noża, przytulić śmierć, która połączy go z Laurą. Pochował ją w trumnie, nie poddał jej kremacji. Potrzebował dla siebie grobu (zawsze potrzebował), miejsca, gdzie Laura byłaby namacalnie blisko, na wyciągnięcie ręki, niecały metr dalej. Przeżywał chwile tak trudne, chwile tak wielkiej rozpacz, że miał ochotę ją wykopać, ekshumować jej nieszczęsne gnilne szczątki, żeby móc jeszcze raz ukołysać ją w ramionach, uspokoić i zapewnić, że myśli o niej, chociaż inni już zapomnieli.

Zapłacił za kawę, zostawił na stoliku napiwek wyższy od rachunku. Im gorzej go obsługiwano, tym większy zostawiał napiwek. Uważał to za dowód słabości swego charakteru. W ogóle miał się za człowieka zbudowanego raczej z różnych słabości niż z siły. Jak teraz. Musiał się przedzierać pod prąd rzeki turystów oczarowanych uniwersyteckimi gmachami – rzeczywista tkanka historii, erudycja, architektura, piękno. Kiedy przyjechał do Cambridge po raz pierwszy, jeszcze jako student, stwierdził, że to najpiękniejsze miejsce pod słońcem. Wychowywał się na przedmieściach Manchesteru, więc Cambridge wydawało mu się architekturą transcendentną. Kiedy pierwszy raz zajrzał na dziedzińce college'ów, zdało mu się, że jest świadkiem rajskich wizji. Nie sądził, żeby coś tak pięknego mogło istnieć naprawdę. Ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat nawet nie rzucił okiem na uniwersyteckie gmachy. Mijał wspaniałe fasady Queen's, Corpus Cristi, Clare i King's i widział tylko kamień, zaprawę między kamieniami i pył.

Sprawa zamknięta, tak to nazwano. Bardzo po kalifornijsku. Unikał tego słowa, unikał tego aktu, ale wiedział, że trudno mu będzie zejść z tego świata, jeśli się nie dowie, kim był człowiek w żółtym swetrze. Zerknął na zegarek. Nie chciał się spóźnić.



Czekając, przeglądał jakiś numer „Reader’s Digest”. W dzisiejszym świecie poczekalnie to chyba jedyne miejsca, gdzie można znaleźć „Reader’s Digest”. Kobieta z sekretariatu poinformowała go, że pan Brodie „ma teraz związane ręce”, ale jeśli poczeka, to przyjmie go za jakieś dziesięć minut.

– Deborah, jestem asystentką pana Brodiego – dodała. – Ale proszę do mnie mówić pani Arnold.

Theo nie umiał stwierdzić, czy chciała być dowcipna, czy nie. Przypomniał sobie, że w kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton wzmianka o związanych rękach była chętnie używanym przez pracowników frazesem. Nieraz słyszał, jak mówili z powagą do telefonu: „pan Holroyd ma teraz związane ręce”. Mówili to dyszkancikiem sekretarki, który doskonale naśladowali, a kiedy odkładali słuchawkę, pokój wybuchał salwą śmiechu. Sekretarka pana Brodiego nie robiła jednak wrażenia kogoś, komu jest do śmiechu i kogo może ubawić myśl, że za drzwiami gabinetu szef znajduje się w niedwuznacznej, sadomasochistycznej sytuacji. Całą agresję wyładowywała na klawiaturze komputera, w sposób sugerujący, że (podobnie jak Cheryl, jego własna sekretarka) maszynopisania uczyła się na starych maszynach, zbudowanych jak walec drogowy. Z rzadka widywał Cheryl. Była na emeryturze, ale odwiedzał ją w jej nazbyt mocno ogrzonym domku i (raczej niechętnie) wypijał herbatę, zagryzając herbatnikami All-Barn.

Cheryl była ostatnią osobą, do której Laura coś powiedziała. „Mam zrobić jeszcze jedną kopię tego formularza?” Co za prozaiczne zdanie na zakończenie życia.

Deborah Arnold zarzuciła na chwilę próby zdewastowania klawiatury i zaproponowała mu kawę. Podziękował. Zaczynał podejrzewać, że pan Brodie nie tylko nie jest przywiązany do fotela w swoim gabinecie: jego tam w ogóle nie ma.

Skoro cała policja nie zdołała złapać człowieka, który zabił Laurę, to niedorzeczna wydawać się może myśl, że robi to jakiś prywatny detektyw z kiepskiej dzielnicy. Ale Theo wychodził z założenia, że nawet bardzo nikła nadzieja na złapanie sprawcy jest lepsza niż jej brak. Poza tym jeśli mu się

uda złapać mordercę, to może sam nie będzie musiał przytulać stalowego ostrza śmierci. I może nie skończy się tak, że to on, jak niepoczytalny szaleniec, będzie się wałęsał po ulicach z nożem w ręku.

Nagle otworzyły się wejściowe drzwi i jakiś mężczyzna pośpiesznie przeszedł obok niego i sekretarki. Wszedł do gabinetu.

– Wreszcie – rzuciła Deborah Arnold, nie podnosząc wzroku znad klawiatury.

– Przepraszam – zwrócił się do niego mężczyzna, jak mniemał Theo, Jackson Brodie. – Musiałem iść do dentysty.

Deborah parsknęła śmiechem, jakby to proste usprawiedliwienie było nie wiadomo jak dowcipne.

Theo wyciągnął rękę. Mężczyzna potrząsnął nią serdecznie.

– Jackson. Jackson Brodie. Proszę wejść i usiąść.

Wprowadził go do gabinetu. Kiedy zamknął drzwi, doszedł ich śpiewny, sarkastyczny głos Deborah:

– Proszę wejść, pan Brodie już przyjmuje.

– Pan wybacz – powiedział Jackson. – Ona ma złudzenia. Jej się wydaje, że jest kobietą.

## Caroline

To był kościół pod wezwaniem Świętej Anny. Caroline nie miała zielonego pojęcia, kim była święta Anna, nie wychowywała się w duchu religijnym i nigdy nie była w kościele na żadnej mszy ani ceremonii, w każdym razie nie w zwykłym parafialnym kościele, nawet na własnym ślubie z Jonathanem. Ślub wzięli w urzędzie stanu cywilnego, ponieważ pierwsza żona Jonathana żyła i miała się całkiem dobrze, choć na szczęście w dalekiej Argentynie. Mieszkała tam z hodowcą koni. Kościół stał przy bocznej drodze, mały i bardzo stary, z przysadzistą staroangielską wieżą i cmentarzykiem, na którym od lat nie dokonywano pochówków, i przez to mocno, ale bardzo malowniczo zarośniętym: polnymi kwiatami i dziką różą. Caroline nie potrafiła rozpoznać żadnego z kwiatów i pomyślała, że może powinna kupić książkę o roślinach, a raczej zamówić przez internet na Amazon.com, bo przecież mieszkali dziesiątki kilometrów od najbliższej księgarni.

Kościółek stał w połowie drogi między ich małą wsią a następną, jeszcze mniejszą. Caroline przypuszczała, że zapewne w jakiejś średniowiecznej przeszłości władze kościelne postanowiły zaoszczędzić i przydzielili dwu wsiom jedną parafię i jednego proboszcza. Oczywiście w tamtych czasach nikomu nie przyszło do głowy, żeby utyskiwać na konieczność pokonywania pieszo dużych odległości. Wiejskie dzieciaki bez słowa skargi szły rano osiem kilometrów do szkoły, a wieczorem drugie tyle z powrotem do domu. Może się nawet skarżyły, ale nikt nie zarejestrował ich skarg dla potomności. Przecież historia powstaje właśnie tak, prawda? Jeśli nie została zapisana, to jakby jej nie było. Człowiek może zostawić po sobie kosztowności, gliniane naczynia, misternie rzeźbione

grobowce albo tylko kości, które w następnych stuleciach ktoś może wykopie, ale żaden z tych reliktywów nie odda tego, co ów człowiek czuł. Martwi leżący pod jej stopami na cmentarzyku przy kościele Świętej Anny byli głusi i niemi. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby James i Hannah mieli pokonać pieszko jakikolwiek dystans. Wydawało się, że oboje nie mają już pojęcia, do czego służą nogi.

Wiele razy przejeżdżała obok kościółka, ale dopiero teraz, kiedy się tam znalazła, przyszło jej do głowy, że może zajrzeć do środka. Znała pastora. Kiedy jeszcze żył. Zmarł w ubiegłym roku, a jego następca jeszcze się nie zjawiał. Obowiązki następcy z pewnością będą wykraczać poza obręb dwóch wsi. W jego gestii (może to będzie kobieta?) znajdują się cztery nieobsadzone parafie, a nawet pięć, bo dzisiaj już mało kto chodzi do kościoła. Nie chodzi nawet mama Jonathana.

Uczucia religijne nie odgrywały tu żadnej roli. Caroline chciała się po prostu schronić przed deszczem. Wyszła z psami na spacer – kościół stał półtora kilometra od ich domu (właściwie ogromnej posiadłości). Psy, nie bacząc na deszcz, wybiegły na cmentarzyk ze spuszczonej nosami i podniesionymi ogonami i krążyły między grobami jak szybkie odkurzaczki, a ich psie mózdzki pochłonięte były fenomenem nierozpoznanego terytorium i tysiącem nieznanymi woniami. Caroline czuła tylko jedną: łaskoczący, melancholijny zapach bujnej zieleni.

Psy zaznaczyły już kilka grobów i Caroline miała cichą nadzieję, że nikt jej nie szpieguje. Widzi, nie szpieguje. „Boże, ty masz jakąś paranoję, Caro – mówił Jonathan. – Właśnie tak kończą mieszczuchy”. Labradory należały do Jonathana. Wniósł je do małżeństwa. Dwa psy i dwoje dzieci, Jamesa i Hannah, Meg i Bruce’a. Meg i Bruce to psy. Dzieci i psy słuchały Jonathana, ale jej nie chciały być tak posłuszne. Psy wykazywały więcej dobrej woli niż dzieci. Kiedy rozpadało się na dobre, uwiązała psy na ganku przed wejściem do kościółka (szkoda, że nie mogłaby tego zrobić z dziećmi). Zanim poznała Jonathana, nie sądziła, żeby zdrobnieniem od Caroline mogło być Caro. Caro brzmiało bardzo po królewsku, jak ze

staromodnych powieści historycznych, które czytała namiętnie, gdy była młodsza. Dużo młodsza. Oczywiście Jonathan wywodził się ze środowiska – hrabstwa – w którym kobietom nadawano właśnie takie imiona jak Caroline. Albo Lucy, albo Amanda, albo Jemima, więc na pewno miał rację.

Podejrzewała, że musi istnieć jakiś fachowy kościelny termin określający ganek. Jeśli tak, to ona go nie знаła. Wiedziała, że jest wiele określeń na szkielet kościoła, jego kręgosłup, kości i żebra, że brzmią jak średniowieczna poezja – absyda, prezbiterium, nawa, transept, emporia, zakrystia, misericordia – ale nie bardzo była pewna ich znaczeń, z wyjątkiem jednego: misericordia, bo było to jedno z tych słów, które zapamiętuje się od razu, jak tylko wpadną w ucho.

Misericordie w kościele Świętej Anny były stare, rzeźbione w dębie, ale nie w takim, z jakiego zrobiono główne drzwi kościoła: szarym i wyblakłym, jakby drewno zostało wyrzucone na brzeg przez morze. Dąb misericordii miał kolor soczystego torfu albo mokrych liści herbaty. Jeśli ktoś się przyjrzał bliżej, mógł dostrzec rzeźbione groteskowe pogańskie stworki, bardziej przypominające goblinów niż ludzi, wkomponowane w liście albo gałęzie, tu za akantem, tam za liściem palmowym. To zapewne elf, tyle że takiego stworka można tu zobaczyć na końcu każdej ławy, więc raczej powinna mówić o elfach. Nie miała pojęcia, że w Yorkshire też są elfy, i tam, gdzie mieszkała wcześniej, kiedyś, w dawnym życiu, które niekiedy z trudem potrafiła sobie przypomnieć, też. A czasem pamiętała aż nadto dobrze.

Bardzo jej się podobało słowo misericordia. Wydawało się tak nieszczęsne, żalosne i nędzne, a przecież oznaczało coś innego: łagodne serce. Po łacinie *cor* znaczy serce. Z tego łacińskiego słówka pochodzą też inne słowa, kora albo kordialny, ale kardiologiczny już nie – to słowo przyszło za pośrednictwem łaciny z greki, w której słówko *kardia* znaczy serce (ale na pewno te słowa są powiązane na jakimś poziomie jakiejś starożytnej etymologii). Caroline nie miała w szkole ani łaciny, ani greki, ale kiedy skończyła szkołę i miała mnóstwo wolnego czasu, cierpliwie wczytywała się w kanon tekstów

klasycznych i podręczniki. Udało jej się przynajmniej poznać pochodzenie różnych słów. Umiała podążyć wstecz, wzdłuż ich gałęzi, konarów, pni, aż do korzeni. Także jej imię zawierało sercowy rdzeń *cor*, jeśli przestawić dwie literki. Caro. Cora. Cor. Podobnie rzecz się ma z krukiem, też można przestawić kilka literek. Z krukiem, który żywi się padliną – martwymi. A tu, jeśli się uklęknie na posadzce, co w tym kościele oznacza, że kłeka się na zimnym kamieniu płyty nagrobnej (nieboszczyk powinien być raczej zadowolony z towarzystwa), i spojrzy elfowi prosto w oczy, można w nich dostrzec odwieczny błysk szaleństwa i...

– Nic pani nie jest?

– Nie, nie – odparła Caroline. – Myślę, że nie.

Mężczyzna podał jej rękę, bo od klęczenia na kamiennej posadzce, na martwych, zeszytniały jej kolana. Rękę miał delikatną i, jak na kogoś, kto z całą pewnością jest żywy, raczej zimną.

– Nazywam się John Burton – powiedział (kordialnie).

– Jest pan bardzo młody – odpowiedziała Caroline. – Albo to znak, że się starzeję, skoro pastorki i policjanci wydają mi się zbyt młodzi.

Pastor (John Burton) się zaśmiał i powiedział:

– Moja matka zawsze mówiła, że jeśli biskupi wydają się zbyt młodzi, to jest to już powód do zmartwienia.

Caroline zastanawiała się, jak to jest mieszkać w świecie, w którym matka stroi sobie żarty z biskupów i w którym na ludzi mówi się Caro.

– Pan będzie nowym pastorem, tak? – zapytała Caroline.

Miał na sobie sutannę (tak się ten ubiór nazywa?), więc nietrudno było się domyślić. Spojrzał na swoją szatę i uśmiechnął się smętnie:

– Pani szanowna złapała mnie *in flagranti* – odparł zawadiacko, tyle że brzmiało to trochę śmiesznie, bo wypowiedział te słowa zmęczonym, dystygowanym tonem.

Głos Jonathana zachował (a może go nabrał) szorstkie brzmienie, ostre jak złamany wapień, co sprawiało, że miało się wrażenie, że jest poukładany i silny. Prawdziwy Heathcliff,

powiedziała kiedyś z ironią jej przyjaciółka Gillian, bo oczywiście był nadziany i wyedukowany za (bardzo) duże pieniądze, a jego matka przemawiała jak królowa.

– Ja też wiem, kim pani jest – oznajmił John Burton, mrużąc oko.

– Naprawdę? – zapytała.

I pomyślała: „Chyba flirtujemy, alez nie...”, a John Burton, wielbny John Burton, wyjaśnił:

– Oczywiście. Jest pani nauczycielką w naszej szkole podstawowej.

Caroline przemknęło tylko przez głowę: „Cholera!”, bo zawsze wołała, żeby nikt nie wiedział, kim jest. Absolutnie nikt.

Wcale nie miała w planach powtórnego zamążpójścia. W planach miała tyle, żeby się zaszyć w jakiejś dziurze i zrobić coś dobrego dla innych, jak dziewiętnastowieczni kwakrzy albo damulka z czasów wiktoriańskich porwana w wir filantropii. Myślała nawet, żeby wyjechać za granicę – do Indii albo do Afryki – jak prawdziwa misjonarka, żeby uczyć czytać i pisać afrykańskie kobiety albo hinduskich pariasów, bo aż nadto dobrze wiedziała, co znaczy być społecznym wyrzutkiem.

Przyjechała na północ z nadzieją, że to będzie miejsce z charakterem, surowe, industrialne. Ale wiedziała, że taki obraz północy uformowały w jej głowie książki, które czytała. Oczywiście nie było jak w *Północy i południu* albo w *Z soboty na niedzielę*, ale było to miejsce z charakterem i było postindustrialne, i było o wiele trudniej, niż sobie wyobrażała. Pierwszy rok, okres próbny, spędziła w Liverpoolu. Następnym kilka lat mieszkała w Oldham, aż w końcu osiadła w Manchesterze. Była supernauczycielką, choć oficjalnie tak się ta funkcja nie nazywała, wyspecjalizowaną w pracy z dziećmi z marginesu społecznego. Miała być ich zbawicielką, załatwiać w gehennie najgorszych dzielnic miasta wiele spraw naraz. Jej przeznaczeniem było trafić pewnego dnia do szkoły, którą rozsada od środka i którą ona będzie musiała spróbować ocalić od zagłady, tak jak kapitan próbuje ocalić tonący statek. Godziła się na to, było w tym coś dobrego, bo przecież miała pokutować, a zamiast wstępować do zakonu pokutniczek (ten

pomysł długo ją kusił), została nauczycielką, co prawdopodobnie było dla bliźnich zajęciem bardziej pożytecznym niż zamknięcie się przed wszystkimi i modlenie się przez dzień i noc co cztery godziny – choć oczywiście nigdy nie można być pewnym. Może nikt inny, tylko właśnie zamknięte w klasztorze kobiety modlące się na okrągło przez całą dobę są w stanie zapobiec tragicznemu kataklizmowi, upadkowi meteoru albo nuklearnej jatce?

Jej życie toczyło się według planu. Mieszkała w małym skromnym mieszkaniu: jeden pokój, białe ściany, świeczki zapachowe, wszystko proste (żyła jak świecki eremita). Kontakt z innymi mieszkańcami domu ograniczała do minimum. Czasem chodziła do kina z rozwódkami, czasem umawiała się z nimi na lampkę wina – gdzieś, gdzie nie było zbyt hałaśliwie na spokojną rozmowę. Najczęściej ubolewały nad brakiem odpowiednich mężczyzn – albo żonaty, albo gej! – jak zawsze. Jeśli już rozmawiały o prywatnych sprawach, to najczęściej mówiła krótko: „Jedno nieudane małżeństwo w zupełności mi wystarczy”. Tonem jednoznacznie sugerującym, że nie ma o czym gadać. Twierdziła, że ma przerwę w związkach, ale nie przyznawała się, jak długo ta przerwa trwa. Minęły dwadzieścia dwa lata, odkąd po raz ostatni była związana z mężczyzną! Rozwódki w średnim wieku byłyby w szoku, gdyby się dowiedziały. Z drugiej strony celibat przecież jak najbardziej przystoi eremitce. Czy może eremitce? Wielebny Burton z pewnością znalazłby odpowiedź na to pytanie („Proszę mi mówić po imieniu, na miłość boską! John!” – śmiał się). No tak, oczywiście w tym czasie kochała się z kobietami, więc trudno chyba mówić o prawdziwym celibacie.

Z Johna Burтона był wesoły gość. Niski i wąty, z rudawymi włosami. W niczym nie przypominał Jonathana. Miał w sobie jakąś słodycz, coś w rodzaju szczerzej, naturalnej dobroci. Było to bardzo przyjemne. Także on pokutował wcześniej w parafii w złej dzielnicy, ale poczuł się tym doświadczeniem złamany, więc zagrzebano go na wsi, jako rekonwalescenta. Jonathan nie należał do ludzi, którzy przechodzą załamania. Jonathan miał niewiarygodnie dobre maniere (wyniósł je z domu, od mamy,



i z katolickiego Ampleforth College, choć Weaverowie bynajmniej nie byli katolikami), co bardzo ją w nim pociągało, a pod tą skorupą był mocny i niezniszczalny jak skała, co również ją pociągało. (Nieugięty, adamantowy, to określenie doskonale do niego pasuje, z greckiego *adamas*, ale to jakieś niejasne słowo).

Gillian, przyjaciółka z kursu nauczycielskiego, zaprosiła ją raz w sierpniu na farmę rodziców – na długi weekend, w letnie święto bankowe. Szybko się zaprzyjaźniły, bo były starsze niż większość studentów. Nie były bliskimi przyjaciółkami – choć Gillian zdawało się, że bliższymi, niż były naprawdę. Gillian należała do osób kontaktowych i wesołych, czasem cynicznych, ale niekłótliwych. Więc po dłuższym i ciężkim namyśle Caroline zdecydowała się przyjąć zaproszenie. Weekend na wsi, mówiła sobie, cóż w tym złego? Prawda?

I było cudownie, naprawdę cudownie. Rodzice Gillian okazali się bardzo sympatyczni, jej mama nieustannie podsuwała im coś do jedzenia, a one nie odmawiały. Powtarzała, że to wspaniale, że są takimi niezależnymi „dziewczynami”, mają zawód, swoją karierę, swój kredyt hipoteczny i dokonują w życiu własnych wyborów, ale tak naprawdę chciała przez to powiedzieć, że Gillian – jej jedynemu dziecku – dawno stuknęła trzydziestka, a wnuka jak nie ma, tak nie ma. Więc kiedy?

Pokój gościnny był schludny i bardzo wygodny. Tak dobrze Caroline nie spała od lat. Może dlatego, że panował tam błogi spokój. Jedynymi docierającymi do jej uszu odgłosami były beczenie owiec, pianie koguta, niekończący się od świtu do zmierzchu śpiew ptactwa i ewentualnie, całkowicie do przyjęcia, odległy terkot traktora. Wokół unosiła się woń tak słodka, że zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatni raz było jej dane wdychać tak czyste i świeże powietrze. Widok z okna otwierał się na falującą zieleń doliny, splecioną kwiatami i utkaną kamieniami, których końca nie było widać. Ich szarość ginęła w nieskończoności. Pomyślała, że to najpiękniejszy widok, jaki widziała w życiu (choć zwykle widywała paskudne widoki), i zakochała się w tym krajobrazie, zanim jeszcze

zakochała się w Jonathanie, który w pewnym sensie był przedłużeniem i ucieleśnieniem życia na wsi.

Było gorąco, o wiele goręcej, niż mogła się spodziewać po Yorkshire. Choć skąd mogła wiedzieć, czego się spodziewać po Yorkshire, skoro nigdy tam nie była? („Co? Nigdy nie byłaś w krainie Pana Boga?” – śmiał się z przekąsem Jonathan. „W ogóle prawie nigdzie nie byłam” – odpowiedziała, bardzo szczerze).

W sobotę po południu Gillian zabrała ją na jarmark, bardzo mały, organizowany tylko dla mieszkańców doliny. „To nie to samo co Targi Yorkshire, nic w tym rodzaju, to raczej, wiesz, wiejski festyn” – powiedziała Gillian. Jarmark odbywał się w szczerym polu, kilka kilometrów dalej, na peryferiach sąsiedniej wsi, która „bardzo się Caroline spodoba”, bo „jest mozaiką niezwykle pocztówkowych widoków”. A Caroline tylko się uśmiechała i nic nie mówiła, bo owszem, pięknie tu. Całe Yorkshire jest piękne (Yorkshire to raczej stan ducha niż miejsce na ziemi), ale to jednak tylko wieś. Ale Gillian miała rację, ta wieś była platońską ideą wsi – kamienny jednoprzęsłowy most łukowy, potok upstrzony na brzegach tatarakiem i żółtym kosaćcem, wijący się jak wstęga między domkami z szarego kamienia, i jeszcze stara czerwona budka telefoniczna w ścianie starego domu, i jeszcze mała skrzynka na listy, a cała wioska zielona z białawymi plamami puszystych, gryzących trawę, nieuwiązanych owiec. („To owce rasy yorkshire – powiedział Jonathan. – Są większe”. Ale kiedy miesiąc później w mieście podzieliła się tą rewelacją z kolegą z kursu, ten niemal położył się ze śmiechu, a ona poczuła się jak ostatnia idiotka. Ale wtedy nosiła już na palcu zaręczynowy pierścionek z rubinem i brylantem, który kiedyś należał do babki Jonathana po mieczu. Dopiero później dowiedziała się od matki Jonathana, Roweny, że ona go nie przyjęła i że domagała się od ojca Jonathana, Garrarda, nowych brylantów, bo, jak mówiła, „nie ma zamiaru nosić używanych rzeczy”).

Nie trzeba dodawać, że Caroline nigdy w życiu nie była na żadnym jarmarku ani targu i że urzekło ją wszystko. Tak, właśnie to się stało – była urzeczona, zauroczona, oczarowana,

czesanyimi owcami, krowami z krawatkami, czystymi i pokwikującymi wesoło świniami, letnimi namiotami, w których wystawiono nagradzane na konkursach powidła, owocowe biszkopty, chusty robione na szydełku i eleganckie kamizelki robione na drutach, i jeszcze urzekły ją wystawy dyń, ziemniaków, porów i róż, i jeszcze indyjska herbata podawana w ciepłym namiocie pachnącym łąkami, i jeszcze pastor – zwalisty mężczyzna o ogorzałej twarzy starego pijaczyny – który dokonał uroczystego otwarcia jarmarku. Tryskał humorem i sypał dowcipami jak z rękawa (ale nie dorównywał swemu następcy, Johnowi Burtonowi). Była też furgonetka z lodami wygrywająca różne melodyjki, było boisko do zabaw dla dzieci i była cudowna, wiekowa, kolorowa, mała karuzela. To wszystko było jak z bajki. Nierzeczywiste. Śmieszne. Caroline wydawało się, że lada moment na stacji zatrzyma się ciuchcia parowa i wyskoczy z niej hałastra z filmu *Heartbeat*. Ale zamiast nich na peronie zjawiał się Jonathan Weaver. Nie wyskoczył z pociągu na peron, tylko szedł po nim wyprostowany, sprężystym krokiem. „Ma takie uda, bo skakał konno przez przeszkody – szeptała Gillian. – Amatorsko, ale mówią, że mógłby zająć wysoko”. Och, jeszcze trochę i poczuje się jak bohaterka romansideł Jilly Cooper.

– Arystokracja bez tytułów – powiedziała Gillian. – Wiesz, stara chłopska rodzina, na wsi z dziada pradziada, tyle że dyletanci, nie prawdziwi rolnicy – dodała gorzko.

– Dlaczego?

– Bo dochody czerpią z innych źródeł, wielu źródeł. Mają dzierżawy w Londynie, grunty, no i wiesz, lichwa, sprzedaż niewolników, ludzie zarabiają gdzie się da... W gospodarstwo tylko się bawią. Ich owce i krowy red devon wyglądają, jakby je wypasała sama Maria Antonina, a nie zapominajmy, że to region owiec, gdzie owca to tylko owca. Budynki na ich farmie są zmodernizowane i mają centralne ogrzewanie. Odbudowują też starą ogrodową kuchnię, oczywiście za publiczne pieniądze, z funduszy ochrony zabytków. Nic dodać, nic ująć.

Caroline nie pojmowała tej diatryby w ustach córki farmera, więc przytaknęła tylko:

– Aha...

Gillian nagle się roześmiała.

– Ale, Chryste, któregoś dnia ostro go wydymam, jak Bożę kocham!

Pamięta, że stała przed wystawą „najlepszych dżemów truskawkowych”. Słoiki były okryte płóciennymi czepkami w kratę i obwiązane słomianą plecionką, jakby wyszły z ilustracji w *Ziemiańskich zapiskach pani domu za króla Edwarda*, i miały kolorowe rozetki i doczepione do nich etykiety z rekomendacją. Caroline pomyślała właśnie, że musi posmakować nagrodzonych dżemów, a nie tylko na nie popatrzeć, kiedy nagle u jej boku stanął on. Przedstawił się, a ona chyba doznała jakiegoś zamroczenia, bo do dziś ma czarną lukę w pamięci. Następne, co pamięta, to to, że siedzi na tylnym siedzeniu jego range rovera i jedzie do jego domu. Mówił coś kurtuazyjnie o zaproszeniu do domu na „filiżankę herbaty”, ale do działania pchnęły ją zapewne pożądanie, czysta chuć, cholernie długa wstrzeźliwość. Pojechała, zostawiając na targu Gillian, wściekłą jak diabli (i słusznie), że na oczach ludzi odchodzi z mężczyzną, którego ledwie poznała.

Jechali drogą długą i prostą jak strzełił, przez lasy i parki, i już po pięciu minutach zorientowała się, że ta droga i ten park, i wszystko należy do niego. Boże kochany, do niego należał pejzaż. Choć pożądanie zaprowadziło ją naprawdę daleko, była pewna, że zaproszenie na herbatę nie będzie oznaczało nic więcej ponad herbatę w wytworkim, przeciętym smugami światła salonie, z obrazami z psami gończymi i końmi na ścianach, że będą w tym salonie stały duże sofy obite bladocytrynowym jedwabnym adamaszkiem i że będzie tam stał prawdziwy fortepian, a na nim rodzinne fotografie oprawione w ciężkie srebrne ramki (to wyobrażenie zostało jej ze szkolnych wycieczek do historycznych posiadłości ziemskich). Widziała siebie, jak siedzi na skraju jednej z cytrynowych adamaszkowych sof, trochę nerwowo, a obok siedzi matka Jonathana, nad wytworkną tacką z herbatą – ach, cudowna stara porcelana – i zadaje jej uprzejme pytania o „fascynujące” życie w mieście.

W rzeczywistości matka Jonathana została na jarmarku, z wdziękiem prezentowała rozetki członkom klubu jeździeckiego, a Jonathan i Caroline nawet nie dotarli do salonu (który później okazał się zupełnie niepodobny do tego, co Caroline sobie wyobrażała), bo od razu przeszli na tyły domu i Jonathan wprowadził ją do czegoś, co kiedyś było pomywalnią, i nie weszli jeszcze do środka, kiedy zaczął zsuwać z niej majtki, a potem położył ją na drewnianym stole, na który kiedyś odstawiano umyte naczynia, i wszedł w nią z siłą mocarza, nie czekając na nic, a ona złapała się (jakże poręcznych) kranów przy dużym kwadratowym zlewie – „Słodki Jezu, to się nazywa ostra jazda!”. A teraz, proszę, jeździ land roverem, najnowszym modelem discovery, kupuje ciuchy w szykownym sklepie Country Casuals w Harrogate i zasiada naprzeciwko niego za stołem (mahoniowy, chippendale) z dwojgiem jego dzieciaków. Czy ktoś mógłby jej, do ciężkiej cholery, powiedzieć, jak do tego doszło?

– Cóż – powiedział John Burton. – Na mnie już czas.

Siedzieli w kościelnej ławie, ramię przy ramieniu, blisko, ale nie odzywali się do siebie słowem. Tak właśnie jest w kościele. Można tam siedzieć godzinami bez słowa i nikt nie pyta dlaczego. Deszcz prawie przestał padać, choć przez główne drzwi wciąż wyczuwało się jego woń – lata i zieleni.

– Przestaje padać – powiedział.

– Tak, chyba tak – przytaknęła Caroline.

Wstał i odprowadził ją do wyjścia. Psy drzemały na ganku, ale na jej widok zerwały się na cztery łapy i dały pokaz prawdziwej psiej radości, choć wiedziała, że im na niej nie zależy.

– To... do widzenia – pożegnał się John Burton i jeszcze raz uścisnął jej rękę.

Poczuła w sercu lekkie kołatanie, jakby budziło się w niej coś, co od dawna drzemało. Wsiadł na rower i pojechał. Odwrócił się jeszcze nieporadnie, żeby jej pomachać, i zachwiał się śmiesznie. Stała i patrzyła, jak się oddala, nie zwracając uwagi na przyskakujące do niej psy. Zakochała się. Ot, po prostu. Co za wariactwo, absolutne wariactwo.

## Jackson

Ostatnia droga Victora wydzwignęła minimalizm na nowy poziom surowości i prostoty. Na ceremonii obecni byli tylko Jackson, Julia i Amelia – chyba że liczyć jeszcze Victora bezgłośnie rozkładającego się w taniej fornirowanej dębowej trumnie, której (co było uderzająco smutne) nie ozdabiał żaden wieniec ani żaden bukiet kwiatów. Tymczasem Jackson spodziewał się pewnego zainteresowania. Wyobrażał sobie, że ceremonia odbędzie się w kaplicy St John's, w dawnym college'u zmarłego, że koledzy wygłoszą na jego cześć krótkie przemówienie, że odprawione zostanie nudne eklezjalnoanglikańskie nabożeństwo, przerywane hymnami żałobnymi śpiewanymi przez fałszujący chórek przy akompaniamencie tnących po uszach organów.

Amelia i Julia siedziały w pierwszej ławie. Jacksonowi udało się odmówić, nie usiadł między nimi, na miejscu nigdy nienarodzonego syna Victora. Pochylił się do przodu.

– Dlaczego nikt nie przyszedł?

Formalnie przyszedł służbowo. Chciał zobaczyć, kto się pokaże na jego pogrzebie. Ostatecznie doszedł do wniosku, że nikt jest równie interesujące jak ktoś.

– Nikt nie przyszedł, bo nikogo nie powiadomiłyśmy – wyjaśniła Amelia takim tonem, jakby było to najbardziej oczywiste wyjaśnienie w świecie.

Amelia nie ubrała się na pogrzeb ojca na czarno. Nie miała na sobie nic, co by wskazywało na żałobę. Przeciwnie, miała na sobie obcisłe wełniane rajstopy w kolorze jasnego szkarłatu. Przyciągały spojrzenia. Jackson zastanawiał się, czy nie ma w tym ukrytej symboliki – może jakiś zapomniany zwyczaj wyniesiony z uniwersyteckich tradycji Cambridge, nakazujący intelektualistkom włożyć na pogrzeb rodzica nie czarne, lecz

czerwone rajstopy. Wydawało się zresztą, że zapomniane zwyczaje Cambridge rządzą tu większością spraw (przepraszam, zwyczaje Oksfordu). Po co nosić wełniane pończochy w środku upalnego lata? W kaplicy panował co prawda chłód, dzięki klimatyzacji, ale na zewnątrz żar lał się z nieba. Julia nie była lepsza. Ona także nie przejęła się żałobą i od stóp do głów opatuliła się w długi po kostki welwetowy płaszcz w kolorze soczystej zieleni (czy one są zimnokrwiste jak gady?). Jej rozszalałe włosy wyglądały, jakby je fryzowała sfera cyrkowych piesków. Jackson, w czarnym garniturze i stonowanym ciemnym krawacie, zdawał się jedyną osobą stosownie ubraną i pogrążoną w żałobie po Victorze Landzie.

Mosiężne nogi Amelii przypominały mu nogi ptaka, którego widział ostatnio w telewizyjnym programie National Geographic w poczekalni u dentysty.

Julia odwróciła się do niego.

– Zawsze przy tego rodzaju okazjach – powiedziała – no, może nie akurat takich – bezceremonialnie wskazała głową na trumnę – ale, wie pan, przy okazji rodzinnych spotkań, świąt Bożego Narodzenia, urodzin myślę sobie, że zaraz zjawi się Olivia.

– To śmieszne – sarknęła Amelia.

– Wiem.

Obie zamilkły i pogrążyły się w smutku, ale po chwili Julia znowu się odwróciła.

– Bardzo panu do twarzy w garniturze, panie Brodie – powiedziała z uwodzicielskim uśmiechem.

Amelia obrzuciła ją karcącym spojrzeniem. Oczy Julii były lekko wilgotne od łez, a jej głos trochę się załamywał, choć utrzymywała, że to z powodu kataru siennego, a nie żalu po stracie ojca: „Tak mówię, żeby pan sobie źle nie pomyślał”. Julia zaproponowała Jacksonowi przeciwalergiczne krople do nosa w aerozolu, ale Jackson grzecznie podziękował. Nigdy w życiu nie był na nic uczulony (no, najwyżej na ludzi) i uważał się za człowieka krzepkiego, mocnej, północnej budowy. Widział ostatnio na Discovery film dokumentalny, w którym dowodzono, że ludzie Północy zachowali po wikingach dobre,

harde DNA. Tymczasem ludzie Południa mają w genach coś miękkiego, anglosaskiego i francuskiego.

– Dekoracje są takie ponure... – szepnęła dość głośno Julia.

Amelia fuknęła zniecierpliwiona, że to nie teatr i że Julia zachowuje się jak irytujący wszystkich obcy człowiek.

– Co takiego? – oburzyła się Julia. – Tatuś chyba nie wyskoczy z trumny i nie pogrozi mi palcem, hm?

Na myśl o tym przez twarz Amelii przebiegł gwałtowny skurcz przerażenia. Na szczęście wizja zwałonego wieka trumny i podnoszącego się z niej Victora zamknęła im usta, chociaż na chwilę. Najnudniejsze nabożeństwo anglikańskie jest lepsze od nieustannego świergotania sióstr Land.

W drodze na pogrzeb Jackson zatrzymał się w dawnej kancelarii Holroyd, Wyre & Stanton, gdzie obecnie mieścił się salon piękności o nazwie Świat Rozkoszy – terapia pięknem. Terapeuci – tak się określali. Jemu kojarzyło się to raczej z psychiatrią niż z manikiurem i maseczką na twarzy. Uzdrawiać ludzi za pomocą piękna? Niby jak? Muzyką? Poezją? Pejzażami? Seksem? A on, Jackson, po co sięga, kiedy chce się uzdrowić? Po piosenkę Emmylou Harris *Z Boulder do Birmingham*. Po zdjęcie bużki córki. Trochę to staromodne, ale skuteczne.

Theo miał w domu jeden taki pokój. Zaprosił go do siebie specjalnie po to, żeby mu go pokazać. Jackson nie potrafiłby mieszkać w domu, w którym byłoby coś takiego. Sypialnia na piętrze. Przypominała raczej pokój śledczych na posterunku policji niż sypialnię – do ścian przypięto pinezkami mapy i fotografie, wykresy, tablice do zapisków, harmonogramy. Dwie metalowe szafki z szufladami na akta, wypełnione po brzegi, i jeszcze więcej akt w pudłach na podłodze. Swoje miejsce znalazło w tym pokoju wszystko, co w jakikolwiek sposób mogłoby się odnosić do śmierci Laury. Co więcej, wielu ze zgromadzonych tam rzeczy Theo nie miał prawa posiadać, na przykład fotografii z miejsca zbrodni, które nie wisiały co prawda na ścianie (Jackson dziękował mu w duchu za tę odrobinę litości), lecz które wydobył z jednej z przepastnych szuflad – potworne zdjęcia zwłok córki, które traktował



z chłodnym profesjonalizmem, jakby to były mogące zainteresować Jacksona fotki z wakacji. Jackson wiedział, że czas zrobił swoje, zahartował Theo i uodpornił na każdą potworność, ale mimo wszystko był wstrząśnięty.

– Mam trochę kontaktów – wyjaśnił Theo, nie wdając się w szczegóły.

Był prawnikiem, a prawnicy mają kontakty. Jackson wiedział o tym z własnego doświadczenia.

Ostatnich dziesięć lat życia Theo poświęcił wyłącznie wyjaśnianiu okoliczności śmierci córki. Powinien był czy też było to czyste szaleństwo? Pokój wyglądał tak, jakby należał do psychopaty, nie takiego psychopaty, z jakimi Jacksonowi zdarzało się zetknąć, tylko takiego z powieści kryminalnych albo programów telewizyjnych. Jackson uważał, że w telewizji powinni puszczać więcej programów dokumentalnych o przestępstwach popełnianych przez czternastolatków, którzy nawąchali się kleju, byli naćpani, napici albo po prostu znudzeni. Takie programy byłyby o wiele bardziej realistyczne, ale za to o wiele mniej interesujące.

Jackson patrzył na trumnę Victora. Zaczął myśleć o pogrzebie Laury Wyre. Jeśli wierzyć gazetom, uczestniczyły w nim setki osób. Theo nie bardzo to pamiętał, choć zebrał bodaj wszystkie wycinki prasowe z tamtego dnia. Kiedy Jackson zapytał go o pogrzeb córki, oczy zaczęły mu biegać z lewej na prawą, jakby jego umysł nagle odłączył się od pamięci. Są przecież etapy, przez jakie przechodzi każdy człowiek, który traci najbliższą osobę – szok, zaprzeczanie, poczucie winy, złość, depresja, wreszcie zgoda, chwila, kiedy człowiek ma szansę wyjść z drugiego końca ciemnego tunelu i zacząć znowu normalnie żyć. Jackson przeszedł terapię po stracie. Jego szkoła opłacała kogoś z Ośrodka Pomocy Psychiatrycznej dla Młodzieży z Zachodniego Yorkshire. Nazwa dość nadęta, jeśli się popatrzyło na jej reprezentanta, zgarbionego, niskiego psychologa o ryżawych włosach, którego oddech zalatywał surową cebulą i który rozmawiał z Jacksonem w malutkim tymczasowym magazynie, pełniącym też w szkole funkcję gabinetu pielęgniarki. Rudowłosy brodac

tłumaczył mu, że musi się żyć dalej, ale on miał dwanaście lat i nie bardzo wiedział, jak żył dotychczas, więc nie bardzo wiedział, jak miałby żyć dalej ani w jakim kierunku ma się jego życie potoczyć.

Mógł się tylko domyślać, ile razy ludzie radzili Theo, żeby o wszystkim zapomniał i nauczył się żyć dalej. Ale Theo Wyre ugrzązł na początku pierwszego etapu traumy, w miejscu, które zbudował tylko dla siebie i w którym, jak mu się zdawało, jeśli będzie się starał, odzyska córkę. To nie mogło się spełnić. Jackson wiedział, że zmarli nigdy nie wracają do życia. Nigdy.

Jasnożółty sweter golfisty. To trop. Trop, który powinien ich doprowadzić do zabójcy. Żaden z klientów Wyre'a nie grał w golfa (golf jest dyscypliną królewską? Czy tenis?). Obojętność wobec tej dyscypliny sportu wśród jego klienteli brała się stąd, że zdecydowaną jej większość stanowiły kobiety. Sprawy, które prowadził, dotyczyły niemal wyłącznie kwestii małżeńskich i rodzinnych. (Dlaczego więc w dniu, kiedy zginęła Laura, pojechał do Peterborough w sprawie sporu o granicę między gruntami?) Niezwykle przygnębiającym zajęciem było przeglądanie spraw, które prowadził. Niekończący się pochód kobiet bitych, maltretowanych, poniżanych i pokonanych, nie wspominając już o tych, które po prostu nie były w małżeństwie szczęśliwe, bo nie mogły już znieść widoku capa, za którego zdarzyło im się wyjść. Była to swego rodzaju bezcenna lekcja (której tematem zdarzyło się być także Jacksonowi), bo Theo okazał się wytrawnym kolekcjonerem banalnych szczegółów historii upadku, całej litanii drobnych uchybień i ledwie widocznych szczelin, do których ktoś z zewnątrz nie przywiązywałby wagi, ale które od środka wyglądają jak przepaście nie do pokonania: „Kupuje mi goździki, pan sobie wyobrazi, goździki to gównno, każda kobieta wie, że to gównno, ale on oczywiście nie wie!”. „Nigdy nie pomyśli o tym, żeby splukać muszlę klozetową płynem dezynfekującym, choć podstawiam mu butelkę tak, że mógłby się o nią potknąć, i proszę o to, setki razy proszę”. „Jeśli już prasuje, to patrzy na mnie tak, jakby mówił: popatrz, jak trzymam żelazko, bardzo dobrze umiem prasować, lepiej od

ciebie, jestem najlepszy, robię to dokładnie tak jak trzeba”. „Owszem, przyniesie mi śniadanie do łóżka, jeśli go o to poproszę, ale ja nie chcę go o to prosić!” Czy faceci wiedzą, jak bardzo potrafią wkurzyć kobiety? Theo Wyre wiedział na pewno.

Jackson taki nie był. Zawsze był dobry. Nie zostawiał po sobie podniesionej deski sedesowej i tak dalej, i tak dalej, ale w domu przegrywał z kobietami liczebnie: dwie na jednego. Wyrastanie na mężczyzn zabiera chłopcom trochę czasu, a dziewczęta stają się kobietami jak na zawołanie. Jackson miał nadzieję na jeszcze jedno dziecko, nie miałby nic przeciwko drugiej córce. Właściwie nie miałby nic przeciwko pięciu albo sześciu córkom. Chłopców znał nadto dobrze, a dziewczęta były nadzwyczajne. Ale Josie nie wykazywała zainteresowania rodzeniem kolejnych dzieci, a kiedy przy jakiejś okazji poruszył tę kwestię, spojrzała na niego spode łba i powiedziała, że jeśli chce mieć jeszcze dzieci, „to niech sobie ma”.

Czy ktoś, kto nie interesuje się golfem, może chodzić w swetrze golfisty? Jeśli tak, to co czyni taki sweter „golfowym”, skoro niewiele się różni od zwykłego swetra? Jackson przeglądał policyjne zdjęcia, aż w końcu znalazł zdjęcie kogoś w żółtym swetrze. Świadkowie zgadzali się, że „bardzo podobny” sweter miał na sobie morderca Laury Wyre. Świadkowie mogli pleść bzdury. Jackson przysunął sobie zdjęcie do oczu i przyjrzał się logo wyszytemu na swetrze. Jakiś klub golfowy. Czy ktokolwiek chodziłby w takim swetrze, gdyby nie był golfistą? Owszem, można taki sweter kupić w komisie i cieszyć się z zakupu, bo to materiał dobrej jakości (sześćdziesiąt procent wełny jagnięcej i czterdzieści procent kaszmiru), a w komisie każdego na taki sweter stać.

Żółty kolor ostrzega przed niebezpieczeństwem. Żółte są małe jadowite żaby. Włosy bezdomnej dziewczyny na St Andrew's Street dziś rano też miały kolor jadowitej żaby. Niemal się o nią przewrócił, kiedy szedł do Świata Rozkoszy. Był z nią pies, mieszaniec charta i owczarka.

– Może mi pan pomóc? – zapytała go bezdomna dziewczyna.  
Jackson przykucnęła, żeby nad nią nie górować.

– W czym miałbym ci pomóc? – zapytał.

Spojrzała gdzieś daleko nieobecny wzrokiem.

– Nie wiem.

Miała zaniedbaną, zniszczoną skórę. Wyglądała na ćpunkę, zupełnego wykołajca. Był spóźniony, więc zostawił dziewczynę o żółtych włosach, ale odchodząc, pomyślał, że jak będzie wracał, zapyta, jak się nazywa.

Może to mąż którejś z tych niezadowolonych kobiet, których akta wypełniały szuflady Wyre'a? Czy któryś z nich grał w golfa? Policja dokładnie sprawdziła każdego z nich i znalazła dwóch zapalonych golfistów. Obaj mieli żelazne alibi. Śledczy przejrzeni na wylot wszystkich „byłych” pod kątem resentymentów, żalów i uraz, jakie pozostają po rozwodach, romansach, sporach o opiekę nad dzieckiem, o alimenty czy łóżenie na dzieci. Nie byli w stanie wytypować ani jednego podejrzanego. Wszystkich przesłuchali, wszyscy musieli przedstawić alibi. Od wszystkich pobrali próbki DNA i odciski palców, chociaż na miejscu zbrodni nie odnaleziono ani odcisków, ani śladów DNA, bo zabójca niczego nie dotknął, nie otworzył nawet drzwi – drzwi były niedomknięte i, jak zeznała recepcjonistka (Moira Tyler), popchnął je łokciem. Nic więcej nie potrzebował. Szybki marsz do sali konferencyjnej w końcu korytarza, ciach, ciach i odwrót. Bez awantur, bez krzyków, bez imion, bez dawania upustu wściekłości. Zachowywał się raczej jak zawodowy zabójca niż jak zbrodniarz działający w afekcie. *Crime passionel*. Zabrał ze sobą nóż. Nigdy go nie odnaleziono.

Jackson wnikliwie przyjrzał się „byłym”, którym sąd zakazał kontaktowania się z byłymi żonami. *Nada. Rien*. Przesłuchano wszystkich i wszyscy przedstawili alibi nie do podważenia. Jeśli natomiast chodzi o podejrzenie, że zabójcą był ktoś z kręgu osobistych znajomych Wyre'a, to... Cóż, Wyre nie miał osobistego życia, poza oczywiście córkami, poza Laurą. Właściwie ani razu nie wspomniał o drugiej córce, Jennifer. (Dlaczego?).

Julia zdawała się drzemać. Amelia wpołleżała w fotelu i pochmurnym wzrokiem wpatrywała się w dywan. Zachowywała się okropnie. Jackson spodziewał się, że ktoś

powie kilka słów o zmarłym, że nie wiadomo skąd zjawi się pastor i zanim wyśle Victora w zaświaty, wygłosi kilka zwyczajowych zdań. Był więc zdumiony, gdy trumna z Victorem, bez najmniejszej zapowiedzi, nagle drgnęła, powoli zaczęła się oddalać, aż wreszcie zniknęła za kotarą. Tyle było w tym ceremonii, ile jest przy odbieraniu bagażu w hali przylotów na lotnisku.

– To wszystko? – zapytał Julię. Był zdziwiony.

– A czego się pan spodziewał? – odpowiedziała Amelia. Wstała i w swych kardynalskich rajstopach powolnym krokiem wyszła z kaplicy.

Julia wzięła go pod rękę. Przyciągnęła go lekko do siebie i wyszli z kaplicy razem, niczym nowożeńcy.

– Nic nie odbyło się wbrew przepisom – powiedziała ożywionym głosem. – Sprawdziłyśmy.

Było gorąco, pogoda absolutnie nie na pogrzeb, a Julia, która natychmiast po wyjściu z kaplicy zaczęła kichać, zachichotała i powiedziała wesoło:

– Gorąco, ale nie tak jak u taty.

Jackson założył okulary przeciwsłoneczne.

– Oh la la! – zaśpiewała Julia. – Jak serio pan wygląda, panie B. Jak tajny agent.

Amelia wydała jakiś odgłos, jakby była zniecierpliwiona, coś jak chrumknięcie świni. Stała na chodniku i czekała na nich demonstracyjnie.

– To naprawdę wszystko? – zapytał jeszcze raz Jackson, zręcznie wyzwalając się z uścisku.

– Oczywiście, że nie – odparła Amelia. – Teraz zapraszamy pana na herbatę i placek ze śliwkami.

– Gdyby pan był psem, to jakiej rasy? Jak pan myśli? – Julia wpakowała sobie do ust duży kawałek placka.

– Nie mam pojęcia. – Jackson wzruszył ramionami. – Może labradorem.

– Nie! – krzyknęły równocześnie z niedowierzaniem, jakby był niepoczytalny. Jak mógł pomyśleć o tej rasie!

– W żadnym razie nie jest pan podobny do labradora, panie Jackson! – oznajmiła Julia. – Labradory są takie prozaiczne.

– Czekoladowe labradory nie są takie złe – uściśliła Amelia.  
– To żółte są takie... marudne.

– Czekoladowe... – Julia roześmiała się głośno. – Zawsze mi się wydaje, że można je spalaśzować.

– Ja myślę, że pan Brodie byłby wyżłem angielskim, pointerem – orzekła Amelia zdecydowanym tonem.

– Doprawdy? – zapytała Julia. – Ojejku! Nigdy bym nie pomyślała.

Jackson nie sądził, że w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze może mówić ojejku. Siostry Land były bardzo głośne. Tak głośne, że wprawiały go w zakłopotanie. Wolałby, żeby się zachowywały trochę powściągliwiej. Owszem, mieszkańcy Cambridge są stuknięci. To miejscowa choroba zakaźna. Więc niczym szczególnym się nie wyróżniały. Spaliłby się ze wstydu, gdyby przyszło mu siedzieć z nimi w kawiarni w jakimś miasteczku u siebie na północy, gdzie od zarania dziejów nikt nigdy nie powiedział czegoś takiego jak ojejku. Pomyślał, że obie wydają się wyjątkowo wesołe i kokietyjne, obie w nastroju, który raczej nie bardzo oddaje stan duszy, jakiego należałoby się spodziewać po kimś, kto właśnie skremował ojca.

Julia zamówiła drugą filiżankę herbaty. Było za gorąco na herbatę. Jacksonowi marzył się kufel lodowatego piwa. Na białej filiżance Julii pojawił się czerwony ślad szminki. Jacksonowi nagle przypomniała się siostra. Malowała usta mniej jaskrawo – pastelowy róż – i na każdym kubku, na każdej filiżance, z której piła, zostawiała ten upiorny ślad. Myśl o Niamh zaciążyła mu na sercu. Wcale nie w przenośni, dosłownie. Poczul ten ciężar fizycznie.

– Nie sądzę – odezwała się po dłuższej chwili Julia, zastanowiwszy się nad kwestią psa. (Czy one kiedykolwiek się zgadzały?). – Nie, na pewno nie wyżeł, a już na pewno nie angielski. Powiedzmy może, że wyżłem duńskim, starym wyżłem duńskim. To stary to tylko nazwa, panie Brodie, niech pan nie myśli, że wytykam panu wiek. Albo może dużym francuskim, d u ż y to także nazwa, panie Brodie. Ale wiesz, Milly, ja myślę, że pan Brodie to owczarek niemiecki. Można

w ciemno powiedzieć, że dzielnie wyciągnąłby cię z płonącego budynku albo z wezbranej rzeki. On by cię uratował!  
– Odwróciła się do Jacksona i posłała mu wspaniały teatralny uśmiech. – Czyż nie?

– Czyż nie?

Amelia wstała z krzesła i oświadczyła donośnym głosem:

– Wszystko pięknie ładnie, ale nie możemy się zabawiać cały dzień.

Julia także wstała.

– Co racja, to racja. Chodźmy, Milly, raz-dwa, muszę zrobić zakupy – i dodała: – Jako tajny klient.

– Nie znoszę tych twoich tajnych zakupów – jęknęła Amelia.

Jackson wyciągnął portfel, żeby zapłacić. W portfelu trzymał zdjęcie Olivii i za każdym razem, kiedy go otwierał, żeby wydobyc jedną ze swych ledwie zipiących kart kredytowych, widział jej twarz. Uśmiechała się do niego szeroko. Oczywiście nie do niego, tylko do tego, kto zrobił jej zdjęcie.

– To mama – wyjaśniła Julia. – Tato nigdy nie robił zdjęć.

Wszyscy troje ze smutkiem patrzyli na zdjęcie.

– Zostałyśmy tylko my, Julia i ja – powiedziała Amelia.

– Jedyne dwie osoby na całym świecie, które pamiętają jeszcze Olivię. Nie możemy się położyć do grobu, dopóki się nie dowiemy, co się z nią stało.

– Dlaczego teraz, po tylu latach? – zapytał Jackson.

– Wcale nie po tylu latach – odparła Amelia, trochę urażona.

– Nigdy nie zapomnialiśmy o Olivii. To dlatego, że znalazłyśmy Niebieską Myszkę. Zresztą nie wiem, może to ona nas znalazła.

– Wszystkie trzy pamiętamy Olivię – poprawiła siostrę Julia.

– Nie zapominajmy o Sylvii.

– Sylvia?

– To nasza najstarsza siostra – rzuciła Amelia obojętnym tonem.

Jackson czekał. Pozwolił, żeby długie milczenie jeszcze raz zadało to pytanie. Wreszcie odpowiedziała Julia:

– Jest zakonnica.

– Kiedy szanowne panie miały zamiar mnie o tym

poinformować? – zapytał. Starał się nie okazać, że robi się coraz bardziej zły.

– Właśnie mówimy – oświadczyła niczym niezrażona Julia, jakby była ucieleśnieniem rozsądku. – Niech pan nie będzie takim zrzędą, panie Brodie. Jest pan o wiele sympatyczniejszy, niż pan udaje.

– Nie, nie jestem.

– Ależ tak!

(Boże, niech już sobie pójdą). Nagle ku jego zaskoczeniu Julia wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję, że przyszedł pan na pogrzeb. I w ogóle za wszystko.

Jackson zaczynał się martwić, że się spóźni. W drodze na parking musiał się przedzierać przez stada zagranicznych studentów, zupełnie niepomnych tego, że poza dorastającymi nastolatkami na tej planecie żyją też inni ludzie. Cambridge latem, zalane przez mieszaninę turystów i nastolatków z zagranicy, zesłanych na ziemię, by śmiecić – tak Jackson wyobrażał sobie piekło. Wydawało się, że wśród tych uczących się angielskiego studentów nie było ani jednego, który by nie był ubrany na wojskowo, w khaki i kamuflaż, jakby trwała wojna, a oni byli żołnierzami. (Boże uchowaj, niech to nie będzie prawda). Do tego jeszcze rowery. Dlaczego ludziom się wydaje, że rower to dobra rzecz? Dlaczego rowerzyści są tacy z siebie zadowoleni? Dlaczego jeżdżą po chodnikach, kiedy obok mają doskonałe ścieżki rowerowe? Kto w ogóle wpadł na pomysł, żeby wypożyczać rower młodocianemu studentowi z Włoch? Jeśli piekło naprawdę istnieje, w co nie wątpił, rządzą w nim piętnastoletni Włosi na rowerach.

Turyści... Ślepo zauroczeni uniwersytetem i historią, jakby nie chcieli widzieć, co się za tym kryje – pieniądze i władza. Ogromne połacie gruntów należące do college'ów. Nie tylko w Cambridge, choć Cambridge należało do nich w zasadniczej większości. To college'e miały największy wpływ na to, komu wydawano licencje, oddawano ziemię w dzierżawę i Bóg wie co jeszcze. Ktoś mu kiedyś powiedział, że mógłby przemierzyć Anglię wzdłuż i wszerz i nigdy nie opuścić terenu należącego do



Trinity College. Żeby obejrzeć wszystkie te piękne zakątki i ogrody, trzeba zapłacić. Bogactwo i przywileje w rękach tak niewielu osób, a na ulicach miasta pełno bezdomnych, żebraków, pijaków i pomyleńców. Można odnieść wrażenie, że Cambridge charakteryzuje szczególnie wysoki odsetek ludzi obłąkanych.

Mimo wszystko – choć nie było wielkiej różnicy – Jackson wolał ten letni zalew gości z zagranicy od ponurego okresu sesji, z mnóstwem nadętych paniczek, którym nie zamykają się buzie. Może to zazdrość człowieka z niższych sfer? Może to głos ojca słyszał w głowie? Martwił się, że naprawdę powoli zamienia się w starego zrzędę. Może nie ma nic złego w byciu starym zrzędą? W każdym razie permanentny ból zęba nie pomagał mu tego zmienić. („Konieczne jest leczenie endodontyczne” – mruknęła Sharon nad jego uchem podczas ostatniej wizyty).

Przed domem nie było miejsca, więc zaparkował podwójnie, blokując jakiś samochód. Drewniane weneckie żaluzje w oknach były podciągnięte tak, że z daleka widział wnętrze salonu – regały z książkami po sufit, palmy w donicach, duże kanapy – stare i trochę zaniedbane, ale w artystycznym guście. Ulica była zastawiona dużymi samochodami terenowymi, motoryzacyjna moda dla młodych matek z wyższych sfer. Na tylnej szybie obowiązkowo naklejka „Małe dziecko” albo „Uwaga, dziecko!”. Zapalił papierosa i jako antidotum włączył *Stary, dobry świat* w wykonaniu Lucindy Williams. Nad bramą unosiły się uwiązane do filarów balony, oznaczające, że w domu jest *en fête*. Z ogrodu na tyłach dobiegły piski dziewczynek. Wypełniły powietrze niczym krzyki potwornych prehistorycznych ptaków. Samochody były puste, kierowcy i pasażerowie byli już w środku. Ale on postanowił zostać w samochodzie. Nie czuł się na siłach stanąć oko w oko ze wścibskim kobiecym światkiem, którego mdłe ciepełko, takie miał wrażenie, otaczało go zawsze, gdy zdarzało mu się wejść w stadko młodych matek.

Przejrzał pobieżnie kilka spośród dziesiątek kart i teczek, które zabrał z domu Wyre'a. Tamten pokój – pokój śledczych,

bo już tylko tak o nim myślał – nie należał wcześniej do Laury. Jej sypialnia, z oknem wychodzącym na ogród, była na tyłach domu. Spodziewał się, że jej pokój pozostał nienaruszony od dnia, kiedy po raz ostatni w nim przebywała. Bywał już w takich świątyniach, z każdym rokiem coraz smutniejszych i coraz bardziej wyblakłych. Ale z zaskoczeniem stwierdził, że w sypialni nie ma żadnej pamiątki po niej. Pokój był urządony skromnie, w kolorach neutralnych, jak zwykle pokoje hotelowe, i pełnił teraz funkcję pokoju dla gości.

– Nie żebym miał gości... – tłumaczył Wyre z tym swoim smutnym skąpym uśmiechem.

Przypominał któregoś z tych wielkich melancholijnych psów, nowofundlanda albo bernardyna. Och nie, pomyślał. Zaczynam myśleć jak Julia. Jakim miał być psem? Powiedział, że labradorem, bo to była pierwsza rasa, jaka mu przyszła do głowy. Nie znał się na psach. Nigdy nie miał psa, nawet kiedy był dzieckiem. Jego ojciec nienawidził psów.

Pamiętał, jak wyglądał pokój Laury Wyre dziesięć lat temu: pikowany patchwork, akwarium z tropikalnymi rybkami, a na łóżku stosik pluszowych misiów. Wszędzie książki, na podłodze jakieś ciuchy, na półkach i szafkach kosmetyki, zdjęcia. Twórczy nieporządek, jaki można sobie wyobrazić w sypialni osiemnastolatki. Ale nie taki obraz córki przedstawił teraz w tym pokoju Wyre. W obliczu śmierci nieporządek i ludzkie słabości nie sięgały Laury. W pamięci ojca pozostała święta, święta dziewczynka. Jacksonowi wydawało się to naturalne.

Dziesięć lat temu na ścianie jej sypialni wisiała oprawiona w ramkę fotografia – Laura z psem. Była ładną dziewczyną. Miała bardzo ciepły uśmiech. Wyglądała na sympatyczną, niekoniecznie świętą, po prostu sympatyczną. Pomyślał o zdjęciu Olivii. Była bezpiecznie zamknięta w portfelu w jego kieszeni, niewidoczna w ciemności, szczyrzyła zęby w uśmiechu. „Zamknięta”. Tak Amelia powiedziała o Sylvii, gdy zapytał, dlaczego nie przyszła na pogrzeb ojca. („Nawet Sylvia nie przyszła?”) „Och, oczywiście zawiadomiłyśmy ją, ale nie mogła przyjść, nie wolno jej. Jest zamknięta. W klauzurze”.

Czy Olivia też jest gdzieś zamknięta? Pod podłogą? W ziemi?

Czy zostało po niej coś więcej niż garstka kości cienkich jak piszczel zająca?

Znalazł się w sypialni Laury dość przypadkowo. Pracował wtedy nad zupełnie inną sprawą. Chodziło o Kerry Anne Brockley, dziewczynę, która zaginęła w dzielnicy Chesterton. Miała szesnaście lat, nie była nigdzie zatrudniona i bez wątplenia nie była dziewicą. Została zamordowana, kiedy wracała do domu po wieczornym wyjściu z przyjaciółmi – zgwałcona, uduszona i zostawiona na polu za miastem. Wracała sama o drugiej w nocy z nocnego klubu, mocno umalowana i skąpo odziana. Potem po cichu sugerowano, że w jakiś sposób sama sprowokowała to, co ją spotkało. Nie w jego wydziale. Gdyby się dowiedział, że tak myśli którykolwiek z jego oficerów, obdarłby go ze skóry.

Sprawca nie został jeszcze zatrzymany, ale Jacksona czekała pierwsza od wielu dni spokojnie zapowiadająca się noc. Uprosił kolegów, żeby go podrzucili radiowozem pod sam dom. Siedział na tylnym siedzeniu z oficerem łącznikowym (miała na imię Allison, to z nią powinien się być ożenić, nie z Josie). Po drodze Allison miała oddać Wyre'owi rodzinne zdjęcia. Zdjęcia, zdjęcia. Zawsze te zdjęcia. Twarze dziewcząt chwytające ze serce, dziewcząt, które zniknęły na zawsze. Olivie, Kerry Anny, Laury, wszystkie tak samo bezcenne jak skarb, wszystkie przepadłe. Wszystkie święte. Poświęcone jakiemuś nieznanemu bóstwu zła. Proszę, Boże, tylko nie Marlee.

Drzwi otworzył im Theo Wyre, człowiek zniszczony rozpaczą. Jego twarz, pomyślał wtedy Jackson, przypominała kolorem ser wensleydale. Zaprosił ich na herbatę, a on pomyślał – nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni – jakie to dziwne, że ludzie starają się żyć dalej, gdy cały świat przestał istnieć. Wyre wyczarował nawet skądś placek i powiedział: „Wiśniowo-migdałowy, upiekłem go dzień przed jej śmiercią, ale dobrze się trzyma”. Pokiwał bezradnie głową, jakby nie mógł uwierzyć, że placek jeszcze jest na tym świecie, a jego córki już nie ma. Nie trzeba dodawać, że nikt nie miał ochoty na placek i nikt go nie ruszył. „Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zajrzał do pokoju pańskiej córki, panie Wyre?” – zapytał wtedy Jackson.

Dla Wyre'a był tylko jeszcze jednym śledczym, kimś, kto zajmował się tą sprawą. A nim kierowała wyłącznie ciekawość, bo nic nie wskazywało na to, żeby śmierć „jego” Kerry Anne Brockley i śmierć Laury Wyre cokolwiek mogło łączyć. Sypialnia była tylko sypialnią, zabałaganionym pokojem, do którego dziewczyna nie wejdzie już nigdy więcej, już nigdy nie rzuci tu w kąt torby, nie zdejmie z nóg butów, nie położy się na łóżku, nie poczyta książki, nie posłucha wieży, nigdy nie zaśnie niespokojnym, niewinnym snem żywego człowieka.

To było dwa lata przed narodzinami Marlee i wtedy nie wiedział tego, o czym dobrze wiedział teraz – co znaczy kochać dziecko. Wiedział, jak łatwo oddałby za nie życie, wiedział, że jest skarbem cenniejszym od wszystkich skarbów świata. Nie brakowało mu już Josie, w każdym razie nie tak jak na początku, ale Marlee brakowało mu bez ustanku. Właśnie dlatego nie chciał wziąć sprawy Theo Wyre'a. Przeraziła go. Uprawdopodobniła śmierć jego własnego dziecka, zmuszała go, żeby ją sobie wyobrażał, żeby sobie wyobrażał Marlee na miejscu Laury Wyre. Ale co mógł zrobić? Nie mógł odmówić temu biednemu człowiekowi, facetowi o posturze sterowca, nieustannie sapiącemu i dyszącemu nad inhalatorem, człowiekowi, któremu nie zostało nic poza pamięcią – przestrzenią, którą powinna wypełniać dwudziestoosmioletnia kobieta.

Theo miał ciało. Julia i Amelia poszukiwały ciała. Olivia była innego rodzaju pustą przestrzenią do wypełnienia, sama była cielesną tajemnicą, pytaniem bez odpowiedzi. Była zagadką, która mogła człowiekowi grać na nosie, aż wpadał w szal. Nigdy jej nie znajdzie, nigdy się nie dowie, co się z nią stało. Wiedział tylko tyle, że musi poczekać na stosowny moment, żeby to siostrzyczce powiedzieć. Nigdy też nie będzie mógł im wystawić rachunku, prawda? „Bardzo mi przykro, ale wasza siostrzyczka nie żyje, nigdy jej nie zobaczycie, a to rachunek, proszę, pięćset funtów za usługę”. („Jesteś za miękki, żeby prowadzić biznes – wytykała mu co miesiąc Deborah Arnold, kiedy podsumowywała dochody i rozchody. – Za miękki albo za głupi”).

Gdyby chodziło o Marlee, gdyby musiał zdecydować, czy woli Marlee martwą, czy zaginioną, co by wybrał? Nie, nie może tak myśleć, nawet nie jest w stanie sobie tego wyobrazić, nie może kusić losu. Każdy z tych scenariuszy oznaczał najgorszą rzecz, jaka może się przytrafić. Co człowiek robi, kiedy przytrafia mu się ta najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić – jak wygląda jego dalsze życie? Jedno trzeba Theo Wyre'owi oddać: dalsze życie wymaga odwagi, której znakomitej większości ludzi brakuje.

Drzwi wreszcie się otworzyły. Po chwili przez bramę z balonikami na ulicę wyszły dziewczynki i odbierające je z przyjęcia matki, wszystkie z głosami na najwyższych obrotach. Jackson pośpiesznie schował zdjęcia Laury do koperty i wsunął ją pod przednie siedzenie pasażera. Chciał wysiąść i podejść pod dom, ale właśnie wybiegła z niego rozweselona Marlee. Boże, ubrana jak mała ulicznica. Czy Josie zwariowała, żeby wypuszczać z domu dziecko wyglądające jak żywe marzenie pedofila? Nawet usta miała pomalowane szminką. Przypomnił sobie Jon Benét Ramsey. Kolejna zaginiona dziewczynka. Kiedy był w Świecie Rozkoszy, weszła jakaś dziewczyna, przyjaciółka recepcjonistki (Milandy – czy ona sama sobie wymyśliła to imię?). Plotkując, umówiły się na brazylijskie woski. Milanda trochę się zdziwiła: „Och, tak?“, a dziewczyna na to: „Mój chłopak się domaga. Mówi, że chciałby sobie wyobrazić, jak to jest kochać się z małą dziewczynką“, a Milanda znowu tylko „Och, tak?“. Jakby to był wystarczający powód.

Jackson doskonale znał statystyki. Wiedział, ilu pedofilów wałęsa się w tej czy tamtej okolicy, wiedział, że lubią się gromadzić (licznie jak muchy) wokół placów zabaw, szkół, pływalni (domów z kolorowymi balonikami nad wejściami). Gdyby on był pedofilem, wiedziałby, gdzie pójść. Do któregoś ze sklepów sieci Claire's Accessories, do sklepu z akcesoriami dla lalek. A jeśli istnieje reinkarnacja? Jeśli w kolejnym przyszłym wcieleniu wróci na ziemię jako pedofil? Ale jakie straszne czyny musi popełnić w tym, żeby na to zasłużyć? Kim w następnym wcieleniu będą święte dziewczęta? Białymi

gołębicami? Drzewami w oliwnym gaju?

– Siemasz, złotko, fajna zabawa? – (Chciałaś wyjść na ulicę, nie wiedząc, czy już jestem?!). – Dokąd tak pędziłaś? Wiedziałaś, że już przyjechałem?

– Uhm...

– Nie zapomniałaś się pożegnać i ładnie podziękować?

– Uhm... Powiedziałam: Bardzo serdecznie państwu dziękuję za gościnę.

– Cyganisz.

– Nie cyganię.

– Tak, cyganisz. To podstawy prowadzenia przesłuchań. Jeśli ludzie mówią prawdę, patrzą w górę przez lewe ramię, jeśli zmyślają, to przez prawe. Ty spojrzełaś przez prawe. – Och, zamknij się, Jackson. Nawet cię nie słucha.

– No dobra, dałam plamę – powiedziała obojętnym tonem.

– Tak... plamę...

Co to za język? Wyglądała na wykończoną, miała podkrążone, ciemne oczy. Co oni wyczyniają na tych przyjęciach? Cała była złana potem.

– Tańczyliśmy – wyjaśniła. – Do piosenek Christiny Aguilery. Jest nieźle zakrecona.

Lekko poruszyła biodrami, żeby pokazać, jak tańczy, i był to ruch tak erotyczny, że Jacksonowi załomotało serce. Cholera, przecież ona ma ledwie osiem lat.

– To ślicznie, złotko.

Pachniała słodyczami i potem. Pamiętał, jak pierwszy raz brał ją na ręce. Jej główka mieściła się w jednej jego dłoni, a Josie mówiła: „Tylko ostrożnie!” (jakby miał być nieostrożny). Obiecał sobie wtedy, że nigdy nic jej się nie stanie, przynigdy, że ustrzeże ją przed wszystkim. Uroczyste ślubowanie. Czy Theo Wyre składał takie samo ślubowanie, gdy po raz pierwszy podano mu Laurę? Prawie na pewno. (A Victor Land?) Ale on nie jest w stanie ustrzec Marlee przed wszystkim. Nikt nie jest w stanie tego zrobić. Człowiek jest bezpieczny dopiero wtedy, kiedy jest martwy. Może nikt inny na całym świecie nie martwi się wszystkim tak, jak umie to robić Theo Wyre. Ale o jedną rzecz Theo Wyre nie musi się

martwić już nigdy: o to, czy coś nie grozi jego córce.

– Jesteś umazany szminką – zauważyła Marlee.

Jackson przejrzał się we wstecznym lusterku i spostrzegł na swoim policzku jaskrawy szkarłat warg Julii. Zaczął go energicznie ścierać palcami, ale czerwony kolor pozostał na jego policzku jak mały rumieniec wstydu.

– Ona jest taka tyci-tyci... – mówiła Binky Rain, choć Jackson jej nie słuchał.

Kiedy w samochodzie usłyszał płynące z telefonu dźwięki *Carmina Burana*, zapytał tylko Marlee: „Masz ochotę na wizytę u pewnej starszej pani w drodze do domu?”. To niezbyt zachęcające zaproszenie osłodził obietnicą spotkania z milutkimi kociakami, toteż Marlee snuła się teraz po zarośniętej chwastami dżungli ogrodu Binky, a u jej nóg kręciło się stadko rozleniwionych kotków.

– To pańska córka? – pytała Binky, obrzucając Marlee badawczym, pełnym zwątpienia spojrzeniem. – Nigdy bym nie przypuszczała, że może pan mieć dziecko.

– Nie? – Jackson puścił tę uwagę mimo uszu.

Myślał o Olivii Land. Ona także była tyci-tyci. Czy sama oddaliłaby się od domu? Amelia i Julia twierdziły, że nigdy. Że była bardzo „posłuszną” dziewczynką. Posłuszną na tyle, żeby w środku nocy wyjść z namiotu i pójść z kimś obcym, kto ją o to poprosił? Odejść dokąd? Jackson próbował uśmiechnąć się do Wendy, koleżanki z dawnych czasów, która pracowała w policyjnych archiwach, żeby mu znalazła akta sprawy Olivii. Ale choć Wendy wykazała dobrą wolę, nic z tego nie wyszło, bo akta się nie zachowały.

– Przykro mi, Jackson, wyparowały. – Rozłożyła ręce. – Tak bywa. Trzydzieści cztery lata to szmat czasu.

– Wcale nie tak dużo – odpowiedział.

Sprawa Olivii nie została formalnie umorzona, ale spośród osób, które przy niej pracowały, mało kto jeszcze żył. Na miłość boską, to były czasy, kiedy nie było ani dokładnych analiz DNA, ani nowoczesnego tworzenia profilu przestępcy, ani komputerów. Gdyby Olivia została porwana dzisiaj, szanse na jej odnalezienie byłyby o wiele większe. Chyba. Wszyscy

śledczy, którzy po kolei nadzorowali tę sprawę, zesli już z tego świata. Jackson znalazł tylko jedną osobę, która mogła coś o niej powiedzieć: Marian Foster, zastępcę inspektora, która, o ile wiedział, przesłuchiwała siostry Land. Niedawno, już jako wyższy oficer policji w którejś z jednostek na północy, przeszła na emeryturę. Mieszkała jednak zbyt blisko jego rodzinnego domu, żeby perspektywa wyjazdu go uszczęśliwiała. Oczywiście dzisiaj na pierwszy ogień poszliby rodzice, zwłaszcza ojciec. Jak daleko w swej dociekliwości posunęła się policja, kiedy przesłuchiwała Victora Landa? Gdyby to on prowadził tę sprawę, Land byłby głównym podejrzanym.

Bacząc, by nie dotarło to do uszu Marlee, zapytał Binky:

– Pamięta pani sprawę zniknięcia Olivii Land? Dziewczynki porwanej trzydzieści cztery lata temu?

– Frisky – Binky trzymała się własnego tematu – to ledwie wyrośnięty kociaczek...

– Czy знаła pani – Jackson się nie poddawał – Landów? Victor Land był wykładowcą w St John's College, mieli cztery córki. Z pewnością pamięta pani, że z sąsiedniej ulicy zniknęło dziecko, prawda?

– Ach, chodzi o te dzieciaki – przypomniła sobie Binky. – To były diablice w ludzkiej skórze, niewychowane dzikuski. Moim zdaniem dzieci nie powinno być widać ani słycać. Doprawdy, rodziny takie jak ta spotyka w końcu to, na co zasługują.

Jacksonowi przyszło do głowy kilka odpowiedzi na taką uwagę, ale ostatecznie wszystkie zatrzymał dla siebie.

– Poza tym – ciągnęła Binky – to syn Oswalda Landa, arktycznego bohatera, że tak powiem, i daję głowę, że to był prawdziwy szarlatan.

– Nie pamięta pani, żeby się tu kręcił ktoś nietutejszy? Ktoś obcy?

– Raczej nie. Policjanci nikomu nie dali spokoju, chodzili od domu do domu, zadawali wciąż te same pytania. Zabierali się nawet do przeszukania mojego ogrodu, pan sobie wyobraża? Przyznam, że rozprawiałam się z nimi krótko, nie ma o czym gadać. Ach, ta jedna była jakaś... dziwna.



– Kto? Pani Land?  
– Nie, ta najstarsza, kawał łobuza.  
– Dlaczego dziwna?  
– Szelma jak się patrzy. Przełaziły do mnie do ogrodu, wrzeszczały na mnie i kradły jabłka z pięknych jabłoni, uwierzy pan? To był taki piękny sad.

Jackson popatrzył na piękne „jaaabłonie”, dzisiaj tak samo krzywe, prastare i sękate jak Binky Rain.

– Sylvia?

– Właśnie, tak miała na imię.

Jackson wyszedł od Binky przez furtkę w ogrodzie na tyłach domu. Nigdy wcześniej nie wychodził tą drogą i ze zdziwieniem zauważył, że znalazł się na ścieżce biegnącej wzdłuż tylnego ogrodu Landów. Nie zdawał sobie dotychczas sprawy, że te posiadłości leżą tak blisko siebie – był dosłownie kilka metrów od miejsca, gdzie kiedyś stał feralny namiot. Czy ktoś przeszedł tu przez mur i porwał śpiącą Olivię? A potem uciekł z nią tą samą drogą? Czy trudno pokonać mur z trzyletnim brzdącem na ramionach? Potrafił to sobie wyobrazić. Mur porastały stare pnącza. Można było w nich znaleźć wiele punktów podparcia dla rąk i nóg. Ale w taki sposób wchodziłby na posesję ktoś obcy. Dlaczego więc tamtej nocy nie szczekał pies? Rascal. Według Amelii i Julii był to pies, który zaszczekałby na pewno. Więc musiał znać porywacza Olivii. Na kogo pies nie zaszczeka?

Jackson rozgarnął gęste pnącza i znalazł w murze furtkę. Zasłonięte przejście do Binky. Przyszedł mu do głowy *Tajemniczy ogród*, film, który oglądał z Marlee na wideo i który ją oczarował. Nikt nie musiał przechodzić przez mur, wystarczyło przejść przez otwór w murze. Ale może wcale nikt nie wszedł tędy do ogrodu i nie wyszedł potem z Olivią – może ktoś wyszedł z nią, a potem wszedł bez niej? Victor? Rosemary Land?

Kiedy zajechali pod dom Davida Lastinghama, Marlee już prawie spała. Czy nastanie dzień, kiedy będzie potrafił nazwać ten dom domem Davida i Josie? (Nie). Odurzona słodyczami Marlee zaczynała być nieznośna. Poziom cukru w jej

organizmie powoli wracał do normy. Po ogrodowych szaleństwach u Binky cała była w źdźbłach trawy i w kociej sierści. Josie z pewnością będzie miała pretensje. Zaproponował Marlee, żeby spała u niego. Mógłby przynajmniej wyczyścić sukienkę, ale Marlee odparła, że to niemożliwe.

– Rano idziemy na borówki!

– Borówki? – zdziwił się Jackson, przyciskając dzwonek do drzwi Davida Lastinghama. Przez głowę przemknęła mu myśl o chłopach i ludziach z epoki łowiectwa i zbieractwa.

– Mama robi konfitury.

– Konfitury? Twoja mama?

Nowo narodzona żona, matrona, wiejska gospodyni, która smaży konfitury, wyszła właśnie z kuchni, oblizując koniuszki palców. Kobieta, która jeszcze niedawno twierdziła, że nie ma czasu na gotowanie – mityczna królowa Islandii – teraz spędzała wieczory na przyrządzaniu smacznych omletów i beztróskim mieszaniu sałatki dla nowej, odrodzonej rodziny. Trudno było uwierzyć, że to ta sama kobieta, która robiła mu loda, gdy prowadził auto, która potrafiła go przyprzeć do byle gołej ściany i jęknąć: „Teraz, Jackson, szybko”, która we śnie tuliła swe ciało do jego ciała, która budziła się rano, odwracała do niego i mówiła zaspanym szeptem: „Wciąż cię kocham”, jakby z ulgą, że przespana noc nie zdołała jej odebrać uczucia. Aż do pewnego ranka. Trzy lata po narodzinach Marlee Josie obudziła się i nie powiedziała ani słowa.

– Spóźniłeś się – powiedziała, jakby chciała go skarcić.

– Gdzie byliście?

– Pojechaliśmy zobaczyć czarownicę – odpowiedziała Marlee.

*Le chat noir. Les chats noirs. Czy chats mają rodzaj żeński? Czy mówi się chatte?*

– *Bonsoir Jackson* – powitała go Joan Dodds, wyraźnie akcentując *soir*, a nie *bon*.

Nie znosiła spóźniałskich.

– *Bonsoir Jackson* – zaśpiewała chórem cała grupa, gdy Jackson nieśmiało zajrzał do sali.

– Vous êtes en retard, comme toutes les semaines – orzekła Joan Dodds.

Była emerytowaną nauczycielką – z charakterem, który czyniłby z niej znakomitą dominę podczas zabaw sado-maso. Jackson pamiętał czasy, kiedy kobiety robiły wszystko, żeby się poczuł szczęśliwy. Teraz wydawało mu się, że wszystkie się na niego uwzięły. Czuł się jak mały, raczej niegrzeczny chłopczyk.

– *Je suis désolé* – powiedział cicho.

Doprawdy, francuski daje do myślenia o Francuzach. Ile skrajnych uczuć, smutku, zgnębienia i beznadziei wkładają w głupi zwrot „przykro mi”.

W Świecie Rozkoszy pokazał Milandzie licencję detektywa i zapytał, czy mógłby zobaczyć miejsce, gdzie zamordowano Laurę Wyre. „Chore” – tylko tyle usłyszał z jej ust. Sala konferencyjna, zgodnie z tym, co mówił Wyre, była teraz magazynem. Stolik na kółkach z armią lakierów do paznokci stał już gdzie indziej, nie służył za nagrobek Laury Wyre. Na gołych deskach wciąż dało się rozpoznać ślady krwi – mocno rozmyta i wtarta w drewno (ale nie na dobre) plama.

– Chryste – jęknęła Milanda, wyrwana z odrętwienia. – Zawsze myślałam, że to ślady po rozlanej farbie czy coś w tym rodzaju. Fuu, okropne... – Odprowadzając go do drzwi, powiedziała jeszcze: – Ona tu nie straszy. Wiedziałabym. Mam dar jasnowidzenia. Gdyby jej duch tutaj był, wyczułabym go na pewno.

– Naprawdę? – zapytał Jackson.

Milanda nie robiła wrażenia kogoś ze zdolnościami parapsychicznymi.

– Och tak, jestem siódmą córką siódmej córki.

„Chów wsobny, znachorstwo” – pomyślał Jackson. Milanda spojrzała na niego niemowłeco błękitnymi oczami – jakiś nienaturalny, uderzający kolor, zapewne szkieł kontaktowych, i powiedziała:

– Wiem na przykład, że panu czarny kot przynosi szczęście.

Niespodziewanie poczuł się głęboko rozczarowany, bo przez niezrozumiałą i niepokojącą krótką chwilę myślał, że przepowie mu coś potwornego.

## Amelia

– Niech pan nie będzie takim zrzędą, panie Brodie – Amelia małpowała Julię. – Jak ty się zachowujesz, Julio? – (Do tego go pocałowała! No tak, pocałowała, nie inaczej!) – Może jeszcze się rozbierzesz na ulicy?

– Och, Milly, bo zacznę myśleć, że jesteś zazdrosna! – Julia roześmiała się z (okrutnym) rozbawieniem. – Co powie Henry, jeśli się dowie?

– Nic już nie mów, Julio!

Amelia poczuła, jak krew się w niej gotuje, i przyśpieszyła. Byle dalej od siostry. Julia musiała truchtać, żeby dotrzymać jej kroku. Amelia słyszała za plecami dychawiczny oddech siostry i pomyślała, że trzeba być stukniętym, żeby mieć katar sienny i tyle palić. Nie umiała jej współczuć.

– Musisz tak sadzić? Masz dłuższe nogi.

Szły St Andrew's Street, zbliżały się do dziewczyny siedzącej na ziemi, na podartym kocu. Obok niej wyciągał się pies – mieszaniec charta z owczarkiem.

Jackson w najmniejszym stopniu nie przejął się tym, że widziała w nim pointera, ale kiedy Julia uznała, że byłby owczarkiem niemieckim, wydawał się szaleć ze szczęścia. Julia wybrała wilczura, bo dla niego rzeczywiście był to pies idealny. Nie doberman, nie rottweiler, a już na pewno nie pointer. Jackson był wilczurem jak się patrzy. Okłamała go też. No, może nie okłamała, ale dała mu do zrozumienia, że jest wyższym wykładowcą w Oksfordzie z tytułem don, a tymczasem prowadzi tylko zajęcia ze „sztuki komunikacji” (co za śmieszna nazwa) na przysposobieniu zawodowym dla praktykantów murarskich, dekarzy i innego asortymentu ludzkiej tłuszczy. Bardzo chciała lubić swoich uczniów, wierzyć, że to dobre chłopaki – może nadto zgiełkliwe, ale w głębi serca

słodkie dusze. Ale tak nie było. Jej uczniowie byli łajdakami i nie słuchali jej ani trochę.

Oczywiście uwagę Julii przykuł pies bezdomnej dziewczyny. Oznaczało to tyle, że któraś z nich będzie musiała wysupłać trochę grosza, bo przecież nie sposób zrobić wokół psa pełnego zachwyty zamieszania i odejść jak gdyby nigdy nic, prawda? Julia klęczała na chodniku. Nachylała się nad psem, a on lizał ją po brodzie i twarzy. Amelia wolałaby, żeby na to nie pozwalała. Nie wiadomo przecież, gdzie taki psi język przedtem bywał – a właściwie doskonale wiadomo, i właśnie dlatego nikt nie chce, żeby bywał także na jego twarzy.

Dziewczyna miała żółte włosy, w dziwnym kanarkowym kolorze, także twarz miała żółtawą, niezdrową, jakby z symptomami żółtaczki. Zwykle Amelia dawała drobne żebrakom i bezdomnym roznosicielom gazetki „Big Issue”, ale tym razem zachowała powściągliwość. Kiedyś natknęła się na własną uczennicę żebrzącą na Oxford High. Wiedziała, że Lisa – przyuczająca się do zawodu fryzjerki – mieszka z rodzicami w całkiem wygodnym domu, a pies, z którym była na ulicy (bo przecież oni wszyscy mają psy), był ich domowym pupilkiem. Tajemnicą poliszynela było to, że wielu żebraków ma własne domy, a niejeden nawet samochód. Czy to tajemnica poliszynela? Skąd to wiedziała? Najpewniej przeczytała w „The Sun”. Przy dekarzach zawsze plątały się stare numery tego brukowca. W jej głowie pojawił się naraz niezwykle obraz – numery „The Sun” krążące w kosmosie we wszystkie strony, jak słońca, jak złote monety. Zaśmiała się cicho, a dziewczyna spojrziała na nią i zapytała:

– Pomoże mi pani?

– Nie – odpowiedziała Amelia.

– Och, Milly, na miłość boską – zachnęła się Julia. Nagle przestała pleść do pieska, wstała i sięgnęła do torebki w poszukiwaniu portmonetki. – Nie do każdego los się uśmiecha, ot, tyle.

Wyjęła z portmonetki pięć funtów – te same pięć funtów, które była dłużna Amelii – i podała je dziewczynie, a ona przyjęła je tak, jakby jej robiła wielką łaskę. Nie chodziło

o pieniądze. Wcale nie prosiła o pieniądze, w każdym razie nie do końca. Zapytała Amelię, czy może jej pomóc, a ona powiedziała jej prawdę. Nie potrafi jej pomóc. Nikomu nie potrafi pomóc. A najmniej sobie samej.

– Wszystko wyda na narkotyki – powiedziała, kiedy oddalały się od dziewczyny.

– Niech wyda, na co ma ochotę – odparła Julia. – Prawdę mówiąc, narkotyki wcale nie wydają się złym pomysłem. W jej sytuacji też wydałabym wszystko na narkotyki.

– Ale ona znalazła się w tej sytuacji właśnie dzięki narkotykom.

– Tego nie wiesz. Nic o niej nie wiesz.

– Wiem, że wyciąga ile się da od ludzi, którzy ciężko pracują na życie.

Boże, na stare lata staje się faszystką. Jeszcze trochę i zacznie nawoływać do przywrócenia szafotu i kary chłosty, no może chłosty nie, ale kary śmierci tak – właściwie dlaczego nie? Dość jest ludzi na ziemi, to pewne, żeby trzymać jeszcze miejsce dla zwyrodniałych bandytów znęcających się nad dziećmi, zwierzakami, dokonujących maczetami rzezi niewinątek, „maczetujących” ludzi. „Zwyrodniali bandyci”, język brukowców, jaki znała z numerów „The Sun”, które czytali jej dekarze. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie mogła zrezygnować z prenumeraty „Guardiana”.

– Czy można powiedzieć maczetować? – zapytała Amelia.

– Nie sądzę – odpowiedziała Julia.

No tak, to już koniec. Kaleczy język, wprowadza amerykańizmy. To początek końca cywilizacji.

Zatrzymały się przed barem z hamburgerami. W środku wrzało jak w ulu, gwar robili głównie letni studenci z zagranicy. Na ich widok Amelia tylko ciężko westchnęła. Nie miała wątpliwości, że jedynym językiem, jaki dobrze opanują w czasie pobytu w Cambridge, będzie młodzieżowy slang, wulgaryzmy i wąskie słownictwo jadłospisu barów szybkiej obsługi.

Julia często kupowała w Londynie różne rzeczy i usługi jako tajny klient, marketingowy szpieg, wynajęty za niewielkie pieniądze przez agencję pracującą dla korporacji – sprawdzała

w ten sposób, jaka jest obsługa w barach i pizzeriach, sklepikach z ciuchami przy głównej ulicy miasta i dużych sieciach aptek. Najważniejsze było dla niej przekonanie, że taka praca wymaga prawdziwie aktorskich umiejętności, a dodatkowym bonusem było to, że miała prawo zatrzymać to, co kupiła, albo najeść się do syta na koszt korporacji. Agencja była zachwycona, gdy dowiedziała się, że jest w Cambridge. Nie mieli tam zakontraktowanych tajnych klientów.

– Tak... – Julia posiłkowała się jakimiś zapiskami na luźnej kartce. – Musimy zamówić raz hamburgera z frytkami, raz kurczakowego, bez frytek, dużą colę, koktajl bananowy i mus truskawkowy.

– Mus truskawkowy? Co to takiego?

– Lody. Powiedzmy, że lody.

– Nie mam najmniejszego zamiaru zamawiać kurczakowego burgera – zaperzyła się Amelia. – Nie zamówiłabym tego, nawet gdyby miało mi to uratować życie.

– Och, zamówiłabyś. Ale nie musisz. Sama wszystko zamówię. I nie na wynos. Wszystko na miejscu.

– To niegramatyczna nazwa.

– W żarcie mało co jest gramatyczne. Nie chodzi przecież o gramatykę. Patrzymy na stosunek do klienta, na obsługę, oceniamy jakość usługi.

– Nie mogę po prostu zamówić kawy?

– Nie.

Julia znowu zaczęła kichać. Te ataki zawsze były krępujące. Gwałtowne, głośne, niekontrolowane kichnięcia następowały jedno po drugim i brzmiały jak kanonada artyleryjska. Amelia słyszała kiedyś, że po tym, jak kobieta kicha, można poznać, jak przeżywa orgazm. (Po co komu to wiedzieć?) Na samo wspomnienie o tym poczuła się nieswojo. Postanowiła, na wypadek gdyby to była prawda, że w miarę możliwości nie będzie kichać w miejscu publicznym.

– Boże miłosierny, nie możesz zażywać więcej allertecu? – zapytała ze złością.

Takie miejsca jak ten kiepski bar fatalnie wpływały na jej samopoczucie. Czowała się w nich wyróżniona i czuła się w nich

staro, a nie chciała ani tego, ani tego, nawet jeśli naprawdę była wyróżniona i stara. Z kolei Julia czuła się jak ryba w wodzie, jak kameleon potrafiła się przystosować do każdego nowych warunków. Głośno wykrzykiwała do przyszczatych żółtodziobów stojących za ladą zamówienie (czy oni chociaż myją ręce?), z akcentem z Essex, który zapewne uważała za odpowiednio plebejski i który brzmiał co najmniej dziwnie, zważywszy na to, jak była ubrana. Płaszcz miała doprawdy cudaczny. Przywodził na myśl secesyjne rysunki Beardsleya. Amelia jeszcze nigdy mu się dobrze nie przyjrzała. Był tak jasny, że nie sposób było Julii nie zauważyć, chyba że położyłaby się na zboczu wzgórza porośłego zieloną letnią trawą, która uczyniłaby ją niewidzialną. Kiedy niewidzialna stała się Olivia, miała na sobie bawełnianą koszulę nocną, która wcześniej należała po kolei do każdej z nich i która kiedyś była różowa. Do czasu kiedy przeszła w ręce Olivii, zdążyła jednak na tyle wyblaknąć od prania, że straciła wszelki kolor. Amelia widziała ją jak dzisiaj, jak wchodzi do namiotu, w tej szarawej koszuli, w różowych paputkach z pyszczkami królika, i jak przyciska do piersi Niebieską Myszkę.

Płaszcz Julii był za duży. Kiedy z tacą pełną jedzenia przebijała się przez zwartą ciżbę studentów, poły rozchyłały się szeroko i ciągnęły za nią po podłodze. Amelia szła przodem, torowała drogę i powtarzała w kółko: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam...”, ale bezskutecznie. Jedynym skutecznym sposobem były bezpardonowe dźgnięcia łokciami.

Kiedy wreszcie dotarły do stolika, Julia wbiła zęby w hamburgera i zaczęła go pochłaniać z nienasyconym apetytem człowieka pierwotnego.

– Mmm... co za mięcho... – rzuciła.

– Jesteś pewna?

Rozchorowałaby się, gdyby tknęła coś takiego.

– Mięso na mur-beton – zapewniła Julia. – Z jakiego zwierzęcia – to już inna sprawa. Albo z jakiej części zwierzęcia. Ale cóż, same kiedyś jadałyśmy ogony, pamiętasz? Ogon woła. Wołu. Co to w ogóle za słowo?

– Ma prądawną etymologię. Tak mi się wydaje. Dzisiaj całe



pokolenie dzieciaków uważa, że mówi się kurczakowy, a nie na przykład drobiowy.

– Są gorsze rzeczy.

– Jakie?

– Meteory.

– To, że jakiś meteor może kiedyś uderzyć w Ziemię, nie oznacza, że powinniśmy pozwalać, żeby nasz język i kultura się amerykanizowały.

– Och, Milly, zamknij się, błagam.

Julia zjadła jeszcze kurczakowego burgera, ale przed truskawkową papką skapitulowała nawet ona. Amelia na próbę łyknęła bananowego koktajlu. Smakował sztucznie, jakby go zrobiono w kosmicznych laboratoriach.

– To jest mieszanina jakichś chemikaliów – rzuciła z obrzydzeniem.

– Jak wszystko na świecie, czyż nie?

– Czyżby?

– Daj spokój. – Julia machnęła ręką. – Dość pogaduszek, czas się zabrać do pracy.

Położyła na stole formularz i zaczęła go wypełniać.

– Czy obsługa cię przywitała? Hm, na pewno tak...

– Dlaczego nie nosisz okularów? Bez nich nic nie widzisz.

– Co powiedział ten chłopak?

– Jesteś taka próżna, Julio.

– Powiedział chyba dzieńdoberek czy coś w tym rodzaju.

– Nie wiem. Nie przysłuchiwałam się. Julio?

– To Australijczycy. Cała brytyjska siła robocza to zaciąg z Australii.

– Julio, posłuchaj, Julio, kiedy Victor sprawdzał ci zadania domowe, u siebie w gabinecie, czy... czy wtedy, wiesz, robił ci coś? Chciał... Obcował z tobą?

– Ciekawe, kto jest dziś główną siłą roboczą w Australii, jak myślisz? No nic, Milly, musimy to skończyć. Proszę bardzo, kolejne pytanie: Czy obsługa się uśmiecha? Ten chłopak się uśmiechał? Rany, naprawdę nie pamiętam.

Była prawie pewna, że Jackson ma ją za idiotkę, za głupią babę. Wyczuwała w nim tę chłodną męską bezdusność, która

może doprowadzić do szału – tacy faceci uważają, że kobieta to puch marny spętany jarzmem okresu, czekolady i kotów (to nawet pasuje do Julii), ale ona wcale taka nie jest. No, może te koty. Chciałaby, żeby myślał o niej lepiej, chciała, żeby ją lubił. „Oh la la. Jak serio pan wygląda, panie B. Jak tajny agent”. Julia mu nadskakiwała. Oh la la! Jezu Chryste.

– Chcesz jeszcze herbaty? – zapytała, kiedy Julia weszła do kuchni z pustą szklanką w dłoni.

– Nie. Chcę jeszcze dżinu – odpowiedziała Julia, szukając w szafce czegoś na ząb.

Czy ona zawsze tyle piła? Piła sama? Dlaczego picie w samotności ma być gorsze od picia w towarzystwie?

Julia mu się spodobała, to oczywiste. Julia podoba się wszystkim mężczyznom. Nie można się dziwić, skoro podaje im się jak na talerzu. Julia powiedziała jej kiedyś, że uwielbia raczyć panów seksem oralnym (pewnie dlatego malowała usta czerwoną szminką). Amelia miała już przed oczami niepokojący obrazek: Julia kłęka przed Jacksonem i bierze do ust jego... – chciała powiedzieć kutasa, ale to słowo nie zdołało się nawet uformować w jej głowie. Było zbyt wulgarne. Z kolei słowo penis wydaje się takie śmieszne. Wcale nie chciała być taka pruderyjna – czasem zdawało jej się, że gdzieś pomyliła drogę i trafiła do niewłaściwego pokolenia. O wiele lepiej pasowałaby do epoki z wyraźną strukturą społeczną, z jasną hierarchią i niezachwianymi zasadami. Epoki, w której oznaką rozwiązłości byłby odpięty guziczek rękawiczki. Doskonale dałaby sobie radę wśród takiego rodzaju ograniczeń. Zbyt dużo czytała Jamesa i Wharton. Zapewne nikt ze świata Edith Wharton nie chciałby się naprawdę w nim znaleźć, ale ona czułaby się w nim znakomicie. Zresztą czułaby się znakomicie w świecie każdej powieści napisanej przed drugą wojną światową.

Słyszała, jak na piętrze do wanny leje się woda (będzie lecieć bez końca), i wiedziała, że Julia zamierza wziąć kąpiel z dżinem w rękę (prawdopodobnie także ze skrzydełkiem) i że zajmie łazienkę na długie godziny. Zastanawiała się, jakie to uczucie mieć dla siebie tyle pobażania. Oderwała od bochenka kawałek chleba

i wcisnęła go sobie do ust. Nie może wziąć noża i odkroić kromki? Jak ona to robi, że zjedzenie głupiego kawałka chleba wygląda tak cholernie seksownie? Ona wolałaby, żeby w jej głowie nie powstał obraz, jak Julia robi Jacksonowi – powiedzmy to głośno – loda. Ona nigdy w życiu nie zrobiła żadnemu facetowi loda, ale Julii nigdy o tym nie powie. Zaczęłaby się z niej natrzęsać i znowu gderać o Henrym i jego potrzebach seksualnych. Ha!

– Na pewno nie chcesz? – Julia machnęła jej przed oczami butelką dżinu. – Rozluźnisz się trochę.

– Nie chcę się rozluźnić. Dziękuję bardzo.

Jak to się mogło stać? Jak to jest, że została kimś, kim wcale nie chce być?

Amelia nie miała pojęcia, jak to się stało, że bycie „dobrą z literatury” zmieniło się w zajęcia ze „sztuki komunikacji”. Jeszcze w szkole średniej złożyła podanie do Oxbridge. Chciała pokazać nauczycielom i Victorowi, szczególnie Victorowi, że jest niegłupia. Nauczyciele mieli wątpliwości i w ogóle jej nie pomagali się przygotowywać. Więc sama starała się przebrnąć przez wstępne testy z ich niezgłębionymi pytaniami o *Królową wieszczek* Spensera i oświeceniową *Duncjadę* Pope’a – żadnej z tych pozycji nie czytała – i absurdalnymi pułapkami mającymi sprawdzić, czy potrafi pisać pomysłowe eseje. „Wyobraź sobie, że masz zreferować wynalezienie koła” – pomyśleć, że mogłaby zadać taki temat swoim dekarzom i murarzom. Oczywiście już po kilku zdaniach przeszliby do seksu. Wszystko sprowadzali do seksu. Nie wiedziała, czy robili tak po to, żeby ją zawstydzić (śmieszne, człowiek skończył już czterdzieści lat, a wciąż się rumieni), czy to było naturalne, a ona nie miała z tym nic wspólnego.

Ku jej zdziwieniu Newnham College zaprosił ją na rozmowę kwalifikacyjną. Dużo czasu minęło, nim zaświtało jej w głowie, że prawdopodobnie maczał w tym palce Victor albo uczelnia skojarzyła nazwiska i zaprosiła ją przez grzeczność. Odkąd pamięta, chciała studiować w Newnham. W dzieciństwie zaglądały przez główną bramę do ogrodów. Właśnie tak wyobrażała sobie niebiosa. Oczywiście w żadne niebiosa nie

wierzyła. Nie wyznawała żadnej religii. Ale to nie znaczyło, że w ogóle nie miała ochoty wierzyć w niebiosy.

Przed rozmową kwalifikacyjną wyobraziła sobie, jak spaceruje przez te ogrody, jak podziwia przepiękne ukwiecone pasy na obwodzie i żarliwie dyskutuje z najlepszą przyjaciółką o *Miasteczku Middlemarch* albo *Wojnie i pokoju*, albo jak z przystojnym studentem medycyny (który poderwał ją w „złych” zamiarach) pływa łódką po Cam, albo że jest kimś, kogo każdy chciałby poznać – „Och, patrz, to Amelia Land, chodź, porozmawiamy z nią, to taka ciekawa osoba” (albo „taka fajna”, albo „taka ładna”, a niechby nawet „taka wstrętna”). Ale rzeczywistość daleko odbiegała od wyobrażeń. Rozmowa kwalifikacyjna okazała się katastrofą – egzaminatorzy byli bardzo uprzejmi, nawet przejęci, wręcz zatroskani. Traktowali ją, jakby była na coś chora albo niepełnosprawna. Ale pytania, które jej zadawali, dotyczyły dzieł i pisarzy, o których nigdy nie słyszała, gorszych niż Spenser i Pope: pytali o *Rasselasa*, księcia *Abisynii* i eseje Johna Ruskina *Unto this Last*. Amelia nawet by nie sądziła, że to może być literatura. Literatura to duże książki (*Miasteczko Middlemarch* i *Wojna i pokój*), w których można się zakochać i zatracić na zawsze. I tak skończyła na nieco odległej i dość miernej uczelni, bez wielkich tradycji i bez intelektualnych pretensji, w której pozwalano jej pisać długie prace na temat jej miłości do *Miasteczka Middlemarch* i *Wojny i pokoju*.

Julia wróciła do kuchni i dołała sobie dzinu. Powoli zaczęła grać Amelii na nerwach.

- Myślałam, że się kąpiesz – powiedziała z irytacją.
- Kąpię się. Kto cię tak rozsierdził?
- Nikt.

Amelia wzięła herbatę i poszła do pokoju gościnnego. Włączyła telewizor. Po chwili dołączył do niej Sammy. Położył się obok niej na kanapie. Leciał jakiś reality show z telewizyjnymi gwiazdami. Nie potrafiła rozpoznać żadnej z „gwiazd” i doszła do przekonania, że w ich rzekomo kłopotliwym położeniu nie znajduje ani cienia realności. Nie miała ochoty kłaść się do łóżka. Nie chciała spać w zimnej

sypialni Sylvii, do której wpadało światło ulicznej latarni i której ściany znaczyły ciągnące się od sufitu wilgotne zacieki. Może mogłaby się przenieść do pokoju dla gości? O ile wiedziała, nikt tam jeszcze nigdy nie spał. Czy mama rzuci na nią klątwę z za grobu? Jeżeli w tym domu żyje duch mamy (ona w duchy nie wierzy), to na pewno mieszka w pokoju dla gości. Wyobraziła sobie mamę, jak leży tam na wąskim łóżku z białą narzutą pobrudzoną cmentarną gliną i błotem, leni się tygodniami, czyta kolorowe czasopisma i objada się czekoladowymi bombonierkami, a papierki po cukierkach rzuca na podłogę, bo przecież teraz nie musi już sprzątać. Może w pokoju Olivii? Czy mogłaby w nim spokojnie spać? Potrafiłaby bez drżenia serca leżeć na jej małym łóżeczku ze wzrokiem wbitym w odchodzącą od ściany tapetę z wierszykami?

Kto zabrał Olivie? Czy to Victor zakradł się nocą, czołgając się po trawie, i wyłuskał ją z namiotu swoimi wielkimi jak szufle łapskami, gdy ona słodko spała? Własny ojciec? Dlaczego nie, takie rzeczy się przecież zdarzają, prawda? A Niebieską Myszkę zatrzymał na pamiątkę. Upiorną pamiątkę. Może istnieje bardziej niewinne wyjaśnienie? (Tylko jakie?)

Nieraz dla spokoju ducha myślały, że Olivia nie umarła, tylko mieszka gdzieś w jakimś innym domu. Wszystkie trzy całymi latami tkwały jej losy. Porwała ją w nocy istota podobna do Królowej Śniegu, ale łaskawsza i bardziej kochająca, i pochodząca z królestwa o bardziej umiarkowanym klimacie. Potężna królowa zapragnęła mieć dziecko, małą dziewczynkę, i jej wybór padł na Olivie, ponieważ Olivia była idealna w każdym calu. Owa wyimaginowana Olivia wychowywała się w najbardziej zbytkownym rajku, jaki tylko potrafiła wymyślić dziewczęca wyobraźnia – otulona w jedwabie i futra, karmiona słodyczami i plackami, otoczona szczeniaczkami, kotkami i (nie wiadomo dlaczego) pawiami, zażywająca kąpieli w złotych wannach, śpiąca w srebrnych łóżach z baldachimem. Choć wiedziały, że Olivia jest szczęśliwa i niczego jej nie brakuje, wierzyły, że pewnego dnia odzyska wolność i wróci do domu.

Dorastały, a wraz z nimi rosła Olivia, i wystarczyło, że Julia

osiągnęła wiek dojrzewania (jej hormony emitowały energię zdolną zasilić małe miasteczko), by bajkowe życie Olivii zaczęło gwałtownie blaknąć. Mimo to zdążyło się wryć w świadomość Amelii tak mocno, że nawet teraz trudno jej było pomyśleć, że Olivia nie jest trzydziestosiedmioletnią kobietą mieszkającą samotnie w jakimś arkadyjskim buduaru, że od dawna nie żyje.

Do pokoju weszła Julia. Zwaliała się na kanapę między nią a Sammym. Absolutnie nie było tam miejsca.

– Idźże stąd – burknęła Amelia.

Julia wyjęła czekoladowego batona, przełamała go na pół i podała jedną połowę Amelii, a drugą Sammy'emu.

– Moim zdaniem nie jest niemożliwe, żeby Olivia żyła – powiedziała Julia, jakby czytając w myślach Amelii (co za straszna myśl). – Może porwał ją ktoś, kto chciał mieć dziecko, i jakaś rodzina wychowała ją jak swoje własne. Więc o nas nie pamięta, zapomniała, że ma na imię Olivia, myśli, że jest kimś innym, na przykład Charlottą...

– Charlottą?

– Tak. Ale potem, na łożu śmierci, porywacze wyjawili jej całą prawdę: Charlotte, tak naprawdę nie nazywasz się Charlotte, tylko Olivia Land, mieszkałaś w Cambridge, przy Owlstone Road. Masz trzy siostry: Sylwię, Amelię i Julię.

– Czy to jest prawdopodobne, Julio?

Amelia zaczęła zmieniać kanały, aż w końcu trafiła na stary romans *Trzy kamelie*.

– Och, zostaw to! – krzyknęła zadowolona Julia.

– Woda w wannie ci się przeleje.

– Milly?

– Co?

– Wiesz, co powiedziałaś o Victorze?

– Co takiego?

– Zapytałaś, czy obcował ze mną? To głupie określenie. Po co ten eufemizm? Chodzi przecież o to, czy kazał mi ssać swojego kutasa albo czy wkładał we mnie palucha, waląc sobie konia, prawda?

Amelia nie mogła tego znieść. Skupiła się na rozpaczającej

Bette Davis. Usiłowała zagłuszyć sprośności, które wyrzucała z siebie Julia.

– Tak czy siak, mowa o gwałcie – zakończyła Julia. – Skoro już zadałeś to pytanie, to odpowiem ci, że nie. Nic takiego nie robił. Ale próbował.

Amelia miała ochotę zasłonić uszy. Chciała być głucha.

– Próbował? To znaczy co robił?

– Próbował wsadzić mi rękę w majtki, ale uciekłam z piskiem. Miał mi wyjaśnić działania na ułamkach – dodała, jakby to miało jakieś znaczenie.

Taka była Julia. Krzyczała, uciekała z piskiem. A ona by mu na to pozwoliła. Tyle że on nigdy nie próbował nic jej zrobić. Nie obcował z nią.

– Tobie coś zrobił, Milly? – zapytała łagodnie Julia, z troską kładąc dłoń na jej ramieniu, jakby jej było słabo albo jakby ją poraził nagły smutek.

Kiedys Amelia przyłapała go z Sylwią. Weszła do gabinetu bez pukania, rzecz absolutnie niedopuszczalna, pewnie musiała być rozkojarzona, jak to ona, i zobaczyła tatę i Sylwię, i od tamtego czasu usilnie próbowała wyrzucić ten obraz z pamięci. Sylvia na biurku ojca, twarzą do blatu, jak wpółukrzyżowany męczennik, na widoku jej chude pośladki, a za nią Victor przygotowujący się...

Amelia strząsnęła dłoń Julii i odparła szorstko:

– Nic. Nigdy niczego nie próbował. Nie pozwoliłabym mu. Idź już się kąpać.

Amelia obudziła się nagle. W domu było cicho i ciemno. Nie krążył żaden duch. Tylko latarnia za oknem cicho, miarowo brzęczała. Nie pamiętała, czy Julia wyszła z łazienki, więc musiała wstać i sprawdzić, czy nie utopiła się po cichu w wannie. Wanna była pusta. Na ścianach błyszczała skroplona para. Przy wannie leżały rozrzucone ręczniki. Julia, cała i zdrowa, spała w łóżku. Jej rzeczy jak zwykle wisiały beładnie przerzucone przez krzesło, a jej zmierzwiłone włosy były jeszcze mokre od kąpieli. Oddychała głęboko i regularnie, choć Amelia usłyszała ciche charczenie. Jej płuca zawsze rzeźbiły, jakby trzeba je było wyżąć, jak po ręcznym praniu. Co robi, jeśli

Julia umrze pierwsza? Jeśli zostanie zupełnie sama? (Sylvii nie można liczyć). Leżący na łóżku z Julią Sammy dostrzegł ją i zamerdał ogonem. Poprawiła kołdrę i wyszła. Pies zsunął się niezdarnie z łóżka i podążył za nią.

W drodze do sypialni zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami pokoju Olivii. Sammy spojrział na nią zdziwiony. Chwyciła klamkę, nacisnęła i weszła. Przez brudne okno wlewała się księżycowa poświata. Położyła się na plecach. Na małym łóżeczku. Sammy położył się obok, na podłodze, z takim wysiłkiem, że aż głośno sapnął.

Właśnie w tym łóżku Olivia obudziła się ostatniego poranka swojego życia. Rozejrzała się po tych właśnie ścianach. Czy żyłaby, gdyby spała tutaj, a nie w namiocie? Szkoda, że nie może cofnąć czasu. Szkoda, że nie może się tamtej nocy zamienić z Olivią miejscami i odeprzeć napaści kogoś, kto ją zabrał. Szkoda, że nie została wybrana zamiast Olivii.



## Theo

Dziewczynka zaciskała w dłoni plastikową tubę z okrągłymi cukierkami – jaskrawymi kuleczkami, najprawdopodobniej wyprodukowanymi z chemikaliów i szeregu niezrozumiale numerowanych dodatków do żywności. Poczęstowała go, a on z grzeczności wziął. Cukierek miał smak etyliny albo benzyny do zapalniczek. Nie wydawało się, żeby taki smak mógł dobrze wpływać na dziecięce umysły i rosnące kości. On nie kupował słodyczy. Uwielbiał czekoladę, ale nie znośli jej kupować w sklepie. Zewsząd rzucano pełne dezaprobaty ukradkowe spojrzenia. Otyli ludzie w ogóle nie mają prawa jeść, a już zwłaszcza od słodyczy powinni się trzymać z daleka. Zarejestrował się w internetowym klubie testerów i co miesiąc od producenta wyrobów czekoladowych otrzymywał pudełko z nowej serii czekoladek. Recenzował je w liście („sycące i smakowite, orzechowe pralinki dają idealny kontrast smakowy”), co było jednak dość uciążliwe, bo czuł się, jakby musiał odrabiać trudne, dość osobliwe zadanie domowe. Ale w taki sposób automatycznie racjonował sobie konsumpcję czekolady – jedno pudełeczko wybornego smakołyku miesięcznie.

Tak naprawdę nie obchodziło go, jaki ma cholesterol i ciśnienie. Byłby nawet zadowolony, gdyby mógł zejść z tego świata za sprawą zawału albo wylewu. „Nie tak łatwo umrzeć od wylewu, tato – ostrzegła go przez internet Jennifer. – Bardziej prawdopodobne, że wylew przykuje cię do łóżka. Czy o to ci chodzi?” Może się obawiała, że będzie musiała się nim opiekować, ale on nigdy by jej tego nie zrobił. Uważał, że relacja między rodzicem a dzieckiem przebiega tylko w jednym kierunku: dzieciom daje się całą swoją miłość, a one nie mają obowiązku spłacać ani jednego grosza długu. Oczywiście

cudownie, jeśli one także darzą rodzica miłością, to już sam lukier na torcie z wisienkami, i jeszcze wiórki czekoladowe, i dekoracje ze srebrnych kuleczek, i słodkie kuleczki w nadzieniu. Laura uwielbiała te kuleczki. Zawsze dekorował torty, które piekł. Torty, babki, placki, bo po śmierci Valerie nauczył się w kuchni wszystkiego. Okazało się, że jest lepszym kucharzem od żony.

Zatrudnił panią do sprzątanía. Przychodziła dwa razy w tygodniu. Zatrudnił też studentkę, która odbierała córki ze szkoły i opiekowała się nimi, dopóki nie wrócił z pracy. Poza tym wszystko robił sam – miał na głowie dom i dzieci, uczestniczył w spotkaniach Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, w wieczorkach rodzicielskich, zawoził dziewczynki na urodzinowe przyjęcia, sam organizował córkom wielkie urodziny. Inne matki traktowały go jak honorową kobietę i twierdziły, że byłby idealną żoną, co uznał za szczery komplement.

Dziewczynka powiedziała, że ma osiem lat, ale ubrana była raczej jak nastolatka. Cóż, takie czasy. Także w przeszłości dzieci ubierały się jak dorośli, to nic nowego. Kiedy Laura miała osiem lat, chodziła w drelichowych spodniach ogrodniczkach, dżinsach, a w najlepszym razie w ładnych sukienkach. Valerie, jeśli była w pobliżu, mówiła o nich sukieneczki. Poza tym białe skarpetki za kostki, sandaalki, koszulki z krótkimi rękawami i krótkie spodenki. Kupował Laurze nowe rzeczy i nigdy nie kazał jej ubierać się w to, z czego wyrosła Jennifer. Wielu ludzi uważało, że rozpieszcza i psuje swoje dzieci, ale czy można zepsuć dziecko? Zanedbaniem, owszem, ale miłością? Dziecku trzeba oddać całą swoją miłość, nawet jeśli oddawanie całej miłości może kosztować dużo bólu, złości i strachu, i nawet jeśli ostatecznie miłość może zniszczyć. Bo w końcu dzieci odchodzą, idą na uniwersytet, idą do mężów, wyjeżdżają do Kanady, odchodzą do grobu.

Nie przyjął drugiego cukierka.

– Powinno się poczęstować wszystkich, tak jest grzecznie  
– zwróciła jej chłodno uwagę Deborah Arnold.

Z pewnym ociąganiem się, jak zauważył Theo, dziewczynka zsunęła się z krzesła, podeszła do jej biurka i bez słowa wyciągnęła do Deborah tubę z cukierkami. Deborah wzięła od razu trzy. Było w tej kobiecie coś dziwnie pociągającego. Coś budzącego lęk, ale również podziw.

– Gdzie pan pracuje? – zapytała dziewczynka.

– Jestem już na emeryturze – odpowiedział Theo, zastanawiając się, czy będzie wiedziała, o czym mówi.

– Bo jest pan już stary – skonstatowała rozsądnie.

– Tak, bo jestem już stary – przyznał Theo.

– Mój tato też wybiera się na emeryturę – oświadczyła dziewczynka. – Będzie mieszkał we Francji.

Deborah zaśmiała się drwiąco.

– We Francji. – Theo zdumiał się, jakoś nie potrafił sobie wyobrazić Jacksona we Francji. – A ty już byłaś we Francji?

– Tak, na wakacjach. Niektórzy jedli tam drozdy.

– Boże... – jęknęła Deborah Arnold. – Właściwie ani pana, ani tej małej nie powinno tutaj być – dodała, jakby oboje byli winni temu, że we Francji jedzą Bogu ducha winne ptaki.

– Chciałem tylko porozmawiać z panem Brodkiem, żeby się zorientować, jak postępuje sprawa – wyjaśnił przepraszającym tonem Theo.

Deborah robiła wrażenie potwornie zajętej – stuknęła w klawiaturę, coś kserowała, porządkowała jakieś dokumenty, jak ktoś opętany przez diabła. Czy firma Jacksona Brodiego rzeczywiście wymaga tyle zaangażowania? Wydawał się człowiekiem zbyt jowialnym i niewymagającym, by utrzymywać tak zapracowaną asystentkę. Ona utrzymywała, że jest asystentką. On, że sekretarką.

– Pan Brodie wyszedł służbowo? – zapytał Theo, żeby podtrzymać konwersację.

Deborah spojrzała na niego znad okularów z politowaniem, jakby nie mogła uwierzyć, że poważny człowiek daje się wpuścić w maliny i sądzi, że Jackson naprawdę pracuje. Odpowiedziała dopiero po pięciu minutach.

– Jest u dentysty. Znowu.

– Tatuś robi do niej piękne oczy – powiedziała dziewczynka,

pakując sobie do pełnej buzi kolejnego cukierka.

Pomyślał, że to smutne, że takie małe dziewczynki wiedzą co nieco o „pięknych oczach”, że w ogóle coś wiedzą o seksie. Ale może nie wiedzą, może znają tylko słowa. Ta dziewczynka, Marlee, wydawała się rozwinięta nad wiek, przypominała raczej osiemnastolatkę niż ośmiolatkę. Nie tę osiemnastolatkę (bo Laura na zawsze pozostanie dla niego osiemnastolatką): Laura miała w sobie jakąś świeżość, niewinność, biło od niej jasne światło. Jackson nigdy nie mówił, że ma córkę, ale z drugiej strony kto o tym mówi i po co, prawda? Dyrektorzy banków i kierowcy autobusów nie powtarzają cały czas: „A tak na marginesie, mam córkę”.

– Ma pan dzieci? – zapytała Marlee.

– Tak – odpowiedział Theo. – Mam córkę w Kanadzie. Ma na imię Jennifer. Jest już dorosła.

Oczywiście czuł, że wypiera się Laury. Za każdym razem, gdy odpowiadał na to pytanie, spodziewał się Tomaszowego piania koguta, ale ludzie przecież nie pytali go po to, żeby usłyszeć: „Tak, mam dwie córki. Jedna żyje, mieszka w Toronto i ma się bardzo dobrze, a druga nie żyje i leży w grobie”.

– A wnuki? – pytała dalej Marlee.

– Nie. – Pokręcił głową.

Jennifer i jej mąż Alan – nowojorski Żyd, dobroduszny kardiochirurg – zdecydowali, że nie będą mieli dzieci, a jemu wydawało się nie na miejscu wypytywać Jennifer, skąd taka decyzja. Jennifer robi karierę, jest konsultantem ortopedycznym, wiodą szczęśliwe i dostatnie życie, mieszkają wygodnie na przedmieściach i mają domek nad jeziorem Ontario, „chatę”, jak mieszkańcy Toronto osobliwie nazywają swoje duże domy na jeziorem. Pojechał tam raz na całe lato. Z trzech stron dom otaczały drzewa. Nocą wydawało mu się, że jest w najspokojniejszym i najciemniejszym miejscu na ziemi, a jedynym źródłem światła, jakie dostrzegął, były robaczki świętojańskie. Do świtu tańczyły za oknem sypialni. To było cudowne miejsce. Mieli tam kanoe, którym wypływali na głęboką wodę, w pobliżu zaczynały się pieszkie szlaki turystyczne prowadzące przez stare bory, na tarasie z widokiem na jezioro

codziennie robili grilla – dla dzieciaków istny raj. Oczywiście starszemu człowiekowi nie brakuje tego, czego nigdy nie miał. Ale jeśli już posiadał i utracił, zawsze będzie mu tego brakowało. Może Jennifer kierowała się tylko rozwąga? Skoro nie miała dziecka, nie mogła go stracić.

– Pan jest smutny?

– Nie. Tak. Czasem trochę.

(Zawsze i bardzo).

– Proszę, niech pan zje jeszcze cukierka.

– Dziękuję.

Po dziesięciu latach Theo nagle zrobił się niecierpliwy. Dziesięć lat zbierania dowodów, dziesięć lat wytrwałego, uporczywego kolekcjonowania wszystkich drobiazgów, szpargałów, skrawków czegoś, co może mieć znaczenie. Już nie chciał zbierać, chciał wiedzieć. Jackson zabrał akta spraw wszystkich jego klientów. Bagażnik i całe tylne siedzenie samochodu załadował pudłami z historiami innych ludzi – sprawami rozwodów, domów, testamentów. Czy w tym morzu informacji zdołał już coś wyczytać, dostrzec? Jak dobra wróżka? Jak jeden z jasnowidzów, których kiedyś zatrudniano, których sam zatrudniał. Nawet policja poprosiła wtedy o pomoc jakiegoś jasnowidza, ale nie poinformowali go o tym dokładnie i wydawało mu się, że szukają ciała, podczas gdy, rzecz jasna, ciała nie trzeba było szukać. Jasnowidz powiedział, że „ciało dziewczynki znajduje w jakimś ogrodzie w odległości dłuższego spaceru od rzeki”, co zawężyło poszukiwania do połowy Cambridge, o ile ktoś miałby ochotę rozpocząć poszukiwania. Ale Laury nikt nie zamierzał szukać. Ile dziewcząt tam leżało, nieobróconych przez lemiesz pługa, niezauważonych przez spacerowicza i przechodnia? Gdyby można było zamknąć dziewczęta w wysokiej wieży, w lochu, w zakonie, bodaj w ich własnych pokojach, gdziekolwiek, gdzie byłyby bezpieczne.

Była taka dziewczyna, którą mijał niemal codziennie, raz na Regent Street, raz na Sydney Street, a raz w Grafton Centre. Siedziała na starym brezencie, z narzuconym na ramiona

kocem. Mała żebraczka, postać jakby wyjęta z historii, z osiemnastego wieku. Natknął się na nią rano przy St Andrew's Street. Dał jej pięć funtów, wszystkie drobne, jakie przy sobie miał.

Dziewczyna wyglądała na schorowaną, ale pies, mieszaniec charta z owczarkiem, robił wrażenie dobrze utrzymanego. Jego czarna, mocna sierść ładnie połyskiwała. Dziewczyna miała kremowożółte włosy, krótko przystryżone, raczej wystrzępione, i wydawało się, że nikt nie daje jej pieniędzy. Może dlatego, że wcale o nie nie prosiła, nigdy nie nawiązywała kontaktu wzrokowego, nigdy nie powiedziała do nikogo nic wesołego, nic, co miałoby przechodnia wprowadzić w dobry humor i pozwolić mu dostrzec w niej kogoś potrzebującego. Może dlatego, że wyglądała na kogoś, kto każdy grosz wyda na narkotyki. Ale on uważał, że w pierwszej kolejności dziewczyna kupuje karmę dla psa. Zawsze dawał jej pieniądze, ale gryzła go myśl, że powinien zrobić coś więcej – kupić jej coś dobrego do jedzenia, znaleźć jakiś kąt, zapytać, jak się nazywa, cokolwiek, nim zniknie ze świata, ale brakowało mu śmiałości, bał się, że próba nawiązania kontaktu zostanie zrozumiana opacznie, że dziewczyna naskoczy na niego i warknie: „Spierdalaj, dziadu, zbokuj jeden!”.

– Czy twój ojciec wie, że tu jesteś? – zapytała Deborah Arnold.

– Mama zostawiła mu wiadomość na komórce.

– Hm... ja niestety muszę wyjść – oświadczyła Deborah.

– Muszę zdążyć wrzucić list do skrzynki, zanim ją opróżnią.

Ostatnie słowa były skierowane głównie do Theo. Zaczął się zastanawiać, co ma zrobić.

– Będzie pan ją miał na oku? – zapytała Deborah i ruchem głowy wskazała na Marlee.

Theo miał ochotę odpowiedzieć: „Ależ jestem kimś zupełnie obcym, skąd pani wie, że nie zrobię jej krzywdy?”. Ale Deborah zinterpretowała jego milczenie po swojemu.

– Najwyżej za kwadrans, a może wcześniej wróci szanowny tatuś.

Marlee usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję.

– Proszę, proszę, pan jest taki fajny, niech pan się zgodzi – powiedziała.

Theo pomyślał: „Dobry Boże, czy nikt jej nigdy nie powiedział, że nie wolno się zadawać z nieznanymi?”. To, że gabarytami przypomina Świętego Mikołaja, nie oznacza, że jest pełen życzliwości i dobroci, choć oczywiście jest życzliwy i dobry. Zanim zdążył powiedzieć, że ma wątpliwości, Deborah wyszła i biegiem ruszyła po schodach.

– Mój tatuś zaraz wróci – pocieszyła go słodko Marlee.

Mój tatuś. Już same te słowa sprawiły, że poczuł, jak coś go chwyta za gardło. Drugim ulubionym filmem Laury, po *Dirty dancing*, był film *Pociągi jadą do taty*. Kilka lat przed jej śmiercią kupił go jej na kasecie wideo. Oglądali go wiele razy i zawsze płakali pod koniec, kiedy pociąg zatrzymuje się na stacji, kłęby pary i dymu z komina rozpraszają się powoli, odsłaniając tatę Bobbiego, a Jenny Agutter (która przypominała mu małą Laurę) krzyczy: „Tatuś, mój tatuś!”. I było tak strasznie dziwnie, bo przecież dla Bobbiego była to taka szczęśliwa chwila, a mimo to rozczulająco smutna. Oczywiście od śmierci Laury nie oglądał tego ani razu. Chybaby umarł, gdyby miał to jeszcze kiedyś zobaczyć. Nigdy, ani przez chwilę, nie wątpił, że po śmierci znowu spotka się z Laurą, a w jego wyobrażeniu wyglądało to dokładnie tak jak w końcowej scenie filmu *Pociągi jadą do taty*: wynurzy się z gęstego tumanu, padnie prosto w ramiona Laury, a ona zawoła: „Tatuś, mój tatuś!”. Nie był wierzący. Nie wierzył ani w Boga, ani w życie po śmierci. Po prostu wiedział, że to niemożliwe, żeby kochać tak mocno i nagle przestać.

Marlee się nudziła. Spałasowała już wszystkie cukierki i zaczęli grać z Theo w kółko i krzyżyk. Trochę już się na tym znała. I w wisielca, na czym nie znała się zupełnie, więc Theo ją nauczył, ale niebawem zaczęła marudzić, że jest głodna. Z okna na parterze kuśił ich i męczył widok witryny sklepiku z kanapkami.

– Skręca mnie z głodu – oświadczyła melodramatycznie Marlee, zginając się w pół, żeby unaocznic, jak bardzo ją skręca.

Może Deborah Arnold już nie wróci? Może Jackson nie

wróci? Może nie odsłuchał wiadomości od byłej żony? Może jego organizm źle zareagował na anestetyk u dentysty, ba, może nawet umarł po znieczuleniu? Może wychodząc od dentysty, wpadł pod samochód?

Pomyślał, że mógłby zostawić Marlee samą i wyskoczyć do sklepiku po kanapki dla nich obojga. Ile to może potrwać? Najwyżej, no, dziesięć minut. Cóż może jej się stać w ciągu dziesięciu minut? Co za głupie pytanie. Doskonale wiedział, co się może stać w ciągu dziesięciu minut – samolot może eksplodować nad miastem albo uderzyć w budynek, pociąg może się wykoleić, jakiś maniak w żółtym swetrze może wpaść do jakiegoś biura, wymachując nożem. Zostawić ją samą w biurze – co mu przyszło do głowy! Na jego liście miejsc niebezpiecznych biura zajmowały pozycję dużo wyższą niż samoloty, góry i szkoły.

– No to chodź – powiedział do dziewczynki. – Skoczymy szybko na drugą stronę ulicy i kupimy sobie po smacznej kanapce.

– A jeśli wróci tatuś i nas nie zastanie?

Bardzo go wzruszyło słówko nas.

– Cóż, zostawimy mu na drzwiach wiadomość.

– Wracamy za dziesięć minut! – wykrzyknęła Marlee.

– Tatuś zawsze zostawia taką wiadomość.

Oczywiście nie było to takie proste, jakie się wydawało. Minęła piętnasta, właściciel zamykał sklepik, nie miał już wielkiego wyboru, a na widok kanapek, które zostały – z jajkiem i majonezem albo z wołowiną i chrzanem – Marlee odegrała pantomimę bóleści żołądkowych. Kiedy wychodzili ze sklepiku, wsunęła swoją małą suchą rączkę w jego dłoń i ścisnęła ją serdecznie. Nagle podskoczyła z przejęcia. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła bar z hamburgerami i niemal siłą go tam zaciągnęła. Przemknęła mu przez głowę myśl o chorobie Creutzfeldta-Jacoba, ale spróbował jej do siebie nie dopuszczać. Zwłaszcza że dziewczynka mówiła, że ma ochotę na jakiegoś „kurczakowego” burgera, więc miał nadzieję, że będzie w nim mięso z kury, a nie z szalonej krowy, ale z której części kury? Czy nie nazbyt starej? Czym karmiono tę kurę?



Prawdopodobnie mączką z szalonej krowy.

Kupił jej kurczakowego burgera („z frytkami, z frytkami”, błagała) i colę. Jak na bar szybkiej obsługi obsługiwano ich nader wolno i Theo zaczął się zastanawiać, czy ktoś w ogóle rejestruje to, jak się w tym barze pracuje. Większość pracowników wyglądała na dzieciaki, jeśli chodzi o ścisłość, australijskie dzieciaki.

Nie było ich w biurze dłużej niż dziesięć minut. Jeśli Jackson już wrócił, to na pewno rozpoczął już poszukiwania. Na szeroką skalę. Nagle wyrósł w gwarnym tłumie zagranicznych studentów. Theo jakby go wyczarował myślami. Roznosiło go. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego, wręcz wzburzonego, i chwycił Marlee za ramię z taką siłą, że aż pisnęła z bólu.

– Tatusiu, rozlejesz mi colę!

– Gdzie się włóczysz?! – krzyknął i spojrzał groźnie na Theo.

Co za tupet, przecież on tylko się opiekował jego córką, z troską nie mniejszą, niż robiłby to niejeden rodzic.

– Jestem w tym wypadku niańką – wyjaśnił. – Nie porywaczem.

– Tak... – Jackson otrzeźwiał. – Oczywiście, przepraszam, wystraszyłem się.

– Pan Theo się mną opiekuje. – Marlee uśmiechnęła się szeroko, odgryzając duży kawałek bułki. – I kupił mi frytki. Bardzo go lubię.

Kiedy Theo wracał St Andrew’s Street, dziewczyny o kremowożółtych włosach już nie było. Zmartwił się, że może już nigdy jej nie zobaczy. Bo tak się w życiu dzieje: człowiek jest, śmieje się, rozmawia, oddycha, a chwilę później już go nie ma. Znika na zawsze. I na świecie nie zostaje po nim najmniejszy ślad, nawet cień uśmiechu, nawet szept. Nic.

## Jackson

- Masz mocno zaczerwienione podniebienie miękkie
- mruknęła jakby do siebie Sharon. – Nie boli?
- Neeah... hrrm...
- Podejrzewam, że pękł jakiś wrzód, Jackson.

Wywieszka na drzwiach głosiła: „Panna S. Anderson, magister, dentysta chirurg”. Nigdy mu nie zaproponowała, żeby się do niej zwracał po imieniu, choć nie widziała przeszkód, żeby tak się zwracać do niego. Pomyślał, że dzisiaj lekarze, dyrektorzy banków, ludzie zupełnie sobie obcy mówią do siebie po imieniu. Powszechne tykanie było prawdziwym utrapieniem Binky Rain. „No więc mówię temu panu w banku (paanu w baanku), temu kasjerowi, przepraszam cię, młody człowieku, ale nie przypominam sobie, żebyśmy przechodzili na ty. Jak dla pana, młodzieńcze, nazywam się pani Rain i nie obchodzi mnie, jak pan się nazywa”. Słowo kasjer zabrzmiało w ustach Binky Rain tak, że za nic w świecie nie chciałby w nie wdepnąć na ulicy.

Czuł się absurdalnie bezbronny i słaby, leżał unieruchomiony w fotelu, przybity i bezsilny, i był ofiarą fanaberii Sharon i jej milczącej asystentki. Obie, Sharon i asystentka, miały tajemnicze czarne oczy i w podobnie obojętny sposób spoglądały nimi na niego zza białych masek, jakby roztrząsały w myślach, co jeszcze mogłyby mu zrobić, niczym sadystycznie usposobione do widza tancerki trzymające w dłoniach stalowe narzędzia chirurgiczne.

Usiłował o nich nie myśleć. Ani o nich, ani o słynnej scenie z *Maratończyka*. Próbował za to wyczarować w głowie jakiś obraz Francji. Mógłby tam uprawiać warzywa. Nigdy w życiu nie uprawiał warzyw, to Josie zajmowała się ogrodem, on tylko wykonywał jej polecenia: wykop to, przenieś tam to, skoś

trawę. We Francji warzywa z pewnością rosną same. Taka żyzna i płodna ziemia. Pomidory, brzoskwinie. Winnice – mógłby uprawiać winogrona? Oliwki, cytryny, figi – jak w Biblii. Wyobraził sobie, jak pnącza ciągną się po ziemi, jak strzelają pąki i pokazują się pierwsze owoce. Boże, miał erekcję (na myśl o warzywach! Coś z nim jest nie tak?). Zdenerwował się i zakrztusił własną śliną. Sharon ustawiła fotel pionowo.

– Wszystko w porządku? – zapytała, przekrzywiając głowę i patrząc na niego z troską.

Jackson głośno kaszłał.

Milcząca asystentka podała mu wodę w plastikowym kubku.

– Niedługo kończymy – zełgała Sharon, prowadząc go znowu do pozycji leżącej.

Tym razem skupił się na czymś mniej przyjemnym, na zwłokach Laury Wyre. Przepadła, zwalona znienacka z nóg, jak łania, jak zwierzak ścięty na drodze przez rozpędzony samochód.

„Pan Wyre, gdzie jest?” Dziwnie sformułowane pytanie – czy normalnie nie zapytałoby się: „Czy jest pan Wyre?”. Czy rzeczywiście tak zabójca powiedział? Może pytał o panią Wyre? Może o pannę Wyre? Może Moira Tyler (jedyna osoba, z którą rozmawiał) się przesłyszała? W takim chaosie? Ale przecież wtedy nie panował jeszcze chaos, zabójca był po prostu petentem w żółtym swetrze golfisty, pytającym o jednego z radców.

A życie prywatne Laury? Czy było tak przejrzyste, jak się mogło wydawać? Dziewica pełna poświęceń? Rzeczywiście była dziewczicą? Nie przypominał sobie, żeby wspomniano o tym w raporcie z sekcji zwłok. Oczywiście Wyre uważał, że była. Jackson potrafił sobie wyobrazić, że nawet gdyby Marlee trzy razy wychodziła za mąż, trzy razy się rozwodziła i miała dziesięcioro dzieci, wciąż ufałby, że jest dziewczicą.

Prasa szybko kupiła nieskazitelność Laury. Zawsze to lepiej dla mediów, jeśli ofiarą zbrodni pada sympatyczna dziewczyna z lepszych sfer, o zdrowych poglądach i uniwersyteckich aspiracjach, a nie jakaś prostytutka albo opryskliwa bezrobotna nastolatka (choćby taka Kerry Anne Brockley). Ale kto

powiedział, że Laura Wyre nie miała tajemnic? Romansu z żonatym mężczyzną, który ukrywała przed ojcem, żeby go nie ranić? Może przypadkiem wpadła w sidła chorego wielbiciela, kanalii i zbrodźcy, który nie dawał jej spokoju? Może była dla niego miła (czasem samo to wystarczy), a on zaczął sobie wyobrazać nie wiadomo co. Że jest w nim zakochana, że łączą ich jakieś kosmiczne fluidy. Było na to jakieś określenie, ale Jackson nie potrafił go sobie przypomnieć, jakiś syndrom, Münchhausena, chyba nie. W grę wchodziły cztery możliwości. Albo znał osobiście Wyre'a, albo Wyre był mu całkowicie obcy. Albo znał osobiście Laureę, albo nie. Erotomania – tu leżał klucz do rozwiązania zagadki. Pachniało kiepskim holenderskim pornolem.

Pewien sondaż przeprowadzony kilka lat temu wykazał, że kobieta nie czuje zagrożenia ze strony mężczyzny, który trzyma w ręku „Guardiana” albo ma przypiętą do piersi pacyfkę. Jackson zastanawiał się kiedyś, ilu gwałcicieli zaczęło wtedy chodzić z „Guardianem” pod pachą. Choćby taki Ted Bundy: wsadził sobie rękę w gips i żadna kobieta nie pomyślała, że coś jej grozi. Tymczasem żadna, żadna kobieta nie powinna się czuć bezpieczna. Nieważne, czy jest silna jak Sigourney Weaver w *Obcym* albo Linda Hamilton w *Terminatorze 2*, bo gdziekolwiek się znajdzie, może się tam znaleźć mężczyzna. Szalony mężczyzna. To, co podobało mu się w silnych kobietach najbardziej, w takich jak Ripley albo Sarah Connor (tak, wie, to postacie fikcyjne), to miłość macierzyńska. Bo chociaż były wymyślone, motywy ich działania wyrastały z prawdziwej macierzyńskiej miłości, z miłości do całego świata. Nie, Jackson, nie wchodzi w to, nie myśl o Sarze Connor, pomyśl raczej o czymś złym, o rurze wydechowej, którą trzeba naprawić. Pomyśl o czymś nudnym. O golfie.

– Usunęłam ropę, Jackson – szepnęła Sharon łagodnie.  
– Założę ci opatrunek. Ale tymczasowy. Nie wolno leczyć objawów, trzeba wyeliminować przyczynę. Korzeń.

W college'u najbliższy krąg przyjaciół Laury tworzyli Christina, Ayshea, Josh, Joanna, Tom, Eleanor, Emma, Hannah i Pansy. Jackson znał te imiona z niedużej podręcznej

tablicy wiszącej na ścianie w domu Wyre'a, zatytułowanej „Znajomi Laury ze szkoły”. Obok wisiała inna tablica, zatytułowana „Znajomi Laury spoza szkoły” (z klubu pletwonurków, z pubu, w którym pracowała, i tak dalej). Była też trzecia tablica, zatytułowana „Przypadkowe znajomości Laury” (Wyre zapisał na niej nazwiska praktycznie wszystkich ludzi, których drogi przecięły się z drogami Laury).

„Znajomi Laury ze szkoły” tworzyli numerowaną listę. Numer miał świadczyć o stopniu zażyłości – jeden to najlepsza przyjaciółka i tak dalej. Wyre wymienił na niej wszystkich studentów i studentki college'u. Ile czasu zajęło mu dowiadywanie się, czy dana osoba powinna się znaleźć na sto ósmym, czy może sto dziewiątym miejscu? Żeby chociaż opracował ją na komputerze, ale nie, wykonał benedyktyńską pracę i wypisał nazwiska odręcznie. Facet chyba jest szurnięty.

Wszyscy mieli płeć oznaczoną kolorem – nazwiska dziewcząt zostały wypisane niebieskim flamastrem, chłopców czerwonym. Jeden rzut oka na tablicę pozwalał się zorientować, że znakomitą większość znajomych Laury stanowiły dziewczęta. Cała pierwsza dziesiątka była niebieska, poza dwoma wyjątkami: Joshem i Tomem. Najwyraźniej Laura Wyre była dziewczyną lubiącą przebywać wśród dziewczyn, której nie było dane zostać kobietą lubiącą przebywać wśród kobiet. Koniec listy świecił długą czerwoną falangą nazwisk – spora grupa chłopaków, których Laura prawdopodobnie nawet nie zauważała, nie mówiąc już o tym, żeby miała z nimi zamienić kilka słów. Czerwony kolor jakoś szczególnie wyróżniał chłopców i zdawał się czynić ich bardziej niebezpiecznymi albo w jakimś sensie obciążonymi błędem. Jacksonowi przypomniały się sprawdziany z czasów szkolnych, z pajęczyną uwag gęsto zapisanych czerwonym nauczycielskim piórem. Dopiero kiedy skończył szkołę i poszedł do wojska, odkrył, że wcale nie jest taki głupi.

Policja przesłuchiwała wszystkie dziewczęta ze szkoły Laury – z wyjątkiem tych z pierwszej dziesiątki. „Urlopy dziekańskie”, wyjaśnił Jacksonowi Wyre. Bał się, że Laura również wpadnie na pomysł, żeby wziąć rok wolnego od nauki i odwiedzić jakieś

niebezpieczne zakątki świata. A przecież bezpieczniejsza byłaby w zapchlonej, owianej heroiną noclegowni w Bangkoku niż w kancelarii własnego ojca. „*Mea culpa*”, mówił Jacksonowi ze swoim smutnym psim uśmiechem.

Policja ani przez chwilę nie wątpiła, że Laura była nieszczęśliwą, zupełnie przypadkową ofiarą, a celem zabójcy był Theo Wyre. Jackson przypomniał sobie Boba Pecka z serialu *Na krawędzi mroku* – nie ma już dzisiaj takiej produkcji w telewizji, to bodaj ostatni dobry serial BBC, jaki oglądał. 1984? 1985? O ile dobrze pamiętał, 1985 rok. Trzy lata po wojnie o Falklandy. Howell odszedł z wojska, a ona zaciągnął się na kolejnych pięć lat. Chodził wtedy z dziewczyną o imieniu Carol, która niebawem przyłączyła się do kampanii na rzecz rozbrojenia nuklearnego, założyła pacyfkę i oświadczyła, że jej poglądy polityczne są niekompatybilne z tym, co miałoby ją z nim łączyć. Co prawda przekonywał ją, że specjalnie nie gustuje w broni nuklearnej, ale ona mimo wszystko wołała przykuwać się łańcuchami do różnych nieruchomych obiektów i wykrzykiwać sprośności pod adresem policjantów przy uniwersytecie Thames Valley.

W 1985 roku Laura Wyre miała dziewięć lat, a Olivia Land nie żyła od piętnastu. W filmie *Na krawędzi mroku* Ronald Craven, postać grana przez Boba Pecka, też miał obsesję na punkcie swojej córki. Miała na imię Emma – to samo imię nosi dziewczyna z piątego miejsca czerwono-niebieskiej listy, jedyna z czołówki, która wciąż mieszka w miarę niedaleko od Cambridge. Numer jeden, Christina, wyszła za mąż i mieszka w Australii. Ayshea jest nauczycielką w Dorset. Tom pracował ostatnio w parlamencie Unii Europejskiej w Strasburgu. Josh jakby zupełnie zniknął z mapy świata. Joanna była lekarką w Dublinie, Hannah wyjechała na stałe do Stanów Zjednoczonych, Eleanor była radcą prawnym w Newcastle, a Pansy pracowała w jakimś wydawnictwie w Szkocji. Prawdziwy dziewczęcy exodus. Uciekały przed czymś? Od czegoś? („Jeśli będziesz biegł bez opamiętania, dotrzesz tam, skąd wystartowałeś, Jackson”). Chciał porozmawiać z kimś, kto patrzył na Laurę innymi oczami niż jej ojciec. Nie żeby obraz

Laury w oczach ojca nie był autentyczny. Był inny. Bez względu na to, jak silna więź łączyła go z córką, z pewnością są rzeczy, których nie zauważał albo nie rozumiał. Nie mogło być inaczej. One zawsze kryją tajemnice, choćbyś nie wiadomo jak tego nie znośił.

Emma Drake mieszkała w dzielnicy Crouch End. Pracowała w redakcji BBC. Kiedy do niej zadzwonił, od razu powiedziała, że chętnie porozmawia, i zaproponowała „małego drinka” po pracy, naprzeciwko siedziby BBC przy ulicy Langham.

Bardzo sympatyczna dziewczyna, taktowna i rozmowna. Wypiła trzy manhattany, jeden po drugim, jakby chciała jak najszybciej zapomnieć o trudach dnia. „Nie jest już dziewczyną”, poprawił się w myślach Jackson. Jest dorosłą, dwudziestoosmioletnią kobietą.

– Pamiętam, jak myślałam, że to mogłam być ja – mówiła, wrzucając do ust fistaszka. – Nie jadłam cały dzień, pan wybacz – dodała przeproszającym tonem. – Nie mogłam wyjść ze studia. To chyba było egoistyczne, prawda?

– Niezupełnie – odparł Jackson.

– Choć właściwie wiem, że mnie nie mogło się to przytrafić, nie było mnie tam, w tej kancelarii, dokładnie w tamtej chwili, ale w pechu jest coś takiego...

– Na pewno? W pechu? – przerwał jej. – Nie pomyślała pani, że człowiek, który ją zabił, chciał zabić właśnie ją, że to ona była jego celem, nie jej ojciec?

Przy fortepianie stojącym w kącie sali usiadł starszy pan we fraku. Podniosłym gestem uniósł palce, zawiesił je nad klawiaturą. Po chwili uderzył w klawisze w showmańskim stylu Liberace i z rozmachem zaczął grać kwiecistą wersję standardu *Some Enchanted Evening*.

– O Boże... – Emma Drake zrobiła małą minę i parsknęła śmiechem. – Nie wiem. Może kogoś poznała. Miałam wrażenie, że po szkole wszyscy zniknęli. Powyjeżdżali za granicę, w podróż albo do pracy. Laura była jedną z nielicznych osób, które postanowiły rozpocząć studia zaraz po wakacjach. Ja byłam w Peru. O jej śmierci dowiedziałam się dopiero kilka tygodni później. Co gorsza odniosłam wrażenie, że dla

wszystkich sprawa przeszła już do historii.

– Może jednak przypomni pani sobie jakiś drobiazg, który umknął uwadze innych? – nie ustępował Jackson.

Zachodził w głowę, czy kolejny manhattan rozwiąże jej język, czy raczej go zapłącze, i czy dalej powinien ją poić alkoholem, a potem odprowadzić do domu i zaopiekować się nią na niezbyt bezpiecznych ulicach Londynu. Czy tak samo będzie z Marlee? Zdobędzie dobre wykształcenie, dostanie się na uniwersytet i skończy na jakimś marnym etacie w BBC? Któregoś dnia wypije o jednego za dużo i będzie wracać sama metrem do wynajętego mieszkanka na szarym końcu Crouch End? Zapropował Emmie Drake kawę i odetchnął z ulgą, kiedy odmówiła.

– Przepraszam, ale jakoś nic mi nie przychodzi do głowy – odpowiedziała, marszcząc brwi i rzucając kose spojrzenie pianicie, który przerzucił się właśnie na potpourri z Andrew Lloyda Webbera. – No nie wiem, była ta sprawa z panem Jessopem.

– Z panem Jessopem?

– Ze Stanem. – Zmarszczyła brwi jeszcze bardziej, ale chyba nie z powodu taktów z *Upiora w operze*. – To był jej nauczyciel biologii.

– Sprawa? Coś ich łączyło?

To nazwisko nie było mu obce. Stan Jessop. Widział je już na tablicy w domu Wyre'a, tej zatytułowanej „Nauczyciele Laury”. Policja przesłuchiwała go dwa dni po morderstwie i wykluczyła z kręgu podejrzanych. Emma Drake zagryzła wargi i zakręciła resztką drinka na dnie kieliszka.

– Nie wiem, musiałby pan zapytać Christinę. Trzymała się z Laurą bliżej niż ja. Zresztą ona też miała zajęcia z panem Jessopem.

– Christina hoduje owce na jakiejś farmie w australijskim buszu.

– Co pan powie! – Emma na chwilę się ożywiła. – Niesamowite. Wszyscy straciliśmy ze sobą kontakt. Nie do pomyślenia, prawda? Aż trudno uwierzyć.

Och, wcale nie tak trudno, pomyślał Jackson. Prędzej czy



później ze wszystkimi traci się kontakt.

Podano im kawę i Jackson pomyślał, że chyba powinien jej zamówić jakąś kanapkę. Co takie dziewczyny jak ona jedzą w domu, kiedy w końcu wieczorem tam dotrą? Czy takie dziewczyny w ogóle coś jedzą?

– Wie pan, obiecaliśmy sobie, że się spotkamy dokładnie po dziesięciu latach, licząc od dnia, kiedy pożegnaliśmy college – powiedziała. – Umówiliśmy się przed pawilonem Hobbsa. Termin minął kilka tygodni temu. Oczywiście nikt nie przyszedł.

– A pani?

Przytaknęła, a w jej oczach zakręciły się łzy.

– Głupia. Czulałam się jak kretynka. Stałam i czekałam nie wiadomo na co. Nie sądziłam, że ktoś się zjawi. Naprawdę. Ale uważałam, że powinnam przyjść, tak na wszelki wypadek. Nie chodzi o to, że nikt nie przyszedł. Chodzi o to, że nie przyszła Laura. To znaczy wiem, że nie żyje, i przecież się jej nie spodziewałam, tylko że to mi otworzyło oczy... Dla Laury nie było żadnego po dziesięciu latach, nie było dla niej przyszłości. Dla niej zatrzymał się cały świat. Ot tak, po prostu...

Jackson podał jej papierową chusteczkę (zawsze miał przy sobie chusteczki, połowa ludzi, z którymi się spotykał, kończyła we łzach).

– Co to było z panem Jessopem?

– Właściwie to były tylko plotki. Laura nie należała do osób, które skrywają głębokie tajemnice, ale była dyskretna. Nie lubiła dużo o sobie mówić. Boże, mówię, jakbym była jej mamą. W sumie niewiele myślę o Laurze. To okropne, prawda? Okropne, że koniec końców nikt o człowieku nie pamięta, a jeśli ktoś pamięta, to powtarza tylko frazesy. Bo przecież myślałam o niej, kiedy stałam przed pawilonem Hobbsa, ale wiedziałam, że nawet jeśli zjawią się niektórzy z nas, to nie ma nadziei, żeby przyszła ona. Ale poza tą jedną chwilą to...

Zagryzła wargi jeszcze mocniej. Jackson chciał ją powstrzymać, bał się, że przegryzie sobie skórę.

– ...jakby nigdy jej nie było – dokończyła matowym głosem.

– Podobno nie była dziewicą... – napomknął Jackson,

ciekawym, co z tego wyniknie.

Emma westchnęła.

– Cóż, a która z nas była? Nie była przecież święta. Była normalna, jak każda dziewczyna.

– Ale zdaje się, że nie miała chłopaka. W każdym razie policja nikogo takiego nie przesłuchiwała.

– Tak naprawdę z żadnym nie chodziła. Przespała się z jednym czy drugim, i to wszystko.

Czy to normalne? Tak się zachowywały dziewczęta dziesięć lat temu? Jeśli tak, to co dziewczęta w tym wieku robią teraz? I co będą robić za dziesięć lat? Kiedy Marlee osiągnie wiek, w którym Laura zesłała z tego świata? Jezu.

– Najbardziej przyjaźniła się z Joshem. Znali się jeszcze z podstawówki. Nie przepadałam za nim. Wydawał mi się zarozumiały. Ale to był bystry chłopak.

– Nie udało mi się ustalić, co się z nim teraz dzieje – powiedział Jackson.

– Nie skończył szkoły. O ile wiem, jest didżejem w Amsterdamie. To właśnie z nim Laura przeżyła pierwszy raz.

– Jej ojciec uważa, że była dziewicą.

Emma się roześmiała.

– Ojcowie zawsze tak myślą o córkach.

– Nawet jeśli mają dowód, że jest inaczej?

– Zwłaszcza wtedy.

– Co z tym Jessopem? – Jackson wrócił do tematu.

– Och, wszystkim nam wpadł w oko. – Emma przypomniała sobie nauczyciela i jej twarz się rozjaśniła. – Był słodki i młody, zbyt przystojny jak na nauczyciela. Laura i Christina miały z nim zajęcia. Laura była jego pupilką, najlepszą uczennicą, gwiazdą i w ogóle. Ale bez podtekstów, miał żonę i dziecko.

(Jakby to miało znaczenie).

– Laura często się opiekowała ich dzieckiem. Czasem chodziłam tam z nią dla towarzystwa. Laura twierdziła, że nie umie się opiekować dziećmi, ale z Niną, córeczką Jessopów, szło jej znakomicie. Laura polubiła żonę pana Jessopa, Kim. Świetnie się rozumiały. Mnie wydawało się to śmieszne, bo Kim była prymitywna... – Emma przyłożyła dłoń do ust. –

Boże, wiem, nieładnie tak mówić, to trąci snobizmem. Ale wie pan, co mam na myśli. Wypomadowana blondyna, taka kokota. Trudno ją czasem zrozumieć. Pochodzi spod Newcastle, mówi z akcentem geordie, straszna prowincja. O rany, lepiej będzie, jak się zamknę.

Była kopalnią informacji. Ale nikt jej nie przesłuchał. Nikt nie przesłuchał też Kim Jessop.

– Dotychczas nikt nie wspominał o Laurze i Jessopie – powiedział Jackson.

– Hm... chyba nie było po co, przecież to nie on był tym szaleńcem, który zabił Laurę, prawda? Wie pan, to były tylko plotki, taka tam miłośćka. Źle, że w ogóle o tym mówię.

– W dzisiejszych czasach to nic nadzwyczajnego, gdy uczennica podkocha się w nauczycielu. Laura na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, żebyśmy o tym porozmawiali.

Jakby Laura żyła, jakby istniała gdzieś w rzeczywistości. Laurze Wyre wszystko jest już obojętne.

– Och nie, nie, pan mnie źle zrozumiał, wcale nie mówiłam, że Laura się podkochiwała w panu Jessopie, to raczej pan Jessop się podkochiwał. W Laurze.

Jackson wsadził Emmę Drake do taksówki i pańskim gestem dał taksówkarzowi dwudziestopięcioletni banknot. Poprosił, żeby ją zawiózł na Crouch End i odprowadził pod same drzwi. Potem ruszył w swoją podróż, dłuższą i o wiele tańszą: dojechał do dworca King's Cross, a stamtąd pociągiem do domu. Przez całą drogę patrzył tępo w okno.

– Gotowe, Jackson. Posklejane, pozszywane, można używać.

Sharon ściągnęła z twarzy maskę i uśmiechnęła się do niego czule, jak do trzyletniego dziecka. Pomyślał, że zaraz wręczy mu lizaka albo kolorową odznakę.

– Umówmy się od razu na usunięcie tego korzenia, dobrze?

Był pewien, że to przenośnia, że mówi o eliminowaniu przyczyn, że chodzi jej o ukryte znaczenia, a nie po prostu o korzeń. W jego głowie.

Dopiero na ulicy sprawdził skrzynkę głosową. Znalazł wiadomość od Josie. Prosiła, żeby po południu zaopiekował się Marlee, i powiedziała, że córka czeka na niego w biurze. Tyle

tylko że wcale nie czekała. Biuro było puste i nikt go nie zamknął na klucz. Na kartce zostawionej na drzwiach ktoś napisał znanym mu pismem, ale nie było to ani pismo Deborah, ani Marlee, przeczytał: „Wracamy za dziesięć minut”. Dopiero po dłuższym namyśle zdał sobie sprawę, że to pismo Wyre’a (Bóg jeden wie, ile tego widział w ostatnich dniach). Tym razem jednak słowa zapisano neutralnym czarnym kolorem. „Wracamy za dziesięć minut” nie mówiło wiele, jeśli się nie wiedziało, od której godziny należy liczyć. Jackson nagle poczuł paniczny strach. Właściwie co o nim wiedział? Robił wrażenie sympatycznego człowieka, dobrodusznego misia, całkowicie nieszkodliwego, ale przecież psychopatyczni zbrodniarze nie mają na czołach tatuaży: „Jestem psychopatycznym zbrodniarzem”. Dlaczego uważał, że Wyre to dobry człowiek? Bo jego córka zginęła tragicznie? Czy to gwarancja?

Rzucił się ku schodom i po chwili wybiegł na ulicę. Gdzie ona jest? Z Wyre’em? Z Deborah? Sama? Z nieznanym? Kiedyś chciał kupić Marlee telefon komórkowy, ale Josie się nie zgodziła (kiedy to stała się jedyną osobą, która podejmuje decyzje w sprawie Marlee?). Pomyśleć, jak bardzo by się teraz przydał. Kątem oka dostrzegł Wyre’a. Wychodził z baru nieopodal, po tej samej stronie ulicy. Był tak wielki, że nie sposób go było przeoczyć. Marlee była z nim. Bogu dzięki. Miała na sobie krótką spódniczkę i top. Jezu, w całym internecie można znaleźć tak skąpo ubrane dziewczynki.

Nie zawracając sobie głowy grzecznością, zaczął się przepychać przez zbity tłum mówiących po hiszpańsku nastolatków. Po chwili złapał Marlee za ramię i krzyknął: „Gdzie się włóczysz?!”. Miał ochotę zdrowo grzmotnąć Wyre’a po głowie, ale nie bardzo wiedział, za co. Każdy mógł zobaczyć gołym okiem, że Marlee ma się całkiem dobrze i że napycha sobie buzię frytkami. Za cukierka prawdopodobnie poszłaby z byle nieznanym. „Jestem w tym wypadku niańką – powiedział Wyre. – Nie porywaczem”. Jackson oblał się bladym rumieńcem. „Tak... Oczywiście, przepraszam, wystraszyłem się”. „Pan Theo się mną opiekuje – dodała

Marlee. – I kupił mi frytki. Bardzo go lubię”. Jezu Chryste, to aż takie proste?

– Mama tak po prostu cię tu zostawiła? – zapytał Jackson, kiedy wrócili do biura.

– Nie, David mnie przywiózł.

– Ach, więc to David cię zostawił.

Co za palant.

– Była Deborah.

– Ale teraz jej nie ma. – (Gdzie ona jest, u diabła?)

– Zostawiliście otwarte biuro, każdy mógł wejść, a ty poszłaś sobie z zupełnie obcym człowiekiem! Masz pojęcie, jak to się mogło skończyć?

– Nie znasz pana Theo?

– Znam, ale nie w tym rzecz. Ty go nie znałaś.

Małe usteczka Marlee zaczęły drżeć.

– To nie moja wina – wyszeptała. – To nie moja wina, tatusiu.

Jackson poczuł się winny.

– Przepraszam, złotko. Oczywiście, to nie twoja wina – powiedział. – Masz rację, to ja zawiniłem.

Objął ją i pocałował w czubek głowy. Pachniała cytrynowym szamponem i tłuszczem z hamburgera.

– Dałem plamę – szepnął jej we włosy.

– Przepraszam, można wejść?

W progu niepewnie stała jakaś kobieta. Jackson uwolnił z objąć Marlee. Długo i chętnie pozwalała mu się ścisnąć.

– Chciałam się umówić na rozmowę – oznajmiła kobieta.

Kobieta pod czterdziestkę, dzinsy, T-shirt, sandały wiązane rzemykami, dość wysportowana sylwetka (gdyby miał zgadywać, postawiłby na kick boxing), ale oczy zmęczone i podkrążone. Typ Sary Connor. Albo pielęgniarki z serialu *Ostry dyżur*, o której wszyscy mężczyźni mówili, że traktowałiby ją lepiej niż jej koledzy z ekranu. (Od rozwodu Jackson częściej oglądał telewizję). Dostrzegł w niej coś swojskiego. Większość osób, w których widział coś swojskiego, okazywała się potem przestępcami, ale ta kobieta nie wyglądała na przestępcę.

– Ee... proszę. – Niewyraźnie zatoczył ręką koło. – Możemy porozmawiać teraz, jeśli pani chce.

Kobieta zerknęła na Marlee.

– Jednak wolałabym się umówić – powiedziała.

Jackson od razu wiedział, że chodzi o coś, o czym nie chciałby słyszeć.

Umówili się na jedenastą w środę, bo jak wyjaśniła: „W środę mam nockę”. Jackson znowu pomyślał: „Pielęgniarka”. Zapewne dlatego dostrzegł w niej coś swojskiego. Pielęgniarki i policjanci nadto często się spotykają w ramach powinności służbowych. Lubił pielęgniarki, i to wcale nie z powodu serialu komediowego *Oby tak dalej* ani z powodu reklamowych pocztówek z ich podobiznami, ani półpornograficznego ubioru, ani z innych podobnych powodów, i nie lubił tych grubych, z zadkami jak stodoła, przyziemnych i pozbawionych wyobraźni (a było takich wiele). Lubił te, które rozumiały cudze cierpienie, które same cierpiały, te z podkrążonymi oczami, jak u Sary Connor. Te, które rozumiały ból jak Trisha, Emmylou albo Lucinda, kiedy śpiewają swe piosenki. A może także wówczas, kiedy nie śpiewają? Kto wie?

Z całą pewnością coś w sobie miała. Jakieś *je ne sais quoi*. Miała na imię Shirley, tak się przedstawiła, i dobrze wiedział, po co przyszła. Kogoś straciła. Widział to w jej oczach.

\* \* \*

– Wracamy do domu? – zapytała Marlee i westchnęła demonstracyjnie, siadając na tylnym siedzeniu. – Umieram z głodu.

– No chyba nie jesteś głodna?

– Właśnie że jestem. Przecież rosnę – dodała na swoją obronę.

– Nigdy bym nie zauważył.

– W samochodzie pachnie papierosami, ohyda. Tatusiu, nie powinieneś palić.

– Teraz nie palę. Usiądź z drugiej strony, nie za mną.

– Dlaczego?

– Dlaczego nie?

(Bo jeśli z jakichś powodów pas bezpieczeństwa zawiedzie, to wylecisz z auta przez przednią szybę, co statystycznie rzadziej kończy się tragicznie niż bezpośrednio uderzenie w kierownicę). Marlee przesunęła się na lewą stronę (miejsce księżnej Diany). Zamknęła drzwi na zamek.

– Nie blokuj drzwi, Marlee.

– Dlaczego?

– Po prostu nie blokuj.

(Łatwiej będzie cię wyciągnąć, jeśli w samochodzie wybuchnie pożar).

– Co chciała ta pani?

– Panna Morrison? – Shirley. Ładne imię. – Zapięłaś pasy?

– No...

– Nie mówi się no... tylko tak. Nie wiem, czego chciała pani Morrison.

Wiedział. Widział to w jej oczach. Straciła coś albo kogoś. Jeszcze jeden punkt po stronie strat w wielkim arkuszu rachunkowym.

Najbardziej interesującą sprawą ostatnich miesięcy było zniknięcie Nicoli Spencer (co mówi samo za siebie). Wszystkie pozostałe to nuda i rutyna. I nagle ni stąd, ni zowąd, w ciągu niespełna kilku tygodni, zlecają mu sprawę morderstwa, tajemniczego zniknięcia dziecka z górą trzydzieści lat temu, a teraz jeszcze pada mu do stóp zrozpaczona Shirley Morrison.

Zerkał na Marlee we wstecznym lusterku. Wierciła się na tylnym siedzeniu niczym miniaturowy iluzjonista Houdini. Raptem zanurkowała w dół i zniknęła mu z oczu.

– Co robisz? Masz zapięty pas?

– Tak, chcę tylko zobaczyć, co to jest, tu... na podłodze...

– Jej głos tłumilo stękanie. Stękała z wysiłku.

– Co takiego?

– O, to! – krzyknęła z triumfem, pojawiając się raptem niczym nurek na powierzchni wody.

Jackson spojrział w lusterko, na to, co trzymała w ręku. Uniosła to coś wyżej, żeby mógł się dobrze przyjrzeć. Jezu Chryste, prochy Victora.

– Odłóż to, kochanie.

– Ale co to jest?

Usiłowała podważyć palcami szczelnie zamknięte wieko brzydkiej metalowej urny. Jackson wyciągnął do tyłu rękę i wyrwał jej urnę z rąk. Samochodem lekko zakołysało, a Marlee pisnęła z przerażenia. Postawił prochy z przodu na podłodze, przed siedzeniem pasażera. Julia uprosiła go, żeby rano odebrał prochy z krematorium, „Bo przecież pan ma samochód, panie Brodie, a my nie”. Niepodważalny argument, ale jego nie do końca przekonywał. W końcu w ogóle nie znał Victora. „Ależ był pan jedynym gościem na pogrzebie”. Julia postawiła kropkę nad i.

– Chyba nie będziesz płakać, kochanie?

– Nie – odparła, bardzo zagniewana.

Kiedy Marlee się gniewała, budziły się w niej demony.

– O mało nie rozbiłeś samochodu.

– Ależ nie.

Zajrzał do schowka przy kierownicy w poszukiwaniu cukierków, ale nic nie znalazł, poza papierosami i drobnymi na parkometry. Dał jej kilka monet.

– Co jest w tej puszcze? – nalegała Marlee, łaskawie przyjmując pieniądze. – Coś złego?

– Nie. Zupełnie nic złego.

Dlaczego nie miałby jej powiedzieć, co jest w urnie? Przecież już pojmuję, czym jest życie i śmierć. W swej ośmioletniej ziemi pochowała niejednego chomika, a przed rokiem Josie zabrała ją na pogrzeb swojej mamy.

– Wiesz, kochanie... – zaczął niepewnie. – Wiesz, jak to jest, gdy człowiek umiera?

– Nudzę się!

– Zabawmy się w coś.

– W co?

Dobre pytanie. Jackson nie znał zbyt wielu słownych gier.

– Już wiem. Gdybyś miała być psem, to jakiej rasy?

– Skąd mam wiedzieć?

I tyle. Marlee zaczęła się niecierpliwić.

– Jestem głodna, tato. Tato.

– No... dobrze, zjemy coś po drodze.



- Nie mówi się no. Po drodze dokąd?
- Do klasztoru.
- Co to klasztor?
- Ten akurat to miejsce, w którym mieszka w zamknięciu grupa kobiet.
- Dlatego że są złe?
- Nie. Dlatego że są dobre. Mam taką nadzieję.

Hm, to dobry sposób, żeby zapewnić kobiecie bezpieczeństwo. Zamknąć ją w klasztorze. „Wstąp do klasztoru”, radzi przecież Hamlet Ofelii. W klasztorze pachniało jak w każdym katolickim kościele, w którym Jacksonowi zdarzało się bywać – nadmiar kadzidła i pasty do podłogi. Ludzie zawsze mówili mu: „Jeśli ktoś zostaje katolikiem, to na zawsze”. Ale nie była to prawda. On nie wszedł do kościoła od wielu lat – nie licząc pogrzebów (śluby i chrzciny jakoś nie zajmowały wiele miejsca w jego rozkładzie dnia) – i nie wierzył w żadnego Boga. Jego mama, Fidelma, robiła wszystko, żeby wychować dzieci w duchu religijnym, ale w jego pamięci jakoś niewiele z tego zostało. Jakieś urywki, dawno zapomniany głos matki: „*Anima Christi, sanctifica me*”.

Rodzice wyjechali do północnej Anglii. Nigdy się nie dowiedział, jak i dlaczego. Jego ojciec, Robert, był górnikiem ze szkockiego Fife, a mama pochodziła z irlandzkiego hrabstwa Mayo – niezbyt to szczęśliwe celtyckie powiązanie, można powiedzieć. Miał starszego brata Francisca i starszą siostrę Niamh. Francis otrzymał imię po dziadku ze strony matki, a on po babce ze strony ojca. Oczywiście babka nie miała na imię Jackson. Tak brzmiało jej nazwisko panińskie (Margaret Jackson). Taka była, jak oznajmił mu ojciec, stara szkocka tradycja.

Nie miał pojęcia, po kim (jeśli w ogóle po kimś) otrzymała imię Niamh. Jego wspaniała siostra, o rok młodsza od Francisca i o pięć lat starsza od niego. Po urodzeniu Niamh mama zaczęła stosować kalendarzyk małżeński. Długo robiła to z powodzeniem i w ten sposób został spóźnionym, nieoczekiwanym dodatkiem do rodziny, poczętym w domku letniskowym w Ayrshire. Pysio całej rodziny.

– O czym myślisz, tato?

– O niczym, kochanie.

Oboje mówili szeptem, chociaż siostra Michael, gruba i głośna, wulkaniczna siostra, pod której opieką się znaleźli, mówiła tubalnym głosem. Echo niosło go po całym korytarzu.

Siostra Michael, wiedział to od Amelii i Julii, wychodziła poza mury klasztoru. W klasztorze mieszkało sześć sióstr utrzymujących kontakt ze światem, także w imieniu sióstr pozostających w klauzurze, czyli tych, które nie opuszczały budynku i które wszystkie swoje chwile, aż po te ostatnie, spędzały na modlitwie i kontemplacji. Sylvia pozostawała w klauzurze.

Marlee zafascynował ten nowy, nieznaną świat.

– Dlaczego siostra Michael ma męskie imię? – zapytała.

– Przybrała imię po świętym – wyjaśnił Jackson. – Świętym Michale.

Ciekawe, dlaczego święty Michał jest znakiem firmowym sieci marketów Marks & Spencer. Żeby firma kojarzyła się mniej żydowsko? Czy siostra Michael znalazła odpowiedź na to pytanie? Oczywiście nie miał zamiaru pytać. Wiedział, że święty Michał jest patronem spadochroniarzy. Czy z powodu skrzydeł? Ale przecież skrzydła mają wszystkie anioły. (Jackson oczywiście nie wierzył w anioły). Długi korytarz, który przechodził w następny korytarz, a potem w kolejny, zdobyły statuetki i obrazy: święty Franciszek, naturalnie święta Klara i dziesiątki sarniokich Chrystusików na krzyżu, krwawiących, bolejących, złamanych. *Corpus Christu, salva me.*

Boże, zupełnie zapomniał, jak wielką rolę odgrywa tu cierpienie fizyczne. „Sadomasochistyczny, homoerotyczny nonsens”, podsumowywała to zgryźliwie Amelia. Dlaczego była taka drażliwa? Z pewnością nie miało to nic wspólnego z Olivią. Ani ze śmiercią ojca. Wiedział, że to zupełnie niepoprawne politycznie myślenie i że nigdy, Boże broń, nie odważyłby się nikomu powiedzieć tego głośno, nawet za milion lat, ale nie miał wątpliwości, powiedzmy to szczerze, że ktoś powinien ją po prostu przelecieć.

– To Matka Boska z Krakowa – powiedziała siostra Michael,

pokazując Marlee statuetkę w szklanej gablotce. – W czasie wojny w Polsce ocalił ją pewien ksiądz. W obliczu zagrożenia narodowego z oczu Matki płyną łzy.

Jackson pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby ksiądz zamiast statuetki uratował kilka żydowskich istnień.

– Płacze? – Marlee była zdumiona.

– Tak, po jej policzkach płyną prawdziwe łzy.

Jackson miał ochotę się wtrącić: „To wierutne bzdury, Marlee, nie słuchaj tych bredni”, ale siostra Michael odwróciła się lekko i rzuciła mu srogie spojrzenie. Mimo zażywej, wesolutkiej twarzy pałały w niej oczy zakonnicy, a oczy zakonnicy, wiedział to, potrafią czytać w myślach innych ludzi, więc tylko z szacunkiem ruchem głowy wskazał statuetkę. *Sanguis Christi, inebria me.*

„Siostra Maria Łukasz czeka”, powiedziała siostra Michael i ruszyła. Prowadziła ich głębiej w meandry klasztornych korytarzy. Szła zdecydowanym krokiem, a habit szeleścił i zawijał się u jej nóg. Jackson pamiętał, nie wiadomo skąd, że zakonnice umieją się szybko poruszać, nie biegnąc, jakby jechały na niewidzialnych rolkach (może to wchodziło w zakres klasztornych ćwiczeń?). Dziwił się, że przestępcy nie wykorzystywali habitów do maskowania się. To idealne rozwiązanie – nikt by nie zapamiętał twarzy, każdy pamiętałby tylko ubiór. Weźmy choćby przypadek Laury Land. Żaden ze świadków nie zapamiętał twarzy, wszyscy za to mówili o jasnożółtym swetrze golfisty.

Dałby głowę, że Julia powiedziała o Sylvii, że jest chartem (ale może źle usłyszał). Tymczasem jej chodziło o to, że Sylvia ma charta – bo rzeczywiście go miała. Kiedy stanęli twarzą w twarz, siedział przy niej spokojnie. Dzieliło ich tylko cienkie przepierzenie. Ona stała z jednej strony kraty, oni z drugiej – trochę to przypominało spotkania w więziennej sali widzeń, a trochę harem, choć Jackson nie bardzo wiedział, z jakiego zakątka pamięci wypełził ulotny obraz haremu. Uznał, że od biedy Sylvia może przypominać charta, bo była wysoka i smukła, ale nie była zbyt... urodziwa, jak by powiedział jego ojciec. Miała wystające przednie zęby i grube okulary,

a chart jest przecież stworzeniem idealnym, lśniącym, cętkowanym, psem myśliwskim, jakiego widuje się na średniowiecznych obrazach, jaki towarzyszy szlachetnej białogłowie na polowaniu. Jackson znów nie był pewien, skąd się wzięło w jego głowie takie wyobrażenie. Może to tylko dlatego, że w każdym klasztorze mieszka jakiś średniowieczny duch. Kiedy stanęli przy przepierzeniu, pies powoli wstał i przez kraty polizał palce Marlee.

„Franciszczanki?” – Jackson przypomniał sobie pierwszą lepszą nazwę. „Raczej jakaś reguła hippisowska. Latem chodzą boso, na zimę szyją sobie sandały, trzymają jakieś zwierzaki i są wegetariankami”, wyjaśniła mu Julia. Ona i Amelia dość szczegółowo opisały mu życie w zakonie. Wyglądało na to, że obie szczerze pogardzały powołaniem Sylvii. „Tylko nie daj się ogłupić tym świętoszkom – ostrzegła go Julia. – Pod pingwinim fraczkiem Sylvia jest ciągle Sylwią”. „To forma eskapizmu – powiedziała z dezaprobatą Amelia. – Nie musi płacić rachunków, zastanawiać się, skąd wziąć coś do jedzenia, nie musi być sama”. Czy dlatego Amelię zatrzymał taki jad? Bo była sama? Zaraz, przecież Julia wspominała o jakimś Henrym. Jakoś trudno sobie wyobrazić Amelię w objęciach mężczyzny. Diabli wiedzą, co to za typ, ale jedno jest pewne: tego Henry z nią nie robi. (Kiedy przestał mówić o niej panna Land, a zaczął Amelia?)

Amelia powiedziała, że rzadko odwiedza Sylwię w klasztorze, ale regularnie, choć rzadko do niej pisze. „Tak naprawdę Sylvia nie ma o czym pisać, wciąż tylko modlitwa, modlitwa i modlitwa. Poza tym oczywiście ma jakieś zajęcia, takie domowe. Wypiekają hostie, krochmalą i prasują szaty liturgiczne dla księży i takie tam... Do tego czasem kopie w ogródku i dzierga coś na drutach dla biedaków”, dodała lekceważącym tonem. Julia natychmiast wtrąciła: „Wcale nie dzierga, ona zmyśla”. Amelia się zaperzyła: „Wcale nie zmyślam!”. Julia na to: „Właśnie że tak, ja bywam u niej częściej”. Amelia odparowała kąśliwie: „O tak, oczywiście, zwłaszcza kiedy się przygotowujesz do castingu do roli zakonnicy w musicalu *Dźwięki muzyki*”. Julia się

zdenierwowała: „Wcale nie dlatego!”. Wreszcie Jackson nie wytrzymał: „Zamknijcie się wreszcie! Obie!”, a one umilkły, zaskoczone, powoli odwróciły do niego głowy i spojrzały na niego tak, jakby go widziały pierwszy raz w życiu. „Hm – chrząknął. – Pohamujcie się trochę, miłe panie”, powiedział i zaczął się zastanawiać, od kiedy przemawia jak jego matka.

– Ciekawa wizyta, prawda? – zapytał, spoglądając na Marlee we wstecznym lusterku.

Wydawało się, że lada moment zaśnie. Kiedy poznała psa siostry Marii Łukasza (Trefniś – to najwyraźniej imię na wyścigi, choć był psem ratownikiem), siostra Michael zabrała ją na jakieś klasztorne smakołyki. Siostrzyczki z klauzury zakrzętnęły się wokół niej, jakby nigdy w życiu nie widziały dziecka, a jej nie trzeba było więcej do szczęścia. Pod nos podsuwano jej to tost z fasolką, to torcik z aniołkami, to loda. Prawdopodobnie gdyby jej podsunęły frytki, nawróciłyby się już do końca życia.

– Tylko nie mów mamie, że byliśmy w klasztorze – powiedział Jackson.

Właściwie ta wizyta nie była interesująca. Amelia uprzedziła telefonicznie Sylwię, że przyjedzie, i wyjaśniła, że jeszcze raz bada sprawę zniknięcia Olivii. Nie zdradziła jednak, co ją i Julię skłoniło do wynajęcia detektywa. Kiedy Marlee poszła z siostrą Michael, Jackson niespodziewanie sięgnął do kieszeni, w której miał („zamkniętą”, jak w klasztorze) Niebieską Myszkę, i podsunął ją Sylvii pod nos. Liczył na to, że ją zaskoczy. Pamiętał, co mówiła Julia: że Amelia zemdlą, kiedy ją zobaczyła, a przecież to nie Amelia była tą siostrą, która zwykła mdleć przy byle okazji. Sylvia wbiła wzrok w Niebieską Myszkę. Jej suche, wąskie wargi złączyły się w silnym skurczu. Powieki nad małymi szarozielonymi oczami ani drgnęły.

– Niebieska Myszka – wyrzuciła z siebie cicho po dobrej chwili i wyciągnęła palec w stronę kraty.

Jackson podsunął jej maskotkę jeszcze bliżej, a ona delikatnie musnęła palcem jej słabiutkie stare ciało. Po jej policzku popłynęła łza. Ale nie, nie widziała jej od dnia, kiedy zniknęła Olivia, i nie potrafi nawet spróbować wyobrazić sobie,

jakim cudem mogła się znaleźć wśród osobistych rzeczy ojca.

– Nigdy nie łączyły mnie z ojcem bliskie więzi – wyjaśniła.

– Torcik z aniołkiem był pycha – powiedziała Marlee sennym głosem.

Zadzwoił telefon. Spojrzał na numer – Amelia i Julia. Jęknął ciężko. Nie odebrał. Poczekał, aż nagrają wiadomość. Ale kiedy po chwili ją odsłuchał, tak go przeraziło to, co usłyszał, że zjechał na pobocze i odsłuchał jeszcze raz. Amelia spazmatycznie chlipała w słuchawkę. To był dziki, pierwotny lament, przepelniony rozpaczą i cierpieniem, niczym niezłagodzony. Jackson pomyślał, że Julia nie żyje. Uznał, że nie ma wyjścia, musi oddzwonić.

– Oddychaj, Amelio, na miłość boską, spokojnie – powiedział. – Co się stało? Chodzi o Julię?

Ale ona potrafiła tylko odpowiedzieć:

– Jackson, proszę... – (Jackson? Nigdy się tak do niego nie zwracała. Zabrzmiało to w jego uszach dużo bardziej poufale, niżby sobie życzył). – Jackson, proszę... Przyjedź, jesteś mi potrzebny.

Po tych słowach rozmowa się urwała, a może raczej Amelia odłożyła słuchawkę. Musi pojechać na Owlstone Road i sprawdzić, co się stało (chyba nie Julia?).

– Kto to był, tato?

– Nikt, kochanie. Musimy tylko pojechać do domu inną, okrężną drogą.

Czasem czuł, że całe jego życie pędzi okrężną drogą.

– Byliśmy w zakonie! – krzyczała Marlee, wbiegając na ganek.

– W zakonie? – zaśmiał się David Lastingham, chwytając ją. Chciała go ominąć. Podniósł ją wysoko, a potem przycisnął do siebie.

Jackson natychmiast postanowił, że jak tylko postawi ją na ziemi, to mu przysoli. Ale w tej samej chwili z kuchni wyszła Josie. Przepasana, pożał się Boże, kuchennym fartuchem. Nigdy jej nie widział w fartuchu.

– W zakonie? – powtórzyła jak echo. – Co robiliście w zakonie?

– Siostry miały torcik z aniołkiem.

Zdumiona Josie spojrzała na Jacksona pytającym wzrokiem, ale on tylko wzruszył ramionami.

– W zakonie jak to w zakonie... – powiedział.

– I pies zdechł – dodała już ciszej Marlee, przygnębiona nagłym wspomnieniem.

– Jaki pies? – zaniepokoiła się Josie. – Przejechałeś psa, Jackson? – zapytała ostrzejszym tonem.

– Nie, mamó – odpowiedziała Marlee. – Pies był stary i chory, a teraz jest szczęśliwy u Pana Boga w niebie, razem z innymi psami.

Marlee zrobiła minę, jakby znowu miała się rozplakać (dość już było dzisiaj płakania), więc Jackson przypomniał jej szybko, że przecież widzieli też wspaniałego, jak najbardziej żywego pieska.

– Tak, Trefnia! – przypomniała sobie uradowana. – Był w więzieniu z zakonnicą i mieli tam gipsową figurkę, która płacze, a tata ma w samochodzie metalową puszkę, w której jest zmarły pan w proszku.

Josie spojrzała na Jacksona z niesmakiem.

– Jackson, czy zawsze musisz jej fundować zbyt dużą dawkę emocji? – I zanim zdołał odpowiedzieć, odwróciła się do Davida i powiedziała: – Kochanie, zabierzesz ją na górę i wykąpiesz?

Jackson poczekał, aż Marlee i David – uzurpator, obcy facet, który wieczorami kładzie spać jego córkę i rżnie jego żonę – znikną w domu, i dopiero wtedy powiedział:

– Naprawdę uważasz, że to mądre?

– Mądre? O czym ty mówisz?

– Mówię o zostawianiu gołej córki z facetem, którego prawie w ogóle nie znasz. Naszej gołej córki. Aha, jeszcze jedno: uważasz, że to dobry pomysł, żeby ją ubierać jak dziecięcą prostytutkę?

Josie z szybkością atakującego węża uderzyła go pięścią w twarz. Skulił się odruchowo, raczej ze zdumienia niż z bólu (w końcu był to tylko babski cios), bo od czasu kiedy się pobrali, ani razu żadne z nich nie użyło wobec drugiego siły.

– To, kurwa, za co?

– Za to, że jesteś prostakiem, Jackson. Człowiek, z którym mieszkam, to człowiek, którego kocham. Naprawdę sądzisz, że zamieszkałabym pod jednym dachem z kimś, do kogo nie miałabym zaufania w kwestii własnego dziecka?

– Zdziwiłabyś się, ile razy to słyszałem.

David Lastingham musiał usłyszeć ich podniesione głosy, bo zbiegł po schodach. Z daleka krzyczał do niego:

– Co jej zrobiłeś?!

Zabrzmiało to dość soczyście i Josie szybko wyjaśniła:

– Twierdzi, że możesz... obcować z Marlee.

– Obcować? – naigrawał się Jackson. – Tak się teraz mówi w wyższych sferach?

Ale wtedy David Lastingham zdołał już zbiec ze schodów i wyprowadzić, dość ślamazarnie, ale za to z furją, prawy sierpowy, którego Jackson nawet nie zauważył, ale z całą pewnością poczuł, że wylądował na jego twarzy. Przysięgłby nawet, że słyszał łupnięcie kości policzkowej. „Doigrał się! – przeleciało mu przez głowę. – Teraz go zabiję”, ale wtedy na schodach pojawiła się Marlee.

– Tato?

Josie splunęła mu pod nogi.

– Wynoś się z naszego domu, Jackson – syknęła przez zęby. – Aha, jeszcze coś: przenosimy się do Nowej Zelandii. Miałam zamiar zaprosić cię na herbatę i spokojnie ci o tym powiedzieć, miło porozmawiać jak dorośli ludzie, ale nie zasługujesz na takie traktowanie. David dostał propozycję pracy w Wellington i przyjął ją, a my jedziemy z nim. To tyle. Jak ci się to podoba, Jackson?

Jackson zaparkował alfę w blaszanym garażu, który wynajmował na końcu ulicy. Jak zwykle czuł się winny, że jego auto tak hałasuje i kopci. Myślał o Sylvii, o tym, że zrezygnowała z życia i dała się zamknąć. Był pewien, że wie więcej, niż mu powiedziała. Nie miał jednak siły o niej myśleć, chciał się tylko wykapać w gorącej wodzie i napić zimnego piwa. Wciąż był wściekły, że tak łatwo dał się Lastinghamowi zaskoczyć. Był pewien, że ten dzień nie może się skończyć



gorzej, choć doświadczenie nauczyło go, że każdy dzień zawsze może się skończyć gorzej. Jakby na potwierdzenie z cienia za garażem nagle wyłoniła się ciemna postać. Rzuciła się na niego i potwornie zdzieliła w głowę czymś, co na wyczucie musiało być kolbą pistoletu.

– Taa... wiesz, powinnaś zobaczyć tego drugiego – zażartował słabo, ale Josie się nie śmiała.

Pachniała owocami i słońcem i przypomniał sobie, że planowali wyprawę na borówki. Jej brązowe ręce były podrapane po łokcie, jakby uprawiała zapasy z kotami.

– Agrest – odparła, kiedy Jackson wskazał je palcem.

– Przepraszam – bąknął Jackson. – Znaleźli przy mnie kartę dawcy narządów. Jesteś w niej wpisana jako najbliższa rodzina. To tylko wstrząs mózgu. Niepotrzebnie się przejęli.

– Przeleżałeś tam prawie całą noc, Jackson. Masz szczęście, że było ciepło. Wyobraź sobie, co by z ciebie zostało, gdyby była zima. – W jej głosie zagrała jakaś nuta – raczej oskarżenia niż pocieszenia.

Naprawdę miałby ochotę zobaczyć tamtego faceta, bo nie pozostał mu dłużny i był pewny, że też go mocno uszkodził. Miał cholerne szczęście, zareagował błyskawicznie. Kiedy zobaczył zbliżający się cień, odruchowo się odchylił. Nie przyjął na siebie całego impetu, dzięki czemu skończyło się tylko na wstrząśnieniu mózgu, a nie na zgruchotaniu kości czaszki jak kurzego jajka. Na pewno raz go trafił. Nie był to żaden szkolny prawy sierpowy ani klasyczne uderzenie nogą z półobrotu, nic z wyrafinowanych sztuk, jakich go uczono na zajęciach w pracy – była to po prostu zwierzęca, odruchowa odpowiedź w pijany sobotni wieczór. I z całą pewnością kropnął go w twarz. W uszach miał jeszcze chrzęst łamanej kości: jego twarde czoło wylądowało na miękkiej tkance nosa tamtego. Oczywiście nie zrobiło mu to dobrze na głowę. Co gorsza zapewne właśnie wtedy stracił przytomność, bo następną rzeczą, jaką pamiętał, był świt i mleczarz, który nerwowo usiłował go ocucić.

Josie odwiozła go do domu.

– Mówili, że ktoś powinien ze mną być przez dwadzieścia cztery godziny – powiedział przeproszającym tonem. – Na

wypadek gdybym znowu stracił przytomność.

– Cóż, w takim razie musisz sobie znaleźć kogoś innego – orzekła, zatrzymując się u wylotu jego ulicy. Nawet nie podjechała pod dom.

Zrozumiał, że oczekuje współczucia i że go nie dostanie. Niezdarnie wysiadł z volvo. Miał wrażenie, że przesuwają mu się w czaszce wszystkie kostki i płyty, niczym bezustannie trące o siebie płyty tektoniczne w skorupie ziemskiej. Każdy ruch wywoływał w jego głowie bolesne wibracje. Czuł się poważnie kontuzjowany.

Josie opuściła szybę, żeby powiedzieć coś jeszcze. Przez ułamek sekundy myślał, że się wychyli i da mu na pożegnanie serdecznego całusa, jak żona, albo zapyta, czy może wejść do domu i trochę się nim poopiekować. Ale nic z tych rzeczy.

– Może powinieneś się zastanowić nad zmianą najbliższej rodziny w dokumentach, Jackson.

Wszedł do domu i położył Niebieską Myszkę na kominku. Wiedział, że prędzej czy później to cholerstwo zacznie mu spłacać dług. Urnę z prochami Victora (w całym tym zamieszaniu zapomniał ją oddać Julii i Amelii) postawił między maskotką i jedyną ozdóbką, jaka stała na jego kominku – tanim glinianym dzbanuszkim, na którym widniały słowa: „Wszystkiego dobrego ze Scarborough”. Po rozwodzie ich małżeński dobytek został podzielony na dwie części, jak twierdziła Josie, sprawiedliwie. Jemu przypadł cały „jego własny szajs” (tak Josie nazywała jego kolekcję płyt z muzyką country i dzbanuszek z życzeniami), a jej reszta. Może teraz Niebieska Myszka będzie sprawowała nad nim pieczę, skoro nie ma nikogo innego. Łyknął dwie tabletki kodeiny, które dostał w szpitalu (choć domagał się morfiny), położył się na kanapie i włączył płytę Emmylou Harris *Z Boulder do Birmingham*. Ale bolało go mocno i uporczywie, nawet Emmylou nie potrafiła mu pomóc.

## Caroline

Caroline spoglądała na swoje przybrane dzieci siedzące na tylnym siedzeniu discovery i dziękowała Bogu, że nie chodzą do jej szkoły. Uczęszczały do jakiejś małej prywatnej szkółki na odludziu. Jej uczniowie mieli dużo relaksujących zajęć na świeżym powietrzu, a w każdą środę mówili tylko po francusku. W zasadzie nie było w tym nic złego i byłoby nawet ciekawie włączyć taki rygor do programu którejś z miejskich szkół, w których uczyła. Ledwie dwa lata temu, a wydaje się, że upłynęło całe życie. Ale przecież to było nowe życie. Ile razy człowiek może zmieniać skórę? W lusterku widziała, jak Hannah i James stroją do niej miny, co znaczyło, że albo są niewiarygodnie nierozgarnięci i nie wiedzą, że ma je na oku, albo wiedzą i mają to w nosie. Jakkolwiek by było, byli przykładem złych skutków chowu wsobnego. Matka Jonathana, Rowena, potrafiła bez końca opowiadać o prokreacji i o chowie, bo prowadziła pieczołowicie planowaną hodowlę koni do polowań (duże, budzące strach bestie). Wyglądało na to, że podobne pomysły rozrodcze stosowała także w rodzinie. Caroline nieraz miała ochotę jej wytłumaczyć, że dzięki naturalnej selekcji gatunek jest żywotny i zdrowy, podczas gdy „hodowla” i rozmyślny dobór genów kończy się wrodzonymi wadami i bladymi, blondynkowatymi dziećmi, które w środy mówią po francusku i których puste twarze, rodem z horroru *Wioska przeklętych*, kryją utajony debilizm. To tylko jej zawodowa opinia.

Po ich ślubie Rowena wyprowadziła się do mniejszego domu, po mężu, na terenie posiadłości. Zawsze mówiła o nim „moja chatynka”, choć ta chatynka mieściła cztery sypialnie i dwa pokoje dzienne. Ale ona podkreślała, że nie chce, żeby wchodzili sobie w paradę, i że nie chce się wtrącać w nie swoje

sprawy, co znaczyło tyle, że wtrącała się za plecami Caroline. Przynajmniej umiała zrobić dobrą minę do złej gry. Podczas wesela z jej twarzy nie znikał słodki, życzliwy uśmiech, jakby non stop brała dożylnie valium. Sfinansowała imprezę, namiot ogrodowy, kwartet smyczkowy, lokajów podających do stołów, zimnego łososia, pieczoną dziczyznę, olbrzymie wazy z białymi liliami, z których niestety sprzedawca zapomniał usunąć pręciki i goście raz po raz byli zapyłani. Nikt słowem nie wspomniał, że był to ślub cywilny ani o tym, że to drugie małżeństwo Jonathana, choć latorośli z pierwszego nie sposób było nie zauważyć, bo ganiały między stołami jak wcielone diabły, ubrane w białe satynowe ubranka, które nie wyglądałyby niestosownie nawet na skazanym na zgubę dworze Ludwika XVI.

Przyleciały samolotem z Buenos Aires kilka dni przed ślubem. Już tam nie wróciły, na razie, bo Jemima, pierwsza żona Jonathana, zdecydowała, że dzieci będą chodzić do szkoły w Anglii. Co do tego się z Jonathanem zgadzali. Wtedy Caroline w ogóle to nie przeszkadzało, bo wiedziała, że wspaniale daje sobie radę z dziećmi (tak, widzi tę ironię) i dlatego tak świetnie wykonuje swój zawód – a te rzeczy nie zawsze idą w parze. Znała nauczycieli, dla których dzieci były raczej ubocznym skutkiem ich profesji niż *raison d'être*. Po prostu nie spodziewała się, że Hannah i James to takie ziółka.

Tego dnia ich opiekunka miała wolne, więc zaproponowała, że sama odbierze je ze szkoły. Opiekunka była Hiszpanką, miała na imię Paola. Caroline próbowała podtrzymywać ją na duchu serdecznością i kieliszkami wybornego wina rioja, bo czuła, że nie gaśnie w niej myśl, żeby jak najszybciej odejść. Caroline pomyślała, że trudno się jej dziwić, bo ugrzęzła na kompletnym odludziu, w paskudnie zimnym klimacie, z dwójką przykręcających jej bez ustanku śrubę zepsutych bachorów. Nie chciało im się nawet poprawnie wymawiać jej imienia – „Paoola”. Poprawiała ich przy każdej okazji, wyraźnie ciągnąc egzotyczne głoski, otwierając buzię niczym ziewający kot, a one nadal swoimi eleganckimi cienkimi głoskami powtarzały „Porrla”. Boże jedyny, bite dwa lata mieszkały

w kraju hiszpańskojęzycznym i nie potrafiły nawet wydukać *buenos días*, a może potrafiły, tylko nie chciały.

Ich mała elitarna szkoła zajmowała uczniów znacznie dłużej niż publiczna szkoła we wsi. Caroline skończyła pracę już przed godziną, a Hannah i James mieli jeszcze cały zestaw zajęć pozalekcyjnych dołączonych do szkolnego dnia: klarnet, krykiet, „głos” (jakby nie miały głosu), tańce ludowe (mój Boże!) i fechtunek – kiedy pierwszy raz wspomnieli o fechtunku, sądziła, że chodzi o jakieś zajęcia techniczne. Dopiero potem skojarzyła to z szermierką. Czasem miała ochotę wrzucić ich (najlepiej z dużej wysokości) do klasy w Toxteth albo Chapeltown i zobaczyć, na co tam im się przyda fechtunek.

Mijali właśnie szkołę publiczną we wsi. Usłyszała, jak James za jej plecami prowokacyjnie chrząka. Nieraz słyszała, jak lekceważąco odnosi się do uczniów tej szkoły. Kiedy nazwał ich „kruum, kruum”, o mało nie dała mu w twarz. Podejrzewała, że jego żółwi, samczy umysł celowo myli „kruum” ze świńskim chrum, chrum, bo przecież chrząkał tak znacząco za każdym razem, kiedy zbliżał się na odległość oddechu do rówieśników „niższego rzędu”. Nie była pewna, czy uda jej się powstrzymać od użycia siły.

Złożyło się tak, że kiedy wrócili z miodowego miesiąca, dyrektorka miejscowej szkoły przechodziła na emeryturę. Caroline nie było trudno awansować na to stanowisko. Jej kwalifikacje i referencje znacznie przewyższały wymagania stawiane przez trzyletnią wiejską szkołę publiczną. W ten sposób poczuła się jak u siebie w domu już kilka dni po powrocie z Jersey, gdzie spędzili tygodniowy miesiąc miodowy w hotelu Atlantic, w pokoju z widokiem na zatokę St Ouen (choć rzadko oglądali ocean, bo większość czasu spędzili w łóżku). „Och, Atlantic – westchnęła rzewnie Rowena, kiedy wrócili do domu. – Uroczy hotel! Co robiliście przez cały tydzień?” Jonathan odpowiedział: „No wiesz, byliśmy w ogrodzie zoologicznym, w latarni morskiej La Corbière, oglądaliśmy słynne orchidee, a popołudniami chodziliśmy na herbatkę do Tajemniczego Ogrodu”. Na twarzy wsłuchującej

się w ten idiotyczny, drętwy, burżuazyjny dziennik podróży Roweny malował się uśmiech pełen szczęścia, tak błogi, że Caroline z trudem się powstrzymywała, żeby nie powiedzieć bez ogródek: „Rowena, cały tydzień robiliśmy tylko jedno: różniliśmy się, ile wlezie”. „Więc od razu po weselu idziesz do pracy?”, zapytała ją Rowena w duchocie ogrodowego namiotu weselnego, a Caroline odparła krótko: „Tak”. Nie miała zamiaru dłużej się nad tym rozwodzić. Kremowy kołnierz jedwabnego kostiumu Roweny był poplamiony ciemnopomarańczowym pyłkiem lilii. Caroline miała cichą nadzieję, że w pralni będą mieli spory problem, żeby te ślady usunąć.

Wszyscy we wsi ją przestrzegali, że kierowanie szkołą to ciężki kawał chleba, a tymczasem okazało się, że nie ma nic łatwiejszego. Dzieciaki były słodkie, ot, szczerą i miłą wiejską dziatwa – jeden tylko drobny przypadek niedostatecznej opieki w domu, kilkoro dzieciaków ze świerzbem i jeden huncwot jak się patrzy. Statystycznie rzecz biorąc, powinno być jeszcze dziecko molestowane seksualnie, ale na razie Caroline nie udało się jego czy też jej zidentyfikować. Niemal wszystkie potrafiły płynnie i szybko czytać (cud), znały stare podwórkowe zabawy, a ich życie toczyło się w rytm kalendarza prac polowych. Dożynki były dla nich prawdziwym świętem. Raz, na zajęcia, na których miały zaprezentować coś przed całą klasą, ktoś przyprowadził jak najprawdziwsze, żywe jagnię! Na pobliskich terenach parkowych stał ozdobny słup pierwszomajowy. Dzieci bawiły się wokół niego, świętując nadejście wiosny. Nie widziały w nim żadnego fallicznego podtekstu. Caroline kochała tę pracę i miała nadzieję, że nawet jeśli się rozwiedzie, nadal będzie pracować w tej szkole, bo wszystko to wydawało jej się tak cholernie feudalne, że pomyślała, że i ta praca to prawdopodobnie dar pana, którym, jakkolwiek by na to patrzeć, był Jonathan. Nie żeby miała zamiar się rozwodzić, w każdym razie nie natychmiast, ale nie umiała sobie wyobrazić, żeby to trwało wiecznie. Nic nie trwało wiecznie, więc dlaczego to miałyby trwać? Nie można przecież cały czas się ukrywać i wyprzedzać wszystkich o krok. Choćbyś

był „zaginionym” nie wiadomo jak długo, prędzej czy później cię znajda.

Zresztą nie mogłaby tu mieszkać i nie pracować. Co by robiła przez cały dzień? Jonathan wymyślał sobie robotę. To szedł do biura na farmie, to snuł się po wzgórzach i patrzył na pola, to doglądał stawiania płotów – choć palcem przy tym nie kiwnął. Zatrudniał menedżera, który nadzorował gospodarstwo, i wszystko działało jak w zegarku, bez względu na to, czy wychodził do biura, czy nie. Mógł nawet patrzeć tępo, jak stawiają płot. Często wychodził z domu z myśliwską strzelbą, żeby zabijać, jakby to było ważne dla funkcjonowania gospodarstwa, ale tak naprawdę wychodził z tą strzelbą dlatego, że lubił sobie postrzelać (albo zabijać). Był dobrym strzelcem i dobrym nauczycielem. Caroline odkryła w sobie wcale nie mały myśliwski talent. Oczywiście nie strzelała do żywych istot, jak Jonathan, tylko do tarczy, glinianych gołąbków i puszek ustawionych pod ścianą. Lubiała broń. Lubiała czuć w dłoni jej ciężar. Lubiała ten moment równowagi tuż przed pociągnięciem za spust, kiedy nabierała pewności, że nie chybi. To niezwykle, że człowiek może sobie chodzić po polach i lasach (niezwykle, nawet jeśli są jego prywatną własnością) z nabitą strzelbą i nikt nic przeciwko temu nie ma.

Kiedy Jonathan nie udawał, że prowadzi gospodarstwo, albo kiedy nie strzelał do czegoś, co było mniejsze i bardziej bezbronne od niego, wyprawiał się na konne przejażdżki – zwykle na jednym z okazów hodowli swojej mamy. Wszyscy naokoło pytali Caroline: „Jeździsz konno?” i nie mogli się nadziwić, kiedy odpowiadała, że nie. Rowena wspaniale jeździła na koniu (chyba była centaurem). Jemima, jak można się domyślić, większą część małżeństwa spędziła w siodle. Ludziom trudno było uwierzyć, że Jonathan poślubił kogoś, kto nie odróżnia chrap od pęcín. Tymczasem to, czy Caroline lubi konie, czy nie, obchodziło Jonathana tyle co zeszłoroczny śnieg. Była to jedna z jego dobrych stron – było mu obojętne, co Caroline robi. Zresztą było mu obojętne, co robią wszyscy inni. Nie miała wątpliwości, że obluzowało się w nim jakieś ludzkie ogniwo, że brakuje mu społecznego spoiwa. W innym

życiu może zostać uznany za psychopatę. Psychopaci są wszędzie. Niekoniecznie mordują, gwałcą, rabują i ćwiczą się w rzemiośle seryjnych zabójców. Tendencje psychopatyczne – tak zdiagnozowano kiedyś Caroline, że ma takie właśnie tendencje. To znaczy nie Caroline, tylko ten ktoś, kim kiedyś była. Nie miała wątpliwości, że to błędna diagnoza. Ale na przykład mały James to socjopata, bez dwóch zdań. Takie są złe skutki planowego rozrodu w obrębie rodziny.

Jemima, matka nieznośnego rodzeństwa, odwiedziła swoje dzieci ubiegłego lata. Robiła wrażenie idealnej figurki z angielskiej porcelany. Znakomicie rozumiały się z Roweną. Łączyły je rozmowy o popręgach i wytokach, o przednich przedstawicielach rasy red devon albo o kłopotach z „górną łąką”. Caroline nie wiedziała nawet, że mają jakąś górną łąkę, a co dopiero że są z nią jakieś kłopoty.

„Właściwie dlaczego się rozwiodłeś?”, zapytała kiedyś Jonathana, trzymając go w pomysłowych objęciach mokrymi od potu ramionami, podczas gdy niespełna kilometr dalej, w jednej z trzech pustych sypialni „chatynki” Roweny, Jemima składała swe delikatne blond włosy na poduszkach z puchu węgierskiej gęsi (sto dwadzieścia funtów każda). „Boże... – jęknął Jonathan. – Jem jest potwornie nudna. Nawet nie masz pojęcia, Caro...”, zaśmiał się wulgarnie, obrócił ją na brzuch, podniósł pupę i wziął od tyłu – co jak co, ale jurny był jak buhaj – a ona, wpólduszając się w poduszkach (nie tak miękkich i drogich, ale zawsze), zastanawiała się, czy Jemima kiedykolwiek dała mu tyłka, i pomyślała, że trudno to sobie nawet wyobrazić, choć z drugiej strony bywa, że takie wyfiokowane słodkie dziewczeczki zdolne są do niebywałych deprawacji, o jakich zwykłym „chrum chrumom” nawet się nie śniło.

Miesiąc miodowy spędzili w Jersey, ponieważ Caroline – owszem, późno – uświadomiła sobie, że nie ma paszportu. Dla Jonathana nie miało to znaczenia. Generalnie nie był zainteresowany wyprawą w rejony dalsze niż okolice północnego Yorkshire. Mogła jeszcze wyrobić sobie paszport. Miała przy sobie akt urodzenia na nazwisko Caroline Edith



Edwards. Przypuszczała, że Edith to imię jakiejś babki, bo brzmiało zbyt staroświecko jak na kogoś urodzonego w 1967 roku. Caroline Edwards była o sześć lat młodsza od niej, choć oczywiście nigdy nie osiągnęła jej wieku. Umarła, nie skończywszy pięciu lat. „W niebiosa anioł duszyczkę porwał”, głosił napis na nagrobku, choć w akcie zgonu figurowała znacznie bardziej prozaiczna przyczyna jej zejścia, mianowicie białaczka. Caroline była na grobie w Swindon. Złożyła na nim mały bukiet, żeby podziękować Caroline Edith Edwards za dar nowej tożsamości, nawet jeśli została raczej odebrana niż podarowana.

Kiedy wreszcie dojechali do domu, dochodziło wpół do szóstej. Hannah i James natychmiast zaczęli się domagać jedzenia. Paola siedziała przy kuchennym stole, jak się wydawało, w minorowym nastroju, ale kiedy zobaczyła dzieci, zerwała się na równe nogi i zaczęła przetrząsać zamrażarkę w poszukiwaniu mrożonej pizzy. Ale Caroline kazała jej usiąść i nic nie robić. W końcu miała wolny dzień. Nie musiała siedzieć w domu. Czasem wychodziła na spacer, ale ponieważ pochodziła z Barcelony, w ogóle nie pociągała jej soczysta zieleń wiejskich pejzaży. Jadąc do szkoły, Caroline nieraz podwoziła ją na przystanek autobusowy. Paola cały dzień włóczyła się, niezbyt szczęśliwa, po Richmond albo po Harrogate. Ale wtedy problemem okazywał się powrót do domu. Kilka razy Caroline dała jej pieniądze na weekendowy wyjazd do Londynu, bo wydawało jej się, że zna setki mieszkających w stolicy rodaków i rodaczek. Zawsze wtedy drżała, że już nie wróci. Była dla niej najbliższą osobą, niemal przyjaciółką, kimś, kto był w jej domu jeszcze większym outsiderem niż ona. Gillian już dawno wyjechała. Pracowała jako wolontariuszka na Sri Lance. Caroline żałowała, że też tam nie pojechała.

Rowena nie widziała powodu, żeby trzymać w domu opiekunkę do dzieci, i przy byle okazji okazywała Paoli wrogość. „Dzieciaki cały dzień spędzają poza domem – przekonywała Caroline. – Przecież to nie są niemowlaki”. W tym stanowisku kryło się niewypowiedziane głośno pytanie:

czy chce mieć dziecko? Rowena z pewnością wolałaby, żeby wspaniała linia Weaverów nie skrzyżowała się z niewiadomego pochodzenia DNA Caroline. („Tak konkretnie to czym się zajmował twój ojciec, moja droga?” Ojciec Caroline Edith Edwards był rzeźnikiem. Ponieważ dla Roweny byłoby to nie do zniesienia, Caroline wspomniała coś o księgowości). Nie potrzebowali więcej dzieci. Mieli dziedzica pełną gębą, Jamesa, a w zapasie jeszcze Hannah. Stanowili rodzinę kompletną: dwoje dorosłych, dwoje dzieci, cztery kąty, całkiem przepastne, prawie lochy zamczyska. Właściwie brakowało miejsca na kolejne dziecko, to, które na razie było wielkości pchły i dopiero wykluwało się w brzuchu Caroline. Jonathana prawdopodobnie rozniesie duma. Ile razy Caroline powtórzy ten błąd? Istota rzeczy tkwi przecież w tym, że kiedy raz zrobi się duży, bardzo duży błąd, to człowiek się na nim uczy i nie popełnia go po raz drugi. Zresztą uczy się czy nie, cóż to ma za znaczenie, jeśli konsekwencje wloką się za człowiekiem przez całe życie. Gdziekolwiek wyjedzie, czegokolwiek się tknie, zawsze w jakimś momencie znajdzie się w ślepym zaułku. Odwróci głowę i zobaczy małego pędraka na podłodze, małego pędraka zapłakanego tak, że aż zapadniętego w niebyt snu. Pędraka w ślicznych nowych ogrodniczkach firmy OshKosh.

John Burton miał przerzedzone włosy. Na czubku jego głowy formował się niewyraźny zarys tonsury. Kiedy Caroline zobaczyła małe wygolone kółko, serce zabiło jej mocniej. Nigdy nie umiała ukryć zdziwienia na widok różnych absurdów umartwiania się. Klęczał przed ołtarzem. Sądziła, że robi coś bardzo religijnego, ale kiedy podeszła bliżej, spostrzegła, że zamiata podłogę miotełką z szufelką. Zaśmiał się z zakłopotaniem, widząc kątem oka, jak na niego patrzy.

– Gospościa, która sprząta, wyjechała na wakacje – wyjaśnił.

– Dokąd?

Bardzo jej się spodobało, że powiedział gospościa, a nie kobieta.

– Na Majorkę.

– Płaci jej ksiądz?

– Oczywiście – odparł ze zdziwieniem.

– Sądziłam, że kościoły są pełne kobiet pracujących wyłącznie z czystej miłości do Boga. Układają kwiaty, polerują mosiężne naczynia i tak dalej...

– Coś mi się wydaje, że ma pani na myśli bardzo odległe czasy – stwierdził. – Albo jakiś serial telewizyjny.

Caroline usiadła na ławie, w pierwszym rzędzie.

– Zapaliłabym papierosa.

Usiadł przy niej. W ręku wciąż trzymał szufelkę i miotelkę.

– Pali pani?

– Nie, właściwie nie.

Miał na sobie proste spodnie, czarne, nieokreślonego kroju, raczej tanie, do tego biały T-shirt i stary szary sweterek, zapinany z przodu. Miała ochotę pogłaskać ten sweterek, jak zwierzaka. Nawet po cywilnemu wyglądał jak pastor. Nie potrafiła go sobie wyobrazić w džinsach albo w garniturze. Nie sądziła, żeby w ogóle się domyślał, co do niego czuje. Jeśli mu powie, odbierze mu niewinność. Oczywiście nie znała go ani trochę. Ale czy to coś zmienia? Może i nie był dla niej odpowiednim mężczyzną (w gruncie rzeczy to oczywiste, że nie był), nie zapominajmy też, że ona była mężatką (doprawdy? Co z tego?), ale przecież nie jest tak, że człowiekowi pisana jest jedna jedyna osoba na całym świecie, prawda? Gdyby tak było, to prawdopodobieństwo, że na nią trafi, byłoby niewielkie. Caroline pomyślała, że jak zna swoje szczęście, to nawet gdyby jakimś cudem trafiła na tego kogoś, nie miałaby pojęcia, że to właśnie ten ktoś. A jeśli ten ktoś jej przeznaczony mieszka w rozsypującej się chatce z dykty w Mexico City albo jest więźniem politycznym w Birmie, albo jednym z setek milionów ludzi, z którymi najpewniej nigdy nic nie będzie jej łączyć, choćby takim przedwcześnie łysiejącym anglikańskim pastorem z wiejskiej parafii w północnym Yorkshire?

Nagle zrobiło jej się smutno.

– Opiekunka do dzieci prawdopodobnie nas zostawi – powiedziała z westchnieniem.

Boże, to musiało zabrznieć w jego uszach żałościwie! Jak się ma niezbyt szczęśliwa opiekunka z Hiszpanii do niepewnych losów pokoju na świecie i nędzy w krajach Trzeciego Świata?

Ale on był dobry. Wiedziała, że jest dobry.

– Bardzo mi przykro – powiedział takim tonem, jakby rzeczywiście było mu przykro.

Potem siedzieli w milczeniu, patrzyli na ołtarz i słuchali, jak krople deszczu stukają o stare dachówki.

## Amelia

W towarzystwie utykającego Sammy'ego Julia przydzwigała do salonu kubek węgla.

– Nie chce mi się wierzyć, że Victor nie zainstalował sobie centralnego ogrzewania – podsumowała, dysząc z wysiłku.

Gruchnęła kubkiem o podłogę. W powietrze nagle uniósł się tuman węgielnego pyłu. Czarne jak smoła drobiny rozprysły się po dywanie niczym ozdobne, gładko wypolerowane gagaty. Amelia zmarszczyła groźnie brwi.

– Właśnie odkurzałam – burknęła ze złością.

– Taki napis będziesz miała na nagrobku, dobrze, Milly?  
– rzuciła Julia.

– Och, sama go wypiszesz?

– Boże, nie mogę już wytrzymać, a ty?

– Konkretnie o co ci chodzi?

– Dwa tygodnie przymusowego celibatu, odkąd tu jesteśmy. Już mi pada na głowę, naprawdę. Co wieczór muszę się spuścić.

– Julio, Boże jedyny, jesteś taka ordynarna, to po prostu obrzydliwe!

Amelia nie znosiła tego słowa. Codziennie słyszała je z ust dekarzy i murarzy, i jeszcze od fryzjerki, bo dziewczyny wcale nie są lepsze. „Tee, spuszczańska!”, krzyczą do siebie przez całą klasę.

– W takim razie jak to inaczej nazwać? – zapytała Julia.

– Nie wiem, możesz się samozadowalać – stwierdziła Amelia, a Julia wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

– Samo... co? Boże, Milly, tylko mi nie mów, że tego nie robisz. Wszyscy to robią, to normalne. Dam nawet głowę, że kiedy to robisz, myślisz o Henrym. Och nie, ty przecież nie myślisz o Henrym, ty myślisz o Jacksonie! – Julii wyraźnie

spodobała się ta myśl.

Amelia miała ochotę jej przyłożyć.

– Mam rację, Milly? Mam rację? Pieścisz się i myślisz o Jacksonie!

– Jesteś wulgarna, Julio, obrażasz mnie. To wstrętne.

Amelia wiedziała, że zrobiła się czerwona jak rajstopy, które włożyła specjalnie na wypadek, gdyby zjawił się Jackson. Wydawało jej się nawet, że wpadły mu w oko na pogrzebie Victora. Obudziła się rano i czuła się tak, jakby to nie krew płynęła w jej żyłach, tylko ciepły miód, i pomyślała, że dzisiaj przyjdzie, więc zrobiła sobie lekki makijaż kosmetykami Julii, nie związała włosów (bo tak wyglądała bardziej dziewczęco), zaparzyła dzbanek kawy i odgrzała zleżale croissanty, które Julia kupiła dzień wcześniej. Narwała też w ogrodzie kwiatów (odnalezienie ich wśród chwastów graniczyło z cudem) i włożyła je do wazonu, żeby Jackson zobaczył, że jest kobietą. Ale nie przyszedł. Oczywiście, że nie. Brakowało jej intuicji, kobiecej albo w ogóle jakiegokolwiek. To były tylko pobożne życzenia.

Julia śpiewała sobie pod nosem.

– Milly ma chłopaka, nowego chłopaka, Heniś biedaczysko, Milly kocha Jacksonisko...

Jakby miała osiem lat.

Jakaś część niej zawsze będzie miała osiem lat, tak jak jakaś część Amelii zawsze będzie miała jedenaście, tyle, ile miała, gdy świat się zatrzymał.

– Ile ty masz lat, Julio?

– Nie aż tyle co ty.

– Wychodzę, zanim cię pacnę!

Skropiła sobie twarz zimną wodą z kuchennego kranu. Słyszała, jak Julia wciąż chichocze w salonie. Jeśli znowu coś powie, urwie jej głowę! Oczywiście Julia nie potrafiła się powstrzymać i weszła za Amelią do kuchni.

– Boże, Milly, jesteś taka drażliwa. Wiesz, czasem nie potrafisz sobie wyobrazić, co wy z Henrym robicie w łóżku.

Ona również nie potrafiła, bo żaden Henry nie istniał. Był całkowitym wymysłem, postacią wziętą z kapelusza, narodzoną

w chwili rozpaczy, pod wpływem nieustannego nagabywania Julii, gadania o jej panieństwie i ciągłych propozycji (potworne), że „z kimś ją umówi”.

– Już kogoś mam, dziękuję – odpowiedziała raz zniecierpliwiona, po kolejnych nieznośnych indagacjach siostry. – Kolega z pracy – dodała. Poszukała szybko w myślach jakiegoś męskiego imienia i wyskoczyła z Henrym, bo tak się wabił pies jej sąsiada z dołu, mały ujadający pekińczyk, któremu wylupiaste oczy zdawały się wyskakiwać z łba.

– Gdyby Henry był psem, to jakim? – zapytała proroczko Julia.

– Pekińczykiem – odparła bez zastanowienia Amelia.

Julia zmarszczyła brwi i rzuciła tylko:

– Jezu, biedna Milly...

Od tamtego czasu fikcyjny Henry powoli zaczął zyskiwać ciało i osobowość. Był więc osobnikiem lekko łysiejącym, z brzuszkiem, przedkładającym dobre piwo nad mocny alkohol. Kiedyś, dawno, miał żonę, która umarła na raka i którą się opiekował z wielkim oddaniem do samego końca. Nie miał dzieci, ale miał kotkę, szarą w ciemne prążki, która nazywała się Molly i która fantastycznie potrafiła łapać myszy. Amelia szybko odkryła, że dobre kłamstwo musi się opierać na przekonujących szczegółach.

Henry i Amelia wiedli stateczne (wyimaginowane) życie we dwoje. Wizyty w teatrze, seanse w ambitnym kinie, obiady we włoskiej restauracji, wieczory w karczmach za miastem i długie krzepiące spacer. Dwa razy wyjechali na weekend, raz do Mendips i raz do północnego Devon. Oba miejsca Amelia dość dokładnie zbadała w internecie, na wypadek gdyby Julia zainteresowała się ich geografiami albo historią, ale Julię naturalnie interesowały jedynie dwie rzeczy: jedzenie i seks („Och, Milly, daj spokój, nie bądź taka święta”). Ważne było, żeby nie przedstawiać Henry’ego jako zbyt interesującego, bo któregoś dnia Julia mogłaby zechcieć go poznać. Więc seks nie był raczej niczym specjalnym, był „rutyną”, ale „przyjemną” – to słowo Julię odrzucało. W ostatnim czasie Amelia ujawniła, że Henry namiętnie gra w golfa, którą to rozrywką Julia absolutnie nie była zainteresowana.

Henry zrobił takie wrażenie na Julii, że opowiedziała o nim także w pracy. Służył jako znakomite antidotum na poszeptywania i ukradkowe spojrzenia, pełne litości albo rozbawienia. Stały się jej niedolą. Nieraz słyszała, jak inni wykładowcy mówią o niej stara panna, i wiedziała, że niejeden ma ją za lesbijkę. Na samą myśl o homoseksualizmie robiło jej się trochę niedobrze. Julia przyznała kiedyś, że kochała się z kobietami. Wtrąciła to przy okazji jakiejś rozmowy, zupełnie zwyczajnie, jakby mówiła o tym, w którym markecie lepiej robić zakupy, albo o książce, którą skończyła czytać. Amelia zrobiła wszystko, żeby nie wyglądać na zaskoczoną, bo Julia, rzecz jasna, uwielbiała, kiedy tak reagowała. Czy są granice tego, na co stać Julię w łóżku? Czy zrobiłaby to z psem?

– Zoofilia? – Julia zamyśliła się na dłuższą chwilę. – Hm, chyba tylko gdybym musiała.

– Musiała? Na przykład żeby dostać rolę?

– Nie, oczywiście, że nie. Na przykład gdyby to miało uratować ci życie.

Czy ona, żeby ocalić Julię, zdobyłaby się na uprawianie seksu z psem? Przerażające pytanie.

Dla współpracowników z pokoju nauczycielskiego Henry był mężczyzną, którego Amelia poznała dzięki siostrze. Ponieważ Julia była aktorką, wszystkim się wydawało, że prowadzi wspaniałe życie, pełne blasku. Amelię to złościło, ale w wielu wypadkach okazywało się nader pomocne. Henry mieszkał w Edynburgu, co czyniło go człowiekiem mało dostępnym, a jej pozwalało robić wrażenie, że w weekendy bywa bardzo zajęta. „Och, nie mogę, lecę do Szkocji. Henry zabiera mnie na ryby”. Bo wyobrażała sobie, że tym właśnie zajmują się w wolnym czasie mieszkańcy Szkocji. Zawsze miała w głowie absurdalny, zupełnie nie na miejscu obraz królowej matki, stojącej w nieprzemakalnym płaszczu z kapturem i wysokich rybackich gumiakach w płytkiej brązowej wodzie (na pewno gdzieś w okolicach Brigadoon), i zarzucającej wędkę na pstrągi. Nigdy nie pojechała na północ dalej niż do Yorku, a i to tylko po to, żeby zobaczyć Julię w pantomimie, w której grała kota Dicka Whittingtona, w aktorskiej interpretacji zdającej się



udowodniać, jak bardzo kot może być roznamiętniony. Wyobrażała sobie, że między Yorkiem a zainfekowanymi przez rodzinę królewską szkockimi górami rozciąga się ponury krajobraz, jałowa ziemia, z bezpańskimi żurawiami nad studniami, z wiatrakami i ze zdradzonymi, ale wciąż lojalnymi ludźmi. Och, jeszcze wrzosowiska, oczywiście, rozległe trakty melancholijnych pejzaży pod zwieszonym niebem, a wśród wrzosów kroczą melancholijni mężczyźni ze zwieszonymi głowami, zmierzający do domu przodków, gdzie otworzą z rozmachem drzwi i skarcą osierocone, choć rezolutne guwernantki. Albo raczej melancholijni mężczyźni ze zwieszonymi głowami jadą na koniach, karych koniach o potężnych zadach, lśniących od potu...

– Milly?

– Co?

– Mówię do ciebie, w ogóle mnie nie słuchasz. Powiedziałam, że część pieniędzy ze sprzedaży domu mogłybyśmy przeznaczyć na jakieś niezwykłe wakacje.

Julia ułożyła w kominku podpałkę. Zmiała i skrzyła kawałki gazet w prowizoryczne szczapy. Amelia spojrzała na nią krzywo i włączyła telewizor. Najpierw zaproponowała, żeby przełączyły na jakiś kanał kulturalny, Performance albo Discovery, albo, jeśli będzie trzeba, na TV5, żeby mogły sobie odświeżyć zaniedbany francuski (choć niestety szukanie TV5 wiązałyby się z przeskakiwaniem po kanałach erotycznych i sportowych), ale jej pomysł został kategorycznie odrzucony („Daj coś z życia, Milly!”). W ten sposób spędziły długie godziny przy ciepłym kominku na oglądaniu powtórek sitcomów i kiepskich melodramatów z lat siedemdziesiątych, *Bergeraca*, zaraz potem *Poldarków*, a w końcu serialu *Tylko głupcy i konie*, puszczanego w eter dosłownie na okrągło.

– Wiesz, myślę o naprawdę wystrzałowych wakacjach.

– Julia wróciła do tematu. – Jakieś safari w Afryce albo trekking w Nepalu, albo wspinaczka na Machu Picchu, albo statek na Antarktykę. Co o tym myślisz, Milly?

Amelia nigdy nie podróżowała, bo nie miała z kim podróżować. Jediną osobą, z którą wybrała się na wakacje,

była Julia – raz do Portugalii (całkiem przyjemna wyprawa) i raz do Maroka (koszmar). Miała wrażenie, że na świat patrzy tylko przez okienną szybę, a mimo to na samą myśl o tym, że mogłaby się wybrać tam, w nieznaną, wysoko w góry, na środek oceanu, w jakieś groźne i obce miejsce, z dala od bezpiecznego angielskiego pokoju gościnnego, robiło jej się słabo ze strachu.

– Możesz zrobić niespodziankę Henry’emu – ciągnęła wesoło Julia. – Zabierz go do Nowego Jorku albo na weekend do Paryża. Zarezerwuj nocleg w jakimś boskim hotelu, George Cinq albo w Bristolu...

– Dorzuć do ognia, bo ci zgaśnie.

Henry często przyjeżdżał na weekend do Oksfordu. Zanim ktokolwiek w poniedziałkowe przedpołudnie zdążył o niego zapytać, Amelia zdawała sprawozdanie z „cudownego” weekendu, wycieczki do Clivedon albo „genialnego” lunchu w Bray. Co prawda niewiele osób ją o to pytało, ale jej koleżdy i koleżanki z pracy zgodnie twierdzili, że odkąd poznała Henry’ego, stała się mniej chłodna i burkliwa.

Dla znajomych z pracy przygotowała trochę inną wersję Henry’ego, mniej wyłysiałą i brzuchatą od postaci, którą wykoncypowała dla Julii. Był mężczyzną bardziej aktywnym, wysportowanym, lubiącym wyjść z domu – stąd łowienie ryb – i zdecydowanie lepiej sytuowanym („jego finanse, och, nawet nie pytajcie, to dla mnie starożytna greka”). Bardziej ognistymi opowiadaniem szczególnie lubiła się popisywać przed Andrew Vardym, także nauczycielem na wydziale „sztuki komunikacji”, jedynym mężczyzną, z którym uprawiała seks – tak naprawdę.

Kochała się z nim dziesięć lat temu, bo bała się, że umrze jako stara panna i wieczna dziewica. Bo wydawało jej się śmieszne, że u schyłku dwudziestego stulecia można być prawiczką w wieku trzydziestu pięciu lat. Bo nie potrafiła zrozumieć, jak będzie mogła być martwa, skoro nigdy naprawdę nie żyła. Tłumaczyła sobie, że pozostawała tak długo w stanie dziewiczym, bo była nieśmiała i nieufna, byle co ją krępowало, a seks wydawał jej się czymś potwornie zniechęcającym (bądźmy szczerzy: raczej budzącym odrazę). Na studiach cieszyła się reputacją prymuski, cichej i ułożonej,

ale w skrytości ducha marzyła o tym, żeby jakiś chłopak (albo melancholijny mężczyzna ze zwieszoną głową) przełamał tę strategię obronną, przełamał jej zahamowania i wniósł w jej życie namiętność i seks. Ale wyglądało na to, że żaden mężczyzna po prostu jej nie chce, ani melancholijny, ani ze zwieszoną głową, ani żaden inny. Czasami się zastanawiała, czy nie wydziela niewłaściwego zapachu albo w ogóle jakiegoś zapachu, bo przecież tak prymitywna rzecz do tego się właśnie sprowadza, czyż nie? Jak u kotów, pszczoł albo pizmowców.

Może ciekawszym aspektem tej sytuacji był fakt, że poza tym, że (jak się zdawało) nikt nie chciał Amelii, ona też nikogo nie chciała – poza bohaterami dziewiętnastowiecznych powieści, którzy słowu „nieosiągalni” nadawali dramatycznie nowy wymiar. Pomyśleć, że nawet Sylvia nie była dziewicą. Przed „nawróceniem” spała z dziesiątkami chłopaków. A skoro Sylvia potrafiła sobie znaleźć chłopaka, Sylvia, która nie wyrosła na piękną łabędzicę, tylko na brzydką kaczkę, to dlaczego ona by nie miała? Długo czekała na kogoś, kogo pojawienie się przyspieszy bicie jej serca, zaćmi umysł, rozkruszy intelekt. Ale nic takiego nie następowało i zaczęła podejrzewać, że paniństwo naprawdę jest jej przeznaczeniem, że powinna się raczej cieszyć (przynajmniej w duchu), że jest westalką, niż histeryzować z powodu nienaruszonej błony, że powinna widzieć w tym trofeum nieosiągalne dla innych śmiertelnych (wątpliwa to, co prawda, nagroda).

Więc umrze jako szlachetna Królowa Dziewica, Elżbieta I, nowa Gloriana. Było to wtedy, gdy przechodziła załamanie nerwowe, spowodowane częściowo niemożnością „skomunikowania się” z dekarzami i murarzami, i fryzjerkami, a częściowo zupełną płytkością życia (chyba każdy, kto żyje tylko jedną półkulą mózgu, musi być cały czas ubabrany w egzystencjalnym mroku), i właśnie wtedy, w chwili kiedy była najsłabsza i najbardziej niepewna, Andrew Vardy powiedział do niej: „Wiesz, Amelio, jeśli masz ochotę na seks, służę uprzejmie”. Ot tak, po prostu, jakby była krową, którą trzeba wydoić. Albo dziewicą, którą trzeba pozbawić dziewictwa. Czy wystarczyło, że na nią spojrzął, i od razu

odgadł, że jest kobietą nietkniętą, że jej hymen pozostaje nieuszkodzony, a cnota zachowana? O ileż piękniejsze były te dawne określenia. Co dzisiaj powiedzieliby dekarze? Rozkultbaczyć. Wątpliwe, żeby kiedykolwiek poznali prawdziwą dziewicę. Nie znali też przyzwoitych określeń dotyczących seksu. Potrafią tylko mówić „dymać, dymać” (o każdej danej im przez Boga godzinie). Dziewczyny to samo.

Przyniosła do szkoły ogrodową błonczatkę, *Hymenocallis*, żeby rozjaśnić ponure i bezbożne wnętrza pokoju nauczycielskiego. Były to sadzonki, które wykopała z klombu Philipa, sąsiada z dołu, właściciela pekińczyka. Jakiś ciężki cymbał, któremu zdawało się, że pokój nauczycielski to salon londyńskiego klubu dla dżentelmenów, powiedział: „Cudowny kwiat, *Hymenocallis*. Ach, te stare dobre nazwy, są takie... cnotliwe, dziewiczy wianek, dziewicze łono, dziewicza puszcza, czy może być coś bardziej smakowitego?”. Niektórzy zaczęli chichotać (także kobiety, Boże kochany, takie babsko powinno przecież rozumieć trochę więcej). Miała ochotę roztrzaskać mu na głowie doniczkę z błonczatką. „Albo weźmy taki pręcik kwiatowy, może zapylimy błonczatkę?” Ciekawe, jak by się czuł, gdyby mu odcięła jego pręcik. Na pewno wreszcie by się zamknął. Zatopiła się szybko w jakichś książkach, jakby zaraz miała ważną lekcję (a nie miała), i udawała, że wcale się nie oblała purpurowymi rumieńcami wstydu i upokorzenia. Szczęściem błonczatka szybko uschła, a Amelia nie dopuszczała do siebie myśli, że można by widzieć w tym jakąś metaforę. Ale kiedy kilka tygodni później Andrew Vardy zaczął jej czynić awanse, zaskoczyła samą siebie.

Dzisiaj, gdy przez zadymiony, przesiąknięty wonią zupek w torebkach pokój nauczycielski patrzy na Andrew Vardy'ego, za nic nie potrafi zrozumieć, jak to możliwe, że się przed sobą obnażyli – na samo wspomnienie ma mdłości – nie mówiąc już o tym, że połączyli intymne części swych ciał, najdelikatniejszą część jej anatomii i jego część obrzydliwą, pokrytą gęsią skórą, odpychającą. Jedyne mężczyzna, z którym się przespała, nawet z daleka nie wydawał się przystojny. Charakterystyczna dziobata cera po zaniedbanym trądziku i delikatne gejowskie

wąsiki, które żona dawno powinna była mu kazać zgolić. Oczywiście nie był gejem. Był porządnym katolikiem i miał pięcioro dzieci. Był niewysoki, nawet trochę niższy od niej, ale potrafił być zabawny i co więcej – Boże, to było coś – przez dwa lata potrafił wymieniać z nią krótkie uwagi przy kawie, a czasem prowadzili dłuższe filozoficzne rozmowy podczas okropnych lunchów w kafeterii. Był dusigroszem (w końcu musiał wyżywić piątkę dzieci) i tylko raz zaprosił ją na lunch, kiedy studenci pierwszego roku hotelarstwa mieli w kuchni praktyki i sprzedawali swoje wytwory za pół ceny (chyba dlatego, że w kuchni dwukrotnie wzrosło ryzyko śmiertelnego zatrucia).

Amelii schlebiało, że lubił jej towarzystwo (bo zdawał się być jedynym), i w ten sposób pod koniec jakiegoś męczącego dnia, kiedy zostali w pokoju nauczycielskim sami, a on wypowiedział osłodzone słowa miłosnych zalotów (dla przypomnienia: „Wiesz, Amelio, jeśli masz ochotę na seks, służę uprzejmie”), Amelia pomyślała sobie: „Pewnie, dlaczego nie?”.

Oczywiście nie natychmiast, nie w tym pokoju – byłoby potworne, gdyby się na nią rzucił tam, na stole, wśród pomiętych gazet i niedomytych kubków z mętnym osadem po kawie. Myślałaby tylko o tym, że w każdej chwili może zajrzeć portier. Ale nie. Powiedział to, wziął swój plecaczek i pożegnał się: „Do jutra, do widzenia”, jakby nie zaszło między nimi nic godnego uwagi.

Przed spotkaniem z Andrew Vardym Amelia wyobrażała sobie, że seks będzie (jakoś będzie, Bóg jeden wie jak) mieszaniną czegoś mistycznego, czegoś prymitywnego, czegoś animalistycznego, że będzie ciepłym i niewyraźnym doznaniem, które wykroczy poza rozum i mechanikę. Nie wyobrażała sobie, że seks może być banalny i męczący. Ale niestety nie pozbyła się przekonania, że na pewno jest czymś budzącym odrazę.

Któregoś wieczoru pomyślała: „Odwagi!”, i zaprosiła go na filiżankę kawy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że on rozumie, co to zaproszenie oznacza, ale jeśli to spotkanie miałyby się okazać niczym więcej ponad filiżankę kawy, to

przynajmniej nie wypadnie w jego oczach głupio. Kupiła kolorowe czasopismo dla kobiet z załączoną zafoliowaną broszurką pod tytułem „Co zrobić, żeby oszalał w twoim łóżku. Kilka porad” i próbowała tych kilka porad dobrze zapamiętać, ale bez skutku. Czytając to, miała wrażenie, że przygotowuje się do egzaminu z nielubianego przedmiotu i że na pewno go obleje. Zresztą kto chciałby mieć na sutkach krople gorącego wosku? Czy będzie jej to robił? Z pewnością nie. Broszurka radziła, żeby „rozbierać się powoli”, bo „mężczyzna lubi mały seksowny striptiz”. Amelia nie traciła jednak nadziei, że uda im się to zrobić bez ściągania ubrań. Niemniej wydepilowała sobie nogi i ogoliła się pod pachami, choć przez całe życie nie mogła zrozumieć, co może być złego w owłosionych partiach ciała. Pomalowała też sobie (fatalnie) paznokcie u nóg, a wieczorem się wykapała i skropiła francuskimi perfumami, które zostały po ostatniej wizycie Julii. Przez cały czas wydawało się jej, że odprawia rytualne, całkowicie irracjonalne przygotowania do złożenia jakiejś ofiary. Miała w pogotowiu butelkę dobrego bordeaux. Kupiła też nadziewane oliwki, chrupki i fistaszki, jakby w planie miała sałatkowo-grillowo-piwnie przyjęcie z plastikowymi naczyniami firmy Tupperware. Była kiedyś na takim tupperware’owym przyjęciu, na zaproszenie jakiejś kobiety z wydziału kosmetyki i fryzjerstwa, na którym promowano produkty tej firmy, i kupiła sobie bardzo użyteczny pojemnik na płatki zbożowe. Było to jedyne przyjęcie, na jakie się wybrała w ciągu ostatnich pięciu lat.

Co prawda ani o oliwkach, ani o fistaszkach nie było mowy w poradach erotycznych, ale za to wspomniano tam o prażonej kukurydzy z masłem. Amelii kojarzyło się to raczej z filmami porno niż z poważnym czasopismem dla kobiet. Stwierdziła, że czytając tę broszurkę, nikt by nie pomyślał, że seks ma służyć prokreacji i utrzymaniu gatunku, że chodzi w nim tylko o to, żeby męskie i żeńskie organy płciowe połączyły się w celach biologicznych. Według autorów „Kilku porad” w seksie generalnie chodziło o to, żeby w byłe otwór w ciele wpychać byle co, co tylko człowiekowi wpadnie w rękę.

Czekała pięć kolejnych wieczorów. Szóstego dnia zaczęła się

zastanawiać, czy dobrze zrozumiała to, co powiedział Andrew Vardy. Może „służył jej uprzejmie” w zupełnie innej sprawie? Może chodziło o pożyczenie książki albo programu komputerowego? W pokoju nauczycielskim nie padło już ani jedno słowo na temat seksu albo „filiżanki kawy”. Od tamtego dnia rozmawiali tylko raz, o naciąganiu ocen semestralnych w klasie dekarzy, żeby spełnili kryteria i przeszli na następny poziom i żeby wreszcie mogli ich mieć z głowy. Amelia przestała się przygotowywać, na jej nogach wyrosła szczecinka, a z głowy wyleciały jej wszystkie broszurowe porady. Nic więc dziwnego, że zgodnie z prawem Murphy’ego Andrew Vardy zadzwonił do jej drzwi, kiedy miała na sobie stare domowe ciuchy i lakierowała nocną szafkę, którą kupiła na aukcji.

Bez kwiatów, bez czekoladek, bez umizgów – o tak, spodziewała się umizgów. A kiedy zapytała: „Napijesz się kawy?”, tylko się głupio uśmiechnął. Nalała więc wina do dwóch kieliszków (wino jakoś się uchowało), bo wiedziała, że nie będzie w stanie przejść przez to z trzeźwym umysłem. Wsypała do szklanych miseczek fistaszki i oliwki i postawiła je na stole. Czy wszyscy tak robią? Wszystkie kobiety przygotowujące się na przyjęcie kochanka? Czyż nie smarują ciał wonnymi olejkami, perfumami i maściami? Czyż nie rozczesują włosów i nie kładą się na delikatnym jedwabiu, i nie podają kochankowi do pocałunku bujnych piersi? Czyż nie serwują najpierw smacznego *hors d'oeuvre*?

Andrew zaczął ją całować, jak tylko usiedli na kanapie. Poczula, jakie ma wyschnięte i spękane wargi. Miał na sobie te same ciuchy, w których przed południem przyszedł do pracy, i wydzieliał przykrą, nieświeżą woń. Już po kilku sekundach zaczął jej zadzierać poplamiony farbą T-shirt i łapać za piersi. Ugniatał je niemiłosiernie, jakby lepił garnki z dużego kawałka gliny. Jednocześnie drugą ręką zaczął odpinać spodnie. Amelia się zdziwiła. Po co to całe zamieszanie, te oliwki, te broszury, te porady na temat gry wstępnej? Wciśnięta w poduszki nie bardzo widziała, co on robi, a kiedy zorientowała się, że zakłada prezerwatywę, poczuła się wyjątkowo skrępowana (tak, to śmieszne). Jakaś część niej mówiła jej, że powinna mu

przeszkodzić, powiedzieć, żeby się wstrzymał, że powinni poważnie porozmawiać o katolickiej etyce i antykoncepcji. Miał w końcu pięcioro dzieci. Czyżby inne zasady dotyczyły żony, a inne kochanki (zadrżała, kiedy uświadomiła sobie, że określa tym słowem samą siebie)? Poza tym czy wierzy w nieomylność papieża? Nieraz się zastanawiała, dlaczego w taki nonsens wierzą bardzo inteligentni ludzie (jak choćby Sylvia). Ale chwila na ewentualne dyskusje o słuszności dogmatów bezpowrotnie minęła. Andrew już się w nią wsuwał (było zimniej i o wiele łatwiej, niż się spodziewała) i cały wysiłek musiała włożyć w wyhamowanie odruchu, żeby go wypchnąć, tak to było niewygodne i nienaturalne. Potem lekko zmienili pozycję. Odwracali się to w jedną, to w drugą stronę, strącając przy tym ze stolika wino (co za nieostrożność z jego strony!), a potem nagle Andrew Vardy głośno stęknął, jak zwierzę, jak rodząca krowa, i już po sekundzie jego zwiotczała mokra część wysunęła się z niej i pacnęła na jej udo, niczym martwa złota rybka.

Amelia patrzyła w sufit. Zauważyła pęknięcie, którego wcześniej nie widziała. Od dawna tam jest? Może dom zaczyna już osiadać? Zerknęła na podłogę, na której rozsypały się fistaszki, i na jasnym dywanie zobaczyła plamę po bordeaux, przypominającą różową plamę krwi. Zastanawiała się, czy profesjonalna firma czyszcząca dywany będzie w stanie ją usunąć.

Andrew Vardy podniósł się i zebrał swoje ubranie. Na rękawie jego marynarki Amelia zobaczyła ślad po jakiejś białej pianie. Podejrzewała, że mogła być resztką niemowlęcych wymiocin. Poczowała w środku pieczenie. „Przepraszam cię, Amelio, ale muszę już iść”. Powiedział to takim tonem, jakby go błagała, żeby został. „Obiecałem Bernie, że kupię mleko”. Amelia domyśliła się, że została włączona w harmonogram zakupów. Litr mleka i numerek. Odprowadziła go do drzwi. Pocałował ją w policzek i powiedział: „Kurczę, było obłędnie”. Na koniec wrzucił sobie do ust nadziewaną oliwkę, jakby chciał się popisać przed gośćmi na przyjęciu, i zniknął za drzwiami. Pędził w dół na złamanie karku, przeskakiwał po kilka stopni.



Piętro niżej Henry, pekińczyk, rozszczękał się na niego zajadle. Na kanapie zobaczyła jeszcze jedną płamę i dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że to wcale nie bordeaux, tylko jej własna krew. Poczula, że ma miękkie kolana. Poczula się zdruzgotana. Usłyszała, jak sprzed domu odjeżdża zabrudzony przez dzieciaki passat Andrew Vardy'ego, i rozplakała się głośno.

Bardzo pragnęła Jacksona. Rozpaczliwie. Tak, leżała w łóżku i rozmyślała o nim, i sama się zadowalała (Boże, co za kretyńskie określenie). „Pan Brodie by cię uratował” – powiedziała Julia, kiedy stwierdziła, że Jackson byłby owczarkiem niemieckim. Amelia bardzo chciała, żeby Jackson ją uratował. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego. Jackson. Sama myśl o Jacksonie była nadzieją, obietnicą i spokojem. Była rozgrzanym na słońcu kamykiem na dłoni, zapachem wilgotnych róż w deszczu, możliwością odmiany. Może powinna mu powiedzieć: „Wiesz, Jackson, jeśli masz ochotę na seks, służę uprzejmie”.

Zaczęła się rozbierać do snu. Było wcześniej, dużo za wcześniej, żeby się kłaść spać. Za oknem jeszcze nie zapadł zmierzch. Przypominała sobie, jak w dzieciństwie lubiła chodzić spać latem, kiedy wieczorem długo było jasno. Bo bała się ciemności. Tak było, zanim zniknęła Olivia. Potem nigdy nie czuła się bezpieczna, ani gdy było ciemno, ani gdy było jasno.

Oglądała swoje nagie ciało w starym, pokrytym rudymi i srebrzystymi plamami lustrze w drzwiach szafy Sylvii. Konsystencją przypominało twaróg. Cała była w wałkach tłuszczu, jak ludzik Michelina. Brzuch zwisał ciężkim faldem, a piersi bujały się pod własnym ciężarem. Wyglądała, jakby wydała na świat dziesiątkę dzieci, jak wykuty w kamieniu starożytny symbol płodności. Tyle tylko że w jej przypadku trudno mówić o płodności, prawda? Dla niej krytyczny punkt płodności powoli się odsuwał, niewidoczna macica kurczyła się w niej. „Ja jeszcze mam czas, żeby coś z siebie wyprzeć” – powiedziała wczoraj Julia, w typowy dla siebie niesmaczny sposób. Amelia nie miała już czasu, żeby „coś z siebie wyprzeć”.

Niebawem ta planeta przestanie być dla niej czymś użytecznym. Nikt nigdy nie dostrzegł w niej atrakcyjnej kobiety, nikt jej nigdy nie zapragnął, nawet Victor, jej własny ojciec, uznał, że jest zbyt brzydka, żeby próbować ją uwieść...

Nagle jej rozmyślenia przerwał potworny wrzask Julii, przeraźliwy krzyk, jakby Julia wyrwała z siebie wnętrzości, krzyk, który mógł wróżyć tylko coś okropnego. Porwała nocną koszulę i zbiegła po schodach.

Julia leżała na podłodze w kącie kuchni. Amelia najpierw pomyślała, że coś jej się stało, ale potem zauważyła, że obejmuje wyciągnięte ciało Sammy'ego. Sammy miał zamglone oczy i drętwe spojrzenie. Cały był jakiś zeszywniały, jakby gasł, ale kiedy usłyszał pełen niepokoju głos Amelii, podniósł lekko ogon i uderzył nim słabo o podłogę.

– Wezwę weterynarza – zaproponowała nerwowo Amelia.

Julia, z twarzą wtuloną w szyję psiaka, odpowiedziała stłumionym głosem:

– Myślę, że już za późno. To chyba był wylew.

– Tym bardziej powinniśmy wezwać weterynarza.

– Nie, Milly, to nic nie da. On już wyruszył w ostatnią podróż. To stary pies, nie ma sensu go stresować. – Julia wzięła w dłoń jego łapę i pocałowała ją.

Szeptając do ucha zdychającego psa czuła słowa. Całowała go w uszy, w zimny nos, w pysk, głaskała po głowie, lekko tarmosiła siwą sierść na mordce. Amelia nienawidziła jej za to, że wydawało jej się, że zawsze ma rację i zawsze wie, co należy zrobić.

– Najlepiej go pogłaszcz – powiedziała Julia.

Ale Amelia już wertowała żółte kartki książki telefonicznej. Szukała weterynarza, który przyjeżdża w nagłych wypadkach, i w ten sposób przegapiła chwilę, kiedy Sammy skołał. Zdała sobie sprawę, że nie żyje, dopiero wtedy, kiedy Julia podniosła się z podłogi, z pomarszczoną twarzą, w koszuli oblepionej psią sierścią. Wydawało się, że tuliła się do niego od dłuższego czasu.

Nie umiała sobie z tym poradzić. Musiała zadzwonić do Jacksona, bo chciała, żeby ukoił jej ból. Nie chciała, żeby to

zrobił ktokolwiek inny. Tylko on. Pragnęła, żeby ją wziął w ramiona i ukoił, jak Julia ukoila psa. („Jackson, proszę... Przyjedź, jesteś mi potrzebny” – w tych słowach ostatecznych, pełnych rozpacz i namiętności, było coś przejmującego. Bo czuła namiętność. Czuła coś rozpaczliwego). Nie chciała jednak, żeby stanął w jej drzwiach spieniony z wściekłości (Boże, język dekarzy) ani żeby stanął w jej drzwiach z małym dzieckiem u boku. Ze swoim dzieckiem. Nigdy sobie nie wyobrażała, że może mieć dziecko, ale oczywiście nigdy go o to nie spytała. Miał żonę? Zadała mu to pytanie, ledwie przekroczył próg, z oskarżeniem w głosie, jak kompletna idiotka. Wiedziała, że wygląda jak idiotka: rozczochrane włosy, zapuchnięta od płaczu twarz, piersi bujające się na boki w za szerokiej koszuli nocnej.

– Nie wiedziałam, że jest pan żonaty, panie Brodie – powiedziała, cedząc słowa, jakby ją zdradził.

Dziewczynka się nachmurzyła. Jackson wściekł się jeszcze bardziej, bo zdenerwowała jego córkę. Dopiero Julii udało się wszystko załagodzić.

– Przepraszam, panie Brodie. Nie możemy dojść do siebie. Zdechł nasz biedny Sammy.

Potem wszystko jakby się pograżyło w półmroku. Julia dolewała sobie brandy, a dziewczynka, niemal nienaturalnie, zainteresowała się zdechłym psem. Głaskała jego nieruchomą sierść i powtarzała ze smutkiem: „Biedny piesek, biedny piesek”. Amelia miała ochotę dać jej klapsa, bo przecież pies wcale do niej nie należał. Zapomniała, że do niej właściwie też nie, że należał do Victora. Jackson zaczął tłumaczyć córce, że piesek jest teraz szczęśliwy i mieszka w pieskowym niebie, a potem Julia pomogła Amelii pójść do łóżka. Już tam została. Wypłakiwała w poduszkę swoje żale, cicho, ale mimo wszystko jakoś monstrualnie, a był to płacz nieutulony, niekończący się, bo było w nim za dużo ciężaru.

Płakała nad swoim nieszczęściem i chandrą (każdy raz na jakiś czas ma do tego prawo), płakała nad sobą i nad swoim płytkim, nie nieznaczącym życiem. Nie potrafiła tego wytrzymać, po prostu nie potrafiła. Płakała nad Victorem,

Olivią i Rosemary, nad Rascalem (który zdechł dwa lata po zniknięciu Olivii). Płakała, bo tylko raz w życiu uprawiała seks, z Andrew Vardym, bo Mozart umarł tak młodo, a Sammy tak staro, płakała, bo była gruba i brzydka i musiała uczyć kandydatów na dekarzy i murarzy i nigdy, nigdy nie znajdzie się w ciepłych objęciach Jacksona.

Płakała też nad tym, że nie wierzyła w Chrystusa ani w pieskove niebo. I nad tym, że nikt nigdy nie będzie przy niej leżał w łóżku w niedzielny poranek, czytał jej gazet, masował karku i pytał: „Chciałabyś coś, kochanie?”. Bo nie było w niej szczęścia, była tylko pustka. Bo chciała być szesnastolatką z długimi jasnymi włosami (jakich nigdy nie miała) i chciała z przejściem wyglądać przez okno na piętrze i usłyszeć z dołu głos mamy: „Amelko, już przyjechał!”. Wtedy zbiegłaby po schodach, lekka jak wiatr, i wsiadłaby do samochodu, siedziałaby obok swego siedzącego za kierownicą przystojnego chłopaka i pojechaliby w siną dal, i kochaliby się gdzieś gorąco i namiętnie, a potem on odwiózłby ją do domu, w którym czekałaby na nią rodzina. Victor powitałby ją w drzwiach burkliwym, ojcowskim skinieniem, przekorna nastoletnia Julia udałaby, że jej nie widzi, a smukła Sylvia, już na pierwszym roku studiów, posłałaby jej pełen wyższości uśmiech. Gdzieś, może w pokoju dla gości, majaczyłby niewyraźny zarys pięcioletniej śpiącej Annabelle. Rosemary, mama, konspiracyjnym tonem, „tak między nami kobietami”, zapytałaby ją, czy miło spędziła czas, i poczęstowałaby ją mlekiem z miodem (czego nigdy nie robiła, Amelia była tego pewna), i może, zanim położyłaby się do łóżka i zapadła w spokojny, niczym niezakłócony sen słodkiej szesnastolatki, zajrzałaby jeszcze do sypialni Olivii, ośmioletniej, smacznie i bezpiecznie śpiącej we własnym łóżeczku.

W środku nocy Julia weszła do jej pokoju i położyła się przy niej. Objęła ją i przytuliła tak, jak wcześniej przytulała umierającego Sammy'ego.

– Wszystko dobrze, Milly. Wszystko dobrze, naprawdę – szeptała. Było to kłamstwo tak wierutne i tak cudowne, że nie było sensu oponować.

## Jackson

– Jezu, Jackson, co ci się stało?

W głosie Deborah Arnold, podobnie jak w głosie Josie, usłyszał raczej wyrzut niż litość i zainteresowanie.

– Dziękuję, już mi dużo lepiej – odpowiedział sucho, przechodząc wprost do swego sanktuarium, w którym czekała na niego Shirley Morrison.

Wyraźnie drgnęła, kiedy zobaczyła jego twarz (była pielęgniarką, więc naprawdę musiał źle wyglądać). Nie dość, że David Lastingham (ta kanalia) zdrowo podbił mu oko, to jeszcze jego aparycji najpewniej w niczym nie poprawiał porządny cios w łeb i całonocne leżenie bez przytomności pod gołym niebem.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – rzucił na powitanie, choć prawdopodobnie, owszem, było tak źle.

Shirley Morrison siedziała niemal w pozycji kwiatu lotosu. Była wyprostowana jak struna, miała smukłe ciało tancerki. Skończyła już czterdzieści lat, ale równie dobrze można by jej dać trzydziestkę, chyba że spojrzano się w oczy i zauważyło, że przeszła więcej niż niejeden człowiek w całym życiu. Wiedział, kim jest, nigdy nie zmieniła nazwiska. To było dawno, zanim się przeniósł do Cambridge, ale kiedy poprosił Deborah, żeby się czegoś o niej dowiedziała, od razu odpowiedziała: „Morrison, Morrison... Czy to nie siostra Michelle Fletcher? Morderczyni z siekierą?”.

\* \* \*

– Siedziała na podłodze, w rękę trzymała siekierę. Nie mam pojęcia, jak długo tak siedziała. Według patologa Keith nie żył od godziny.

Shirley Morrison trzymała w obu dłoniach filiżankę kawy,

jakby chciała się ogrzać, choć w gabinecie Jacksona było gorąco jak w piekle, a kawa już dawno musiała ostygnąć. Patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem. Jackson odniósł wrażenie, że rekapitułuje w myślach sekcję zwłok Keitha Fletchera.

– Kiedy weszłam – zaczęła po chwili – uśmiechnęła się i powiedziała: „Cześć, Shirley. Cieszę się, że przyjechałaś, upiekłam ci babkę czekoladową”. Od razu wiedziałam, że postradała zmysły.

– Obrona powoływała się na niepoczytalność – zauważył Jackson.

To Deborah znalazła dla niego tę informację. Nie tylko przeprowadziła kwerendę, zebrała także krążące na ten temat plotki. Michelle Rose Fletcher, z domu Morrison, lat osiemnaście, skazana na dożywocie, według szacownego sądu: „za umyślne, dokonane z zimną krwią morderstwo, za zamordowanie męża, człowieka całkowicie niewinnego”. Jackson nie wierzył w całkowitą niewinność nikogo poza dziećmi i zwierzętami, choć i wśród dzieci znalazłby wyjątki. Zaproponował jej jeszcze kawy, ale ona gwałtownie pokręciła głową, jakby był natrętnym insektem.

– Michelle miała bzika na punkcie kontrolowania wszystkich i wszystkiego dookoła. To znaczy, wie pan, kocham ją całą duszą, była moją starszą, wspaniałą siostrą...

Jackson przytaknął. Wiedział, jakie są starsze siostry. Sam miał wspaniałą starszą siostrę, Niamh.

– Ale wszystko zawsze musiało być tak, jak chciała, zawsze. Cholera, cały czas. Rozumiem dlaczego, to znaczy tak nas wychowywano, to było... – Wzruszyła ramionami, jakby szukała właściwego słowa. – Bezhołowie. Mama nie potrafiła dać sobie rady z naszym pieskiem, a cóż dopiero mówić o domu i dzieciakach. Ojciec pił, mama też zaglądała do kieliszka, nic do niej nie docierało. Michelle bardzo zależało, żeby nie być taką jak oni. Ale to dziecko ją dobiło. Małego dziecka nie da się przecież kontrolować.

– Myśli pani, że miała depresję poporodową?

Jackson pamiętał, jak po narodzinach Marlee Josie płakała przez cały dzień z przygnębienia, a w nocy dzieciak był

z powodu kolki. Czuł się kompletnie zagubiony i bezradny, nie miał zielonego pojęcia, jak pomóc jednej i drugiej. I nagle wszystko się skończyło jak ręką odjął. Któregoś dnia Josie spojrzała na słodką Marlee, śpiącą głęboko i spokojnie w kołysce, spojrzała wesoło na niego i powiedziała: „Fajna jest. Może ją jednak zatrzymamy, co?”. To było w czasach, gdy jeszcze byli ze sobą szczęśliwi.

Shirley Morrison spojrzała na niego wzrokiem pełnym zważenia, jakby się zastanawiała, co on może wiedzieć o poporodowych męczarniach. I znowu wzruszyła ramionami.

– Może. Zapewne. Mało spała, a człowiek dostaje kręcka, jeśli nie może spać. Ale oni od razu wydali wyrok, prasa, rodzina Keitha. Chłopak nie zrobił nic złego, nie bił jej ani nic. Był nawet sympatyczny, niewymagający, wyrozumiały. Lubiałam go. Wszyscy go lubili. No i wprost uwielbiał Tanyę.

– Miała na twarzy siniaka – zauważył Jackson.

Shirley spojrzała na niego zaskoczona.

– Naprawdę?

– Tak zapisał w raporcie oficer, który ją aresztował. Dlaczego obrona nie wykorzystała tego podczas procesu?

– Nie wiem.

Smukłe stopy Shirley Morrison były opalone na brązowo, jakby chodziła po ulicach boso. Na nogach miała lekkie indiańskie sandały z wytłaczanej skóry. Jeszcze bardziej podkreślały smukłość jej stóp. Jacksonowi podobały się kobiece stopy, nie w sensie fetyszystycznym (miał nadzieję) i nie wszystkie stopy, bo z jakiegoś niewytłumaczalnego dla niego powodu wiele pięknych kobiet miało bardzo brzydkie stopy. Po prostu uważał, że ładne kobiece stopy są nadzwyczaj atrakcyjne (chciał się przed samym sobą usprawiedliwić?). Zauważył na przykład, że Nicola Spencer ma duże stopy. Poprzedniego wieczoru nagle poleciała do Kopenhagi. Diabli wiedzą, co tam robi...

– Odór był nie do zniesienia, okropny, to najlepiej pamiętam. Robiło się niedobrze. Tanya siedziała w kojcu, krzyczała, potwornie wrzeszczała. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie słyszałam tak krzyczącego dziecka, a jestem pielęgniarką na

ortopedii, na oddziale intensywnej opieki – dodała gwoli wyjaśnienia.

Jackson zdążył to już sprawdzić. Zadzwoił do szpitala i zapytał. „Shirley Morrison, tak, na jakim oddziale pracuje?” I powiedzieli mu. Dowiedzieć się czegoś jest o wiele prościej, niż się ludziom wydaje. Wystarczy zadać pytanie, a dostanie się odpowiedź. Oczywiście nie jakieś poważne pytanie, jak choćby kto zabił Laurę Wyre albo gdzie są zwłoki Olivii Land. Poważne pytania, jak choćby dlaczego kobieta, której ślubował, że będzie ją kochał i bronił, dopóki oddech żywi jego ciało, postanowiła zabrać ich jedyne dziecko i wywieźć je na drugą stronę kuli ziemskiej. Ot tak, po prostu. („Tak, Jackson, ot tak, po prostu!”)

– ...pierwsze, co zrobiłam, to wzięłam Tanyę na ręce, ale ona nie przestawała krzyczeć. Była w opłakanym stanie, cała zabrudzona. Bóg wie, kiedy i kto ostatni raz ją przewijał. Cała była w kroplach rozbryzanej krwi.

Ten obraz i wszystko, co robił z wyobraźnią, zgasił na chwilę jej słowa i pewność w głosie. Shirley Morrison wbiła wzrok w okno, ale nie było za nim nic, na co mogłaby patrzeć.

– Miała na sobie nowe ogrodniczki, ode mnie. Firmy OshKosh. W tamtym czasie w soboty pracowałam dorywczo w butik. Zawsze z Michelle pracowałyśmy, gdy tylko było można. Gdybyśmy nie pracowały, nie miałybyśmy nic. Pamiętam, że w tamtej chwili myślałam o tym, ile te ogrodniczki kosztowały i że już się nie da sprać krwi. Mój szwagier zginął z rąk mojej siostry, a ja zastanawiałam się, jak usunąć plamy ze spodni.

– To dysocjacja. Umysł przestawia myśli na inne tory, żeby człowiek kompletnie nie oszalał.

– Pan myśli, że tego nie wiem, panie Brodie?

Shirley Morrison miała paznokcie u nóg pomalowane jasnym lakierem, a nad kostką delikatny złoty łańcuszek. Jackson pamiętał czasy, kiedy łańcuszki na nogach nosiły tylko kurwy i uliczne paniusie. Kiedy był mały, na tej samej ulicy co on, kilka domów dalej, mieszkała prostytutka. Powieki cieniowała szmaragdową zielenią, a na białych żyłastych nogach nosiła



jaskrawoczerwone szpilki. Czy miała łańcuszek? Czy miała imię? Zwykle mijał jej dom biegiem, w strachu, że wyjdzie z bramy i go złapie, bo mama mówiła, że to „służebnica Szatana”. Słowa mamy poważnie mąciły mu w głowie, bo Szatan to był pies – potężny rottweiler – należący do pewnego faceta z ogródków działkowych.

Od dawna nie myślał o tamtej ulicy, ponurej i wąskiej, z ciągiem niskich czynszówek po obu stronach i prostopadłymi alejkami. Były jak tunele prowadzące do tylnej uliczki. Kiedy miał dziewięć lat, przeprowadzili się do lepszej części dzielnicy. Tam już nie było dziwek wysiadujących na schodach przed domami, wypuszczających z ust papierosowy dym i wypalających płuca. Czy Shirley Morrison miała męża? Miała na palcu obrączkę, ni to ślubną, ni zaręczynową, srebrną – celtycką albo skandynawską. Czy to miało znaczenie?

– Kiedy wzięłam Tanyę na ręce, Michelle się zaśmiała i powiedziała: „Płacze i płacze, co?”. Widzi pan, to jest dysocjacja.

– Musiała mieć jakiś powód, żeby go zabić – zastanawiał się głośno Jackson. – Nawet jeśli nie było w tym premedytacji. Coś musiało ją skłonić do ataku.

Było przeraźliwie duszno, choć nie wybiło jeszcze południe. Można było odnieść wrażenie, że całe powietrze w gabinecie zostało już wykorzystane. Jasnobrażowe włosy Shirley były w nieładzie, spięła je na czubku głowy spinką. Drobne włoski na jej karku połyskiwały w świetle od potu. Zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby ją zaprosił na lunch do restauracyjki z ogródkiem albo gdyby kupili po sandwiczu i poszli na spacer nad rzekę. Oczywiście służbowo. Po prostu przeniósłby umówione spotkanie w plener. Kogo chciał oszukać? Kierował się całkowicie niesłużbowymi motywami.

Gdyby Josie nie żyła, sąd przyznałby mu pełną opiekę nad dzieckiem. Marlee nie zniknęłaby na drugim końcu kuli ziemskiej. („Wiesz, *Władca Pierścieni*” – oznajmiła wyniosłe, bardzo przejęta, jakby rzeczywiście Bilbo, Gandalf i reszta ich kompanów mieszkali w Nowej Zelandii i czekali, aż ona dołączy do drużyny. Nawet nie czytała książki, oglądała tylko film na

DVD, film, który jego zdaniem był zbyt okrutny dla ośmioletniego widza, ale widać David Lastingham miał na ten temat inne zdanie).

Jak było do przewidzenia, Josie nie udało się dotrzymać żadnej z obietnic – że będzie go kochać i szanować i że będzie mu wierna aż do śmierci. Nadal dźwięczy mu w uszach to pełne emocji drżenie w jej głosie, gdy powtarza: „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Zdecydowali się na proste tradycyjne wesele. Teraz planowała ceremonię na tropikalnej plaży, z maoryskim chórem gospel i ułożonym osobiście tekstem ślubowania. Miała zamiar wyjść za kutafona i ciemiegę, żeby „zacząć nowe życie”.

Jackson zaczął się zastanawiać, czy byłby zdolny ją zabić. Można powiedzieć, że start miał lepszy niż inni – zdążył poznać rozmaite sposoby i wiedziałby, jak się do tego zabrać. Nie sam czyn byłby tu problemem. Rzecz w tym, żeby potem nie dać się złapać. Nie czekałby przecież godzinami na policję z siekierą na kolanach. Jak brzmiała ta rymowanka o Lizzie Borden? Chwyta Lizzie siekiereczkę, robi Lizzie z mamy sieczkę. Gdyby miał zabić Josie, musiałaby to być zbrodnia doskonała, „dokonana z wyrachowania, z zimną krwią” – ogień, materiały wybuchowe, broń palna. Choćby snajperski karabin wyborowy L96 A1, z celownikiem optycznym Schmidta & Bendera, z którym można się ustawić bardzo daleko. Nie potrafiłby zabić Josie z bliska, w sposób osobisty, na przykład dusząc ją albo atakując nożem. Nie mógłby przy niej być i patrzeć, jak jej wiarołomne serce przestaje tłoczyć krew, jak z jej oczu znika życie. Trucizna też nie. Trucizna jest dobra dla psychopatów i obłąkanych staruszek w starych koronkach. Czy rzeczywiście ostatniego wieczoru napadł go zwykły rabuś? Nic mu nie zginęło, ani portfel, ani zegarek, ani samochód. Ale z drugiej strony zanim ten facet zdołał cokolwiek wziąć, zdążył od niego zdrowo oberwać. Doświadczenie mówiło mu, że uliczni rabusie raczej nie usiłują roztrzaskać ofierze czaszki. „Sporo łajdaków buszuje po bożym świecie” – powiedział mu policjant („Śledczy Lowther, dzień dobry”), który spisywał protokół. Ciekawe. Przysłali śledczego do przypadku, do którego powinni byli wysłać zwykłego stójkowego. Jackson uznał, że właściwie

powinno mu to schlebiać. Śledczego Lowthera pamiętał jeszcze z czasów, kiedy był umundurowanym rekrutem. „W ostatnim czasie mamy do czynienia z plagą rozbojów, inspektorze” – powiedział śledczy Lowther, a on sprostował: „Teraz już po prostu, panie Brodie, jestem w cywilu”. Zabawne: w cywilu nigdy nie był panem Brodiem. Wstąpił do wojska, kiedy miał szesnaście lat, a do tego czasu był albo Jacksonem, albo, kiedy zwracali się do niego nauczyciele, po prostu Brodiem. Potem był szeregowym Brodie i dalej, w miarę kolejnych awansów, aż wreszcie, po zakończeniu służby w wojsku, znowu stał się szeregowym Brodiem, tyle że w policji. Jeszcze nie wiedział, jak się czuje cywilny pan Brodie. „Ma pan jakichś wrogów, proszę pana?” – zapytał śledczy Lowther z nadzieją. „Nie za bardzo” – odpowiedział Jackson. Bodaj każdego, z kim się zetknął.

Koszula kleiła mu się do ciała. Było zbyt parno i gorąco, żeby dłuższy czas przebywać w biurze.

– Nie wiem, jaki mogła mieć powód – powiedziała Shirley.  
– Po prostu wpadła w szal.

Zawsze jest powód. Obrona mogła sięgnąć po mnóstwo argumentów: zaburzenia psychotyczne, brak snu, trudne dzieciństwo, depresja poporodowa, działanie w obronie własnej (co z tym sińcem na twarzy?).

– W sądzie Michelle powiedziała, że Keith obudził dziecko – przypomniał. – Dziecko spało, a on wszedł i je obudził. W tym zdaniu zdaje się kryć motyw.

Ale Jackson wiedział, jak taki motyw może odebrać sąd. Równie dobrze mogła się przyznać do winy. Michelle Fletcher nie uciekła z miejsca zbrodni i nie wymyśliła żadnego kłamstwa. Po prostu czekała, aż ktoś ją znajdzie. Aż znajdzie ją siostra.

Jeśli odsiedziała dwie trzecie wyroku i dobrze się sprawowała, to musiała wyjść na wolność w 1989 roku, w wieku dwudziestu ośmiu lat. Tyle samo miałyby dzisiaj Laura Wyre, gdyby żyła. Jackson pomyślał, że mógłby się założyć, że była więźniarką idealną, że jeszcze przed 1985 rokiem trafiła do otwartego zakładu karnego i prawdopodobnie zdała egzaminy, żeby po wyjściu móc zacząć „nowe życie”. Jak Josie. Nowy

początek, przekreślenie przeszłości. Co teraz robi? Shirley Morrison nie wiedziała. Oczywiście, że nie. W przeciwnym razie nie przychodziłaby do niego.

– Obiecałam Michelle, że zajmę się Tanyą – mówiła Shirley. – I zajęłabym się, na pewno bym się zajęła, ale miałam piętnaście lat, a opieka społeczna orzekła, że nasi rodzice się nie nadają, co było prawdą, i oddali Tanyę rodzicom Keitha. Ale oni nie byli wiele lepsi. Po raz ostatni widziałam siostrę w sądzie, w dniu ogłoszenia wyroku. Potem nie chciała się z nami widzieć, nie chciała się z nami spotykać w sali widzeń, nie chciała czytać naszych listów, nie pisała. Nic nie mogliśmy zrobić. Mogłam zrozumieć, że nie chciała widzieć matki i ojca. Zresztą rodzice umarli i już nigdy nie zobaczyli swojej starszej córki. Ale mnie... Wie pan, nie obchodziło mnie, że zabiła Keitha. Była moją siostrą i już, nadal ją kochałam. – Wzruszyła ramionami i dodała: – Każdy jest zdolny zabić, jeśli tylko okoliczności będą odpowiednie.

Znowu wbiła wzrok w jakiś odległy martwy punkt za oknem, a Jackson pomyślał, że mógłby teraz powiedzieć: „Tak, wiem, też zabijałem ludzi”, ale nie wydawało mu się, żeby to był ten rodzaj dialogu, jakim chciałby rozpocząć ostatnie przedpołudniowe pół godziny, w tej duchocie, w tej temperaturze i w poniedziałek, więc milczał.

– Poinformowali nas, że wyszła na wolność – mówiła dalej Shirley. – Ale nigdy się z nami nie skontaktowała. Nie wiem, ani gdzie jest, ani co teraz robi. Koniec końców rozpoczęła nowe życie, a my utknęliśmy w starym. Morderstwo to potworny stygmat, prawda? To takie... takie nędzne. Chciałam pójść na medycynę, zostać lekarzem, ale to było niemożliwe, nie po tym, przez co musieliśmy przejść.

– A teraz chce pani, żebym odnalazł pani siostrę? – zapytał Jackson.

Shirley Morrison zaśmiała się nagle, jakby plótł niestworzone rzeczy.

– Boże uchowaj, nie! Po co miałabym szukać Michelle, skoro wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że nie chce, żeby ją odnaleziono? Nic już jej nie obchodzi. Nie chcę jej

szukać. Chcę odnaleźć Tanyę.

Czas na herbatę w ogrodzie Binky Rain. Roślinność rozrosła się tak, że do ogrodowego stolika pasowałyby raczej maczeta niż ułożone w szyku bojowym sztucce: zaśnieżone nożyki do masła i łyżeczki do dżemu, stały element herbacianej ceremonii u Binky.

– Darjeeling – obwieściła Binky, ale w dzbanku, który wniosła, pływał jakaś szarobury, gęsty napar. Chyba od lat nie widział plantacji herbaty i smakował jak wyciąg ze starych skarpetek. Wydawało się, że filiżanki nie były myte od wieków. – Będziemy dzisiaj mieli gościa – oznajmiła tajemniczo, niczym wytworna hostessa w telewizyjnym talk show. – Syn mojego bratanka, Quintus.

Boże, jak można przez całe życie nosić takie głupie imię?

– Naprawdę? – zainteresował się Jackson.

– Właściwie prawie chłopaka nie znam – westchnęła Binky, machając lekceważąco ręką. – Nie łączyły mnie z bratankiem serdeczne więzi, ale ten chłopak to teraz cała moja rodzina.

Czy Binky Rain kiedykolwiek łączyły z kimś serdeczne więzi? Trudno sobie wyobrazić, że był kiedyś jakiś doktor Rain, że dzielił z Binky łóżko i siedział z nią przy kuchennym stole. Oczywiście nie mogła zawsze być taka stara jak dzisiaj, ale jakoś nie mieściło mu się w głowie, że kiedyś mogła być młodą i piękną panną na wydaniu, zaspokajającą seksualne potrzeby Juliana – och, Boże, Jackson, daj spokój, wyrzuć z głowy takie myśli! Tak się przejął niesmacznym obrazem, jaki pojawił się w jego głowie, że wzdrygnął się i przewrócił filiżankę z herbatą. To, że na obrusie powstała kolejna plama, właściwie było bez znaczenia, bo i tak przypominał gęsty palimpsest wcześniejszych herbacianych wypadków przy stole.

– Coś się stało, panie Brodie? – dopytywała się Binky Rain, ścierając rozlaną herbatę rąbkiem spódnicy.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, z drugiego końca ogrodu dobiegł dziki okrzyk, jak wrzask rozpędzonego łowczego. Zwiastował nadejście Quintusa. Binky powiedziała: chłopak, więc Jackson spodziewał się, że zobaczy nastolatka. Nie mógł się nadziwić, kiedy jego oczom ukazał się niezwykle

postawny mężczyzna, w wieku powyżej czterdziestu lat, o szerokiej, dobrotliwej twarzy i mocno przerzedzonych włosach. Zbudowany był niczym atakujący rugbista, ale od dawna pozbawione treningu mięśnie wydawały się tak zwiotczałe, a on sam tak delikatny, że zapewne nie przeżyłby rozpoczynającego grę młyna. Miał na sobie lekkie spodnie, model chino, koszulę w biało-niebieskie pasy z białym kołnierzem, żółty krawat, a przez ramię przewieszony granatowy blezer. Gdyby dało się go przełamać w pół, zobaczyłoby się w środku wielki napis: TORYS. „Wychował się w Herefordshire” – szepnęła Binky Jacksonowi do ucha, jakby to miało wszystko wyjaśnić. Najbardziej interesujący, przynajmniej dla Jacksona, był okazałej grubości opatrunek na nosie Quintusa. Nos wydawał się zraniony tak, jakby go grzmotnął z główki ktoś, kto się bronił przed jego atakiem kolbą pistoletu.

Ale dlaczego, do diaska, ktoś, kogo w ogóle nie zna, z kim nie łączy go absolutnie nic, miałyby go w taki sposób zaatakować? Quintus zdawał się mocno zbity z tropu, kiedy go zobaczył w ogródku swojej starej ciotki. Natomiast Binky z właściwą sobie wesołością zupełnie się nie przejęła tym, że podejmuje herbatką dwóch wrogo do siebie nastawionych mężczyzn, i wciąż gaworzyła radośnie o kotce Frisky.

Quintus nie robił wrażenia kogoś, kto jest częstym gościem starszej pani, ale w końcu chłopak żył bardzo aktywnie. Kiedy był chłopcem, wyprawiono go z królestwa sióstr do szkół, żeby wyrósł na prawdziwego angielskiego dżentelmena: college w Clifton, Królewska Akademia Wojskowa w Sandhurst, ranga oficerska w Lansjerach Królewskich (Jacksonowi wydawało się, że rozpoznaje w jego głosie ryk, który znał z kursu oficerskiego), potem „roboty na dołku w kopalni”. A teraz mieszkał w Londynie i nieustannie zabierały mu czas jakieś ważne sprawy.

– Na dołku w kopalni? – zainteresował się Jackson z pewnym zwątpieniem, wyławiając palcami z herbaty koci włos.

– W Aafryce – wyjaśniła Binky.

– W Aafryce?

– W Południowej Aafryce. Kopalnie diamentów. Rządzi czaarnymi.

Binky poszła do domu po dzbanek świeżej herbaty.

– Na pewno macie sobie dużo do powiedzenia, panie Brodie – rzuciła przez ramię, wchodząc do domu. – W końcu obaj byliście żołnierzami.

Jackson już dawno nie myślał o sobie jako o żołnierzu. Nie był pewien, czy w ogóle kiedykolwiek tak o sobie myślał.

– Który regiment? – zapytał gburowato Quintus.

– Piechota. Regiment Księcia Walii – odpowiedział lakonicznie Jackson.

– W jakiej randze?

O co tu chodzi? – zastanawiał się Jackson. O to, kto ma większego? Wzruszył ramionami.

– Szeregowiec.

– Taak... Mogłem się domyślić – stwierdził sucho Quintus.

Celowo przeciągnął słowo i celowo cedził słowa. Jacksonowi to nie przeszkadzało, choć wstąpił do wojska jako szeregowy, a wyszedł jako wyższy oficer, pierwszej klasy, żandarmerii wojskowej. Przemilczał to, bo nie miał ochoty się bawić w tę dziecinną licytację. Zaproponowano mu stopień oficerski, nim zrezygnował ze służby, ale wiedział, że nigdy nie będzie się dobrze czuł po tej drugiej stronie, odbierając w stołówce obiad razem z takimi kreaturami jak Quintus, którzy w takich jak on widzą tylko oprychów z samego dna łańcucha pokarmowego.

– Mogę pokazać tatuaże – zadeklarował z głupia frant.

Ale Quintus podziękował, i bardzo dobrze, bo Jackson nie miał tatuaży. Shirley Morrison miała – małą czarną różę, między łopatkami, dokładnie na piątym kręgu. Czy miała ich więcej? W mniej widocznych miejscach?

Nagle Quintus przysunął bliżej krzesło, jakby miał zamiar coś mu wyznać w wielkiej tajemnicy, i złowieszczym tonem zawarczał:

– Przejrzałem twoją grę, Brodie.

Jackson usiłował powstrzymać wybuch śmiechu. W swej wojskowej karierze zaliczył (z niewielkim entuzjazmem) dwie

wojny i niejeden taki Quintus pobrzękiwał nad nim szabelką, usiłując go wystraszyć. Pomyślał, że wygląda tak, jakby miał nie wytrzymać trzech rund w ringu z królikiem.

– Cóż to za grę ma pan na myśli, panie Rain?

Nie poznał odpowiedzi na to pytanie, bo w tym samym momencie jeden z bardziej męskich i perfidnych kocurów postanowił oznaczyć terytorium, a za słup graniczny uznał wysuniętą nogę Quintusa.

Jackson poszedł nad rzekę i usiadł na jej brzegu, tam gdzie znalazł trochę cienia. Z kieszeni wyciągnął zgniecionego sandwicza, którego kupił w sklepie Pret A Manger, i zaczął się nim dzielić ze stadkiem przyjaźnie nastawionych kaczek. Rzeką ciągnął nieprzerwany sznur płaskodennych łódek ze spacerowiczami. Większość stanowili turyści. W rolę letnich flisaków wcielili się studenci, a w każdym razie młodzi ludzie w studenckim typie, ubrani w tradycyjne pasiaste żakiety i słomkowe kapelusze – chłopcy mieli na sobie flanelowe spodnie do kostek, a dziewczęta szerokie, niewygodne i długie spódnice. Turyści tworzyli prawdziwą mieszalinę – Japończycy, Amerykanie (w mniejszej liczbie niż kiedyś), mnóstwo Europejczyków, wielu o nierozpoznawalnej przynależności państwowej (najpewniej z Europy Wschodniej) i sporo Skandynawów, którzy w sennym klimacie Cambridge wydawali się bardziej zagraniczni niż Japończycy. Wszyscy robili wrażenie bardzo przejętych i podnieconych przejażdżką, jakby doświadczali czegoś ważnego pierwszy raz w życiu – jakby właśnie w taki sposób miejscowi spędzali wolny czas, leniwie pływając łódką w dół rzeki i popijając herbatkę z mlekiem przy dźwiękach wygrywającego godzinę trzecią zegara na wieży kościelnej w Grantchester. „Kupa gówna” – żeby zacytować ojca Jacksona.

– Panie Brodie! Juhu, panie Brodie!

Boże, nie, tylko nie to! Czy od nich naprawdę nie można się uwolnić? Do ciężkiej cholery, płynęły łódką. W każdym razie Julia płynęła, odpychając się drągiem, a Amelia siedziała bez ruchu i spoglądała spod płóciennego kapelusza przeciwslonecznego, który wyglądał tak, jakby najlepsze dni



(na głowie szanownej mamusi) miał już za sobą. Na nosie miała słoneczne okulary i w ogóle robiła wrażenie kogoś, kto właśnie wyszedł z kliniki chirurgii plastycznej po szczególnie śmiałym liftingu twarzy.

– Piękny dzień, prawda?! – krzyknęła Julia. – Płyniemy do Grantchester na herbatkę. Niech pan wskakuje. Musi pan z nami popłynąć, panie Brodie.

– Nie, nie. Nie muszę.

– Ależ oczywiście – zaśmiała się Julia. – Proszę wsiadać, drzwi zamykać. Niech pan nie będzie takim ponurakiem.

Jackson z ciężkim westchnieniem podniósł się z trawy, pomógł jej przyciągnąć łódkę do brzegu i niezdarnie wszedł na pokład.

– Oho, nie jesteśmy wilkiem morskim, co, panie B.? – zaśmiała się Julia.

Dlaczego są jeszcze w Cambridge? Czy kiedykolwiek wrócą do domu? Siedząca na drugim końcu łódki Amelia pozdrowiła go jakimś nieokreślonym gestem, unikając jego spojrzenia. Ostatni raz widział ją załamana śmiercią psa. (Jackson, proszę... Przyjedź, jesteś mi potrzebny). Wyglądała nie najlepiej, w starym szlafroku i z warstwą makijażu na twarzy. Nigdy wcześniej nie widział u niej śladu makijażu. Robił upiorne wrażenie, jakby go nałożyła w ciemności. Do tego nie spięła ani nie ułożyła w żaden sposób włosów. Opadały jej na czoło i twarz długimi luźnymi kosmykami i splotami. Każda kobieta osiąga w pewnym momencie wiek, kiedy jest po prostu za stara, żeby nosić rozpuszczone włosy, nawet jeśli jest piękna i nawet jeśli ma piękne włosy, a Amelia nie była piękna i nie miała pięknych włosów.

Jackson uznał, że najlepiej zachowywać się tak, jak gdyby poprzedniego wieczoru nic się nie stało. „Nie wiedziałam, że jest pan żonaty, panie Brodie” – o co jej, do diabła, chodziło? Jakby był niewiernym kochankiem, który ją zdradził. Nigdy nie dał Amelii Land cienia powodu, żeby mogła sądzić, że coś między nimi iskrzy. Czyżby się w nim podkochiwała? (Boże, nie, błagam). Stan Jessop podkochiwał się w Laurze Wyre. Czy podkochiwanie się to coś bardzo niebezpiecznego? Wydaje się

take niewinne.

– Tam do licha, co się panu stało, panie Brodie? – Julia przypatrywała mu się, zbliżając oczy do jego twarzy. – Pan się z kimś pobił!

Amelia po raz pierwszy rzuciła na niego okiem, ale kiedy napotkała jego wzrok, szybko odwróciła głowę.

– Fascynujące – stwierdziła Julia.

– To nic takiego – powiedział Jackson. (To znaczy ktoś chciał mnie zabić). – Jaki mamy dzisiaj dzień?

– Wtorek – odpowiedziała szybko Julia.

Amelia bąknęła coś, co brzmiało raczej jak środa.

– Naprawdę? – zapytała zdziwiona Julia. – Psia kostka, ale te dni lecą, prawda?

Psia kostka? Kto dzisiaj tak mówi? Poza Julią?

– Zawsze myślę – mówiła dalej Julia – że środa jest fioletowa. – Zdawała się być w wyjątkowo dobrym humorze.

– Natomiast wtorki są oczywiście żółte.

– Nie – powiedziała Amelia. – Wtorki są zielone.

– Nie wygłupiaj się, Milly – skarciła ją Julia. – Mniejsza z tym. Dzisiaj mamy fiolet, do tego wesoły i pogodny dzień, idealny na herbatę w Orchard Tea Rooms. Często tam chodziliśmy w dzieciństwie. Przed Olivią. Prawda, Milly?

Amelia znowu zapadła w uporczywe milczenie i tylko machnęła lekko ręką, jakby od niechcienia. Po raz pierwszy, odkąd je poznał, były ubrane stosownie do pogody. Amelia miała na sobie luźną wełnianą spódnicę i niemodne, proste wycieczkowe sandały. Gdyby poszła do dobrego fryzjera i ubrała się w coś porządniejszego, wyglądałaby o niebo atrakcyjniej. Za to na Julię miło było patrzeć. Do tego okazała się całkiem wprawnym flisakiem. Miała na sobie skąpy top, który pasowałby raczej nastolatce, ale odsłaniał jej kształtny, twardy biceps (z całą pewnością regularnie się gimnastykowała) – w każdym razie w przeciwieństwie do Amelii miała rozwinięty mięsień trójgłowy. Mięśnie ramion Amelii opadały luźno i kołysały się tak, że mogłyby jej ułatwić szybowanie nad koronami drzew. Mimo słońca była blada jak kreda i wyglądała nieciekawie, podczas gdy skóra Julii

brązowiła się kolorem prażonych orzeszków. Patrzył, jak sprawnie odpycha się drągiem od dna rzeki, jak z kącika jej wymalowanych szminką warg zwisa papieros, i pomyślał, że właściwie fajna z niej babka, i ze zdumieniem stwierdził, że coraz bardziej mu się podoba i że to ona, a nie on, mówi uderzającym językiem.

– Pan patrzy na moje cycki, panie Brodie.

– Ależ nie.

– Ależ oczywiście, że tak.

Nagle Julia wydała krótki okrzyk. Jackson odwrócił się, żeby zobaczyć, co tak nagle przyciągnęło jej uwagę. Z rzeki wychodził na brzeg mężczyzna w średnim wieku – goły jak święty turecki, chuderlawy i opalony na brąz. Nudysta? Dzisiaj nazywają się naturyści, prawda? Wytarł się ręcznikiem i położył na brzegu rzeki, absolutnie na nic nie zwracając uwagi, i zaczął czytać książkę.

– Tam do licha! – zaśmiała się Julia. – Widzieliście? Golas. Widziałas, Milly? Czy to legalne, panie Brodie?

– Niezupełnie.

– Czyż nie byłoby cudownie – rozmarzyła się Julia – gdyby można było po prostu zrzucić ciuszki i wskoczyć do wody? Neopoganie kąpali się kiedyś nago w Rozlewiskach Byrona koło Cambridge. Nie chciałby pan tak zrobić, panie Brodie? Rozebrać się i dać nurka do rzeki, he?

Oblizła górną wargę swym kocim różowym językiem. Zniesmaczona Amelia cicho prychnęła. Jackson przypomniał sobie nagle Binky Rain, która powiedziała, że dziewczyny od Landów to dzikuski. Trudno było mu sobie wyobrazić, żeby Amelia kiedykolwiek była dzikuską, ale Julia owszem, tak, Julia na pewno. Pomyślał, że z Julią chętnie popływałby nago w rzece.

– Co on czyta? – zainteresowała się Julia, a Amelia, która nie dała po sobie poznać, że bodaj rzuciła okiem na obnażonego mężczyznę, odpowiedziała:

– *Zasady matematyki.*

I spojrzała znacząco na Jacksona.

– Dolać panu herbaty, panie Brodie? – zapytała Julia i nie

czekając na odpowiedź, dołała mu do filiżanki herbaty. – Mamy jeszcze do herbaty miód? – zacytowała znaną w Cambridge frazę poetycką Brooke’a i natychmiast sama odpowiedziała: – Oczywiście, że mamy. Powinien się znaleźć na naszych wafelkach. Milly, chcesz trochę miodu na wafelki?

Herbata w Orchard Tea Rooms była znakomita, w przeciwieństwie do tej, którą poczęstowała go Binky Rain. Mały palec Julii nosił bliznę. Biegła dookoła jak delikatna srebrna obrączka. Kiedy podnosiła do ust filiżankę, prostowała go, jak prawdziwa dama. Złapała jego spojrzenie.

– Odcięłam go sobie – wyjaśniło chłodno.

Amelia prychnęła.

– Przez przypadek – dodała Julia.

Amelia znowu prychnęła.

– Zamienisz się w świnkę, Milly, jeśli dalej będziesz tak przychać – rzuciła Julia.

Jackson nagle zdał sobie sprawę, że wypytywał Binky Rain o siostry Land, a nigdy nie przyszło mu do głowy, aby je zapytać o Binky.

– Dobrze znacie Binky Rain? – zaczął. – Waszą sąsiadkę, sąsiadkę Victora?

Julia patrzyła na niego, jakby nie rozumiała.

– Koty – dorzucił.

– Ach... grałam kiedyś burą kotkę w chórze – odpowiedziała Julia. – Ale to trwało tylko kilka tygodni. Złapałam zapalenie oskrzeli. Szkoda, to było pierwszorzędne tournée.

– Nie – przerwał jej cierpliwie Jackson. – Chodzi o to, że Binky Rain trzyma w domu koty.

– Stara wiedźma – odezwała się niespodziewanie Amelia.

– Ach, ta... – przypomniała sobie Julia. – Nigdy do niej nie chodziłyśmy.

– Na początku tak – powiedziała Amelia. – Ale potem przestałyśmy.

– Dlaczego? – zapytał ją Jackson, ale Amelia znowu zapadła w katatonię.

– Sylvia powiedziała, żebyśmy nie chodziły – wyjaśniła Julia i zmarszczyła brwi, jakby coś sobie przypomniała. – Tak, to

chyba było już po zniknięciu Olivii. Sylvia mówiła, że na ogród pani Rain ktoś rzucił kłutwę i że jeśli tam pójdziemy, to zamienimy się w koty. Oczywiście Sylvia zawsze była trochę dziwna. Pani Rain chyba już nie żyje, prawda? Dzisiaj miałyby z trzysta lat.

– Pewnie tyle ma – odparł Jackson.

Było coś niezaprzeczalnie przyjemnego w wylegiwaniu się na leżaku w cieniu drzew. Buczenie owadów i ciągły szmer turystów działały nasennie i Jackson myślał tylko o tym, żeby zamknąć oczy i dać się unieść lekkiej drzemce, ale Julia niezadowolona paplała o neopoganach, Wittgensteinie i Russellu.

– Przecież to skrajnie prawicowe snoby – zauważył Jackson.

– Niech pan wszystkiego nie psuje i niech pan nie będzie taki północny i socjalistyczny – ofuknęła go Julia.

Amelia nie wychodziła ze stanu zadumania i odzywała się tylko monosylabami.

– Brooke też kiedyś biegał na golasa – powiedziała Julia.

– Może nudyzm to coś typowego dla Cambridge.

– Rupert Brooke miał faszystowskie poglądy – burknęła raptem Amelia spod ronda przeciwsłonecznego kapelusza.

A Julia odpowiedziała:

– Już nie żyje, a do tego był kiepskim poetą, więc ma, na co zasłużył.

Amelia:

– Zabawny argument, o ile w ogóle argument...

A Julia na to... Ale Jackson zapadł już w drzemkę.

Wrócił pod dom Binky Rain po samochód. Zostawił go tam. Tuż przed przednim zderzakiem jego alfy stał złoty lexus, samochód (i kolor), o którym Jackson nigdy nawet nie myślał. Jakoś nie umiał się pozbyć wrażenia, że to samochód Quintusa. Nie miał pojęcia, co się może między nimi dziać. Czy to rzeczywiście Quintus go napadł?

Jechał Silver Street i słuchał folkowej płyty Gillian Welch *Piekło jednoroczniaków*. Gustował w coraz bardziej depresyjnej muzyce, jeśli to w ogóle możliwe. Jechał na spotkanie ze Steve'em Spencerem, do Eagle. Miał mu co nieco

do opowiedzenia o Nicoli, ale jego myśli wciąż krążyły wokół Quintusa. Zamyślił się i nagle spostrzegł ze zgrozą, że wjeżdża wprost w bagażnik forda galaxie, który stał przed nim na światłach na Trumpington Street, przy ciastkarni Fitzbillies.

Przód alfy wyszedł ze stłuczki w stanie o wiele gorszym niż ford galaxie, ale sprawy mogłyby wyglądać o wiele poważniej, gdyby wcześniej Jackson nie zaczął wytracać prędkości na czerwonym świetle. Argument ten nie zrobił wielkiego wrażenia na kobiecie, która prowadziła forda. Wskoczyła z samochodu i natychmiast zaczęła na Jacksona wrzeszczeć. Twierdziła, że świadomie naraził na niebezpieczeństwo jej małe dzieci. Przez tylną szybę forda łypały na niego zaciekawione oczka trzech pulchnych twarzyczek. W chwili gdy przyjechała policja, kobieta stała na środku ulicy i wymownie stuknęła palcem w nalepkę „Uwaga, dziecko!” na tylnej szybie swojego samochodu.

– Nie zadziałały hamulce – tłumaczył Jackson starszemu z dwóch oficerów drogówki.

– Kłamie! Kłamie jak z nut! – wściekła się kobieta.

– Cię kręcę, Jackson – jęknął policjant. – Ty masz szczęście do kobiet...

Po wypadku Jackson czuł się tak, jakby mu się poluzowało w całej głowie. Chory ząb nie wydawał mu się zębem, tylko ostrym nożem, który wciąż wcinał mu się w dziąsło. Wydawało mu się, że jego organizm nie jest w stanie przyjąć kolejnych kar cielesnych.

Policjanci zbadali go alkomatem, sporządzili raport z wypadku i kazali rozjuszonej właścicielce galaxie jechać w swoją drogę. Potem wezwali wóz techniczny i odholowali samochód Jacksona na policyjny parking. Chcieli, żeby go dokładnie obejrzał mechanik. Ten starszy policjant trzy lata wcześniej pożyczył od Jacksona dziesięć funtów na wyścigach konnych w Derby. I nigdy mu ich nie oddał. Jackson uznał, że dług został spłacony.

– Nie zadziałały hamulce – powtórzył po raz enty.

Kolizja wytrąciła go z równowagi. Miał do czynienia z niejednym wypadkiem: czarne ślady hamowania, gwałtowne

skręty w bok, ale nigdy nie był tym, który te skręty robił. Wciąż miał przed oczami ten obraz: bezradnie wpada na tył forda galaxie, przyciągany przez ostrzegawczy znak „Uwaga, dziecko!”. Jak przez gigantyczny magnes.

– Myślę, że gdzieś wyciekł płyn hamulcowy – powiedział mechanikowi.

– Wyciekł, i to do dna – odpowiedział mechanik. – Przez cholernie gigantyczną dziurę, którą ktoś wywiercił w zbiorniku. Coś mi mówi, że ktoś za panem nie przepada.

– O kurczę – rzucił wesoło jeden z policjantów. – Z tego nie da się zrobić kolizji drogowej.

– Dzięki.

Może już czas, żeby wspomnieć o Quintusie Rainie pełnemu dobrych chęci śledczemu Lowtherowi, który w szpitalu spisywał jego zeznanie.

Policjanci wysadzili go przed domem. Podskórnie wyczuwał, że w oczach sąsiadów jeszcze bardziej obniża rangę swego kwartału. Dochodziła dziewiąta i z okolicznych ogrodów dobiegał ponętny zapach grilla. Nawet nie patrząc na telefon komórkowy, mógł się domyślić, że jest zapchany wiadomościami od Steve’a Spencera, pytającego, co się z nim dzieje. Bardzo się starał nie rozmyślać o tym, czy dzień może się skończyć jeszcze gorzej, ale szybko został nagrodzony widokiem wskazującym na to, że dzień może się skończyć o niebo lepiej. Na schodach przed drzwiami jego domu siedziała Shirley Morrison. W rękę trzymała dwie butelki zimnego piwa.

– Pomyślałam, że może ci się przyda opieka pielęgnarska – przywitała go.

Później, dużo później, kiedy niebo było już jasne i rozspiewały się ptasie chóry jutrzeńki, i nastał wtorek (niebieski zdaniem Julii, pomarańczowy zdaniem Amelii), Jackson odwrócił głowę i spojrzał na twarz śpiącej Shirley. Usiłował sobie przypomnieć, dlaczego nie powinien był iść z nią do łóżka. Ach, tak, już wie, bo jest jego klientką. Etyka zawodowa. Nieźle, Jackson. Zastanawiał się, czy będzie żałował, że przekroczył granice. Właściwie to bez znaczenia, czy

jest jego klientką i czy mu się zdaje, że do czegoś między nimi dojdzie. Oboje zboczyli ze swych orbit i wpadli na siebie. To wszystko. (Choć oczywiście miło jest myśleć, że może chodzić o coś więcej). To było jak kataklizm, coś nadzwyczajnego, ale nie widział w tym przyszłości. Ale nie to go martwiło. Martwiło go to, że opowiadając mu swoją straszną historię, Shirley Morrison przeważnie patrzyła w górę, przez prawe ramię. Podstawy prowadzenia przesłuchań.



## Theo

Na dziedzińcu kościoła panował niemiłosierny upał. Pot spływał mu strużkami po karku i twarzy. Wyobrażał sobie, że w jego ciele topi się w tej chwili cały tłuszcz. Choć do kościoła Świętej Marii Mniejszej zewsząd było blisko, to wśród nagrobków i dzikich kwiatów nie napotkał żadnej duszy, żywej ani martwej. Laura powiedziała mu kiedyś, że często tam przychodziła. Rozmyślała, uczyła się, siadała na trawie i rozkładała dookoła książki. Dlatego postawił tam ławkę z pamiątkową tabliczką ze słowami: „Dla Laury, która ukochała to miejsce” i kiedy na niej siadał, w jakiś niepojęty sposób czuł, jakby był bliżej niej. Była to jedna ze stacji jego drogi krzyżowej, jedno z miejsc, które łączyło się z Laurą. Jej szczątki spoczywały na miejskim cmentarzu przy Newmarket Road, ale dla niego całe Cambridge było jednym wielkim jej relikwiarzem.

Ludzie rozrzucali na dziedzińcu prochy bliskich, a na spopielalej piaszczystej ziemi posadzono dywan z rumianków. Na grobie Laury, na miejskim, pozbawionym charakteru cmentarzu, posadził przebiśniegi, jej ukochane kwiaty. Na cmentarzu rosły też gęsto drzewa. Zastanawiał się, czy ich korzenie odnalazły już Laurę, czy przeniknęły swymi splotami jej klatkę piersiową, czy owinęły się wokół jej stóp, zamknęły wokół dłoni jak bransoletka.

Jackson spotkał się w Londynie z Emmą. Theo pamiętał ją bardzo mętnie. Pamiętał tylko piąte przez dziesiąte, że związała się z jakimś mężczyzną i ostatecznie wszystko skończyło się dla niej nie najlepiej. Jackson powiedział, że pracuje w BBC. Theo nigdy się nie zastanawiał, gdzie pracowałaby Laura, gdyby żyła. Nie ma przecież przyszłości, którą można by sobie wyobrażać. Jej życie zamknęło się między piętnastym lutego tysiąc

dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku a dziewiętnastym lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego. Trzy tygodnie po jej śmierci nadeszły wyniki jej egzaminów wstępnych, niczym jakieś osobliwe postscriptum. Otworzył dużą brązową kopertę zaadresowaną do Laury Wyre i zobaczył, że dostała aż cztery piątki. Nie przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić na uczelnię i wycofać papiery. Toteż jesienią, w pierwszym tygodniu nowego roku akademickiego, zadzwonił do niego ktoś z administracji uniwersytetu w Aberdeen. „Dzień dobry, czy mogłabym rozmawiać z panią Laurą Wyre?”, a on odpowiedział: „Niestety nie. Nie może pani rozmawiać z Laurą Wyre”. I wybuchnął płaczem.

Było mu potwornie gorąco. Ławka Laury stała pod ścianą kościoła, w miejscu niemal przez cały dzień wystawionym na słońce. Czuł, jak po wgłębieniu jego tłustych pleców cieknie ku łądzwiom strużka potu. To nie był najlepszy dzień na wizytę w tym miejscu. Był uczulony na prawie wszystkie rośliny, jakie rosły na dziedzińcu. Uzbroidł się w okulary przeciwsłoneczne i przeciwalergiczny zyrtec. Miał nadzieję wytrzymać w boju wśród bujnej flory kościoła Świętej Marii Mniejszej nieco dłużej, ale z oczu i z nosa bardzo szybko zaczęła mu płynąć wodnista wydzielina i musiał się ewakuować. Z trudem stanął na nogi.

– Do widzenia, kochanie, do widzenia – powiedział, bo Laura była wszędzie.

I nigdzie.

W parku Christ's Pieces jakiś człowiek kosił trawę, siedząc wygodnie na małej samobieżnej kosiarce. Theo niewiele widział przez łązy. Leciąły mu po policzkach. Chusteczka, której właściwie nie odejmował od nosa, była mokra. Ludzie zerkali na niego z zaciekawieniem, ale on się nie zatrzymywał i ciężko szedł dalej. Silniki autobusów na dworcu przy Drummond Street wyły jak jakieś mechaniczne bestie. Przysiągłby, że wyczuwa na podniebieniu smak spalin. Kto pozwolił zbudować dworzec tak blisko terenów zielonych? Słyszał własny oddech. Brzmiał w jego uszach równie głośno, jak kosiarka. Wydawało się czymś nienormalnym mieć uczulenie na lato. Jego żona,

Valerie, nigdy nie miała dość cierpliwości do jego alergii ani do jego astmy. Widziała w nich kolejną słabość jego charakteru. W domu nie trzymali żadnych zwierząt, do czasu gdy Laura skończyła czternaście lat i zaczęła się domagać psa. Tak bardzo, że w końcu się ugiał. Pojechali do schroniska i wrócili z Makuchną. Wtedy miała zaledwie kilka miesięcy. Ktoś ją wyrzucił z jadącego samochodu. Jak można zrobić coś takiego? Jaki człowiek jest w stanie zadać innemu stworzeniu takie cierpienie? Laura mówiła, że „otuli” Makuchnę miłością i wynagrodzi jej złą przeszłość. Theo powoli się przyzwyczajał do psiej sierści. W końcu zaczął nawet pozwalać psiakowi siadać sobie na kolanach i głaskał go po łebku. On także pokochał Makuchnę. Przeżyli potworne chwile, kiedy wpadła pod samochód. Drobną zapowiedź tego, co miało nastąpić.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej. Zaczął ciężko sapać. Sięgnął do kieszeni po ventolin. Nie znalazł go tam, gdzie zawsze go trzymał. Zaczął szukać po innych kieszeniach i nagle przed oczami stanęła mu ampulka, którą zostawił na stole w przedpokoju, kiedy ją przekładał z jednej marynarki do drugiej. Serce zabiło mu w panicznym strachu. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zachwiał się i osunął na ławkę w Ogrodzie Róż Księżnej Diany. Usiłował zachować spokój, chciał zatrzymać strach jak najdalej. Jasny, słoneczny dzień nagle przesłoniły ciemne kręgi, przed oczami zaczęły mu płasnąć kolorowe plamki. W klatce piersiowej czuł potężniejszy ból i zaczął się zastanawiać, czy tak właśnie wygląda atak serca.

Walczył o każdy oddech. Powinien dać komuś znak, że potrzebuje pomocy, że nie jest pierwszym lepszym tłusciochem, który w upale zalewa się potem, tylko tłusciochem, który umiera. Strach zaciskał się na jego piersi jak imadło, skręcał ją i zgniatał boleśnie. Do jego uszu dochodziło okropne rżenie, które sam wydawał. Na pewno nikt go nie usłyszy?

Zaraz przejdzie, myślał, ale nie przechodziło. W takiej chwili spodziewałby się rezygnacji, spokoju i zgody na wszystko. Spodziewałby się, że niedostatek tlenu zdążyłby go już przygotować na śmierć. Ale jego ciało się opierało. Walczyło

każdym włóknem, każdym nerwem. Odchodząc z tego padolu, będzie walczył, czy mu się to podoba, czy nie.

Nagle zobaczył ciemną sylwetkę. Przesłoniła mu słońce. Pomyślał, że to na pewno Laura przyszła, żeby go zabrać do domu. Chciał wypowiedzieć jej imię, ale nie potrafił wydobyć słowa, nic już nie wiedział, nie mógł już oddychać. Coś do niego mówiła, ale jej słowa docierały do niego jakby z podwodnych głębin. Dotknęła jego ręki, a jej palce wydały mu się lodowato zimne.

– Czy coś się stało?

Usłyszał, co powiedziała. Słowa wpadały mu w ucho jak łoskot bijącej fali i jakaś jego część chciała odpowiedzieć: „Dziękuję, nic mi nie jest”, bo nie chciał jej martwić, ale inna część, ta silniejsza, ta bardziej uparta, ta, nad którą nie umiał zapanować, chwyciła łapczywie powietrze, próbując przekazać dalej, że jest w rozpacz. Potem słyszał także inne głosy. Ktoś coś mówił, ktoś wciskał mu coś w usta. Po sekundzie zorientował się, że to inhalator.

Potem ciemność. I karetka, w której czuł się słabo i miał mdłości, ale maska tlenowa okazała się nadzwyczaj pomocna. Sanitariusze unieśli ją trochę, żeby mógł coś powiedzieć, i zapytał, czy miał zawał, a sanitariusz odpowiedział: „Nie, nie sądzę”. A potem zasnął.

Obudził się w łóżku na oddziale. Obok leżał starszy pan podłączony do płataniny rurek. Theo uświadomił sobie, że on także jest podłączony do jakiejś aparatury. Kiedy znowu się obudził, starszego pana już nie było, a kiedy obudził się po raz kolejny, spostrzegł, że jest na innym oddziale i że to godziny odwiedzin. Do sali wchodzili ludzie z gazetami, owocami i bielizną na zmianę w pękatych plastikowych torbach. Śledził ich wzrokiem i nagle zauważył, że na krześle przy jego łóżku siada jakaś dziewczyna. Natychmiast zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze ta dziewczyna to żebraczka o kremowożółtych włosach, a po drugie to ona mu pomogła w parku Christ's Pieces. Nie Laura.

Spędziła u niego całe popołudnie, siedząc ostrożnie na skraju krzesła, jakby nie wierzyła, że zdoła unieść jej ciężar, choć była

przecież chuda jak patyk. Nie przyniosła mu ani gazet, ani owoców, ani nic z tego, co przynosili do szpitala inni goście. Wcisnęła mu za to do ręki coś małego. Kiedy otworzył dłoń, zobaczył obły kamyk, jeszcze ciepły od jej suchej, brudnej ręki, przez co zdawał się być bardzo osobistym podarkiem. Zastanawiał się, czy jest nienormalna. Był pewien, że jest na to jakieś bardziej politycznie poprawne określenie, ale nie umiał go sobie przypomnieć. Umysł falował mu jak ocean, domyślał się, że jest na mocnych tabletkach.

Nie miała ochoty rozmawiać, ale jemu wcale to nie przeszkadzało, bo on też nie miał. Ale przedstawiła mu się: Lily Rose, a on odpowiedział: „Ładne imię”, a ona uśmiechnęła się do niego nieśmiało i powiedziała: „Dziękuję, to moje własne imię”, co zabrzmiało cokolwiek dziwnie.

Podeszła pielęgniarka, żeby mu zmierzyć temperaturę. Wsunęła mu termometr w usta i uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Myślę, że jutro tato wróci do domu.

Lily Rose odpowiedziała:

– To dobrze.

Theo nie mówił nic, bo trzymał między zębami termometr.

Jackson przyszedł wieczorem. Theo był bardzo wzruszony, bo wydawał się szczerze o niego martwić.

– Musisz bardziej na siebie uważać, wielkoludzie – powiedział i poklepał go pieszczotliwie po dłoni.

Theo poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Od dawna nikt go nie dotykał, jeśli nie liczyć dłoni badających go pielęgniarek i lekarzy. I chłodnego dotyku dziewczyny z kremowożółtymi włosami. Lily Rose. Jackson wyglądał, jakby znowu ktoś go pobił.

– Wszystko w porządku, Jackson? – zapytał z troską.

Jackson spojrzał na niego z bólem i odpowiedział:

– To bardzo zależy od tego, jaką się przyjmie definicję wyrażenia w porządku, Theo.

Odprowadziła go do taksówki, podtrzymując pod łokieć, jakby miała go utrzymać, gdyby stracił równowagę, a nie wyglądała na dość silną, żeby podtrzymać kwiat łubinu.

Taksówkarz i pielęgniarka pomogli mu ulokować się na tylnym siedzeniu. Pielęgniarka nie zamknęła drzwi, trzymała je otwarte dla Lily Rose. Pies Lily Rose wskoczył do środka, ale natychmiast wyskoczył z powrotem na ulicę, gdy zorientował się, że jego pani nie wsiada. Theo chciał jej zapisać swój adres i numer telefonu, ale nie miał przy sobie ani kawałka papieru, ani nic do pisania.

– Proszę, może na tym?

Lily Rose podała mu małą białą wizytówkę. Dopiero kiedy zapisał na rewersie swoje dane, odwrócił ją i ze zdumieniem spostrzegł, że to wizytówka Jacksona. Spojrzał zaskoczony na dziewczynę.

– Znasz Jacksona? – zapytał.

– Kogo? – odpowiedziała, ale pielęgniarka już zamknęła drzwi i taksówka ruszyła.

Pielęgniarka i Lily Rose stały jeszcze chwilę na chodniku i machały mu na pożegnanie. On także im pomachał i pomyślał, jakie to niedorzeczne: kiedy wydawało się, że dziewczyna wsiądzie z nim do taksówki, serce zabiło mu z radości.

\* \* \*

Nie było go ledwie dwa dni, a już mieszkanie wydało mu się dziwne i obce. Inhalator wciąż stał na stoliku w przedpokoju. W pokojach unosił się duszny zapach. Natychmiast otworzył okna i pomyślał, że powinien kupić świeczkę zapachową, drogą, nie taką, która pachnie tanią wanilią i chemicznym odświeżaczem powietrza. Wszedł na piętro, do dawnego pokoju Laury, do śledczego pokoju, jak go nazywał Jackson, i po raz pierwszy spojrzął na niego innymi oczami. Zobaczył, jak makabryczny i przerażający może się wydawać jego wystrój.

Usiadł przy komputerze i przez internet zamówił kartony do pakowania, bardzo ładne, z rysunkami kwiatów. Zaplanował, że wszystkie zbiory spakuje w kartony, dokładnie je opisze i poprosi Jacksona, żeby mu pomógł je ustawić na strychu. Potem wszedł na stronę tesco.com i zamówił podstawowe zakupy, ale nie wchodził w zakładkę „ulubione”, bo wiedział, że

znajdzie tam tylko swoich zabójców: mrożone serniki, lody, ciastka, pełnotłuste jogurty. Zrobił nową listę: chude mleko, owsianka, warzywa i owoce, razowy chleb, duże butelki z wodą Evian, i pomyślał, jaka to godna politowania lista. Wcale nie było tak, że nagle poczuł się lepiej, że zrobiło mu się weselej. Nie dostrzegł też raptem przed sobą jasnej przyszłości. Rzecz w tym, że wracał myślą do chwili, kiedy wczepił się w swoje życie, kiedy coś usiłowało mu je odebrać, kiedy walczył o nie w parku Christ's Piece. Laurze nie było dane walczyć o życie, a jemu tak, i może miało to jakieś ukryte znaczenie, choć nie wiedział jakie.

Chciał już zamknąć stronę, ale pomyślał jeszcze chwilę i kliknął w dział jedzenia dla zwierząt. Zamówił sześć puszek karmy dla psa. Na wszelki wypadek. Zapłacił i wyłączył komputer.

Potem czekał.

## Caroline

Nikommu jeszcze nie powiedziała. Była w czwartym miesiącu, ale nic jeszcze nie było widać. Dobre mięśnie brzucha. Zrobiła USG i wszystko było w porządku – nie nosiła w sobie bliźniaków ani kosmity. Położna w ośrodku okazała się typem silnego babska, w typie starej krowy, co to niewiele mówi, a wszystko wie. Caroline zastanawiała się, czy nie skłamać, kiedy będzie odpowiadać na pytanie o poprzednie ciąży, ale wiedziała, że prawda wyjdzie na jaw.

– Tak, dwadzieścia pięć lat temu, dziecko oddałam do adopcji.

(Co było szczerą prawdą). Widziała, jak położna po cichu liczy lata: dwadzieścia pięć lat temu Caroline Edith Edwards miałyby dwanaście lat. Położna bez słowa uniosła brwi, a Caroline miała ochotę rzucić: „Wal się, suko”, ale nie powiedziała tego, bo przemawiałyby przez nią Michelle, a nie Caroline Edith Edwards.

Wolałyby porozmawiać o zwiększonym ryzyku ciąży i o porodzie w wieku czterdziestu trzech lat, ale mogła tylko powiedzieć: „Właściwie jestem o sześć lat starsza”. Zresztą dzieciak miał się bardzo dobrze, czuła, że jest cały i zdrowy, czuła, że już mu o coś chodzi.

Próbowała sobie wyobrazić, jak zawiadania Hannah i Jamesa, że będą mieli siostrzyczkę (może braciszka, ale była pewna, że to będzie dziewczynka), i widziała ich miny, pełne niesmaku i zazdrości, a potem lisie, zakonspirowane uśmiešky, gdy w ich głowach będą się leżyły plany potwornych, niewróżących nic dobrego psot. Odruchowo położyła dłoń na brzuchu i poczuła zimną, rozmazaną maź, której starej krowie, położnej, nie chciało się po badaniu zetrzeć. Jonathan – jak powie o tym Jonathanowi? „Kochanie, wiesz, znowu zostaniesz



ojcem”, a on napuszy się jak paw, dumny, że jego nasienie raz jeszcze okazało się w pełni wartościowe, bo dla niego to nie będzie dziecko, osoba, tylko jeszcze jedna rzecz, jak nowy traktor John Deere albo gniady wałach małej Hannah do ujeżdżania, który i tak był dla niej za duży i z którego na pewno spadnie (przy odrobinie szczęścia) i skręci sobie kark. (Naprawdę nie wolno jej tak mówić, to może się obrócić przeciw jej dziecku). Ujeżdżanie, nowy pomysł Roweny na rozrywkę dla Hannah. „Nigdy nie jest za późno, żeby się uczyć kontroli” – mówiła podczas lunchu, na który zaprosiła ją „do swojej chatynki”, a nie na przykład „do pieprzonego dużego domu, który mi zabrałaś, dziwko”. Ujeżdżanie. To takie angielskie. Takie analne. Jemima, o czym nie trzeba chyba mówić, była prawdziwym ekspertem. „Proszę, nie miej mi za złe, że chcę cię o to zapytać, ale...”. Rowena przysunęła się do niej nad talerzem z resztkami gotowanego na parze łososia, którego musiał przygotować ktoś inny, bo Rowena z trudem znajdowała w kuchni nóż do krojenia chleba. „Hm, sama nie wiem, jak to powiedzieć...” Jej jasnyniebieskie zmrużone oczy patrzyły gdzieś w dal, niczym w wizjonerskim natchnieniu, i Caroline pomyślała, że ma tego dość. „Chcesz wiedzieć, czy zrobił mi brzuch?” – pośpieszyła z pomocą, a Rowena poprawiła się niespokojnie na krześle, kiedy usłyszała z jej ust tak uliczny język. „Nie, nie zrobił”. Potrafiła znakomicie kłamać. „Na pewno?” „Na pewno”. Patrzyła, jak Rowena z wysiłkiem tłumi uśmiech ulgi. Kwitł na jej twarzy. „Przeniesiemy się z kawą do ogrodu?” – zaproponowała po chwili.

Po raz pierwszy była na mszy w kościele Świętej Anny. Po raz pierwszy słyszała, jak wygłasza kazanie. W wykrochmalonej, śnieżnobiałej niedzielnej komży był do siebie bardzo niepodobny, a ona zastanawiała się, kto mu ją wyprał i wykrochmalił. Czyżby jakaś „dama”, którą hojnie wynagradzał? Nie przywoływał często imienia Boga, za co była mu wdzięczna. Czasem mówił trochę chaotycznie, ale generalny wydźwięk jego mowy był czytelny – ludzie powinni być dla siebie lepsi. Przyjęła to ze zrozumieniem, bardzo

słusznie mówi. Wszyscy parafianie, w sumie dziesięciu (jej nie licząc), kiwali głowami, a gdy msza dobiegła końca, każdy każdemu serdecznie uściśnął dłoń. Caroline wydało się to bardzo kwakerskie. W więzieniu chodziła na wszystkie nabożeństwa, głównie dlatego, że były jakąś odmianą w szarej codzienności, a kapłani byli dla niej szczególnie uprzejmi i wyrozumiali, prawdopodobnie ze względu na ciężki charakter jej uczynku. Wydawało się, że im cięższa zbrodnia, tym bardziej kapłani więźnia lubią. Wiadomo, zbląkana owieczka.

Stał przed wejściem do kościoła i ścisnął dłoń wszystkim wychodzącym, i oczywiście każdemu miał do powiedzenia kilka ciepłych słów. Postarała się wyjść ostatnia. Żywiła cichą nadzieję, że zaprosi ją na filiżankę kawy, a może nawet na lunch, ale nie zaprosił, powiedział tylko: „Jak miło cię widzieć w moim kościele, Caroline”, jakby była nową, nawróconą parafianką. Poczuli się głęboko, bezsensownie rozczarowana. Ale uśmiechnęła się, odpowiedziała coś niezobowiązującego i poszła pospacerować po dziedzińcu, w nadziei, że może pójdzie za nią, ale on zniknął w kościele Świętej Anny.

Nie kochała nikogo od czasu Keitha, a nawet on był tylko głupią miłostką nastolatki, która w normalnych okolicznościach powinna była się zakończyć spokojnym rozwodem. Dobrze było znowu kochać. Czuli, że dzięki temu odzyskuje utraconą część swojej osobowości. Oczywiście kochała pędraka, Tanyę. Ale to miłość innego rodzaju, fundamentalna. Zresztą wtedy jej nie kochała, nie tak, jak to sobie teraz wyobraża, nie tak, jak się od tego czasu nauczyła kochać, w ciągu umykających lat nieobecności. I chociaż miłość nadeszła bardzo późno, to w dużej mierze pomogła jej wypełnić pustkę, którą pozostawiły po sobie tamte lata. Miłość, która działa wstecz. Ale Tanya jej nie odczuje. Nigdy się nie dowie o miłości, którą matka dla niej miała, chyba że opowie jej o tym Shirley („Mama kochała cię ponad wszystko, ale nie mogła przy tobie być”). Wymogła na Shirley obietnicę, że zajmie się pędrakiem. Siostrę kochała tak samo fundamentalnie. W przeciwnym razie by jej o to nie prosiła. Nowy początek. Tak jej powiedziała: „Zabierz Tanyę, zapewnij jej nowy początek,

bądź jej matką, którą ja być nie mogę”. Może nie w tak oczywisty sposób, ze względu na wiadome okoliczności...

– Sądziłem, że masz ładny dom, do którego po mszy możesz wrócić.

Wyglądał na lekko ubawionego. Zdjął komżę i włożył ten sam stary, szary, zapinany z przodu sweterek. Był to bardzo kobiecy ubiór, zapinany sweterek na czymś, co, powiedzmy sobie szczerze, przypomina długą suknię. Jakby wbrew własnej woli wyobraziła sobie, jak może wyglądać pod czarnym sukniem. Ale też z wielką radością i przyjemnością uświadomiła sobie, że chociaż ma w tej chwili ochotę uklęknąć przed nim, wśród tych nagrobków, i zwyczajnie obciągnąć mu druta, to najbardziej pragnęła się nim zaopiekować, zrobić dla niego coś dobrego, usmażyć mu jajka, zrobić tosta i zaparzyć herbatę albo rozmasować kark, albo poczytać mu na głos coś z angielskiej klasyki. Odbiło jej, to jasne jak słońce.

– Jestem w ciąży – powiedziała.

– Och, moje gratulacje. Cudownie. – Spojrzał na nią uważniej. – Można się cieszyć?

– Tak – zaśmiała się. – To cudownie. Ale proszę jeszcze nikomu nie mówić.

– Och, na Boga! Oczywiście, że nie.

Jak mogła się zakochać w kimś, kto mówi: „Och, na Boga”? Bardzo łatwo, jak się wydaje.

Ciągle miała go na widoku. Szła za nim grzbietem wzgórza, potem zboczem w dół, do pustych zagród dla jagniąt. Zatrzymał się tam i oparł łokciami o drewnianą furtę. Na jego ramieniu sterczała krzywo strzelba. W wysokich zielonych butach z cholewami, w myśliwskiej kurtce, z psami węszącymi mu u nóg wyglądał jak postać z kiczowatego obrazka wiszącego na ścianie w jakiejś leśniczówce. O Meg i Brusie mówił „psy wojenne”, ale psy nie przydawały się do niczego. Pewnie poszedł na króliki. Jakim prawem zabijał króliki? Dlaczego jego życie miałoby być warte więcej niż życie królika? Kto decyduje o tych sprawach? Odciągnęła cyngiel. Jego głowa była celem doskonałym. Z tej odległości mogła oddać strzał i trafić idealnie w jej tył – w środek tarczy. Roztrzaskałaby ją jak arbuza,

melona albo rzepę. Pif-paf! Oczywiście nie zrobi tego. Nigdy w życiu nikogo ani niczego nie zabiła, nawet muchy, w każdym razie nie umyślnie. Ruszył w dalszą drogę, zszedł z pól, skręcił do lasu i zniknął jej z oczu wśród drzew. Spojrzała na zegarek, czas na herbatę.

## Jackson

Jackson łyknął dwie przeciwbólowe tabletki, popił paskudną kawą. W hali przylotów czekał na Nicolę i resztę załogi. Była siódma rano, cholerna godzina jak na czekanie na kogoś na lotnisku. Jeśli nieznany zamachowiec dotychczas go nie zabił, to z pewnością niebawem zrobi to jego ząb.

Znużeni, trochę zdezorientowani pasażerowie opuścili samolot. On nigdy nie był w Maladze. Kiedy się pobrali z Josie, namawiał ją, żeby co roku wybierali się na drogę wakacje, żeby mieszkali w willach, w willach z basenami, w uroczych miejscowościach, żeby latali na Korsykę, Sycylię, Kretę, do Toskanii. Dziś mógł tylko wywoływać śródziemnomorskie wspomnienia: Marlee wysmarowana tłustym olejkiem do opalania, z nadmuchanymi motylkami na rękach tapła się w brodziku, Josie opalała się na wygodnym leżaku i czyta książkę, on skacze do basenu, jego ciemne ciało tnie błękitną wodę niczym niezmordowany, ogarnięty obsesją rekin.

Obserwowanie Nicoli miało być zajęciem zastępczym, miało odsunąć myśli o tym, że ktoś próbuje go zabić (choć, mówiąc szczerze, o czymś takim nie sposób zapomnieć).

Teraz głowę miało mu zaprzętać jeszcze jedno – Tanya. Dlaczego Shirley Morrison nie mówiła mu całej prawdy? Walter i Ann Fletcherowie, rodzice Keitha, po śmierci syna przeprowadzili się do Lowestoft i, jak się zdaje, bardzo słabo wywiązywali się z obowiązku sprawowania rodzicielskiej opieki nad jedynym dzieckiem jedynego syna. Shirley mówiła, że próbowała utrzymywać kontakt z siostrzenicą, ale Fletcherowie zatrzasnęli przed nią drzwi. „Siostra kobiety, która zamordowała naszego jedynego syna... – mówiła. – Trudno im się dziwić”. W wieku dwunastu lat Tanya zaczęła uciekać z domu, a kiedy miała piętnaście, uciekła i już nie wróciła.

„Szukałam jej wszędzie – opowiadała Shirley – ale jakby się zapadła pod ziemię”.

Jackson dopisał ją po stronie strat na posępnym arkuszu rachunkowym, który nosił w sobie w ostatnich tygodniach. Jeśli żyje, ma dzisiaj dwadzieścia pięć lat. Olivia Land miałaby trzydzieści siedem. Laura Wyre dwadzieścia osiem. Kerry Anne Brockley dwadzieścia sześć. Miał nadzieję, że przyszłość Tanyi trwa, że rzeczywiście ma dwadzieścia pięć lat, a jej dni toczą się spokojnie, w przeciwieństwie do dni różnych Kerry Anne, Olivii i Laur. I Niamh. Jego starszej siostry, która za kilka tygodni skończyłaby pięćdziesiąt lat.

Na końcu holu pojawiła się kilkusobowa załoga. Wszyscy ciągnęli za sobą walizeczki na kółkach z osobistymi rzeczami. Przemierzali hol dziarskim krokiem, stukając głośno obcasami, już po służbie, i myśleli już tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Gdyby w tej chwili zatrzymał ich jakiś spragniony pasażer, prosząc o miniaturową buteleczkę whisky albo drugą bułkę, prawdopodobnie położyliby go na deski idealnie wyprowadzonym prostym i dołożyli jeszcze walizeczką jak kijem baseballowym. Oprócz pilotów tylko stewardesy, ani jednego stewarda. Ale nie spodziewał się, żeby Nicola miała romans ze stewardem. Nawet gdyby był jakiś, musiałby się jeszcze upewnić, czy jest heteroseksualny. Stewardesy miały na głowach kapelusiki, jak dziewczęta z serialu o szkółce St Trinian. Nicola szła na końcu, obok drugiego pilota. Wyglądał na trzydziestkę z hakiem, był przystojny (w bardzo lotniczym sensie), ale niewysoki, w każdym razie trochę niższy od Nicoli. Dotyka jej? Pierwszy pilot – starszy i korpulentniejszy od kolegi – odwrócił się do tyłu i coś powiedział, a Nicola wybuchnęła śmiechem. To już bardziej obiecujące: Jackson nie przypominał sobie, żeby Nicola kiedykolwiek się śmiała.

Wyszedł za nimi z budynku, a potem poszedł na parking. Samochody Nicoli i pilota stały obok siebie. Jackson pomyślał, że może ma to jakieś znaczenie, ale pożegnali się z wyraźną obojętnością, bez pocałunku, bez dotknięcia, bez zagadkowych spojrzeń. Ani cienia romansu. Nicola wsiadła do samochodu, włączyła silnik i pojechała w tym swoim stylu kierowcy

Formuły 1. Jackson pojechał za nią w mniej samobójczym tempie. Na czas naprawy alfy wynajął fiata punto. Był pomarańczowy, więc rzucił się w oczy. Auto dla kobiety, bez dwóch zdań. Jego samochód nadal stał w warsztacie policyjnym. Eksperci wciąż robili różne testy. „Taki sabotaż policja traktuje bardzo poważnie, panie Brodie”, oznajmił mu nowy śledczy (w każdym razie nowy dla niego), a on odpowiedział: „Słusznie”. Nie powiedział słowa o Quintusie. Nie wyobrażał sobie, żeby policja mogła wydedukować coś więcej niż on sam.

Poprzedniego wieczoru był u Binky, żeby sprawdzić, czy Quintus jeszcze u niej gości, ale nikt mu nie otworzył. Przed domem nie było lexusa i pomyślał, że może Quintus zabrał starszą panią na obiad albo na wycieczkę. Czy to by było możliwe?

W ciągu kilku minut stracił Nicolę z oczu. Kiedy podjechał pod jej dom i zatrzymał się w odpowiednim oddaleniu, ona, w džinsach i luźnym swetrze, kosiła już trawnik przed domem ręczną kosiarką, w sposób, który nieodparcie przypominał mu bojowe nastawienie Deborah wobec klawiatury komputera. Albo bojowe nastawienie Josie wobec wszystkiego, zanim David Lastingham zrobił jej lobotomię *à la* żony ze Stepford. Nicola miała jeszcze makijaż, zupełnie niepasujący ani do zajęcia, ani do domowych rzeczy, które miała na sobie. Język jej ciała był może rzeczywiście bardzo bojowy, ale na twarzy wciąż miała nieprzeniknioną maskę.

Powinien był coś Wyre’owi przynieść – kwiaty, owoce albo książkę – ale nie pomyślał o tym, a teraz już za późno. W szpitalnym łóżku wydawał się dużo mniejszy. To raczej chłopczyk bez mamy niż człowiek góra. Zastanawiał się, jak mu poprawić nastrój. Powiedział mu, że był w Londynie zobaczyć się z Emmą, ale Wyre nie wykazał szczególnego zainteresowania, choć zapytał go, czy już się czuje lepiej i czy wszystko w porządku (dość śmieszne pytanie, zważywszy na sytuację, w jakiej sam się znalazł), a on odpowiedział: „To bardzo zależy od tego, jaką się przyjmie definicję wyrażenia w porządku”.

Największym jego zmartwieniem było teraz to, że jeśli rzeczywiście złapie mordercę w żółtym swetrze (choć wydawało się to mało prawdopodobne), to nie wyświadczy tym Wyre'owi przysługi. Przeciwnie, może nawet pogłębi jego ból, bo wreszcie będzie miał „zamknięcie sprawy” – raz na zawsze. Ale Laura nadal będzie martwa.

Brnął przez nagrzane korytarze szpitalnych korytarzy, od izby przyjęć do sali intensywnej opieki na oddziale pediatrii. Wszedł na oddział przez nikogo niezatrzymywany. Pielęgniarka z recepcji rozpoznała go i o nic nie zapytała. Wolałby, żeby zapytała. Nie powinno się tak łatwo wchodzić do różnych budynków.

Spoglądał na Shirley przez szklaną ścianę, która zdawała się przypominać lustro weneckie, bo z drugiej strony nikt go nie zauważał. Shirley Morrison miała na sobie niebieski kitel chirurgiczny. Pomyślał, że nie ma dla kobiety stroju seksowniejszego od chirurgicznego kitla. Zastanawiał się tylko, czy to jego oryginalne spostrzeżenie, czy myśli tak co drugi facet. W takich sprawach powinno się prowadzić badania opinii publicznej. Shirley stała nad łóżeczkiem i delikatnie trzymała w dłoniach maleńkie bladawe ciało, podłączone do systemu kabli, rurek i monitorów, robiące wrażenie jakiejś dziwnej kruchej istoty z kosmosu.

– Pan poczeka sekundę, powiem jej, że pan jest – zagadnęła go młoda australijska pielęgniarka. (Kto, u diabła, został w Australii? Wszyscy Australijczycy są tutaj. Bóg wie czemu).

Jackson zobaczył, jak do Shirley podchodzi lekarz. Dotknął jej ramienia i coś do niej powiedział. Było w tym coś nieuchwytnie intymnego. Zobaczył, jak się do niego odwraca i jaki posyła mu uśmiech, i domyślił się, że muszą ze sobą sypiać. Oboje patrzyli na noworodka. Czuł się jak voyeurysta. Pielęgniarka, która go rozpoznała (jak ona miała na imię? Elaine czy Eileen?), stanęła u jego boku i powiedziała:

– Słodkie, co?

– Słodkie? – zdziwił się Jackson. Nie widząc w tej scenie nic słodkiego: kobieta, z którą spędził upojną noc, roztkliwia się nad schorowanym noworodkiem i wymienia czułe słówka



z drugim kochankiem.

– Smutne, tak mi się w każdym razie wydaje – powiedziała Elaine czy Eileen. – Sami nie mogą mieć dzieci.

– Oni?! Są parą? Shirley Morrison i ten łapiduch?

Elaine czy Eileen spojrzała na niego spode łba.

– Tak. Doktor Welch jest jej mężem. To ordynator oddziału pediatrii.

– Są małżeństwem?

– Tak, inspektorze Brodie. Czy pan prowadzi śledztwo w sprawie Shirley Morrison?

– Nie jestem inspektorem. Odszedłem z policji dwa lata temu, Eileen.

– Elaine.

– Elaine. Dlaczego miałbym prowadzić śledztwo w sprawie Shirley Morrison?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– Tak pan o nią wypytuje.

– Przepraszam.

Elaine przysunęła się bliżej i szepnęła konfidenicznym tonem:

– Pan wie, prawda, że to siostra tej...

– Tak – przerwał jej. – Wiem.

Kiedy jej siostrę skazano za morderstwo, nie zmieniła nazwiska. Nie zmieniła go także, gdy wyszła za mąż. W jakimś momencie porannego otumanienia, po odurzającej nocy, zapytał ją, dlaczego nie szukała innej tożsamości. „Bo tylko ona mi została”, odpowiedziała. Jej mąż przeszedł do drugiego łóżeczka, żeby obejrzyć kolejnego małego kosmitę, a Shirley włożyła swoją istotkę z powrotem do małego statku kosmicznego.

Australijska pielęgniarka wkroczyła na salę intensywnej opieki i powiedziała coś do ucha Shirley. Shirley odwróciła się do szyby i widząc Jacksona, zmarszczyła z niezadowoleniem brwi. Jackson wzruszył ramionami, rozłożył ręce i zrobił bezradną minę. Potem podniósł prawą rękę i znacząco wskazał na swój serdeczny palec, na którym nie było obrączki, a potem na nią. Ona wzniosła oczy do nieba, jakby nie mogła uwierzyć,

że daje jej takie bzdurne znaki. Kiwnęła ręką, żeby podszedł do drzwi. Uchyliła je tylko lekko, jakby mógł być dla niej poważnym zagrożeniem.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś mężatką? – zapytał z wyrzutem.

– A co to ma do rzeczy?

– Ma.

– Chryste, odbiło ci? Co ty, Jackson, ostatni sprawiedliwy? To był tylko seks. I tyle.

Zamknęła mu drzwi przed nosem. Miał złe przeczucia w stosunku do niej. Mógł się ich trzymać. Potrafiła doskonale kłamać. Czy raczej potrafiła doskonale unikać mówienia prawdy. Co za różnica? Lubił myśleć, że prawda jest obiektywna i absolutna, ale może takie przekonania robiły z niego moralnego faszystę.

Wychodząc, wpadł na bezdomną dziewczynę o żółtych włosach. Zaglądała na oddział przez uchylone drzwi. Mamrotała coś do siebie pod nosem, jakby odmawiała różaniec. Miał ochotę jej powiedzieć cześć. Tak często ją ostatnio widywał, że miał poczucie, jakby ją bardzo dobrze znał. Ale oczywiście się nie odezwał i był bardzo zaskoczony, gdy ona odezwała się pierwsza.

– Pan go zna, prawda?

– Kogo?

– Tego puchatego staruszka.

– Wyre'a? – domyślił się.

– Tak. Wyjdzie z tego?

– Ma się całkiem dobrze – odpowiedział.

Dziewczyna się odwróciła i zaczęła się oddalać, a on powiedział jeszcze:

– Godziny odwiedzin jeszcze się nie skończyły. Możesz się z nim zobaczyć, jest na izbie przyjęć. Przechodzi ostatnie badania.

– Nie, nie. Byłam u niego całe przedpołudnie. Przyszłam tu poszukać kogoś innego.

Jackson towarzyszył jej aż do wyjścia. Cała się trzęsła, choć wieczór był ciepły i przyjemny. Zapaliła papierosa.

– Och, przepraszam.

Poczęstowała także jego. Nie odmówił.

– Jesteś za młoda, żeby tyle palić – powiedział.

– A pan za stary – odpowiedziała. – Zresztą mam dwadzieścia pięć lat, mogę już wszystko.

Według niego wyglądała na siedemnaście, najwyżej osiemnaście. Podeszła do swojego psa. Przywiązała go do ławki przed szpitalem.

– Pan jest jego przyjacielem? – zapytała.

– Wyre’a? Tak jakby.

Był jego przyjacielem? Może. Był przyjacielem Amelii i Julii? Boże uchwaj. (Był?) Na pewno nie był przyjacielem Shirley Morrison, bez względu na to, co wyczyniali ostatniej nocy pod osłoną ciemności.

– Tak – powiedział w końcu. – Jestem jego przyjacielem. Mam na imię Jackson.

– Jackson – powtórzyła, jakby chciała dobrze zapamiętać to imię.

Wyjął z kieszeni garść wizytówek.

– Jackson Brodie, prywatny detektyw.

Wręczył jej wizytówkę.

– Teraz ty mi powiedz, jak masz na imię.

– Lily Rose – odpowiedziała.

Przyjrzał jej się uważnie. Wcale nie wyglądała na ćpunkę, raczej na ofiarę niewyspania, złego odżywiania i ogólnego zaniedbania. Wydawała się tak drobna i lekka, jakby mógł ją porwać byle powiew wiatru. Miał ochotę ją zabrać do najbliższej pizzerii i zobaczyć, jak wczyna. Miała mały okrągły brzusek, jak głodujące dzieci z Afryki, które czasem pokazują w telewizji. Nie był pewny, czy nie jest w ciąży.

– Znalazłam go w parku – wyjaśniła. – W parku... Christ, czy jakoś tak.

– W parku Christ’s Pieces.

– Właśnie. Głupia nazwa.

– Bardzo głupia – zgodził się.

– Miał atak astmy.

– Mówił, że ktoś mu podał inhalator.

– To nie ja. – Lily Rose pokręciła głową. – Jakaś kobieta. Wyjdzie z tego? Będzie z nim w porządku? – zapytała jeszcze raz.

– Na pewno – zapewnił ją Jackson i nagle zdał sobie sprawę, że mówi do niej tak, jakby była małą Marlee. Nie chciało mu się wierzyć, że ma dwadzieścia pięć lat. – Właściwie nie wszystko będzie w porządku. Dziesięć lat temu zamordowano jego córkę – powiedział. – Do dzisiaj nie może dojść do siebie.

– Nic dziwnego...

Stan Jessop uczył już w innej szkole, ale wciąż mieszkał w tym samym bliźniaku z lat trzydziestych co przed dziesięcioma laty. Stan, imię dobre dla emeryta, ale miał raptem trzydzieści sześć lat. Kiedy zginęła Laura, miał dwadzieścia sześć. Dwadzieścia sześć lat, pomyślał Jackson, to wiek młodzieniaszkowaty – raptem rok więcej niż Lily Rose, dwa lat mniej niż Emma Drake (musi dać sobie spokój z tą wyliczanką). Na podjeździe przed domem stał stary, mocno już zużyty vauxhall vectra, z fotelikiem dla dziecka. Podłoga była zarzucona zabawkami, papierkami po łakociach i jakimiś domowymi rupieciami. Według Emmy Drake dziesięć lat temu Stan Jessop miał jedno dziecko, córkę Ninę. Teraz można było pomyśleć, że ma ich całe zoo – ogródek od frontu przypominał pobojuwisko po bitwie, którą toczyły dwie armie uzbrojone w towary z sieci sklepów Zabawki To My.

– Dzieciaki. – Stan Jessop wzruszył ramionami. – Nic człowiek nie poradzi.

Na początek posprzątaj, miał ochotę powiedzieć Jackson, ale też tylko wzruszył ramionami. Przyjął kubek słabej rozpuszczalnej kawy, który mu podał Stan, i usiadł w salonie. Na kubku spostrzegł zaschnięte ślady po strużce kawy, jakby kubek był niedomyty albo w ogóle niemyty od wieków. Odstawił go na stolik i już z niego nie pił.

Emma Drake utrzymywała, że dziesięć lat temu Stan Jessop był bardzo „słodki”. Nadal można było powiedzieć, że otacza go chłopięca aura jasnowłosego przystojniaka.

– Badam pewne wątki sprawy Laury Wyre – wyjaśnił na początku Jackson.

– Och tak? – rzucił niby mimochodem, ale według Jacksona niezbyt przekonująco.

Z piętra dobiegała głośna wrzawa małych dzieci, które nie chciały jeszcze iść do łóżek, i coraz bardziej nerwowy głos kobiety. Wyglądało to na codzienność tego domu.

– Trzech chłopaków – oznajmił Jessop, jakby to miało cokolwiek wyjaśniać. – Łatwiej położyć spać horde barbarzyńców – zauważył. – Doprawdy, powinienem pomóc żonie – dodał i wcisnął się wygodniej w kanapę.

Wyglądał na człowieka, którego barbarzyńskie hordy pokonały już wieki temu.

– Co z nią? – zapytał trochę rozdrażniony.

– Z kim?

– Z Laurą. Znowu otwarto tę sprawę?

– Nigdy jej nie zamknięto, panie Jessop. Rozmawiałem z jej koleżankami. Niektóre twierdzą, że pan się w niej podkochiwał.

– Podkochiwał?

Jacksonowi zdawało się, że Stan Jessop lekko się nachmurzył.

– Dlatego pan do mnie przyjechał? Bo podkochiwałem się w Laurze Wyre? – zapytał.

– Więc to prawda?

– Wie pan... – Westchnął, jakby to, co za chwilę miał powiedzieć, wymagało wielkiego wysiłku. – Kiedy się jest młodym, z taką pozycją, sprawy czasem wymykają się spod kontroli. – Sposepniał. – Te dziewczęta, inteligentne, ładne, młode, hormony w nich buzuja, nieustannie człowieka podchodzą...

– To pan miał być tym dojrzałym i dorosłym.

– Ech, to małe podlotki, diabllice, dają na prawo i lewo. Kiedy są w tym wieku, każdy chłopak jest dla nich dobry. Niech mi pan nie mówi, że zachowały się pan inaczej. Gdyby się panu podsuwały jak na tacy, to co by pan robił?

– Odmówiłbym.

– E tam... Daruj pan sobie te świętoszkowe brednie. Koniec końców jesteś pan facetem i tyle. – (Jak powiedziała Shirley? „Co ty, Jackson, ostatni sprawiedliwy?” Czyżby naprawdę?

Miał nadzieję, że nie). – Postaw pan byle mężczyznę na moim miejscu. Każdy uległby pokusie. Pan nie jesteś wyjątkiem.

– Ja bym odmówił – odparł Jackson. – Bo mam córkę. Jak pan.

Stan Jessop zerwał się z kanapy, jakby chciał wymierzyć Jacksonowi cios (Dlaczego nie? Bo to on pierwszy?), ale do pokoju weszła jego żona i spojrzała na nich podejrzliwie. Raczej nie odpowiadała opisowi Emmy Drake. Emma powiedziała o niej: „wypomadowana blondyna”, („trochę prymitywna”). Miała na sobie dzinsy i T-shirt, włosy krótko ostrzyżone. Emma twierdziła, że świetnie się rozumiały z Laurą, ale nikt nigdy nie przesłuchał Kim Jessop. (Dlaczego?) Wyciągnął rękę.

– Dzień dobry, pani Jessop. Moje nazwisko Jackson Brodie. Sprawdzam niektóre wątki sprawy śmierci Laury Wyre.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Czyjej śmierci?

Z samochodu zadzwonił do domu Deborah Arnold.

– Napisz, proszę, standardowe pismo do panny Morrison. Informujemy ją, że nie możemy dalej dla niej pracować.

– Słyszałeś kiedyś o czymś takim jak godziny pracy?

– A ty?

Rzeczywiście był małostkowy? No dobrze, Shirley jest mężatką i spała z nim, zdrada małżeńska to żadna nowość, zdarza się bez przerwy (wystarczy spojrzeć choćby na jego żonę) – ale czy to tłumaczy, dlaczego jest na nią taki zły? Czy to wyjaśnia, co nie gra w tej historii Michelle? Może gdyby Tanya chciała ją odnaleźć, już dawno by to zrobiła? Nie chciał jej pomóc. Nie chciał jej widzieć na oczy. Zaczął szukać w schowku płyty Lee Ann Womack i od razu włączył piosenkę *Właśnie minęłam Little Rock*. Każda piosenka country opowiada o zostawiających coś za sobą kobietach – kobietach zostawiających swoje miasto, swoją przeszłość, a najczęściej swojego mężczyznę. Po tym jak zostawiła go jego własna żona, skompilował sobie na komputerze płytę z piosenkami o cierpiących kobietach. Wszystkie Emmylou, Lucindy i Trishe śpiewały o odjazdach pociągów i autobusów i o odlotach samolotów, choć najczęściej oczywiście odjeżdżały

samochodami. Jeszcze jedna hidźra.

W domu odgrzał sobie w kuchence mikrofalowej jakieś zimne resztki. Nie było jeszcze dziewiątej, ale był zmęczony jak zdechły pies. Na automatycznej sekretarce nagrana była tylko jedna wiadomość, od Binky. Kiedy wracał, zastanawiał się, czy nie zahaczyć o jej dom i nie sprawdzić, co u niej słyhać, ale zabrakło mu energii. Odsłuchał wiadomość. „Panie Brodie, panie Brodie, koniecznie muszę się z panem zobaczyć, to pilne!” To wszystko, nie powiedziała nawet do widzenia. Oddzwonił natychmiast, ale nikt nie odbierał. W chwili kiedy odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon. Błyskawicznie przyłożył ją z powrotem do ucha.

Amelia. W hysterii. Znowu.

– Kto umarł tym razem, Amelio? – zapytał z przekąsem, kiedy łapała oddech. – Bo jeśli coś mniejszego od konia, to byłbym wdzięczny, gdybyś sama się tym zajęła.

Niestety Amelia zaczęła histeryzować jeszcze bardziej. Rozłączył się, policzył do dziesięciu i wcisnął przycisk redial. Jeszcze raz spróbował się dodzwonić do Binky Rain. Miał złe przeczucia. (Czy kiedykolwiek miał dobre?)

– Co się stało? – zapytał zaskoczony, słysząc znowu Amelię. Zdążyła się już trochę uspokoić.

– Umarła. Stara wiedźma nie żyje.

Wrócił do domu po pierwszej w nocy. Czuł się tak, jakby przekroczył granicę snu i znalazł się gdzie indziej, w miejscu szarym i zamglonym, w którym całą energię zużywa się na to, żeby automatyczny system nerwowy dalej pracował na jałowym biegu, bo rozum i ciało już dawno przestały funkcjonować. Właściwie wszedł na piętro na czworakach. Łóżko miał nieposłane od czasu nocy spędzonej z Shirley Morrison. Nie bardzo był pewien, czy od tamtej nocy w ogóle spał. Miała na serdecznym palcu celtycką obrączkę. To jego wina, że o nią nie zapytał. „Jesteś mężatką?” To przecież zwyczajne, zupełnie wystarczające, zadane wprost pytanie. Skłamałaby? Zapewne tak. Kobieta, która kocha dzieci, ale nie może mieć własnych... Czy dlatego się z nim przespała? Żeby zająć w ciążę? Boże, tylko nie to. Może jej mąż wiedział? Kobieta, która kocha dzieci,

która straciła kontakt z jedynym, najważniejszym dzieckiem, tym, którym miała się zaopiekować. Z Tanya. Zdawało mu się, że coś sobie przypomina, ale był tak zmęczony, że z trudem potrafił przywołać z pamięci własne imię.

Otworzył okno. W sypialni brakowało powietrza. Na dworze było duszno. Jeśli jakaś burza nie skończy z tym upałem, ludzie zaczną wariować. Po zniknięciu Olivii pogoda się załamała. Amelia mówiła, że Sylvia powtarzała, że to „Bóg płacze, przejęty losem małej owieczki”. Amelia zachowywała się jeszcze dziwniej niż zwykle, roztrzęsiona plotła coś trzy po trzy o Olivii, a przecież nie znalazła ciała siostry, tylko Binky Rain. Plotła trzy po trzy. Tak lubił mówić ojciec. Minął już prawie rok od śmierci staruszka. Umarł samotnie w szpitalnym łóżku. Nikogo przy nim nie było. Miał siedemdziesiąt pięć lat i wszystko, co można sobie w jego wieku wyobrazić: pylicę, rozedmę płuc, marskość wątroby. Jackson nie chciał się stać takim człowiekiem jak jego ojciec.

Co Binky miała mu do powiedzenia? Już nigdy się tego nie dowie, prawda? Myślał o jej drobnym, lekkim jak piórko ciele leżącym w zielonym listowiu jej ogrodu, w wysokiej trawie, mokrej od rosy, choć trawa pod nią samą pozostała sucha jak jej stare kości. „Leżała tam dobrych kilka godzin”, stwierdził patolog, a Jackson poczuł, jak zabiło mu serce. Przejeżdżał niedaleko jej domu, myślał o tym, żeby się zatrzymać, może mógłby jej pomóc. Powinien był się włamać, przejść przez mur. Powinien był jej pomóc.

Miał zaciągnąć zasłony, kiedy coś przykuło jego wzrok. Jakiś cień przesuwiał się wzdłuż ściany po drugiej stronie uliczki. Kluczył między malwami, który rozrastały się tam jak chwasty. Czarny kot. Czy gdyby Binky Rain przeszła reinkarnację, wróciłaby w kolejnym wcieleniu jako kot? Czarny? Ile czarnych kotów krąży po Cambridge? Setki. Otworzył szerzej okno, wychylił się na ciepłe wieczorne powietrze i – doprawdy, nie wierzył własnym uszom! – cichutko zawołał kota: „Czarnuch!”.

Kot zatrzymał się i rozejrzał. Jackson zbiegł po schodach, wyszedł na ulicę i natychmiast zwolnił. Szedł niemal na palcach, żeby nie przestraszyć zwierzaka.



– Kici, kici... Czarnuch... – szepnął pieszczotliwie.

Kot miauknął i zeskoczył z murku. Jackson wziął go na ręce i poczuł, że chudzina niewiele waży. Doznał dziwnego poczucia solidarności z zabiedzonym zwierzęciem.

– No dobra, brachu – powiedział. – Chcesz zobaczyć, jak mieszkam?

W domu nie miał dla niego nic do jedzenia – w ogóle nie miał w domu nic do jedzenia – ale miał resztkę mleka. Zaskoczył go ten niespodziewany przyływ czułości dla kota. Oczywiście z pewnością nie był to Czarnuch (zresztą, mój Boże, ten, kto przygarnie tego kota, przede wszystkim powinien mu zmienić imię). Kociak zapewne zareagowałby na każdy głos, ale Jackson pomyślał, że cały ten zbieg okoliczności jest ponad jego siły. Był wyczerpany minionym dniem. Odwrócił się, żeby wrócić do domu. I wtedy w domu, do którego chciał wrócić, nastąpiła potężna eksplozja. Po prostu.

Jak to śpiewał Hank Williams? Że z tego świata trudno ująć z życiem?

## Amelia

Tylko Amelia zauważyła, że było ich więcej. Julia była za bardzo zajęta flirtowaniem – „Panie Brodie to, panie Brodie tamto” – a Jackson był za bardzo zaprzątnięty zerkaniem na jej piersi. Z drugiej strony każdemu mężczyźnie byłoby trudno nie patrzeć na piersi tak wyeksponowane. Kiedy zasugerowała wspólną kąpiel nago w rzece, oblizła wargi! W dzieciństwie często pływały w rzece, choć Rosemary im zabraniała. Julia pływała najlepiej z całej trójki. Z całej czwórki. Czy Olivia umiała pływać? Amelia miała przed oczami wątłe ciało Olivii w niebieskim, pomarszczonym stroju kąpielowym, przypominające żabę i poruszające się w wodzie całkiem sprawnie. Ale nie była pewna, czy to pamięć, czy tylko wyobraźnia. Czasem wydawało jej się, że całe życie czeka na powrót Olivii, gdy tymczasem Sylvia rozmawia z Bogiem, a Julia się pieprzy z kim popadnie. Czowała przygnębiający smutek, gdy myślała o wszystkim tym, czego Olivii nie było dane robić. Nigdy nie jeździła na rowerze, nie chodziła po drzewach, nie zdążyła pójść do szkoły, do teatru ani na koncert. Nigdy nie słuchała Mozarta i nigdy się nie zakochała. Nigdy nawet nie zapisała własnego imienia. Olivia kochałaby życie. Ona znosiła je z trudem.

„Pan patrzy na moje cycki, panie Brodie”. Czasem Julia była taka prymitywna. Amelia pamiętała, jak któregoś dnia Victor ciągnął ją z powrotem do domu, kiedy próbowała się wymknąć na spotkanie z jakimś chłopakiem, i krzychał, że wygląda jak „ulicznica”. (Z iloma mężczyznami spała? Na pewno nie sposób byłoby ich zliczyć). Victor kazał jej zmyć makijaż i lakier z paznokci. Czasami nie raczył na nie spojrzeć całymi dniami, wychodził z gabinetu ledwie na posiłki, a czasami nie spuszczał z nich oka i zachowywał się jak jakiś pokrecony patriarcha

religijny.

Po śmierci Rosemary zatrudnił jakąś kobietę do gotowania i sprzątanía. Mówiły do niej „pani Gordon” i żadna nie miała pojęcia, jak ma na imię. Pomyślała, że to typowe dla Victora: zatrudnić kogoś, kto nie znosi dzieci i nie ma pojęcia o gotowaniu. Bywało, że pani Gordon przez kilka dni z rządu podawała im tę samą herbatę. Z potraw szczególnie lubiła przypalone kielbasy, nadpieczoną fasolę i rozgotowane ziemniaki. Victor zdawał się niczego nie zauważać. „Jedzenie to tylko paliwo – mawiał. – Nieważne, co jest na talerzu”. Miały przerażające dzieciństwo.

Jackson był ostatnią osobą, którą miała ochotę oglądać. Musiał siedzieć nad rzeką? Akurat tam i o tej porze? Dlaczego z setek innych ludzi akurat on? To niesprawiedliwe. (Nic nie jest sprawiedliwe). Bogowie z niej kpią. Na jego oczach robią z niej pośmiewisko. Nie miała najmniejszej ochoty na wyprawę do Grantchester. To Julia namówiła ją na wycieczkę łódką po rzece, wdzięcząc się i przymilając, jakby była chora, ułomna albo cierpiała na agorafobię. „Chodź, Milly, nie możesz spędzić całego dnia przed telewizorem, gryząc się nie wiadomo czym”. Wcale się nie gryzie, jest w depresji, na miłość boską! Ma prawo do depresji. Może sobie siedzieć przed telewizorem i oglądać na National Geographic film *Zawód: pies*, może się objadać czekoladowymi ciasteczkami, może robić, co chce, bo i tak nikogo to nie obchodzi. Właściwie mogła tam siedzieć cały dzień, od *Barneya i przyjaciół* po nocne *Laseczki na dywanie*, a w międzyczasie oglądać godzinami kanał Landscape, i mogła spałaszować całą produkcję fabryki czekoladowych ciasteczek, mogła się zamienić w opasłą, przykutą do ziemi tłuściochę, której nabrzmiałe martwe ciało będzie musiał wynieść z domu hydrauliczny dźwig straży pożarnej – mogła, bo i tak nikogo to nie obchodziło. „Ależ mnie to obchodzi, Milly”. Taa, jasne.... – jak by powiedzieli jej dekarze.

Gdyby Julia rzeczywiście o niej myślała, nie interesowałaby się tak bardzo Jacksonem. Wyobraziła ich sobie w wodzie: Julia zwinnie opływa ciało Jacksona, jak wydra, jej czerwone usta zamykają się na jego ustach – nie! Nie myśl tak, nie myśl

tak, nie myśl tak.

Któregoś wieczoru między kanałami Discovery Zdrowie a Moda natrafiła na kanał religijny. Leciał program pod tytułem *Słowa Boga*, o północy, i obejrzała go! Żeby zobaczyć, czy Bóg ma jej coś do powiedzenia. Ale nie miał. Oczywiście, że nie miał.

„Milly, chcesz trochę miodu na wafelki?”, a teraz rozprawia o gołym Rupercie Brooke’u. Czy nie może się zamknąć i przestać gadać głupstw o golasach? Bo tu jest przecież tak przyjemnie. Jak miło siedzieć w ukwieconym sadzie na wygodnym leżaku, wygrzewać się w ciepłe wspaniałego lata. Dlaczego nie może być z Jacksonem sama, bez Julii, dlaczego to nie Jackson dolewa jej herbaty, nie smaruje jej wafelka masłem, dlaczego Julia też musi tu siedzieć, dlaczego jej piersi wyskakują z biustonosza, gdy się do niego nachyla, dlaczego gdy kładzie miód na jego wafelki, miód ścieka ciągnącymi się strużkami. A był to piękny biustonosz, bielutki, koronkowy. Dlaczego ona nigdy nie nosiła takiej bielizny? To niesprawiedliwe.

Poprzedniego wieczoru zrobiła z siebie kompletną idiotkę („Nie wiedziałam, że jest pan żonaty, panie Brodie”), niczym uwiedziona i oszukana dziewczuszka z sentymentalnej dziewiętnastowiecznej powieści. Spojrzała mu w oczy i już wiedziała, że wziął ją za debilkę i paranoiczkę. Rzeczywiście cierpi na paranoję? Była tak zażenowana, że nie potrafiła nawet na niego spojrzeć. Całe szczęście, że miała przeciwsłoneczne okulary i kapelusik z opadającym rondem. (Czy wyglądała dzięki nim choć troszkę bardziej tajemniczo i zagadkowo?) Jackson miał na swej ładnej twarzy siniaki (jednak na niego spojrzała). Miałaby ochotę się nim zająć, ująć w dłonie jego twarz i wtulić ją w swoje piersi (które były równie duże i piękne, jak piersi Julii, choć nie sterczały na tym samym poziomie). Ale to się przecież nigdy nie stanie, prawda?

Ale widziała ich. Tych innych. Jackson i Julia sądzili, że był tylko jeden mężczyzna, ten, który czytał *Zasady matematyki*. Ale ona widziała pozostałych, siedmiu, może ośmiu. Wszyscy byli tak samo nadzy jak ten, który czytał *Zasady matematyki*.

Kilku skoczyło do wody, reszta została na brzegu. Gawędzili ze sobą, ułożeni wygodnie w różnych pozycjach, jakby pozowali do idyllicznej scenki pasterskiej. Byli naturystami? Niespodziewanie zobaczyła obraz z dzieciństwa: pływała w rzece, jej rozgrzane na słońcu ciało delikatnie wnikało w chłodną przezroczystą wodę. Nagle poczuła jakieś niepohamowane, fizyczne pragnienie, jak skurecz głodu. Dlaczego jest uwięziona w ciężkim, niezgrabnym, obwisłym cielsku, dlaczego nie może dzisiaj mieć ciała z dzieciństwa? Dlaczego nie może dostać z powrotem dzieciństwa?

Może to byli sytuacioniści, artyści, którzy tworzą awangardową sztukę, obojętni na to, czy ktoś na nich patrzy, czy nie. Może sekta? Może sabat nudystów? Większość z nich zdawała się mieć ponad czterdziestkę, ich ciała nie zachowywały już idealnych proporcji – rozlaźłe uda, sflaczałe pośladki, siwiejące włosy łonowe, pieprzyki, sine plamki, piegi, blizny po operacjach, niektórzy byli pomarszczeni jak dogi angielskie. Byli opaleni, więc należało sądzić, że bywali tam nierzadko, choć wciąż nie wiadomo po co. Potem, za załomem rzeki, zniknęli jak senna mara.

Amelia sadziła długimi krokami przed Julią, bo była na nią zła. Za wszystko, ale przede wszystkim za to, że nie przestawała flirtować z Jacksonem nad rzeką. Julia podbiegała co chwilę, żeby jej dotrzymać kroku. Nagle do ich uszu dobiegła melodyjka z furgonetki z lodami. „Usłysz o północy melodii wołanie”, zanuciła poetycko Julia, a Amelia odparła: „Niezbyt dobra analogia”, ale Julia zareagowała na dźwięk kuranta posłusznie, niczym piesek Pawłowa, i natychmiast ruszyła tam, skąd dobiegał kuszący śpiew lodów.

Amelia szła dalej, przez park Christ's Pieces i obok Ogrodu Róż Księżnej Diany. Rzuciła na niego z pogardą okiem. Co za bezsens ta cała księżna Diana (żywa czy umarła). Nigdzie na kuli ziemskiej nie ma pomnika Olivii Land ani ogrodu róż jej pamięci, ani nawet ławki z pamiątkową tabliczką, ba, nawet nagrobka na pustym grobie. Nagle, ni stąd, ni zowąd, stanęła obok niej bezdomna dziewczyna o kanarkowych włosach. Złapała ją za rękę i zaczęła ciągnąć alejką do ogrodu, a Amelia

pomyślała tylko: „Napadnięto mnie!”. Co za niedorzeczność, chciała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle, jakby się zapadła w głuchy, potworny koszmar. Z trudem podniosła głowę, żeby się rozejrzeć, żeby zobaczyć, gdzie jest Julia – Julia na pewno uratuje ją z rąk kanarkowowłosej dziewczyny, kiedy były dziećmi, wiodła prym w bijatykach – ale dziewczyna ciągnęła ją dalej, jakby była upartym małym dzieckiem. To absurd, bo zdawało się, że jest niemal dwa razy większa od porywaczki. Ale kanarkowowłosą dziewczynę pchała jakaś determinacja, jakaś nieokreślona, odbierająca odwagę siła. Poza tym dziewczyna była bezdomna, odpychająca, brudna (na pewno narkomanka), niewykluczone, że opóźniona w rozwoju, i Amelia się jej po prostu bała.

Pies kanarkowowłosej biegł obok nich, podskakując wesoło, niczym trochę nadpobudliwy współsprawca porwania. Gdyby dziewczyna choć na sekundę zwolniła uścisk, Amelia dobrowolnie oddałaby jej portmonetkę, nawet całą torebkę, cokolwiek by chciała. „Pieniądze albo życie”, te słowa niespodziewanie przyszły jej do głowy (umysł pod wpływem stresu potrafi wyczyniać istne cuda). Dziewczyna opryszek – opryszka – rzadko się słyszy o oprychu kobiecie, prawda? Może w ogóle takich nie ma? Czy z opryskiem jest tak samo jak z piratem albo królem złodziei – to raczej mit niż rzeczywistość? Kim kiedyś był król złodziei? Dziewczyna opryszek nie mówiła wcale: „Pieniądze albo życie”, mówiła to, co zawsze: „Może mi pani pomóc?”.

Nie. Mówiła coś innego. Mówiła: „Może m u pani pomóc?”, i wskazywała na grubego mężczyznę siedzącego na ławce. Dyszał ciężko i głośno, śmiertelnym charkotem, tym samym co Victor, tyle tylko że Victor biernie poddawał się dusznościom, a grubas walczył o każdy haust powietrza, machając przed sobą rękami, jakby garściami zagarniał tlen. „Może mu pani pomóc?”, powtórzyła kanarkowowłosa dziewczyna, ale Amelia stała jak sparaliżowana i tylko patrzyła na konającego mężczyznę. Jak życie jej miłe, nie była w stanie wymyślić, co mogłoby mu pomóc. Nic jej nie przychodziło do głowy.

Na szczęście dla grubasa nagle zjawiała się Julia z dwoma

lodami w wafelkach. Trzymała je triumfalnym gestem, wysoko, jak ktoś (może aktorka) wznoszący płonące pochodnie. Kiedy zobaczyła, co się święci, upuściła lody i ruszyła do ławki, w biegu wyciągając z torebki inhalator z ventolinem. Już po sekundzie przyciskała go do rozwartych jak u ryby ust dyszącego mężczyzny. Po chwili wydobyła z kieszeni komórkę i podała ją Amelii, krzyżąc: „Dzwoń po pogotowie!”, jakby grała w serialu *Ostry dyżur*. Amelia nie potrafiła nawet wyciągnąć ręki w kierunku telefonu. „Cholera, Milly!”, warknęła Julia i podała telefon żółtowłosej dziewczynie, która może była opóźniona w rozwoju, może głupia, brudna i bezdomna, może była narkomanką, ale w przeciwieństwie do Amelii potrafiła wybrać numer pogotowia i uratować komuś żywot.

\* \* \*

Julia usmażyła na kolację jajka, a kiedy zjadły, zadzwoniła do szpitala. A potem opowiedziała Amelii, czego się dowiedziała.

- Czuje się bardzo dobrze.
- Czyżby?
- Nie obchodzi cię to?
- Nie.

Bo naprawdę jej nie obchodziło. Nie do końca, może tylko teoretycznie, ale nie emocjonalnie, bo dlaczego miałyby się kimś przejmować (jak miałyby się kimś przejmować?), skoro nią nie przejmował się nikt? Julia krzyknęła: „Boże, Amelio, weź się wreszcie w garść!”(czego, jak każdy wie, w żadnym razie nie powinno się mówić człowiekowi w depresji), a Amelia wybiegła we łzach do ogrodu i padła na trawę, i załkała głośno.

Ziemia pod jej ciałem była twarda i niewygodna, choć nagrzana całodziennym upałem. Nagle przypomniała sobie, co czuła, kiedy spała w namiocie. Właściwie było to niemal dokładnie to samo miejsce, w którym stał namiot tamtej fatalnej nocy. Usiadła i rozejrzała się. To tutaj spała Olivia. Przesunęła ręką po trawie, jakby to cień Olivii miał przygnieść jej żdźbła. To tutaj Olivia powiedziała: „Dobranoc, pchły na noc, Milly”, przepełniona szczęściem i sennością, tuląca

w ramionach Niebieską Myszkę. Amelia patrzyła, jak zasypia, i czuła się jak ktoś mądry, dorosły i bardzo odpowiedzialny, bo to właśnie jej mama pozwoliła się opiekować młodszą siostrą i tylko jej pozwoliła spać w namiocie poza domem. Z Oliwią. Czy Milly to ostatnie słowo, które Olivia wypowiedziała w życiu? Czy były jeszcze jakieś słowa przed ciszą – przerażające słowa lęku, śmiertelnego strachu, którego ona nigdy nie potrafiłaby sobie wyobrazić i nigdy by sobie nie wyobraziła? Gdy zaczęła myśleć o strachu, jaki musiał ogarnąć Oliwię, serce zaczęło jej łomotać coraz szybciej. Nie, nie myśl. Nie myśl.

Olivia była blisko, namacalnie blisko. Gdzie jest teraz? Amelia gwałtownie wstała. Zakręciło się jej w głowie. Potykając się, szła bezwiednie naprzód, szukając właściwego kierunku, jakby jej ciało było różdżką radiestety. Nie. Musi stanąć i zacząć nasłuchiwać. Jeśli będzie słuchać, to ją usłyszy. Nagle rzeczywiście coś usłyszała, ciche pomiauukiwanie z drugiej strony muru. Kot, nie Olivia, ale to na pewno znak. Próbowwała otworzyć drewnianą furtkę w murze, odgarniając bluszcz, który ją porastał. Pociągnęła z całej siły. Stare zardzewiałe zawiasy skrzypnęły żałośnie, drzwi się otworzyły i znalazła się w alejce między ogrodami.

Kot, malutki, ni to kot, ni kotek, stanął bojaźliwie, kiedy ją zobaczył, ale nie uciekł. Uklękła, usiłując stać się drobniejszą i milszą (niedoczekanie!), wyciągnęła do niego rękę i powiedziała: „Kici, kici, chodź, kotku, chodź”, a kot zaczął ostrożnie ku niej stąpać. Wreszcie mogła dotknąć i pogłaskać małe wychudzone ciało. W końcu, po długich przymilaniach, kociak pozwolił się wziąć na ręce i Amelia przytuliła twarz do jego miękkiej sierści, i zaczęła się zastanawiać, czy może go zatrzymać na zawsze.

Brama po drugiej stronie alejki, prowadząca do ogrodu pani Rain, była otwarta. Kiedyś, gdy były małe, przechodziły do niej przez wyrwę w murze i ukrywały się w zaroślach jej ogrodu. Od dawna nie myślała o pani Rain jak o osobie jeszcze żyjącej. Raz Sylvia spadła z jej buku i złamała sobie rękę.

– Zajrzymy tam na chwilkę? – zapytała po cichu kotka.



Tak, tu kiedyś był prawdziwy sad. Przychodziły tu na jabłka i śliwki. Stukały do jej drzwi i krzyczały: „Czy jest Baba-Jaga?!”, i przestraszone brały nogi za pas. Sylvia. Oczywiście to Sylvia zawsze była tą, która przyciskała dzwonek. Kat i dręczyciel. Wtedy Sylvia była tylko Sylwią, ale Amelia pomyślała, że z perspektywy czasu widać, że była bardzo dziwnym, silnym i narzucającym swoją wolę dzieciakiem. To przez nią zawsze wpadały w tarapaty.

Ogród był potężny, nieproporcjonalnie duży w stosunku do domu. Był zarośnięty już wtedy, gdy były małe. Teraz wręcz wrócił do dziewiczego stanu. Byłoby cudownie, gdyby mogła okiełznać tę dzikość. Posadziła sad, zrobiła oczko wodne dla dzikich zwierząt, postawiła pergolę z różami, założyła kwiatową rabatę, najlepszą w całym Newnham.

Tam Oliwię czuło się jeszcze wyraźniej. Oczami wyobraźni widziała ją ukrytą za drzewem, jak krasnoludka, który gdzieś ją prowadzi. Jej stopy trafiły na kępy perzu, krzewy dzikich borówek, poparzyła ją pokrzywa, pokłuły gałęzie dzikiej róży, ale ciągnęła ją dalej jakaś niewidzialna ręka i szła naprzód, aż potknęła się i niemal przewróciła o coś ciemnego, coś, co leżało na ziemi, jakiś pęk gałązek, chrustu i szmat pod drzewem...

\* \* \*

– Frisky – powiedział Jackson, wskazując głową na kociaka w jej ramionach.

Amelia nie umiała się z nim rozstać. Policjantka odprowadziła ją do domu i zrobiła jej herbatę. (Dlaczego zawsze robi to kobieta? Wciąż kobieta?) W kuchni Victora kręciło się wielu policjantów. Najwidoczniej urządzili tam sobie tymczasowe centrum dowodzenia (tak to się nazywa?). Obudzona hałasem Julia zeszła na dół i zaskoczona wodziła za nimi zaspanymi oczami. Była niemal półnaga, miała na sobie tylko spodenki i krótki top i oczywiście nic sobie z tego nie robiła! „Och, panie Brodie, nie możemy się tak spotykać”.

Kiedy Amelia dotknęła zwłok Binky Rain, wydały się jej równie kruche i drobne, jak kocina w jej ramionach. Policja rozbiła nad ciałem namiot i oświetliła teren lampami

łukowymi. Zapewne nie robiono by tego dla wiekowej staruszki, która zmarła w swoim ogródku ze starości. A to oznaczało, że nie tyle znalazła martwe ciało, ile ciało osoby zamordowanej. Przeszył ją zimny dreszcz. Rozbudzony kot otworzył oczy i zeskoczył na podłogę. Julia zaczęła za nim chodzić i wołać „kici, kici!”. Potem go podniosła i przycisnęła do bujnych piersi, a Amelia krzyknęła: „Na litość boską, Julia, włóż coś na siebie!”, a Julia zrobiła głupią minę i nie śpiesząc się, wyszła z kuchni, wciąż z kotem na rękach, a policjanci niezbyt dyskretnie odprowadzali wzrokiem jej pośladki. Dzięki Bogu nie miała na sobie stringów – bez wątpienia najbardziej absurdalnej części damskiej garderoby, jaką człowiek wymyślił, jeśli oczywiście nie liczyć majtek bez krocza, bo tam chodziło tylko o seks...

– Amelio, napijesz się jeszcze herbaty?

Nawet Jackson traktował ją teraz z troską, jakby była pacjentką domu dla nerwowo chorych.

Prawie świtało, a dopiero niedawno położyli się spać. Wciąż słyszała przed domem radiowozy, odjeżdżające, przyjeżdżające, i charczące radiotelefony. Dobrze, że pokój Sylvii był od frontu, daleko od oślepiających łukowych lamp. Nawet kota z nią teraz nie było, bo poszedł za Julią do jej pokoju. Nie zaśnie, nigdy nie zaśnie, jeśli nie weźmie czegoś na sen. Julia trzymała w łazience jakieś pigułki. Zawsze miała takie czy inne lekarstwa dostępne tylko na receptę, to chyba część teatru jej życia. Amelia nie umiała bez okularów odczytać etykiety, ale w sumie co to ma za znaczenie? Czy dwie wystarczą, żeby zasnąć? Cztery, żeby zasnąć głęboko? A dziesięć? Dokąd ją zaprowadzi dziesięć pigułek? Są takie malutkie! Jak dla małych dzieci. Rosemary podawała im kiedyś codziennie dziecięce dawki aspiryny, nawet jeśli nic im nie dolegało. To pewnie po niej Julia ma tę słabość do leków. Rosemary miała specjalną szafkę na lekarstwa, zawsze pełną, nawet krótko przed śmiercią. A dwadzieścia? To byłby bardzo długi sen. Nic nie pomogło Rosemary, rzecz jasna, ale przecież ostatecznie nikomu nic nie pomoże, prawda? Trzydzieści? Może człowiek tylko się chwieje na nogach? Jackson uważa, że jest śmieszna i że nigdy nie



## Jackson

Człowiek szybko zapomina, że na północy jest zimniej. Wielka Brytania to taki mały kraj, że nikt by nie pomyślał, że kilkaset kilometrów dalej klimat może być całkiem inny. Dzień był jednak na tyle ciepły, w każdym razie dla mieszkańców północy, żeby dało się usiąść w ogródku piwnym. Byli w starym zajezdzie, zagubionym gdzieś w Northumberland. Całe Northumberland to zagubione miejsce. Jackson zastanawiał się, czy nie kupić tam domu. Na pewno byłby tańszy niż w Cambridge, gdzie nie miał już nic. Budynek co prawda jeszcze stał, ale stracił wszystko, co było w środku – ubrania, kolekcję płyt, książki, wszystkie kartony Wyre'a z materiałami dotyczącymi śmierci Laury – jeśli nie w ogniu, to wskutek zalania wodą z węży strażackich. Tak, to jeden z dobrych powodów, żeby zacząć wszystko na nowo, żeby zacząć nowe życie: stare wysadzić w powietrze.

– Gaz? – zapytał z nadzieją oficera straży pożarnej, który prowadził dochodzenie.

– Dynamit – odparł oficer.

(Krótka, męska rozmowa). Kto może mieć dostęp do dynamitu? Oczywiście ktoś, kto pracuje w kopalni. Jackson sięgnął po portfel, znalazł w nim wizytówkę śledczego Lowthera i wybrał jego numer.

– Sprawa nabiera rumieńców – powiedział i natychmiast pożałował, bo zabrzmiało to jak fraza z kiepskiej powieści detektywistycznej. – Sądzę, że mamy podejrzanego. – To wcale nie zabrzmiało lepiej. – Tak na marginesie, mój dom wyleciał w powietrze – dodał. Przynajmniej miał do powiedzenia coś nowego.

– Quintus Rain... – Śledczy Lowther się zamyślił. – Co to za imię?

– Piesko durne – wypalił Jackson.

Wyniósł napoje na zewnątrz, sok pomarańczowy dla siebie, colę dla Marlee i dżin z tonikiem dla Kim Jessop, tyle tylko że Kim Jessop nazywała się teraz Kim Strachan, bo w pewnym momencie wzięła ślub i zaraz potem rozwód z „pewną szkocką kreaturą”, która nazywała się George Strachan. Teraz była właścicielką baru w Stiges i restauracji w Barcelonie. Związała się z jakimś rosyjskim „biznesmenem”. Wciąż miała długie jasne włosy i skórę opaloną na ciemny brąz, jak ktoś, kto uważa, że rak skóry trafia się tylko innym ludziom (choć jej chrapliwy kaszel nałogowego palacza wskazywał na to, że jej skóra będzie miała w płucach nowotworowego konkurenta). Jak przystało na pierwszą damę rosyjskiej mafii, była obwieszona taką ilością złotych świecidełek, że wystarczyłoby dla całej rzeszy gości hinduskiego wesela. Nie straciła nic ze swej „północności”, zachowała akcent geordie. Kim Strachan, wcześniej Jessop, nie miała w genach ani kapeńki południowego DNA. Jackson natychmiast zapalał do niej sympatią.

– To cud, że pan mnie znalazł – powiedziała, zaciągając się marlboro. – Przyjechałam do kraju tylko na kilka tygodni, żeby się zobaczyć z mamą. Nie najlepiej się trzyma. Namawiam ją, żeby się przeniosła do Hiszpanii.

Stan Jessop nie bez ociągania dał mu numer komórki byłej żony, burcząc przy tym posepnie, że niemal w ogóle nie widuje córki, Niny, bo ta „suka” zapisała ją do kwakerskiej szkoły z internatem, w Yorku, a Jackson pomyślał tylko, że do kwakerskiej szkoły w Yorku można dojechać łatwiej i wygodniej niż do szkoły, dowolnej szkoły, w Nowej Zelandii.

Kim Strachan była z rodziną na „wakacjach agroturystycznych”. „Na owczej farmie – powiedziała. – Takie owce to piekielnie głośne stworzenia. Milczenie owiec to nic, ha, pocałujcie mnie gdzieś”. Do swojej „rodziny”, jak się wydawało, zaliczała nie tylko Ninę i matkę, która trzymała się nie najlepiej, ale także Vladimira i bliżej nieokreśloną liczbę jego „współpracowników”, z których jeden przywiózł ją na spotkanie i właśnie popijał fantę, dwa stoły dalej, bacznie

lustrując każdą przechodzącą osobę, jakby każda była potencjalnym zamachowcem. „Och, to misiaczek, naprawdę”, śmiała się Kim. Bardzo się zmieniła od czasu, gdy mieszkała ze Stanem Jessopem w małym bliźniaku z lat trzydziestych.

Okazało się, że odeszła od Stana tydzień przed śmiercią Laury Wyre. W dniu, kiedy Laura straciła życie, była już z George'em Strachanem i stała za barem jego angielskiego pubu w hiszpańskim Alicante. Nigdy nie wróciła do Cambridge. Po rozstaniu ze Stanem nie zamieniła z nim nawet słowa przez dwa lata, ponieważ „to tłumok, jakich mało”. Kiedy więc Jackson zadzwonił do niej i wyjaśnił, że: „bada niektóre wątki dotyczące śmierci Laury Wyre”, aż podskoczyła z wrażenia: „Jezus Maria, Laura nie żyje?! Jak to?”. Jackson poczuł, że serce zaczyna mu bić mocniej, bo opowiadanie o kimś, kto został zamordowany przed dziesięcioma laty, to zupełnie coś innego niż informowanie o tym, że ktoś umarł przed chwilą. „Miała tylko dwadzieścia osiem lat” – szepnęła Kim, a on westchnął. Nie, miała osiemnaście lat. „Laura nie żyje już od dziesięciu lat. Niestety, została zamordowana”. Po drugiej stronie linii zapadła cisza, zakłócana tylko padającymi w tło słowami w języku rosyjskim. Jackson przypomniał sobie, jak Emma Drake wspominała, że to było bardzo trudne dowiedzieć się o śmierci Laury wtedy, kiedy „dla wszystkich innych sprawa przeszła już do historii”. Można by pomyśleć, że kiedy Laura umierała, w kraju nie było żywej duszy.

– Zamordowana? Tak mi przykro, tak mi przykro – mówiła Kim, wyciągając z dzinu plasterki cytryny i odkładając go do popielniczki.

– Do dzisiaj nie znaleziono mordercy – mówił Jackson.

– Być może to nie Laura była celem ataku.

Spojrzał ze zwątpieniem na Marlee. Prawdopodobnie robił wrażenie kogoś, kto opowiada kolejny odcinek *Prawa i porządku* albo *Zbrodni i śledztwa*, nic o prawdziwym życiu. Miał taką nadzieję. Miał nadzieję, że Marlee nie ogląda ani *Prawa i porządku*, ani *Zbrodni i śledztwa*, tylko *Niebieskiego Piotrusia* i powtórci *Domku na prerii*. Mówił jej już, że Laure zabił zły człowiek, bo czasami „coś złego przytrafia się dobrym

ludziom”, a Marlee zmarszczyła brwi i powiedziała: „Theo mówił, że jego córka ma na imię Jennifer”, a on odparł, że „to jego druga córka”. Jak Jennifer się z tym czuła, z tym, że zawsze była „drugą córką”, tą, której ojciec poświęca o wiele mniej uwagi niż tej nieistniejącej?

– Laura była przemiłą dziewczyną – powiedziała Kim Strachan. – Na początku, kiedy się poznałyśmy, była wobec mnie trochę arogancka, ale wie pan, to chyba typowe dla osób z lepszych sfer. Zresztą to świadczy o tym kimś, prawda? Ee... właściwie trochę świadczy, ale nie w przypadku Laury. Ona miała złote serce.

– Próbuję zbadać kilka wątków tej sprawy. Niektórych osób policja w ogóle nie przesłuchała, a powinna – powiedział Jackson. – Zlecił mi to jej ojciec.

– Ten grubas?

– Uhm, ten grubas.

– Theo – powiedziała Marlee. – Jest bardzo fajny.

– Tak, Marlee, oczywiście. – Jackson spojrzał na córkę.

– Słuchaj, kochanie, może pójdziesz sobie kupić jakieś chrupki, co?

Sięgnął do kieszeni po drobne, ale Kim Strachan już wyciągała z torebki portmonetkę. Wyjęła z niej pięćofuntowy banknot i wręczyła Marlee.

– Proszę, skarbie, bierz i używaj sobie. – Uśmiechnęła się do niej. – Mocno stuknięci są ci Brytyjczycy – zwróciła się do Jacksona. – Dlaczego nie mogą wprowadzić u siebie euro? Cała cholerna Europa może, a ci nie.

Zapaliła kolejnego papierosa. Wysunęła jednego z pudełka i podsunęła Jacksonowi, a kiedy odmówił, powiedziała:

– Boże, człowieku, przecież widzę, że łaknie pan dymu jak tlenu.

Jackson wziął papierosa.

– Nie paliłem piętnaście lat.

– Więc dlaczego znowu pan zaczął?

Jackson wzruszył ramionami.

– Rocznicą.

– Musi być bardzo ważna – zauważyła Kim.

Jackson się zaśmiał.

– Nie, trzydziesta trzecia to niezbyt ważna rocznica, prawda? Trzydzieści trzy lata minęły od śmierci mojej siostry.

– Przepraszam.

– Po prostu za dużo rocznic, nie zniosłem kolejnej. W tym roku skończyłaby pięćdziesiąt lat. W tym tygodniu. Jutro.

– Ach, no masz – powiedziała Kim, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

Papierosa zapaliła ciężką złotą zapalniczką, na której wygrawerowano jakieś słowa cyrylicą.

– Ejże – powiedział Jackson. – Pozdrowienia z Moskwy od Jamesa Bonda?

Kim Strachan zaśmiała się głośno.

– Gorzej – odpowiedziała.

– Nie przychodzi pani do głowy nikt, kto mógłby zabić Laurę Wyre, prawda? – zapytał Jackson. – Zupełnie nikt?

– Jak mówiłam, Laura pochodziła z mieszczańskiego środowiska. Dziewczyny z tych środowisk nie mają wielu wrogów.

Jackson wyjął zdjęcie żółtego swetra i podsunął je jej. Wyjęła mu je z ręki i przyglądała się uważnie dłuższą chwilę.

Potem nagle zbladła.

– Jezu... – jęknęła.

– Rozpoznaje pani ten sweter?

Kim Strachan wychyliła duszkiem resztę džinu z tonikiem, zaciągnęła się mocno papierosem, a potem zgasiła go nerwowo w popielniczce. W jej oczach zakręciły się łzy. Ale mówiła mocnym, pewnym głosem:

– Powinnam się domyślić – powiedziała. – Powinnam się, kurwa, domyślić, że to może być on.

Pojechali do Bamburgh. Jackson zabrał Marlee na długi spacer po plaży. Nie zdjął skarpetek ani butów (jak starszy już pan, jak jego ojciec), za to Marlee podwinęła wysoko luźne pasiaste pumpy i skacząc przez fale, wbiegła do morza. Nie mieli ochoty oglądać zamku, choć według Jacksona miał w sobie coś z powieści o Harrym Potterze, których pierwsze tomy Marlee przecież uwielbiała. Zwykle nie wsłuchiwał się



w jej niekończącą się paplaninę o Harrym Potterze (jego dzieciństwo było pozbawione czarów i nie potrafił w nich dostrzec nic atrakcyjnego), podobnie jak nie słuchał Christiny, Justina i innych boysbandów z chłopięcym trądzikiem, których płyty Marlee miała przy sobie i domagała się, żeby je włączał, zamiast w kółko słuchać piosenek country.

Bardziej była zainteresowana zabawą telefonem komórkowym, który jej kupił w prezencie. Był różowy, w kolorze, który przywodził na myśl lalkę Barbie, i Marlee cały czas wysyłała wiadomości do koleżanek. Jackson nie potrafił sobie wyobrazić, co takie dziewczynki mogą do siebie pisać. Nie poszli do zamku. Zjedli za to w samochodzie frytki i rybę w sosie winegret i bez słowa patrzyli z przednich siedzeń na morze (jak prawdziwi wczasowicze), a Marlee powiedziała: „Fajowo, co, tato?”, a on odpowiedział: „Fajowo”.

Miał się nią opiekować przez ostatnie dwa tygodnie wakacji, ale niespodziewanie zadzwoniła do niego Josie. „Słuchaj, znajomi Davida zaoferowali nam za darmo tydzień w Ardèche. Mają tam wolny *gîte*, taki domek, i pomyśleliśmy, że najlepiej by było, gdybyśmy tam pojechali tylko we dwoje”. „Żebyście mogli się pieprzyć ile wlezie pod nieobecność dziecka?”, zapytał, a Josie rzuciła słuchawką. Dopiero po dwóch kolejnych próbach udało im się nawiązać w miarę cywilizowany dialog i porozmawiać o Marlee. Oczywiście, że *gîte* we Francji mają przyjaciele Davida, któż by inny, prawda? Wydawało mu się, że nie przypadkiem słówko *gîte* kojarzy mu się wyłącznie z odstręczającym słowem „rzyg”. Brzmiało niemal tak samo.

Wytrząsnął zawartość opakowania z frytkami mewom za okno, w jednej chwili prowokując scenę żywcem wyjętą z *Ptaków* Hitchcocka, a potem jak najszybciej odjechał, żeby jego punto nie pokryło się ptasimi odchodami.

– Wracamy do domu?

Marlee lizała loda cornetto. Topił się tak szybko, że nie nadążała go lizać i coraz częściej kapał na tapicerkę. Cóż, wypożyczone to wypożyczone.

– Tato?

– Tak?

- Pytałam, czy wracamy do domu.
- Tak. Nie.
- Do którego, tato?

Jackson znalazł obskurnie wyglądający motel B&B. Mimo wszystkich swoich przywar wydawał się najlepszy w jego starym rodzinnym miasteczku. W oknie recepcji świecił się czerwony neon „wolne pokoje”, przez co czuł się trochę tak, jakby się wprowadzał do burdelu. Podróż trwała dłużej, niż zakładał, i prowadziła ich przez wiele przygnębiających, wyjąłowionych już miejsc, na których niegdyś prosperował ciężki przemysł i w porównaniu z którymi okolice Cambridge wydawały się prawdziwym rajem.

– Nie zapomnij, córuś, oto widzisz, co Margaret Thatcher zrobiła z twoim dziedzictwem – powiedział z przekąsem do Marlee.

– Jasne, będę pamiętać – odpowiedziała Marlee, otwierając z cmoknięciem tubkę cukierków smarties.

Pięciofuntowy banknot, który dostała od Kim Strachan, w całości wydała w sklepiku na stacji benzynowej.

Motel B&B prowadziła starsza pani o ostrych rysach, nazwiskiem Brind. Bardzo podejrzliwie zmierzyła wzrokiem najpierw Marlee, a potem Jacksona, i poinformowała go chłodno, że nie ma już wolnych dwuosobowych pokoiów z dwoma łózkami, są tylko łóżka małżeńskie. Jackson spodziewał się, że wezwie gliny, gdy tylko przekroczą z Marlee próg ponurego pokoju z odpadającymi tapetami i zasłonami impregnowanymi wieloletnią wonią nikotyny. Taki pokój daje lepszy efekt niż terapia antynikotynowa. RzUCA palenie. Rzuci jutro. Najdalej pojutrze.

Następnego ranka pani Brind wnikliwie przyjrzała się Marlee, wypatrując oznak niewątpliwie traumatycznych przejść. Ale Marlee z promiennym uśmiechem chrupała tanie płatki śniadaniowe – zapewne zakazane w domu Davida Lastinghama, gdzie królowała zdrowa żywność i wieloziarniste musli. Po płatkach Marlee zabrała się za połyskliwe jajo sadzone, podane ze sztywnym plastrem mocno podsmażonego boczku i wątlą kielbaską o dość obscenicznym kształcie.

Jackson wyobraził sobie, jak wstaje rano gdzieś na wsi we Francji, wychodzi z domu, idzie wąskimi uliczkami do piekarni po ciepłą bagietkę, a w domu zaparza sobie małe mocne espresso ze świeżo zmielonej kawy. Na razie jednak musiał mu wystarczyć cierpki smak kawy rozpuszczalnej i dwie tabletki nurofenu, bo już mu się skończyła kodeina. Nie był już pewien, co mu dokucza bardziej, ból zęba czy głowy, czy skutki niespodziewanego ciosu Davida Lastinghama. To tylko ból, fizyczny ból.

– Nie powinien ich pan zażywać na pusty żołądek – usłyszał nagle głos pani Brind. Podsunęła mu talerz z tostami.

Kiedy wsiedli do punto i ruszyli przez miasto, rozpadał się deszcz. Coś go uciskało w brzuchu, coraz mocniej, coś, co nie miało nic wspólnego ani z brzydką pogodą, ani z tanią, kwaskowatą kawą.

– Wszystko dobrze, słonko?

– Tak, tato.

Zatrzymał się przy stacji benzynowej i zatankował do pełna, wdychając słodki zapach etyliny. Przed sklepikiem stały kwiaty w plastikowych wiaderkach, ale nie było wielkiego wyboru. Były jasne dalie, duże różowe stokrotki, które wyglądały bardzo sztucznie, i mnóstwo goździków. Przypomniawszy sobie bolesne wyznanie jednej z klientek Theo Wyre'a: „Kupuje mi goździki, pan sobie wyobrazi, goździki to gówno, każda kobieta wie, że to gówno, ale on oczywiście nie wie!”. Skinął na Marlee, żeby wysiadła, i poprosił ją, żeby wybrała jakieś kwiaty, a ona bez wahania wskazała na dalie. Jacksonowi dalie kojarzyły się z działkami, na których jego ojciec spędzał większość wolnego czasu. Mama zwykła mówić, że altana na działce jest wyposażona lepiej niż dom. Minęli te działki kilka ulic wcześniej. Gdyby na najbliższym skrzyżowaniu skręcili w lewo, znaleźliby się na ulicy, na której mieszkał i dorastał od dziewiętego do szesnastego roku życia. Ale nie skręcili w lewo, a on słowem nie wspomniawszy o tej ulicy.

Nie był na tym cmentarzu od dobrych dziesięciu lat, ale doskonale wiedział, w którą stronę się skierować. Dokładna mapa wryła mu się w pamięć już dawno temu. Był czas, kiedy

przychodził tu codziennie – bardzo dawno temu, gdy nieżyjący dziś ludzie byli jedynymi, którzy go kochali.

- Tutaj jest pochowana moja mama – powiedział do Marlee.
- Moja babcia? – zainteresowała się dziewczynka.
- Tak, twoja babcia.

Stała w skupieniu przed starym nagrobkiem. Po trzydziestu trzech latach wyglądał na sponiewierany przez pogodę bardziej niż powinien i Jackson zaczął się zastanawiać, czy jego ojciec nie zamówił dla żony zwykłego taniego piaskowca. Zauważył ze smutkiem, że nie potrafi przywołać w pamięci wielu obrazów mamy. Poszli dalej i Marlee wyraziła żal, że tato nie zostawił na grobie babci kwiatów, ale on odpowiedział: „To kwiaty nie dla babci, kochanie”.

## **Historia nr 4, 1971**

### **Święte dziewczęta**

Jackson niewiele myślał, zanim jego mama zaczęła umierać. Był małym chłopcem i robił to, co zwykle robią mali chłopcy. Był członkiem podwórkowego gangu, który miał tajną kryjówkę w starym nieużywanym magazynie. Bawili się razem nad brzegiem kanału, jeździli rowerami za miasto, rzucali gałęzie przez rzeczkę, staczali się ze zbocza, czasem zwędzili coś z marketu Woolworth albo przekupywali starszych kolegów, żeby im kupili w kiosku paczkę papierosów, popalali, popijali cydr, w kryjówce albo na cmentarzu, na który przedostawali się pod osłoną mroku przez dziurę w murze, znaną wyłącznie im i niedużej sforze bezdomnych psów. Robił rzeczy, które matkę (a zapewne także ojca) przyprawiłyby o zawrót głowy, ale kiedy patrzył na to z perspektywy czasu, dochodził do wniosku, że było to zwykle, nieszkodliwe, zdrowe dzieciństwo niemal każdego chłopaka.

Był rodzinnym pieszczochem. Jego siostra, Niamh, miała szesnaście lata, a brat, Francis, osiemnaście. Kończył przyuczenie do zawodu spawacza w państwowych Zakładach Przemysłu Węglowego. Ojciec zawsze powtarzał synom, żeby nie szli jego śladem i żeby trzymali się z dala od przodka. Ale ponieważ górnictwo było jedynym rozwiniętym przemysłem w ich mieście i okręgu, trudno było trzymać się z dala od kopalni. Jackson nigdy nie zastanawiał się poważnie nad przyszłością, ale nie odrzucał myśli o tym, że miałby zostać górnikiem. Podobała mu się kompania wesołych kumpli, wieczory w pubach (to prawie prawdziwy dorosły gang). Ale ojciec mówił, że to robota, do której nie chciałby zmuszać nawet psa, a był to człowiek, który nie znosił psów. Wszyscy w okolicy głosowali na laburzystów, mężczyźni i kobiety,

choć nie byli socjalistami. „Niemał każdy łaknie owoców kapitalizmu”, mawiał ojciec. Ale on, owszem, był socjalistą, typowym, szkockim, pełnym goryczy i żalu, z pretensjami do całego świata, socjalistą, który winą za to, co złe w jego życiu, obarczał wszystko i wszystkich dookoła, zwłaszcza „kapitalistycznych krwiopijców”.

Jackson nie miał pojęcia, czym jest kapitalizm, i nie miał ochoty się dowiadywać. Francis powiedział mu, że dzięki kapitalizmowi można kupić fordą consula albo pralkę z suszarką firmy Servis, taką, jaką ma mama. Tylko Jackson wiedział, że kiedy rok wcześniej rocznik Francis'a, jako pierwsze pokolenie osiemnastolatków z biernym prawem wyborczym, poszedł do wyborów, Francis postawił krzyżyk przy nazwisku kandydata torysów, choć, jak sam przyznał, „nie miał żadnej szansy” na wygraną. Gdyby ojciec się o tym dowiedział, wydziedziczyłby go (albo zabił), bo torysi planowali zmieść górników z powierzchni ziemi. Francis twierdził, że gówno go to obchodzi, bo ma zamiar zebrać forszę na przejazd cadillakiem po Stanach Zjednoczonych, ze wschodu na zachód bez przystanku, i zatrzymać się dopiero nad brzegiem Pacyfiku, z jednym wyjątkiem: w Graceland odda cześć królowi. Matka umarła tydzień po wyborach, więc przez pewien czas nikt nie zaprzętał sobie głowy polityką, choć ojciec z uporem godnym lepszej sprawy obarczał rząd winą za to, że jego Fidelkę pożarł rak, a potem ją wypluł, jak zeszlą i pomarszczoną żółtą łupinę, żeby mogła sobie umierać pod kroplówkami morfiny na oddziale zamkniętym szpitala państwowego w Wakefield.

Ojciec był przystojnym mężczyzną, a mama była wielką prostą kobietą, która zwykle wyglądała tak, jakby właśnie wydoiła krowy albo zebrała torf. Ojciec mawiał: „Tę kobietę można było wyciągnąć z irlandzkiego Mayo, ale nikt nie jest w stanie wyciągnąć Mayo z niej”. Twierdził, że to żart, ale jakoś nikogo to nie śmieszyło. Ojciec nigdy w życiu nie kupił żonie kwiatów ani nie zaprosił jej do restauracji, ale z drugiej strony żaden mężczyzna z okolicy tego nie robił i nawet jeśli Fidelma czuła się traktowana źle, to nie była traktowana gorzej niż każda inna znana jej kobieta. Niamh oczekiwała od życia

czegoś więcej. Już w wieku piętnastu lat rozpoczęła naukę w college'u. Zapisła się na kurs pisanie na maszynie i stenopisanie. Ukończyła je ze wszystkimi dyplomami i skrzynką świeżego mleka od wychowawcy, w nagrodę dla najlepszej uczennicy. Potem codziennie jeździła autobusem do Wakefield, gdzie pracowała jako „osobista sekretarka” szefa salonu sprzedaży samochodów. Dwa z sześciu zarobionych w tygodniu funtów oddawała matce, kolejne dwa lokowała na koncie w banku, a resztę wydawała na ubrania. Lubiła rzeczy, które ją wyróżniały, obcisłe spódnice, zapinane sweterki z angory, komplety bluzka i kamizelka, plisowane spódniczki, cienkie, przezroczyste pończochy i eleganckie buty na pięciocentymetrowym obcasie. Taki szyk nadawał jej dziwnie staromodne oblicze, choć miała raptem szesnaście lat. Do tego włosy zaczesywała wysoko, w zgrabny, starannie spięty kok, i nosiła naszyjnik ze sztucznych pereł, do którego dokupiła idealnie pasujące kolczyki. Zimą zainwestowała w tweedowy płaszcz, tkany w jodelkę, z wszytym paskiem na guziki, a kiedy nastąpiła wiosna, kupiła lekki, ciemnokremowy gabardynowy prochowiec po kolana, z paskiem. Wyglądała w nim, zdaniem ojca, jak francuska gwiazda filmowa. Jackson nigdy nie oglądał francuskiego filmu, więc nie wiedział, czy to prawda. Niamh miała tyle szczęścia, że nie odziedziczyła po mamie żadnych babskowiejskich genów i – wszyscy się co do tego zgadzali – była dziewczyną „piękną w każdym calu”.

Śmiercią matki przejęła się najbardziej z nich wszystkich. Nie tyle samą śmiercią, ile umieraniem, tak długim, że kiedy matka wydała wreszcie ostatnie, słabowite tchnienie, wszyscy doznali bolesnej ulgi. W tym czasie Niamh zajmowała się już w domu gotowaniem i sprzątaniami i nie przestała pracować. Codziennie rano jechała w swoich ładnych ubraniach do salonu samochodowego do Wakefield. Któregoś dnia, kilka tygodni przed śmiercią mamy, weszła do ciasnego pokoju braci – Francisa jak zwykle nie było w domu – usiadła na małym starym łóżku, na które nie było tam nawet miejsca, i powiedziała: „Jackson, już nie mogę”. Jackson czytał właśnie komiks wojenny *Commando*. Zastanawiał się, gdzie Francis

może chować swoje papierosy, i nie mógł dojść, dlaczego siostrze trzęsą się z nerwów wargi, a w jej dużych ciemnych oczach błyszczą łzy. „Musisz mi pomóc, Jackson, obiecaj, że mi pomożesz”, a on odpowiedział: „Jasne, obiecuję”, nie mając pojęcia, jaki cyrograf podpisuje. W ten sposób zaczął spędzać wolny czas zupełnie inaczej. Odkurzał dywany i półki, obierał ziemniaki, przynosił węgiel, wieszał pranie, chodził do marketu po zakupy, a koledzy wyśmiewali się z niego i mówili, że zrobił z siebie dziewczynkę. Chodził już do szkoły średniej. Wiedział, że życie się zmienia. Gdyby wtedy przyszło mu wybierać między siostrą a gangiem nedorozwiniętych półgłówków, wybrałby siostrę, nawet gdyby sam wciąż należał do półgłówków. Bo bez względu na to, co się czuje, najważniejsza jest wspólna krew. Tego nie trzeba się uczyć. To się wie, bo tak po prostu jest. Zresztą dostawał od Niamh dziesięć szylingów tygodniowo.

To był zwykły dzień. Styczeń. Kilka miesięcy po śmierci matki i niespełna tydzień po jego dwunastych urodzinach. Francis kupił mu na urodziny rower z komisju. Wyremontował go tak, że wyglądał jak nowy. Ojciec dał pięć funciaków, a Niamh kupiła mu zegarek, taki dla dorosłego mężczyzny, z przedłużoną bransoletą, która dyndała ciężko u nadgarstka. To były fantastyczne prezenty. Jackson pomyślał, że chcą mu w ten sposób osłodzić śmierć mamy.

Ojciec wrócił z nocki i zastał ich w kuchni. Robili sobie naprędce jakieś śniadanie i szykowali się do wyjścia. O tej porze roku było ciemno, kiedy wychodzili, i ciemno, kiedy wracali. Ale ten dzień wydawał się szczególnie ciemny, bo cały czas padał deszcz, mroźny, zimowy, zacinający deszcz, przy którym chciało się tylko płakać. Francis miał ciężkiego kaca po długim wieczorze i był w podłym nastroju. Ale powiedział, że podwiezie Niamh na przystanek autobusowy. Niamh pocałowała Jacksona na pożegnanie, choć usiłował się przed tym uchylić. Mama zawsze dawała mu buziaka, gdy szedł do szkoły, a teraz Niamh przejęła rolę mamy. Wolałby, żeby tego nie robiła, bo zostawiała mu na policzku ślad szminki i jeśli nie udało mu się go zetrzeć w drodze do szkoły, koledzy z niego



drwili.

Pojechał do szkoły na swoim nowiutkim rowerze i kiedy tam dotarł, był tak przemoknięty, że idąc korytarzem do klasy, zostawiał za sobą kałuże wody.

Wrócił ze szkoły, wrzucił pranie do pralki firmy Servis, którą mama nie zdążyła się nacieszyć, obrał ziemniaki, posiekał cebulę, a potem wyciągnął z lodówki miękką paczkę zalatującego już lekko mielonego. Mięso leżało tuż obok pudełka z robakami na ryby, które Francis, odkąd zmarła matka, bezkarnie wkładał do lodówki. Jackson nie miałby nic przeciwko czasochłonnemu gotowaniu, gdyby dzięki temu nie musiał odrabiać lekcji. Ale Niamh stała nad nim co wieczór, pilnowała jego szkolnych zadań i ciągnęła go za ucho, gdy tylko coś zrobił źle.

Kiedy postawił ziemniaki i mięso na ogniu, zmęczony poczłapał na górę, do pokoju. Ojciec jeszcze spał i nie chciał go budzić, z rozmaitych powodów, ale głównie dlatego, że miał zamiar buchnąć Francisowi papierosa ze skrytki, którą odkrył w jego szafie. Stał przy szeroko otwartym oknie, żeby Francis nie wyczuł, że palił w pokoju. Zimny wiatr nawiewał na jego twarz krople deszczu. Chłód przeniknął go do szpiku kości, a mokry papieros nie chciał się dobrze palić. Włożył go pod swoją poduszkę, w nadziei, że przez noc wyschnie.

Jeśli Francis wracał do domu przed Niamh, a pogoda była pod psem, to wyjeżdżał po nią na przystanek autobusowy. Ale tamtego dnia, choć lało jak z cebra, padł zmęczony na fotel przy kominku – nie zdjął nawet roboczego ubrania – i zapalił papierosa. Zalatywało od niego metalem i węglem. Wyglądał gorzej niż rano i był jeszcze bardziej poirytowany. Poprzedniego dnia musiał powalająco zmieszać trunki. „Nie powinienesz tyle pić”, zwrócił mu uwagę Jackson. „Co ty, kurwa, w niańkę się porobiłeś, Jackson?”

„Nie zdążyła na autobus i tyle”, myślał głośno ojciec. Talerze i sztućce leżały na stole. Zastanawiali się, czy zacząć jeść bez Niamh, czy jeszcze poczekać. W końcu Jackson powiedział: „Jedzmy. Jak wróci, odgrzeję jej porcję”. Oczywiście nigdy wcześniej nie spóźniła się na autobus, ale ojciec powtarzał:

„Zawsze kiedyś musi być ten pierwszy raz”, a Francis dodawał: „Jest dorosła, może robić, co jej się, kurwa, podoba”. Teraz, kiedy nie było w domu matki, przeklinał bez zahamowań.

Ziemniaki zdążyły już wyschnąć. Jackson wyjął z piekarnika jej talerz i postawił na stole, jakby to miało przyspieszyć jej powrót do domu. Ojciec już poszedł do pracy, na nocną zmianę. Od śmierci matki chodził tylko na nocki. Niamh mówiła, że dlatego, że nie chciał sam spać w łóżku, a Francis powiedział, że „przecież i tak śpi w łóżku sam”, ale Niamh się upierała, że to nie to samo: „Inaczej śpi się samemu w łóżku nocą, a inaczej w ciągu dnia”. Francis wyjechał na przystanek. „Na pewno poszła z kumpelą do pubu i wróci następnym autobusem”, przekonywał Jacksona, a Jackson potakiwał: „Tak... Pewnie tak...”, choć Niamh, jeśli wychodziła wieczorami, to tylko w piątki albo soboty. Francis wrócił sam. Przebiegając z samochodu do domu, przemókł do suchej nitki. Dochodziło wpół do ósmej i obu im było głupio, bo czuli, że zaczynają się denerwować. Obejrzeni telenowelę *Coronation Street*, której szczerze nie znosili, ale pomyśleli, że będą mogli opowiedzieć Niamh, co się stało w kolejnym odcinku – kiedy wróci.

O dziesiątej Francis bąknął, że „pojeździ po okolicy”, może gdzieś ją zauważy. Jakby Niamh miała sobie spacerować w rześkiej ulewie, bo nie chce wracać do domu. Jackson pojechał z nim. Bał się, że zwariuje, jeśli będzie siedział beczynn timer w domu. Trochę pojeździli i w końcu znowu pojechali na przystanek. Czekali na ostatni tego dnia autobus. Francis poczęstował Jacksona papierosem i zapalił go nową zapalniczką, którą dostał w prezencie od jakiejś swojej dziewczyny. Miał mnóstwo dziewczyn. Kiedy w oddali pokazały się światła autobusu, przebijające się połyskliwie przez ścianę deszczu, Jackson był pewien, absolutnie pewien, że Niamh nim jedzie. Nie wątpił w to przez ułamek sekundy, a kiedy Niamh nie pokazała się na przystanku, wyskoczył z samochodu i biegł kilkadziesiąt metrów za odjeżdżającym autobusem, przekonany, że zasnęła i przegapiła przystanek. Powoli wrócił do brata, chowając w deszczu głowę w dygocące ramiona.

Widział, jak wycieraczki na przedniej szybie forda consula suną miarowo z lewej na prawą, zgarniając szerokie strugi wody, i widział za szybą trupio bladą twarz Francisca.

„Najlepiej będzie, jak pojedziemy na policję”, powiedział cicho Francis, gdy Jackson wsiadł z powrotem.

Czterdzieści osiem godzin później wyciągnęli z kanału jej ciało. Wciąż miała na sobie spódniczkę do kolan, zieloną, *bouclé*. Kupiła ją sobie pod choinkę za gwiazdkowe pieniądze od ojca. Jej parasol znaleziono nieopodal przystanku autobusowego. Buty i część rzeczy, w tym tweedowy płaszcz, znaleziono nad brzegiem kanału, a jej torebka odnalazła się tydzień później przy autostradzie A636. Bluzki nie znaleziono nigdy, podobnie jak złotego krzyżyka na łańcuszku, który mama kupiła jej na pierwszą komunię. Policja nie wykluczyła, że łańcuszek się zerwał, a zabójca zabrał go sobie „na pamiątkę”. Jediną pamiątką, jaka pozostała Jacksonowi, był gliniany dzbanuszek, który dwa lata wcześniej Niamh przywiozła mu z wycieczki do Scarborough. Ten z wymalowanymi z boku słowami: „Wszystkiego dobrego ze Scarborough”.

\* \* \*

Ustalono z całą pewnością tyle, że jak co dzień wsiadła w autobus jadący z Wakefield i wysiadła z niego na tym samym przystanku co zawsze. Potem, podczas dziesięciminutowego marszu z przystanku do domu, jakiś przygodny kierowca przekonał ją (albo zmusił), żeby wsiadła do jego samochodu. Wywiózł ją nad kanał, a tam kilku mężczyzn zgwałciło ją i udusiło, choć możliwe, że kolejność była odwrotna. Jackson wprowadził się do jej pokoju w dniu, kiedy znaleziono jej ciało, i nie wyprowadził się z niego do czasu, gdy wstąpił do wojska. Przez dwa miesiące nie zmieniał w jej łóżku pościeli. Jeszcze długo potem był pewien, że wyczuwa fiołkową wodę kwiatową, którą, jakże staromodnie, Niamh lubiła skrapiać prześcieradła podczas prasowania. Długo trzymał filizankę, z której tamtego dnia Niamh piła przy śniadaniu herbatę. Zawsze narzekała, że nikt nie zmywa po śniadaniu. Na jej brzegu został ślad po jej

szmince, duch złożonego pocałunku. Nie mył jej całymi tygodniami, aż któregoś dnia wpadła w oko Francisowi. Chwył ją i wściekłym ruchem cisnął przez okno, na beton, gdzie roztrzaskała się w drobny mak. Jackson wiedział, że Francis czuje się winny, bo nie pojechał po nią na przystanek. Jakaś ciemna strona duszy podszeptowała mu, że Francis ma powody, żeby się tak czuć. W końcu gdyby po nią pojechał, nie leżałaby teraz półtora metra pod zimną i mokrą ziemią. Jej ciało byłoby ciepłe i żywe. Narzekałaby, że nikt nie zmywa naczyń, chodziłaby do pracy w chłodne zimowe poranki, a jej różowe wargi nadal by się śmiały, rozmawiały, jadły i dawały Jacksonowi buziaki, przed którymi tak się wzbraniał.

Któregoś dnia, pół roku po pogrzebie, Francis podwiózł Jacksona do szkoły. Znowu lał deszcz, ulewny, monsunowy, letni deszcz. Francis otworzył drzwi i powiedział: „Wyskakuj, brachu!”. Zatrzymał się przed głównym wejściem do szkoły. Wyjął ze schowka nieotwartą paczkę papierosów i wręczył mu ją. „Dzięki”, wydusił zaskoczony Jackson i otworzył drzwi, żeby wysiąść, ale Francis wciągnął go z powrotem do środka i mocno uderzył pięścią w ramię, aż syknął z bólu. „Wiesz, że powinienem być po nią wtedy pojechać, prawda? Wiesz o tym?”, zapytał Francis, a on przytaknął: „Wiem”, choć kiedy dzisiaj patrzył wstecz, uważał, że była to zła odpowiedź. „Wiesz, jak cię kocham, smyku, prawda?”, zapytał jeszcze Francis, a on, trochę zbity z tropu, odparł: „Wiem”, zawstydzony, bo nigdy nie słyszał, żeby Francis używał takich słów jak „kocham”. Potem wysiadł, bo było już późno i w szkole rozległ się dzwonek na lekcje. W środku najnudniejszej lekcji matematyki w życiu przypomniał sobie nagle, że to dzień siedemnastych urodzin Niamh, i tak był tym olśnieniem zszokowany, że zerwał się z ławki na równe nogi. „Dokąd to, Brodie?”, zapytał matematyk, a on usiadł i bąknął tylko: „Nigdzie, proszę pana, przepraszam”, bo Niamh nie żyła, Niamh już nigdy nie wróci, Niamh już nigdy nie będzie miała siedemnastu lat. Nigdy.

Kiedy wrócił ze szkoły i wszedł do domu, poczuł, że czegoś brakuje, ale dopiero kiedy zdjął szkolny mundurek, zrobił sobie kanapkę i poszedł do salonu, żeby włączyć telewizor, zobaczył

ciało Francisa. Zwisało ciężko z udającej stary kandelabr lampy, która była radością i dumą matki.

Mordercy jego siostry nigdy nie odnaleziono.

## Jackson

Weszli na chwilę do katolickiego kościoła. Jackson zapalił dwie świece, jedną dla siostry, jedną dla brata. Marlee poprosiła, żeby zapalili także świeczkę dla babci. *Passio Christi, conforta me*. Obie jej siostry także później umarły na raka – Jackson modlił się w duchu, żeby ten szczególny gen ominął Marlee. Jego ojciec był jedynakiem, więc teraz, po jego śmierci, Marlee była jedyną krewną, jaką miał na świecie. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby mógł jeszcze mieć dzieci. Jedno wystarczyło – dziewczynka w różowych dżinsach i T-shircie ozdobionym prostym tekstem: „Tylu chłopaków i tak mało czasu”. Czy ludzie, którzy projektują takie T-shirty, czy ludzie, którzy produkują takie T-shirty w rozmiarach dla ośmio- i dziesięciolatek, myślą czasem, że to właściwie niemoralne? Oczywiście ludzie, którzy robią te T-shirty, sami są ośmio- i dziesięcioletkami pracującymi w zawieszanej manufakturze na prowincji jakichś Filipin.

– Tato?

– Hm?

– Możemy zapalić świeczkę mojemu chomikowi?

– Powinnaś nosić koszulkę z napisem: „Tyle chomików i tak mało czasu”.

– To wcale nie jest śmieszne. Wracamy do domu?

– Jeszcze nie. Nadłożymy trochę drogi. Muszę się zobaczyć z pewną panią. Nazywa się Marian Foster.

– Dlaczego?

– Bo muszę.

Jechali obwodnicą, gdy zorientował się, że coś jest nie w porządku. Gwałtowność, z jaką dopadło go to uczucie, zupełnie go zaskoczyła. W jednej chwili czuł się znakomicie – choć był posiniaczony, obolały i załamany – a w następnej

poczuł, jak przygwaźdża go nieprawdopodobna temperatura. Ledwie kilka sekund później widział świat takim, jakim (jak to sobie wyobrażał) widzi go mucha, a po chwili poczuł, że traci świadomość. Wszystkie drobinki opuszczającej go nagle energii włożył w próbę zjechania na pobocze i zatrzymania samochodu – potem już nic.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że jest w szpitalu i że ma przed sobą twarz Howella.

– Skąd ty tutaj? – Jacksonowi zdawało się, że mówi głosem należącym do kogoś innego.

– Wezwali mnie. Najwyraźniej jestem teraz twoim najbliższym krewnym.

– Ach tak... – powiedział słabo Jackson. – Josie już się nie podobała ta fucha.

Howell się uśmiechnął.

– Wiesz, zawsze wiedziałem, że płynie w tobie czarna krew, Jackson. Nigdy nie wyglądałeś na faceta, który jeździ z kartą dawcy narządów.

– Cóż, chyba się zmieniłem. – Jackson dźwignął się na łokciach. – Ktoś dybie na moje życie, Howell.

Wydawało się, że Howell uznał to za znakomity dowcip. Kiedy przestał się śmiać, powiedział:

– Nie rób z siebie paranoika, Jackson. To zatrucie krwi. Miałeś chory ząb. Powinieneś być się nim zająć.

Nagle Jackson się wystraszył. O czym pomyślał?

– Gdzie ona jest? Gdzie Marlee? Nic jej się nie stało?

– Wszystko w porządku, nie gorączkuj się tak.

– Ale, Howell, gdzie ona jest?

– Na jakiejś owczej farmie – odpowiedział Howell.

\* \* \*

Jackson nie wiedział, dlaczego Marlee dała policjantom numer telefonu Kim Strachan – przypuszczał, że przejrzała jego notes z adresami i uznała, że tej pani może zaufać. Może dlatego, że Kim dała jej pięć funtów (to byłoby do Marlee podobne). Czy to Marlee wezwała policję i ambulans? Czy telefon na pogotowie był pierwszym, jaki wykonała ze swojej

różowej komórki *à la* lalka Barbie? Co by się stało, gdyby mu się nie udało zatrzymać samochodu? Gdyby na poboczu wjechał w nich rozpędzony tir? Domyślał się, że na owczej farmie jego córka jest całkowicie bezpieczna, na odludziu, wśród rosyjskich gangsterów.

– Jak długo tu jestem? – zapytał Howella.

– Trzy dni.

– Trzy dni, Boże. Josie jutro wraca, muszę odwiedzić Marlee do Cambridge.

– Nie wiedziałem, że taki z ciebie pantoflarz, Jackson.

Jackson udął, że tego nie usłyszał.

– Josie zabiera Marlee do Nowej Zelandii.

– Wiem – odparł Howell. – To tylko rok. Minie jak z bicza trząś, zobaczysz.

– Nie, nie na rok. Przenoszą się tam na zawsze.

– Nie, Jackson. – Howell był trochę zdziwiony. – Jadą tylko na rok. Zapytaj Marlee.

– Ty pieprzona suko! – krzyczał Jackson. – Ten twój knur jedzie do Nowej Zelandii tylko na rok, tak? Powiedziałaś mi, że przenosicie się na dobre!

Josie burknęła do słuchawki coś mało znaczącego – w jej głosie słyszał leniwy, ochryply tembr. Zawsze taki miała krótko po orgazmie. Gdyby nie była w Ardèche, we Francji, a on w szpitalu gdzieś na południu Doncaster, zamordowałby ją z całą pewnością. Siedział na ławce w szpitalnym parku, uwiązany do kroplówki. Przechodzący pacjenci rzucali na niego badawcze spojrzenia. Zaczął mówić ciszej:

– Dlaczego, Josie? Dlaczego tak mnie okłamałaś?

– Bo ci wtedy odbiło, Jackson. Daj już z tym spokój – dodała.

– Mnie też daj już spokój.

Jackson miał ochotę na papierosa. Cholerną ochotę na papierosa. Jego język natrafił na szczerbę. Ząb został usunięty razem z korzeniem przez wezwanego pilnie stomatologa, kiedy był nieprzytomny. Sharon na pewno będzie rozżalona, kiedy się dowie, że odebrano jej przyjemność zafundowania mu małych tortur. W szpitalu przypadkiem spojrzął na swoje odbicie w jakiejś szybie. Wyglądał jak ofiara wojny ze starego filmu



dokumentalnego.

Wybrał jeszcze jeden numer.

– Theo?

– Jackson! – Theo był prawie szczęśliwy. – Gdzie jesteś?

– W szpitalu.

– Znowu?

– Tak, znowu...

Wyszedł ze szpitala na własną prośbę, wbrew wskazaniom lekarzy. Ostatecznie udobruchała ich obietnica Howella, że osobiście zawiezie go do Northumberland, po Marlee, a potem odwiezie do domu, do Cambridge.

– Chryste, Jackson – jęknął Howell, z trudem wciskając swoje cielsko za kierownicę punto. – Co się dzieje, zamieniłeś się w panienkę?

– Mogło być gorzej – odparł sucho Jackson. – Chcesz, to mogę prowadzić.

– Nie. Nie możesz. – Howell poszperał w jego płytach.

– Rany, wciąż słuchasz tego badziewia?

– Owszem.

Howell z ciężkim westchnieniem rzucił Trishę, Lucinę, Emmylou i pozostałe cierpiące panie na tylne siedzenie i włączył należącą do Marlee płytę Christiny Aguilery. Kiedy zaczęli jej słuchać po raz trzeci, jechali już autostradą A1 i znowu byli na kompletnym odludziu.

– Nie musisz jechać z nami dalej – powiedział Jackson.

– Muszę, jestem twoim przyjacielem. Zresztą przydadzą mi się małe wakacje. Trochę kultury, miasto gotyckich wież i tak dalej...

– Chyba masz na myśli Oksford.

– E... na jedno wychodzi – odparł Howell. – Więc kto dybie na twoje życie?

– Jakiś facet w złotym lexusie.

– W takim razie to chyba ten, który jedzie za nami, co? – zapytał Howell, zerkając we wsteczne lusterko.

Jackson spróbował się odwrócić i spojrzeć za siebie, ale jego szyja jakoś nie chciała się odwracać. Howell odczytał na głos numer rejestracyjny lexusa.

– Ten – potwierdził Jackson i sięgnął po telefon. – Nie zjeżdżaj z głównej drogi – polecił Howellowi, który w tym momencie ostro skręcił w zjazd z autostrady.

– Dlaczego? – zapytał Howell. – Wywiedziemy lexusa na wiejską dróżkę, w miłe ustronne miejsce, i tam się z koleśkiem porachujemy.

– Porachujemy? – zapytał Jackson. – Znaczy co, sprzątniemy go?

– No, nie miałem na myśli tak drastycznych rozwiązań, ale jeśli chcesz, jasne, czemu nie?

– Nie. Nie chcę. Wszystko ma być zgodnie z regulaminem. Zawiadomię gliny. Jest już nakaz aresztowania.

– Boże, ale z ciebie nudny glina, Jackson.

– Tak, jestem nudnym gliną, do tego pantoflarzem. Zamieniłem się w panienkę i jeżdżę z kartą dawcy narządów. Wiesz, to się nazywa kryzys wieku średniego.

Lexus niemal przykleił się do ich tylnego zderzaka. Jackson przekrzywił wsteczne lusterko, żeby się uważniej przyjrzeć Quintusowi. Jego gogusiowatą buźkę skręcało z cholerycznej złości. Jackson nie potrafił sobie wyobrazić, co takiego mógł zrobić temu człowiekowi, że ścigał go z taką wściekłą zajadłością.

Gdzieś w oddali usłyszeli ryk policyjnych syren. Jackson nie rozłączał się z oficerem dyżurnym z centrali, ale niełatwo mu było na bieżąco podawać położenie. Jechali jakąś ciasną drogą, zwężoną jeszcze bardziej przez porastający jej brzegi gęsty żywopłot. Howell prowadził tak, jakby grał na komputerze w GTA. Weszli w ostry zakręt i nagle znaleźli się maska w maskę z mercedesem SL500 kabrioletem, który pędził z tak samo zawrotną prędkością. Jackson zamknął oczy i instynktownie osłonił się rękami, ale kobieta prowadząca mercedesa jakimś cudem zdążyła odbić w lewo. Również Howell zdołał skręcić kierownicę w lewo. Jackson miał wrażenie, że jadą lunaparkowym kołem śmierci – minęli się dosłownie o włos. Mercedes pojechał dalej.

– Kuurwa... – wyrwało się Howellowi. – Ale laska, ale jazda, ale bryka...

– Jezu – jęknął tylko Jackson, patrząc na swoje dłonie: potwornie się trzęsły.

Wydawało się, że lexus zniknął. Howell zatrzymał samochód i ostrożnie cofnął do zakrętu, i jeszcze dalej, za zakręt. Policyjne syreny wyły coraz wyraźniej. Lexusowi udało się minąć rozpędzonego mercedesa, ale nie zakręt. Ugrzązł w rozrośniętym żywopłocie, bez większych uszkodzeń, niczym insekt zagubiony w pajęczej sieci. Widać było, jak Quintus szamocze się w środku z klamką i zablokowanymi drzwiami.

Na drodze pojawiło się kilka przypadkowych samochodów, a zaraz za nimi cywilny samochód policyjny. Wszyscy hamowali gwałtownie, obracali samochody bokiem. Dramatyzm sytuacji podkreślił jeszcze podchodzący do lądowania helikopter. Wszystkim skoczyła adrenalina. Jackson wiedział, że chłopcy uwielbiają takie akcje. To coś innego niż codzienna rutyna, innego niż mandat za przekroczenie prędkości, innego niż beznadziejna nuda drogowych kolizji.

On i Howell wysiedli z samochodu i powoli podeszli do lexusa.

– Tak swoją drogą, dlaczego on chce cię zabić? – zapytał zaciekawiony Howell.

– Cholera wie. – Jackson wzruszył ramionami. – Zapytajmy go.

– Kiedy zobaczysz się z mamą – instruował Marlee – lepiej się nie chwalić, że znasz fajne rosyjskie słówka.

– Dlaczego? – zapytała Marlee.

– Bo... – Jackson zmarszczył brwi. Myślał o różnych rzeczach, o których Josie nie powinna się dowiedzieć. – Bo lepiej nie. Dobrze, słonko?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem. Wsunął jej w dłoń dziesięciofuntowy banknot.

– Spasiba – szepnęła z uśmiechem.

Kiedy zadzwonił ze szpitala do Wyre'a, Wyre powiedział mu, że zamieszkała u niego Lily Rose, dziewczyna o kremowożółtych włosach. Nie wiedział, co o tym myśleć, ale uznał, że ponieważ tak naprawdę nic mu do tego, w ogóle nie powinien o tym myśleć. Zresztą w ogóle nie chciał za dużo

myśleć. Myślenie sprawiało mu autentyczny ból. Bolały go półkule mózgowe. „To dobrze”, odpowiedział w końcu pocziwemu grubasowi i miał nadzieję, że to rzeczywiście dobrze.

Powiedział mu także przez telefon, że przesyła mu pocztą pewne nazwisko. To nazwisko. To, którego szukał przez ostatnich dziesięć lat. Nazwisko, które podała mu Kim Strachan. Oczywiście to nie musi być nazwisko mężczyzny, który zabił Laurę (niewinny, dopóki wina nie zostanie udowodniona – czy wierzył w tę formułę? Nie). Wiedział, że powinien zawiadomić o podejrzanym prokuraturę, ale tą batalią dowodził Wyre i tylko od niego zależało, co z tym dalej zrobi.

Zapisał nazwisko i adres na zwykłej pocztówce, którą kupił na stacji niedaleko rzeźby Anioł Północy. Na pocztówce była jedna z tych sztucznie wyglądających stokrotek, które położył na grobie Niamh. Może to jakiś nowy gatunek. Nakleił znaczek i Marlee pobiegła w podskokach do skrzynki, bo wciąż była na tyle mała, żeby lubić wrzucać przesyłki do skrzynki pocztowej. Może za rok wróci znudzona nadmiarem wrażeń i zupełnie zubożniała na listy i na skrzynki. Za dwanaście długich miesięcy z pewnością nie będzie tą samą Marlee: będzie miała inną skórę i inne włosy, wyrośnie z butów i ubrań, które ma na sobie, przyswoi sobie nowy dziecięcy żargon (nowozelandzki) i może nie będzie już lubić Harry’ego Pottera. Ale nadal będzie Marlee. Tylko że inną.

Wysadził ją przed domem Davida Lastinghama. Josie zlustrowała go beznamietnym spojrzeniem.

– Wyglądasz okropnie, Jackson.

– Dzięki.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Marlee puściła się za nim biegiem i złapała go przy samej furtce. Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła.

– Da swidania, tato – szepnęła mu do ucha.

Wrócił do tego, co zostało z jego domu. Okopcony budynek zalatywał sadzą i pleśnią, jakby uwolniły się drzemiące w jego murach zarodniki dawnych chorób. Rozgarnął nogą spieczony

żuzel, który grubą warstwą zalegał na podłodze czegoś, co jeszcze niedawno było jego salonem. Zastanawiał się, co się stało z prochami Victora. Nigdzie nie było śladu po urnie. Z prochu w proch. Spostrzegł kawałek glinianego dzbanuszka z najlepszymi życzeniami – widać było jeszcze litery „go ze Scar”. Upuścił go w rumowisko. Kiedy już zmierzał do wyjścia, coś przykuło jego uwagę. Zgiął się mocno w pasie, żeby się lepiej przyjrzeć. Czyjaś niebieska ręka, okryta popiołem, sterczała w powietrze. Wyglądało to tak, jakby przysypana ofiara trzęsienia ziemi błagała o pomoc.

Złapał za tę rękę i pociągnął. Wyciągnął z popiołów Niebieską Myszkę.

Inspektor Marian Foster właśnie przeszła na emeryturę i przeprowadziła się do Filey. Kiedy stanęli z Marlee u jej drzwi, mozolnie rozpakowywała stojące w kuchni grube kartony. Zadzwonił do niej z samochodu, uprzedzając, że przyjedzie, a ona wydawała się bardzo zadowolona, że ktoś zakłóci rytm jej dnia – jakby już zdawała sobie sprawę, że zagrzebanie się w małym nadmorskim miasteczku nie jest najlepszym sposobem na spędzenie ostatnich, beczynnych lat życia.

– Sądziłam, że trafię tu na coś, co będzie wymagać silnej ręki, jakiś komitet mieszkańców, taki czy inny – powiedziała, śmiejąc się serdecznie. – Że zrobię wreszcie dyplom w Oksfordzie na wieczornych kursach... – Westchnęła. – Będzie cholernie źle, prawda, inspektorze?

– Och, nie wiem, proszę pani – odparł Jackson. – Na pewno pani przywyknie...

Choć usilnie się zastanawiał, nie przychodziło mu do głowy nic bardziej optymistycznego. Widział aż nadto dobrze własną niedaleką przeszłość.

Marian Foster na pierwszy rzut rozpoznała w Marlee nałogowego miłośnika łakoci, więc posadziła ją przed telewizorem, postawiła przed nią puszkę coca-coli i talerz ciasteczek czekoladowych. Dla siebie i dla niego zaparzyła dzbanek diabelsko mocnej herbaty.

– Zmiętkło nam podniebienie, hm? – rzuciła z przekąsem, widząc, jak Jackson krzywi się przy pierwszym łyku. – Cóż, nie

zapominaj, miły panie, że jesteś z powrotem w Yorkshire.

– Trudno zapomnieć.

– A zatem – nagle przeszła do rzeczy – Olivia Land? Cóż mogę powiedzieć. Byłam wtedy tylko zastępcą, babą, którą można było poniewierać. Przesłuchiwałam Landówny, ale nie wydaje mi się, żebym dzisiaj mogła powiedzieć coś nowego.

– Sam nie wiem... – Jackson chwilę się zastanawiał. – Może jakieś wrażenia, odczucia, instynkt? Cokolwiek. Może powie mi pani, co by pani zrobiła inaczej, gdyby to pani prowadziła śledztwo.

– I gdybym wiedziała wszystko, co dzisiaj wiem o bożym świecie? – Westchnęła głośno i bardzo ciężko. – Przyjrzałabym się bliżej ojcu. Bardzo poważnie podejrzewałabym molestowanie w rodzinie.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Coś było nie tak z tą najstarszą, Sylvią. Coś ukrywała, nie wszystko chciała powiedzieć. Wystarczyło przycisnąć ją do muru, a traciła wątek. I była taka... nie wiem... taka dziwna.

„Dziwna” – to samo powiedziała o Sylvii Binky Rain.

– Ich ojciec to był kawał zimnego drania – ciągnęła Marian Foster. – O wszystkim chciał wiedzieć, wszystko chciał kontrolować. Reszta domu to jakiś kompletny chaos... ta matka, te dwie córki. Nie pamiętam, jak miały na imię.

– Amelia i Julia.

– Oczywiście. Amelia i Julia. Chce pan wiedzieć, co tak naprawdę o tym myślę?

– Jak najbardziej.

– Myślę, że to zrobił ojciec. Myślę, że Olivię zabił Victor Land.

Jackson wyciągnął z kieszeni koronny dowód i położył go na kuchennym stole Marian Foster. Jej oczy wypełniły się łzami. Przez chwilę nie potrafiła wydusić słowa.

– Niebieska Myszka – powiedziała w końcu cicho. – Po tylu latach. Gdzie ją pan znalazł?

Z Sycylią był jeden problem. Kiedy zobaczyła Niebieską Myszkę, wcale się nie zdziwiła. Jackson odniósł wrażenie, że wręcz czekała, kiedy znów do niej przyjdzie. I wcale jej nie

interesowało, gdzie ją znalazł. Owszem, powiedział jej, ale sama nie zapytała. Czy to pytanie nie powinno paść najpierw? To było pierwsze pytanie Marian Foster: „Gdzie ją pan znalazł?”.

Trefniś na jego widok zamerdał ogonem. Ale Sylvia, widząc go po drugiej stronie przepierzenia, nie była tak uradowana. Spojrzała na niego krzywo i zapytała burkliwie:

– Czego pan chce tym razem?

Pomyślał, że przez ten ułamek chwili ma przed sobą inną Sylwię, tę „dziwną”, tę mniej uduchowioną. Czuł, że tabletki przeciwbólowe powoli przestają działać. Miał ochotę zdjąć sobie głowę z karku i odłożyć na bok, żeby sobie odpoczęła. Jak zacząć? Nabrał głęboko w płuca powietrza i spojrzał w błotnistociemne oczy Sylvii.

– Siostró Mario Łukaszu – zaczął. – Sylvio.

Zmrużyła oczy, słysząc swoje prawdziwe imię, ale jej spojrzenie nie straciło ani odrobiny ostrości.

– Sylvio, potraktuj mnie, proszę, jak księdza w konfesjonale. Co powiesz, pozostanie między nami. Powiedz prawdę, Sylvio, nie chcę nic więcej.

Bo przecież o nic innego nie chodziło, czyż nie?

– Powiedz prawdę. O tym, co się stało z Olivią.

Musiał pchnąć furtkę z całych sił, żeby ją otworzyć. Czuł się jak intruz. W końcu przecież b y ł intruzem. Na gałęzi jabłoni w ogrodzie Binky Rain wisiał jeszcze naderwany strzęp policyjnej taśmy. Ale tej taśmy nie rozwieszono po to, żeby oznaczyć miejsce zbrodni. Bo Binky umarła z przyczyn naturalnych. „Po prostu starość”, powiedział mu patolog. Doszedł do wniosku, że jeśli to prawda, to można mówić o triumfie życia. Miał nadzieję, że Marlee też umrze staro, w jakimś ogrodzie pod kwitnącą jabłonią, kiedy jego już dawno nie będzie na świecie.

Ogród przypominał rezerwat dzikiej przyrody. Spod okapu raz po raz wlatywały nietoperze, jakaś ropucha, człapiąc niezgrabnie, usiłowała zejść mu z drogi, a kiedy torował sobie drogę do narożnika, przez chaszczki i cierniste krzewy, o mały włos nie nadepnął na malutkiego jeża, choć policyjna latarka

firmy Maglite oświetlała mu ogród szerokim snopem. Gęste jeżyny okazały się niemal nie do pokonania. Zrozumiał, jak łatwo tam coś przeoczyć. Coś istotnego. Był pewien, że nie wystarczy odgarnąć kilku gałęzi i zgniłych liści. Właściwie nie spodziewał się, że coś znajdzie. Nawet nie ze względu na dzicz, która porastała każdą piędź ziemi – trudno wejść do takiego ogrodu i nie zobaczyć czmychającego lisa – tylko ze względu na to, że rzadko się zdarza znaleźć to, czego się szuka od bardzo, bardzo dawna i co jest rzeczą bezcenną.

Sylvia powiedziała, że w samym narożniku, za jabłoniami, za dużym bukiem. Jackson nie potrafił odróżnić buku od klonu, w ogóle się nie znał na drzewach, więc ruszył wzdłuż muru i doszedł do miejsca, gdzie mur ostro skręcał – doszedł do wniosku, że to musi być ten narożnik.

Zaczął rozkopywać ziemię rękami. Praca cholernie brudna i mało efektywna, ale szpadel wydawał się narzędziem zbyt ciężkim. Właściwie nie kopał, tylko wybierał ziemię. Delikatnie. Była sucha i skamieniała, musiał ją wydrapywać palcami. Na jego rękach i twarzy zbierał się czarny pył. Wciąż myślał o Niamh, o tych dwóch dniach, kiedy jej szukali z Francisem, w cuchnących kontenerach, w kopcach śmieci, w każdym zakamarku każdego kawałka niezamieszkannej ziemi, aż poczuł się jak dzikie zwierzę, jak stworzenie, które wykracza poza normalne więzy społeczne, poza granice swej społeczności. Patrzył, jak policjanci sondują bosakami dno kanału, i patrzył, jak podnoszą z wody ciało jego siostry, ociekające błotem i mułem, oplecione wodorostami. Pamiętał, że pierwszym uczuciem, jakiego doznał – zanim zalały go dalsze, o wiele bardziej skomplikowane i niezrozumiałe uczucia – była bezmierna ulga, że ją znaleźli, że nie zostanie tam na wieki, na zawsze.

Sylvia powiedziała, że Olivię po prostu tam zostawiono, z grubsza rzecz ujmując. Przykryto tylko ciało trawą i gałęziami. Każdy centymetr tego ogrodu powinien zostać wtedy przeszukany przez brygadę idących na czworakach policjantów – on by tak zrobił. Zawsze trzeba bardzo dokładnie przeczesać najbliższą okolicę. Przypomniał sobie, jak Binky



opowiadała, jak przegoniła policjantów z ogrodu, rzucając kilka „ostrych, krótkich słów”. Więc wystarczyło, żeby stara baba krzyknęła, żeby im kazała się wynosić z ogrodu, i oni się potulnie wynieśli? Olivia przez cały ten czas tu leżała. Czekwała, aż ktoś się zjawi i ją znajdzie. Jackson pomyślał o Victorze, o tym, jak przykrywał ciało swojej najmłodszej córki jakimś zielskiem i chwastami, jakby nic nie była warta. Potem zostawił ją w obcym miejscu, jeszcze ciepłą. Nie zabrał jej do domu. O Victorze, który potem wrócił do łóżka. Tylne drzwi zamknął na klucz. Amelię zostawił w namiocie, żeby nad ranem z rozpaczą stwierdziła, że jej siostry nie ma. O Victorze, który przez trzydzieści cztery lata ukrywał w szufladzie biurka Niebieską Myszkę, prawdę. Dziewczynki Landów często bawiły się w ogrodzie Binky, ale potem Sylvia kazała im trzymać się od niego z daleka. Bo wiedziała, że tam jest Olivia.

Najpierw znalazł obojczyk. Potem coś, co przypominało łokieć. Przestał rozgrzebywać ziemię i poświecił uważnie latarką. Wreszcie wypatrzył małą półkulistą kość czaszki, bładą jak księżyc. Wyciągnął telefon i zadzwonił na posterunek w Parkside.

Przykucnął i przyjrzał się uważnie obojczykowi. Delikatnie strącił z niego ziemię, jak archeolog, który znalazł coś bardzo rzadkiego i niezwykłego – bo przecież znalazł. Obojczyk był drobny i kruchy, jakby należał do małego zwierzęcia, królika albo zająca, jakby to był obojczyk jakiegoś ptaka. Pocałował go z czcią. Wiedział doskonale, że to najświętsza relikwia, jaką przyszło mu znaleźć. Zaczął padać deszcz. Jackson nie pamiętał, kiedy ostatnio padało. *Aqua lateris Christi, lava me.* Zaczął płakać. Nie nad Niamh, nie nad Laurą Wyre ani nad Kerry Anne Brockley, ani nad inną zaginioną młodą dziewczyną, tylko nad tą małą dziewczynką ze wstążeczkami we włosach, dziewczynką, która tuliła kiedyś Niebieską Myszkę, której kazała się uśmiechać do aparatu.

\* \* \*

Usadowił się wygodnie w fotelu klasy ekonomicznej, rząd dwudziesty, miejsce przy oknie. Stać go było na klasę biznes,

ale nie miał zamiaru zaczynać nowego życia od trwonienia pieniędzy. Nieodrodny syn własnego ojca, można powiedzieć.

Był bogaty. Zupełnie niespodziewanie bogaty. Absurdalnie bogaty. Binky uczyniła go jedynym spadkobiercą swej posiadłości i całego swojego majątku – dwóch milionów funtów, w obligacjach i akcjach, schowanych w bankowym sejfie, z których przez wszystkie te lata nie wydała na nic ani grosza, jeśli nie liczyć karmy dla kotów. „Mojemu przyjacielowi, panu Jacksonowi Brodiemu, za przychylność i uprzejmość. Dziękuję”. Rozpłakał się, kiedy jej adwokat czytał na głos jej ostatnią wolę. Płakał, bo przecież nie był wobec niej jako szczególnie uprzejmy, płakał, bo nie miała lepszego przyjaciela, płakał, bo umarła w samotności i nikt nie trzymał jej za rękę. Płakał, bo zamieniał się w kobietę.

Dwa miliony, pod warunkiem że zaopiekuje się kotami. Czy to znaczy, że ich potomstwem także? Czy już zawsze będzie musiał się zajmować kotami Binky Rain, po wsze czasy, aż do śmierci, a potem będzie musiała się nimi opiekować Marlee, a potem jej dzieci? Przede wszystkim musi je wysterylizować. Wiedział, że w żaden sposób nie zasłużył na ten spadek. To trochę tak, jakby trafił szóstkę na loterii, nie kupiwszy kuponu. Ale z drugiej strony kto zasłużył? Na pewno nie Quintus, jej jedyny od siedmiu boleści krewny. Quintus, który kiedy tylko dowiedział się, że ciocia zapisze wszystko jemu, postanowił go zabić, żeby usunąć rywala. Quintus, który prawdopodobnie zabiłby także ciocię, gdyby go nie uprzedziła, umierając w spokoju pod jabłonią z powodu podeszłego wieku.

Początkowo Jackson martwił się, że te pieniądze nie pochodzą z czystego źródła, że to zyski z kopalni diamentów, z krwi i potu, z katorżniczej pracy „czarnych” górników. Brudna forsa. Myślał już, żeby przekazać wszystko Howellowi. „Bo sam jestem czarny? – pytał zbaraniały Howell, patrząc na niego wybałuszonymi oczami. – Powiem krótko: pojebało cię”. W końcu doszedł do wniosku, że to trochę za duża suma, żeby symbolem nikczemnej historii wyzysku kolonialnego czynić jednego Howella. Howell i Julia grali w karty przy kuchennym stole w domu Victora. Popijali dżin z tonikiem. Julia uderzyła

dnem pustej szklanki o stół i krzyknęła do Howella: „Dolej, brachu!”. Jackson pomyślał, że z żadnym z nich dwojga nigdy w życiu nie stanąłby w pijackie szranki.

Jego dom w Cambridge właściwie już nie istniał, więc zamieszkał z Howellem w hotelu Garden House. Co prawda Julia zaoferowała im nocleg, ale Jackson nie mógł znieść myśli, że miałby spać w starym, wyziębionym domu Victora, w pokoju, który jako ostatnia zajmowała jedna z sióstr Land.

To on jej powiedział. Zawiózł ją do policyjnej kostnicy, żeby mogła obejrzeć delikatne, zajęcze kostki. („To wbrew przepisom, Jackson”. Sądowy patolog z dezaprobatą kręcił głową). Wiedział, że Julia jest silna, że bez hysterii spojrzy na wąły szkielet, który pozostał po Olivii. Wyciągnęła rękę do siostry, ale patolog ją powstrzymał: „Proszę nie dotykać, droga pani. Potem będzie pani mogła dotknąć”. I Julia cofnęła rękę i położyła ją sobie na sercu, jakby ją bardzo zabolęło, i powiedziała tylko: „Och...”, tak strasznie cicho, a Jackson pomyślał, że nie zdawał sobie sprawy, jak smutne może być takie jedno króciutkie słowo.

Przedstawił własną wersję wydarzeń. Wyszedł na spacer z psem. Pies nagle zaczął uważniej wodzić nosem po ziemi i wbiegł do ogrodu Binky, i warcząc okropnie, zaczął rozgrzebywać kopczyk liści i starych gałęzi, a kiedy poszedł za nim, żeby sprawdzić, co się dzieje, spostrzegł kawałek szkieletu Olivii. „Gdzie pies, inspektorze?”, zapytał go śledczy jeszcze na miejscu zdarzenia. Jackson wzruszył ramionami: „Uciekł”, a potem nie omieszkał dodać: „Proszę się do mnie zwracać panie Brodie, nie jestem już inspektorem”. O wizycie w klasztorze nie wspomniał nikomu, ani policji, ani Julii. Słusznie czy nie, w każdym razie wyczuwał, że jeśli Sylvia zechce powiedzieć całą prawdę, to sama powie. Obiecał, że nie naruszy tajemnicy spowiedzi. Dał słowo. „Wygląda to na tragiczny wypadek – powiedział śledczemu. – Ach, ta biurokracja, sztywne policyjne procedury. Trzydzieści cztery lata, co tu można teraz zrobić?”

Howell dolał sobie i Julii dzinu.

– Może dołączysz, panie B.? – zapytał Howell. – Zagramy

w trójkę w kanastę, nauczę cię.

Jackson się wymigał.

– Stara miągwa – rzucił Howell.

Może mógłby pomóc Howellowi otworzyć jakiś interes? Część pieniędzy mógłby zainwestować w obligacje dla Marlee. Trochę mógłby podarować Lily Rose. Odwiedził niedawno Wyre'a, widział na kominku pocztówkę z różową stokrotką. Żaden z nich nie poruszył tego tematu. Lily Rose zaparzyła im herbaty. Usiedli w ogrodzie, pili i jedli upieczoną przez Wyre'a miękką babkę biszkoptową z dżemem. „Dobra, nie?“, chwaliła Lily Rose.

Część pieniędzy przeznaczyłyby na cele dobroczynne, choćby po to, żeby zbawić swoją duszę. Szybko się okazało, że pieniądze nie pochodzą z zysków z kopalni diamentów. Bardzo dawno temu jakiś przodek Binky Rain zainwestował w nieruchomości amerykańskich kolei, zatem pieniądze wzięły się z krwi i potu, i katorżniczej pracy kogoś, kto budował transamerykańskie koleje żelazne (Chińczycy? Irlandczycy?), co również nie wydawało się szczególnie etycznym źródłem zarobku, jak sądził Jackson, ale cóż zrobić?

Które instytucje dobroczynne wesprzeć? Jest ich na pęczki. Pomyślał, że zapyta Amelię. Dobrze by było, gdyby i jej coś skapnęło. „Ostatnio – tłumaczyła mu Julia – za dużo spadło na jej biedną głowę”. Wzięła jakieś pigułki, no... trochę za dużo, właściwie to aktualnie „odpoczywa” w szpitalu.

– Chcesz powiedzieć, że próbowała się zabić? – domyślił się Jackson.

Julia zmarszczyła brwi.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziała w końcu.

– Coś w tym rodzaju?

Zaproponował, że odbierze Amelię ze szpitala. Wciąż była na jakichś proszkach i niechętnie się odzywała. Kiedy zajechali pod dom przy Owlstone Road, Julia czekała na ganku z czarnym kotem na rękach, jeszcze niedawno znanym jako Czarnuch. Wręczyła go Amelii. Wtuliła go w jej piersi – prezent na powitanie. „Ma na imię Szczęściarz”, zakomunikowała. Tymczasem kotka Frisky – zagubiona, a teraz odnaleziona

– zabawiała się, rozciągając pazurki na nogawce Jacksona.

Obserwując, jak Amelia zatapia twarz w miękkim czarnym futerku Szczęściarza, Jackson uświadomił sobie, że byłaby znakomitą gospodynią na włościach Binky Rain.

– Co o tym sądzisz? – zapytał później Julię. – O dom Binky trzeba będzie zadbać, to oczywiste, a Amelia mogłaby tam mieszkać i zajęłaby się kotami.

– Och, i ocaliłaby ogród – przyklasnęła zadowolona Julia. – To by się jej bardzo podobało. Wspaniały pomysł, panie Brodie.

Jackson nie pomyślał o ogrodzie.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Z tym ogrodem? – zapytał.  
– Ze względu na Oliwię? Leżała tam całe lata.

Nie powiedzieli jeszcze Amelii, że znalazł szczątki Olivii. Julia mówiła, że musi poczekać na „odpowiedni moment”, a kiedy powiedział jej, że „nigdy nie nadejdzie odpowiedni moment”, odpowiedziała, że „wie”.

– Wydaje mi się, że to bardzo dobry pomysł – powiedziała.  
– To by nawet było właściwe.

Odwróciła głowę na poduszce, żeby na niego spojrzeć – ponieważ o przyszłości Amelii rozmawiali w łóżku – i posłała mu rozanielony uśmiech. Przeciągnęła się leniwie i popieściła stopą jego łydkę.

– Och, panie Brodie – powiedziała. – Kto by pomyślał, że będzie tak cudownie?

„Dobre pytanie”, pomyślał Jackson.

– Może jednak spróbuj mi mówić po imieniu.

– Och, nie. – Pokręciła zdecydowanie głową. – Sto razy bardziej wolę mówić panie Brodie...

Kiedy samolot kołował na pas startowy, a stewardesa objaśniała obrazowo, któredy będą się ewentualnie ewakuować, uważnie studiował foldery agencji obrotu nieruchomościami. Sympatyczne *chateau*, niezbyt okazałe, koło Minervois (zamków we Francji jest mrowie), trzynastowieczna plebania w wiosce na południe od Tuluzy i *maison de maître* w jakiejś wsi koło Narbony. Nie znaczyło to, że już zdecydował, w której części Francji zamieszka, ale od

czegoś trzeba zacząć. Wyobrażał sobie, że może pojeździć po Francji, żeby zobaczyć różne domy – ma przecież czas. Firmę sprzedał Deborah Arnold. Gdyby była osobką choć troszkę sympatyczniejszą, mogłaby liczyć na mały rabat. Opuścił powieki i zaczął rozmyślać o Francji.

– Podać panu coś do picia?

Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą zawodowo uprzejmą, obojętną twarz Nicoli Spencer. Uśmiechała się do niego beznamiętnie. Powtórzyła pytanie. Żeby przedłużyć zaskakujące spotkanie, poprosił o mały sok pomarańczowy. Z jednej strony wszystko o niej wiedział, a z drugiej nie wiedział o niej nic. Razem z sokiem podała mu paczuszkę precelków i przeszła do następnego pasażera. Patrzył, jak popycha barek i jak obcisła spódnica uniformu opina jej jędrne pośladki. Wpadła mu do głowy myśl, że powinien ją śledzić, kiedy wylądują we Francji – trochę z ciekawości, ale także ze służbowego obowiązku, bo to wciąż była niezłatwiona sprawa. Ale po długim i męczącym pytlowaniu w lotniskowej wypożyczalni samochodów w Tuluzie zupełnie stracił na to ochotę.

## Caroline

„Co chcesz na urodziny?”, zapytał Jonathan, a ona odpowiedziała: „Mercedesa SL500”, żartem oczywiście, a on zapytał: „Jaki kolor?”, na co odpowiedziała: „Srebrny”, i wal się (to już tylko pomyślała), jeśli nie znajdzie się w alejce przed domem, obwiązany wielką różową wstążką, wart nie mniej niż siedemdziesiąt tysięcy funtów. Ale Jonathan musiał być nadziany bardziej, niż jej się zdawało. Nie miała pojęcia, ile tak naprawdę ma pieniędzy. Nie chciała jego pieniędzy, nie chciała nawet tego samochodu, naprawdę. Ale kiedy już go dostała, bardzo go polubiła. Dwuosobowy – z tyłu nie ma miejsca na bachory i psy. „Boże, mój ty Boże”, jęknęła tylko Rowena, widząc auto przed domem.

Może ten samochód to prezent pożegnalny? Może już planował następny ożenek? Była pewna, że ma kogoś w Londynie. Byłaby zdziwiona, gdyby było inaczej. Faceci tacy jak Jonathan zawsze mają kochanki. Ale nigdy się z nimi nie żenią. To ona powinna była zostać jego kochanką. Jej temperament i charakter o wiele lepiej pasują do roli kochanki niż żony.

Wciąż nikt nie wiedział o dziecku, bezpiecznym w jej łonie. Powoli dojrzewała w niej decyzja. Znów była gotowa zrzucić skórę i obrosnąć nową. Musi stąd uciec, zanim na dobre pograży się w inercji, zanim ktoś ją tu znajdzie. Zanim Weaverowie postanowią za wszelką cenę ją zatrzymać, gdy się dowiedzą o dziecku. Na pewno będą chcieli położyć na nim te swoje łapy. Szkoda, wielka szkoda, bo naprawdę kochała swoją szkołę i pracę, ale są przecież inne szkoły, w których też znajdzie się praca. Kiedy człowiek już się na coś zdecyduje, wszystko jest możliwe. Dziecko (rzecz jasna) zabierze ze sobą, daleko, bo to nie będzie dla niego dobre środowisko, nie daj

Bóg wyrośnie na dzieciaka, który w środy mówi tylko po francusku, i nie zrozumie, co to jest miłość. Umierała z miłości do tego dziecka. Było to uczucie, którego nikt w tym domu nie potrafiłby zrozumieć. Był czas, kiedy sama nie umiała pojąć miłości, i potworny wynikł z tego chaos. „Traktuj mnie tak, jakbym nie żyła”, powiedziała do Shirley, ale nie spodziewała się, że naprawdę tak zrobi. Tymczasem nie było nic. Żadnych wizyt, żadnych listów, żadnych urodzinowych podarków, ani słowa, nic. Miesiącami czekała na nią w dni widzeń, liczyła na to, że się zjawi z Tanyą na rękach („Popatrz, jest mamusia!”), że będzie prawić morały ich beznadziejnym rodzicom („Musicie się zobaczyć z Michelle, musicie”), ale nie. Listy pozostawały bez odpowiedzi, podobnie jak nadzieje, aż w końcu zaczęła myśleć, że tak musi być, że tak może jest najlepiej, niech żyją dalej własnym życiem, niech się od niej uwolnią, bo czy kiedykolwiek zrobiła dla nich coś dobrego? Nie kochała ludzi, których miała obowiązek kochać, a za coś takiego płaci się wysoką cenę, wcześniej czy później.

Kiedy trzeba odejść, nie wolno zostawiać śladów. Pakuje się tylko podstawowe rzeczy i wychodzi z domu. Jak gdyby nigdy nic, jakby się jechało do Leeds na zakupy (ale bierze się piękny samochód). Nie zostawia się żadnych dowodów, nie zostawia się odcisków palców na całej długości trzonka zakrwawionej siekiery. Po to, żeby osłonić innych. Tym razem dziecko zabierze ze sobą. Obdarzy je taką miłością, że co rano będzie promieniało szczęściem, a ona nareszcie dostąpi stanu powszechnej łaskawości.

Będzie musiała przestać wieść życie, które jest tylko kolejną wariacją na temat pasterskiej sielanki. Tym razem będzie musiała pomyśleć o czymś zupełnie innym. Prawdopodobnie wyjedzie za granicę, do Włoch albo do Francji. Oczywiście człowiek nigdy nie odejdzie wystarczająco daleko – nawet jeśli to będą Chiny albo Patagonia – bo nie ma takiego miejsca, które by było dostatecznie daleko. Cała sztuka polega na tym, żeby ruszyć i iść. Cała sztuka polega na tym, żeby zabrać ze sobą pędraka. I jedno jest pewne: nie ma odwrotu.

Postanowiła dać mu szansę, żeby pojechał z nią, tylko jedną



jedyną szansę. Będzie tym wstrząśnięty, zapewne z nią nie pojedzie, ale będzie miał możliwość, będzie miał wybór.

Jechał na rowerze (Boże, te staromodne tasiemki, które ściagały u dołu nogawki jego tanich czarnych spodni) i obejrzał się, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Miała opuszczony dach i kiedy się zrównali, zaśmiał się wesoło. Zatrzymała się, a on stanął i zeskoczył z roweru.

– To naprawdę niezła fura, pani Weaver – powiedział, kiwając z uznaniem głową, jak sprzedawca w komisie samochodowym.

– Absolutnie, pastorze – odpowiedziała.

Klepnęła znacząco w siedzenie obok siebie i zapytała:

– Ma pan ochotę na przejażdżkę?

Rozłożył bezradnie ręce, wskazując na swój rower, ale po chwili powiedział:

– A... co mi tam. – I położył rower w wysokiej przydrożnej trawie.

Ale kiedy położył rękę na klamce, nagle pochyliła się ku niemu i patrząc mu w oczy, zrobiła ruch, jakby na chwilę chciała go zatrzymać.

– Ale muszę pana uprzedzić, że mam zamiar pojechać i nie wracać, już nigdy tutaj nie wracać, a kiedy ruszę, będę jechać bardzo szybko...

Patrzył na nią uważnie.

– Pani nie żartuje, prawda?

Pomyślała, że bardzo jej się podoba, gdy wygląda na takiego poważnego, zafrasowanego chłopczyka, waży jej słowa i zastanawia się, co odpowiedzieć.

Włączyła silnik.

– Liczę do dziesięciu...

### **Historia nr 3, 1979**

#### **Wszystko z obowiązku, nic z miłości**

Michelle sądziła, że bywała już wściekła. Ale tak wściekła nie była jeszcze nigdy. Czuła się jak wulkan z zatkanym kraterem, który nie może się pozbyć wrzątku. Jak to się nazywało? Magma? Lawa? Do jasnej cholery, nie potrafiła zapamiętać najprostszych słów. Amnezja poporodowa, gdzieś o tym czytała, ale jeśli to amnezja, to wybitnie selektywna, prawda? Bo nie pozwala zapomnieć o beznadziei i nędzy, i o tym, że jest nieszczęśliwa. Dzisiaj szło jej nawet dobrze, ale tylko do tej chwili – wszystko miała pod kontrolą, wszystko grało idealnie, i wtedy, głupio i bezmyślnie, włął z hukiem do domu i obudził dziecko.

Ciągnęła za siekierę z całych sił, ale tkwiła niewzruszenie w pieńku, niczym jakiś zafajdany Ekskalibur. Ogarnęła ją taka furia, że nie słyszała nawet, jak nadeszła Shirley, a kiedy się odwróciła i ją zobaczyła, aż podskoczyła.

– Jezu, ale mnie przestraszyłaś.

Na ułamek sekundy, bardzo mały ułamek, zapomniała, że jest nieziemsko wściekła, ale po chwili usłyszała, że w domu płacze dziecko – chyba połowa wschodniej Anglii słyszała ryk tego bachora – i wszystko znowu zaczęło w niej kipieć, i wiedziała, że tym razem nie zapobiegnie erupcji, że będzie potworny wybuch. Krakatau. O proszę, tyle jeszcze pamięta.

– Wyglądasz, jakbyś chciała tą siekierą kogoś ukatrupić – zaśmiała się Shirley.

– Bo chcę – odpowiedziała Michelle przez zaciśnięte wargi.

Wpadła do środka tylnymi drzwiami, rozwścieczony wiking zdobywca, a kiedy Keith ją zobaczył, parsknął śmiechem i oboje z Shirley – cholera jasna! – śmiali się z niej, jakby żadne z jej słów nie miało znaczenia, jak gdyby sama nie brała swoich słów

serio, i uniosła siekiere, wysoko, choć niezdarnie, bo w nerwowym napięciu nie umiała wyczuć środka ciężkości, i cisnęła nią w Keitha. Ale to był słaby, dziewczęcy rzut. Siekiera odbiła się od czegoś i spadła z hukiem na podłogę, nie robiąc nikomu krzywdy.

Keith stanął osłupiały, a potem wpadł w szal, w jeszcze większą wściekłość niż ona. Najpierw sądziła, że to z powodu siekiery, choć leżała kilometry od niego, ale po chwili zorientowała się, że Keith wykrzykuje coś o Tanyi.

– Mogłaś w nią trafić, idiotko, mogłaś jej coś zrobić!

– Uspokój się, to śmieszne. Siekiera spadła daleko od niej – odparła cicho. On wrzasnął.

– Ty pojebana idiotko! Daleko nie daleko, to bez znaczenia! Kompletnie ci, kurwa, odbiło!

Nagle się wystraszyła, nie na żarty, zobaczyła, że Keith stracił panowanie nad sobą, że w niczym siebie nie przypomina, i zobaczyła, jak robi krok w stronę siekiery, ale sekundę później siekiera była już w rękach Shirley i Shirley nie rzuciła nią słabo jak dziewczynka, w ogóle nią nie rzuciła, uniosła ją nad głowę i całym ciężarem spuściła jej ostrze na głowę Keitha. I natychmiast zapadła cisza. Nawet dziecko przestało płakać.

Shirley zrobiła kurs pierwszej pomocy w towarzystwie dobroczynnym St John Ambulance, ale nie trzeba było kończyć żadnych kursów, żeby wiedzieć, że Keithowi nic już nie pomoże. Michelle osunęła się na podłogę. Siedziała, obejmując się rękami, jakby miała na sobie niewidzialny kaftan bezpieczeństwa. Bujała się w przód i w tył, do jej uszu docierało dziwne, dojmujące syczenie, a po chwili zdała sobie sprawę, że to dziwne syczenie wydobywa się z jej ust.

– Przestań – powiedziała Shirley.

Ale Michelle nie umiała powstrzymać tego głosu, więc Shirley złapała ją za koszulę i podniosła na nogi.

– Zamknij się, Michelle, zamknij się! – wrzasnęła jej w twarz.

Ale Michelle nie potrafiła i Shirley uderzyła ją z całych sił, i Michelle znowu przysiadła.

Szok był wielki, Michelle bała się, że straci oddech i przestanie oddychać, i myślała tylko o tym, żeby się zwinąć

w kłębek i zniknąć gdzieś raz na zawsze.

– Właśnie zrujnowałaś nam życie, nie mówiąc o Tanyi.

„Nie mówiąc o Keicie”, pomyślała jeszcze Michelle, ale wiedziała, że Shirley ma rację, że w gruncie rzeczy to wszystko jej wina. Podniosła się więc z podłogi – czuła sztywność w członkach, jak stara kobieta – podniosła siekiere, która na szczęście nie utknęła w jego głowie, za co można było być jej wdzięcznym, wytarła starannie trzonek o dzinsy i złapała go w kilku miejscach.

– Jedź – powiedziała do Shirley.

Tanya stała, opierała się o krawędź kojca, i nagle, jakby ktoś ją ukłuł szpilką, znowu zaczęła niemiłosiernie płakać. Shirley wzięła ją na ręce i spróbowała uciszyć, ale wyglądało na to, że to dziecko już nigdy nie zechce być cicho.

– Jedź, Shirley, jedź już – prosiła Michelle. – Proszę.

Shirley ostrożnie postawiła dziecko na podłodze.

– Obiecuję, że się nią zajmę – powiedziała.

– Wiem – odpowiedziała Michelle. – Zabierz ją, niech zaczniesz życie na nowo, bądź dla niej matką, jaką ja nie umiem być.

Bo jeśli mogła komuś na tym świecie ufać, to tylko siostrze.

– Dobrze – odpowiedziała Shirley.

Można by pomyśleć, że robi to wszystko nie pierwszy raz, taka była opanowana i taka rozsądna.

– Dobrze. Zawiadomię policję i powiem im, że zastałam cię w takiej pozycji, w jakiej siedzisz, dobrze? Dobrze, Michelle?

– Dobrze.

Potem Shirley podniosła słuchawkę i wykręciła numer policji, a kiedy operator odebrał, zaczęła histerycznie krzyczeć (można by ją wziąć za najlepszą aktorkę świata). W końcu uciszyła się, odłożyła słuchawkę i obie czekały w milczeniu na przyjazd radiowozu. Pędrak zasnął na podłodze. Było zimno. Michelle miała ochotę trochę posprzątać przed przyjazdem policji, ale brakowało jej sił i energii. Wreszcie usłyszały wycie policyjnej syreny, potem drugiej, a potem rżenie opon na szutrowej drodze przed domem, i Michelle powiedziała do Shirley:

– Nigdy nie jadłaś czekoladowej babki.

## Theo

Ufarbowała włosy na uderzający różowy kolor, który kojarzył mu się z flamingami. W tym różu było jej znacznie lepiej niż w kremowej żółci. Po prostu wyglądała zdrowiej. Zresztą była zdrowsza, dbał o to. Co tydzień musiała przybierać co najmniej kilogram, ale trudno się dziwić, skoro karmił ją, mając w głowie tylko ten jeden cel, typowy dla rodzica tuczącego pociechę: tosty z fasolką, na noc odżywka, makaron z serem, bekon, kielbaski, purée ziemniaczane, banany, czereśnie i brzoskwinie – nie lubiła jabłek. On też ich nie lubił. Laura lubiła jabłka. Lily Rose nie była Laurą. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Sam jadł tyle, co kot napłakał. Więcej radości sprawiało mu patrzenie, jak je Lily Rose. Patrząc na nią, nikt by nie pomyślał, że może mieć taki apetyt. Jadła za dwóch, jakby w mgnieniu oka chciała nadrobić lata niedojadania.

Spała w pokoju Laury, a pies spał przy jej łóżku. On nie podchodził do psa, bo Lily Rose bała się, że sierść przyprawi go o kolejny atak astmy. On też się tego obawiał, ale opowiedział jej o Makuchnie, o tym, jak szybko się do niej przyzwyczaił i że właściwie doszedł do wniosku, że człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego.

– Tak – odpowiedziała. – Też tak myślę.

Oglądali album ze zdjęciami Makuchny. I Laury.

– Jest ładna – powiedziała Lily Rose, a on był wdzięczny, że nie użyła czasu przeszłego, bo to zawsze bolało.

Nie powiedział Jenny, że Lily Rose z nim mieszka. Mógł sobie wyobrazić, co starsza córka miałaby mu do powiedzenia.

Dostał pocztówkę od Jacksona. Z różową stokrotką, tak samo różową jak włosy Lily Rose. Postawił ją na kominku, obok zdjęcia Makuchny, zrobionego, gdy była jeszcze szczeniakiem. Jakoś dziwnie utożsamiał Makuchnę z Lily Rose: małe

porzucone istoty, z którymi życie obeszło się źle i które miały nowe kwiatowe imiona. Lily Rose powiedziała mu, że przybrała nowe imię, bo chciała być kimś innym, chciała zacząć wszystko „na nowo”.

Lily Rose była wytworem mocno zaburzonego życia rodzinnego i potrzebna jej była fachowa opieka. Miała na koncie ucieczki z domu, narkotyki, drobne kradzieże, nawet prostytutkę, choć teraz wydawała się czysta jak łąka. Jej matka zamordowała jej ojca i wychowywali ją dziadkowie, którzy, jak się okazało, nie byli wiele lepsi od rodziców (podejrzywał, że chodziło o molestowanie seksualne). Jej życie było równie nierealistyczne, jak program telewizyjny – film dokumentalny albo kiepska opera mydlana. Mimo wszystko robiła wrażenie szczęśliwej, bawiła się z psem w ogrodzie, zjadała lody, czytała czasopisma. Uwielbiała, gdy budził ją rano filiżanką posłodzonej herbaty i tostem z masłem. Wieczorami (co może się wydawać dziwne) zabierali się do układania dużych puzzli.

– Z nas jest taka popieprzona parka pensjonariuszy domu starców – mówiła, ale z uśmiechem i sympatią.

Wcale nie chciał jej ratować, nie chciał jej zatrzymywać ani zmieniać, choć robił wszystko, żeby tak było, i dalej będzie tak robił, jeśli ona dalej będzie się na to zgadzać. Nie robił jednej rzeczy: nie martwił się o nią. Przydarzyło jej się tyle złego, że wydawała się odporna na zniszczenia i impregnowana na zło. Napawało go radością samo to, że może jej przywrócić dzieciństwo. Kiedy nadejdzie czas, życie Lily Rose potoczy się dalej, a on będzie umiał dać sobie z tym radę.

## Historia nr 2, 1994

### Zwykły dzień

To, co jej się przydarzyło z panem Jessopem, było strasznie głupie. (Wciąż powtarzał, żeby mówiła mu Stan, ale nie potrafiła, bo brzmiało to niestosownie, przecież był nauczycielem). Głupie i śmieszne, bo wcale nie czuła się jakoś specjalnie przez niego zauważona. Kilka razy odwiedzała go Christina, Josh także, a przed rokiem zaprosił na grilla całą grupę, z którą miał biologię. Wtedy pierwszy raz była u niego w domu. Grilla popsukała rześista ulewa, więc Jessop pojechał do marketu i kupił mnóstwo rzeczy do kanapek, a ona robiła potem te kanapki w kuchni razem z Kim. Zawsze mówiła do niej Kim, nigdy pani Jessop. Wydawało się jej, że Kim jest zła z powodu tak wielu niespodziewanych gości – kilka tygodni wcześniej urodziła im się córeczka, więc właściwie trudno się dziwić. Kim miała tyle samo lat co Jenny, ale trudno byłoby znaleźć na świecie dwie tak różniące się od siebie istoty.

Zrobiły kanapki z szynką, tanią i niezbyt świeżą (taką świeżącą, z folii, firmy Kraft, dla wegetarian). Kim smarowała rozpływającą się margaryną gąbczasty biały chleb Sunblest, a Laura patrzyła na to i myślała: „Uu... ohyda...”. Bardzo się potem besztala w duchu za ten mieszczański snobizm. Tato miał bzika na punkcie zdrowego żywienia – dla córek zawsze miał w domu pyszne, gotowane w domu obiady, chleb razowy, mnóstwo świeżych owoców i warzyw (Bóg raczy wiedzieć, co za szajs jadł sam, gdy miał już sposobność coś przekąsić). Oczywiście niewielu zamożnych ludzi stać na dobre i w pełni zdrowe jedzenie, ale w końcu Jessopowie nie byli tacy biedni. Nauczyciele bez przerwy burczeli coś o niskich pensjach, ale trudno było dopatrywać się w ich domach śladów jakiejś szczególnej pauperyzacji. Choć właściwie Josh miał rację,

twierdząc, że Kim to „biały margines” i że to w sumie dziwne, że pan Jessop się z nią związał i zamieszkał w norze, w której nieustannie zajeżdżało kwaśnym mlekiem i nieupranymi pieluchami.

Na nogach miała czerwone buty na wysokich obcasach, obuwie, którego raczej trudno oczekiwać u młodej matki (i żony nauczyciela). Włosy miała utlenione, niemal białe, w stylu klasycznej głupiej blondynki, i kolor ten sprawiał, że jej cera wyglądała niezdrowo. Miała nad panem Jessopem władzę absolutną. Kontrolowała go mrugnięciem oka, ale w klasie był zupełnie inny (choć nie aż tak, żeby zwracać się do niego per Stan). W klasie pan Jessop był dowcipny i cyniczny, i zawsze miał do powiedzenia coś przeciwko szkole. W niczym nie przypominał innych nauczycieli nauk ścisłych, już bardziej mógłby być podobny do nauczycieli angielskiego. U siebie w domu był o wiele mniej interesujący, a mogłoby się zdawać, że powinno być odwrotnie.

Kiedy Kim i Nina zeszły na dół, dziewczęta zaczęły gruchać nad niemowlakiem. Nawet chłopcy wyrażali zainteresowanie, jakby dziewczynka była naukową nowinką („Czy ona umie już patrzeć w jedno miejsce? Czy ona panią rozpoznaje?”). Tylko Laura nie czuła najmniejszego zainteresowania dzieckiem. Wiedziała, że to się zmieni, kiedy urodzi własne. Ale cudze dzieci w ogóle jej nie ruszały. Kim nie karmiła piersią. Zapytała o to jedna z dziewcząt, Andi, a Kim odpowiedziała ze wstrętem: „Ależ skąd!”, jakby nie mogła sobie wyobrazić nic bardziej nienaturalnego, a Josh i Laura wymienili znaczące spojrzenia i z trudem powstrzymali się od śmiechu.

– Oczywiście nie jestem tak wykształcona jak wielu z was – powiedziała Kim, kiedy myły razem w kuchni naczynia i kiedy zdążyły już zawrzeć bliższą znajomość.

Pan Jessop kupił skrzynkę piwa i kilka kartonów wina, więc wszyscy w salonie byli już trochę wstawieni, w tym kretyńskim, młodzieżowym, hałaśliwym stylu. Ale Kim i Laura nie piły. Laura dlatego, że była na antybiotykach w związku z infekcją ucha, a Kim z powodu niemowlaka.

– Muszę się mieć na baczności. Nie mogę pozwolić, żeby mi



przycmiło rozum – powiedziała i zaśmiała się wesoło, a Josh szepnął do Laury: „O ile ma jakiś rozum...”, ale Laura udała, że nie słyszy, bo widziała, jak pan Jessop na nich patrzy, i bała się, że wie, o kim mówią.

Kim pochodziła z Newcastle i mówiła z akcentem geordie, który wydawał się taki obcy. To, że była z prowincji, budziło w nich nawet lęk. Laura wyobrażała sobie, że północ zamieszkuje zahartowane, bezduszne i cholernie racjonalne kobiety, z którymi nikt nie ma ochoty zadzierać.

– Rzuciłam szkołę, kiedy miałam szesnaście lat – opowiadała jej. – Poszłam jeszcze na rok do college’u, skoro pytasz, na zajęcia dla sekretarek...

– O...

Laura nie słuchała uważnie, bo polerowała kuchenny blat, choć nie było na nim widać ani jednej plamy. Bo trzeba powiedzieć, że Kim, może nierozgarnięta i niewiele warta, umiała utrzymywać dom w czystości. W jej domu aż lśniło, a to bardzo by się tacie podobało. Jakże byłoby cudownie, gdyby krótko przed jej wyjazdem na uczelnię (absolutnie nie wcześniej) tato poznał jakąś naprawdę miłą i dobrą kobietę (nie Kim), dojrzałą, może być nawet trochę bez gustu, byleby potrafiła mu stworzyć dom, docenić jego zalety i przynieść mu wiele, wiele szczęścia. Zasługiwał na to, żeby być szczęśliwym. Bo kiedy ona wyjedzie na studia, tato będzie miał złamane serce, choć nie da tego po sobie poznać. Może nie złamane serce (w każdym razie nie będzie się czuł tak jak ona po stracie Makuchny), ale na pewno będzie mu strasznie, strasznie smutno, bo tak długo żyli razem, tylko we dwoje, a on żył właściwie tylko dla niej. Dlatego wybrała dalekie Aberdeen, bo nie leżało u progu ich domu. Musiała się wyrwać daleko, żeby zacząć być sobą. Dopóki będzie przy ojcu, będzie tylko dzieckiem.

Nie będzie taka jak Jenny. Jenny nie była w porządku. Nie dzwoniła, nie pisała. Zawsze to tato się do niej odzywał. Zupełnie jakby jej na ojcu nie zależało. Kiedy ona wyjedzie, będzie do niego systematycznie dzwonić. Kupiła już sobie dwa zestawy pocztówek (z dowcipami i z małymi zwierzątkami),

które miała mu zamiar regularnie wysyłać. Kochała go najbardziej na świecie. Dlatego zgodziła się pracować w jego kancelarii, choć tylko kilka tygodni. Potem zniknie, pomknie ku przyszłości jak strzała. Nie mogła się tego doczekać.

\* \* \*

Po tamtym dniu, dniu, kiedy nie było grilla, zaczęła się opiekować ich dzieckiem. Najwyraźniej to Kim zasugerowała panu Jessopowi takie rozwiązanie, więc musiała ją polubić (choć tego nigdy nie wiadomo). Pan Jessop zaproponował jej to któregoś dnia po zajęciach, a ona odpowiedziała: „Hm, no dobrze, ale ja nic nie wiem o dzieciach”, a on na to: „Ależ my również, Lauro”.

Zwykle namawiała Emmę, żeby opiekowała się córką Jessopów razem z nią, bo Emma знаła się na dzieciach jak mało kto. Kochała maluchy bardzo, co miało paradoksalne i dość smutne powody, bo przeszła już aborcję i strasznie to przeżywała. Należała jednak do ludzi, którzy zawsze radośnie się uśmiechają, i dlatego Laura tak ją lubiła. Najczęściej u Jessopów plotkowały i odrabiały razem zadania domowe. Czasem zbierały się na odwagę i zaglądały do szafy Kim, co samo w sobie było dobrą lekcją życia. Ale nie czuły się dobrze w ich sypialni, bo, zapewne w przeciwieństwie do sypialni innych małżeńskich par, nader łatwo można było tam sobie wyobrazić, jak Kim i pan Jessop uprawiają seks – a to było bardzo krępujące.

Ojcu powiedziała, że jest dziewicą, bo wiedziała, że to właśnie chciałby usłyszeć, a w tym wypadku kłamstwo nikomu nie szkodziło, przeciwnie, miało nawet skutki dobroczynne. Ponadto niewiele mijala się z prawdą, bo spała jak dotąd tylko z czterema chłopakami, a jednym z nich był Josh, który właściwie się nie liczył, bo razem chodzili do szkoły podstawowej, a poznali się jeszcze w piaskownicy i oboje doszli do wniosku, że to doskonały pomysł, żeby razem zaliczyć ten cały pierwszy raz, bo tak będzie bezpieczniej i sympatyczniej, nawet jeśli dość dziwnie – po prostu lepiej. Na pewno lepiej niż w przypadku Emmy, która miała swój pierwszy raz z dużo

starszym, żonatym mężczyzną (w jego samochodzie, Boże jedyny!), albo niż w przypadku biednej Christiny, którą zgwałcił na imprezie jakiś dureń, podawszy jej wcześniej w kieliszku jakieś usypiające proszki.

Zrobili to w pokoju Josha, do którego jego rodzice nigdy nie wchodzili. Jego ojciec i matka należeli do ludzi liberalnych i nastawionych do życia artystycznie. Dawali mu wolną rękę już od dwunastego roku życia (to doprawdy niesamowite, że wyrósł na całkiem przyzwoitego chłopaka). Siedzieli na dole przed telewizorem i oglądali film przyrodniczy o wielorybach.

Na początku wszystko wydawało się śmieszne i nie mogli się powstrzymać od chichotania. Potem zrobiło się poważnie, bo niczym studenci anatomii zgłębiali tajniki swoich ciał, a potem zaczęli prowadzić grę wstępną według skrzętnie wyczytanych podręcznikowych zasad, ale nagle się zatracili, nie wiadomo nawet kiedy znaleźli się na podłodze, jak pieski, i całe szczęście, że telewizor był nastawiony głośno, bo Laura słyszała własne krzyki, jakby nadpływały z daleka, od kogoś obcego, a potem, kiedy leżeli na podłodze, ogłuszeni falą, która nimi zawiądnęła, słyszeli tylko śpiew wielorybów i równocześnie zaczęli się śmiać, bo dotarło do nich, że rodzice mimo wszystko musieli ich słyszeć, ale nawet jeśli, to nigdy nie wspomnieli o tym słowem. „Trochę nas to zaskoczyło, prawda, panno Wyre?“, zauważył Josh, a ona zapytała: „Można prosić o jeszcze?“, na co Josh odparł: „Boże, kobieto, daj mi choć minutę”.

Kiedy ojciec po nią przyjechał, od razu zapytał: „Dobrze się czujesz? Masz wypieki na policzkach”, a ona odpowiedziała: „Niewykluczone, że coś złapałam”. W domu zrobił jej herbatę z miodem i cytryną, a ona usiadła na łóżku, w piżamie, z Kubusiem Puchatkiem, objęła ojca, przytuliła się do niego i powiedziała: „Dziękuję ci, Najlepszy na Świecie Tato”, z nadzieją, że nie wyczuje zapachu nasienia Josha. Mieli wtedy czternaście lat. Zrobili to jeszcze kilka razy i wiedziała, że Josh się w niej zakochał, ale była mu wdzięczna, że jest na tyle ostrożny, żeby nigdy jej o tym nie powiedzieć.

Kilka razy odwiedziła Jessopów towarzysko, nie żeby się opiekować Niną. Z czasem bardzo polubiła Kim. Jako jej

przyjaciółka bardziej czuła się kobietą, a mniej dziewczyną. Któregoś dnia, po kolacji, na którą podano (ciężki) stek i chrupki, Kim wyskubała jej brwi i zrobiła szalowy manikiur. Najczęściej Laura odwiedzała ją w sobotnie popołudnia, kiedy Stana nie było w domu. Siadały w ogrodzie, rozmawiały, a mała Nina raczkowała wokół nich po trawniku. W soboty Stan grał w amatorskiej drużynie w piłkę nożną. „Chłopom trzeba się dać wyhasać”, mówiła Kim, jakby ją instruowała, co robić, gdy ma się w domu nieznośnego pieska. Właśnie wtedy po raz pierwszy spotkała się ze Stuartem Lappinem. Kosił trawę po drugiej stronie płotu. Kiedy skończył, wychylił głowę zza ogrodzenia i zaproponował, że po sąsiedzku może też skosić trawę u Jessopów, a Kim, nie przerywając pilowania paznokci, odpowiedziała głośno: „Nie, Stuart. Dziękuję”. Nawet na niego nie spojrzała. Taka odpowiedź wydała się Laurze trochę niegrzeczna i na pocieszenie posłała Stuartowi nieśmiały uśmiech.

„Nie znoszę go – syknęła Kim, kiedy zniknął. – Przymiła się tak, że można się skichać. Dawno skończył trzydzieści lat, a mieszka z mamusią. Żalosne”, a Laura zauważyła: „Chyba jest nieszkodliwy”, na co Kim odpowiedziała: „Takich najbardziej się wystrzegaj”.

Ostatni raz odwiedziła ich krótko przed egzaminem końcowym. Pan Jessop zaproponował, że powtórzą u niego materiał. Nie widziała w tym nic niestosownego, bo nieraz pomagał w ten sposób innym uczniom. Była rozczarowana, że nie ma Kim. „Och, zabrała Ninę do swojej mamy”, mruknął od niechcenia, jakby niewiele go obchodziło, co robi jego żona. Na stole w jadalni położył kilka podręczników i duży notatnik, ale Laura nie zdążyła nawet usiąść, gdy zaczął się do niej dobierać. Zaszedł ją od tyłu, chwycił w pasie i próbował całować po karku, a z jego ust zalatywało stęchłą wonią alkoholu. To było obrzydliwe. Laura wpadła w furję. Co on sobie myśli? To nieetyczne! Dźgnęła go łokciem w brzuch i krzyknęła, żeby ją natychmiast puścił, ale pan Jessop nie puszczał. Powiedział tylko: „Och, Lauro, daj spokój, robiłaś to z połową chłopaków z klasy. Teraz przyszedł czas na prawdziwego mężczyznę, sama

wiesz, że chcesz”. Kanalia! Co za świnia! Spróbowała nastąpić mu obcasem na stopę, jak ją uczono na kursie samoobrony, ale nie było to łatwe, bo wciąż mocno ją trzymał i przyciskał do siebie, i kiedy dotarło do niej, że mu się nie wyrwie, ogarnął ją paniczny strach. Odwrócił ją do siebie, żeby ją pocałować w usta, i jednocześnie sięgnął ręką do jej krocza. Całe szczęście, że miała na sobie dzinsy. Ale ten ruch osłabił jego żelazny uścisk. Zdołała odchylić się na tyle, żeby mu wpakować palec w oko. A potem uciekła.

Powtarzali materiał z Joshem, na dziedzińcu kościoła Świętej Marii Mniejszej. Było gorąco i zaczęli trochę figlować. Mało kto zaglądał na kościelny dziedziniec, więc nie czuli się onieśmieleni. Ale nagle usłyszeli za sobą gwałtowny szmer liści, jakby jakieś zwierzę torowało sobie drogę przez bujną letnią roślinność. A potem nagle zza jakiegoś nagrobka wychynęła ku nim twarz mężczyzny. Laura pisnęła przeraźliwie, bardzo dziewczęco, a Josh zachował się mężnie, choć dzinsy miał opuszczone do kostek, i krzyknął gromkim głosem w stronę nagrobka: „Spieprzaj, dziadu!”. Oboje zanieśli się śmiechem i przewrócili na ziemię. Laurze wydawało się przez chwilę, że mężczyzna kogoś jej przypomina. Dopiero kilka tygodni później, kiedy zamówił u niej w barze małe piwo z lemoniadą, uświadomiła sobie, że to sąsiad Jessopów, ten od kosiarki. Nie pamiętała jednak jego imienia. Na szczęście, jak jej się zdawało, nie poznał jej.

W tym czasie wszyscy już gdzieś zniknęli: Christina wyjechała na rok do Tanzanii, żeby uczyć w szkole, Ayshea całe lato spędzała we Francji, Joanna objeżdżała pociągami Europę z Pansy, Emma była w Peru (Emma, Boże kochany!), a Josh pracował jako opiekun na jakimś obozie gdzieś w Michigan. Czują się, jakby została sama. Umówili się przed pawilonem Hobbsa w parku Parker’s Piece, za dziesięć lat, ale czy to w ogóle realne? Pan Jessop próbował jeszcze zorganizować „pożegnalne party” swojej klasy, ale jakoś nikt nie miał czasu. Zresztą ona i tak by nie poszła. Od czasu gdy ją napastował, nie widziała się z nim ani razu. Tato, człowiek anielskiego serca, pytał ją: „Nie masz ochoty wybrać się w jakąś podróż, Lauro?”

choć sama myśl o tym, że miałyby mieszkać za granicą, skąd nie mógłby jej wieczorami odbierać samochodem i podwozić do domu, była dla niego męką piekielną, nie do zniesienia.

Następnym razem wpadła na niego, kiedy wychodziła z księgarni Heffers. Odruchowo powiedziała dzień dobry, bardzo neutralnie. Nie wyglądało to tak, jakby miała ochotę wdać się w dłuższą konwersację, a dzień później na wycieracze przed domem siedział ten pluszowy miś. Nie skojarzyła nawet jednego z drugim, w każdym razie nie świadomie. Brzydki różowy miś, z głupio wybałuszonymi oczami, z których patrzyło źle, zupełnie inny od tych ładnych, starych i tradycyjnych, które kolekcjonowała i układała sobie na łóżku. Miś na wycieracze należał do rzeczy tego rodzaju, które ktoś pozbawiony gustu kupuje komuś, o kim wie tylko tyle, że je zbiera.

Na jeden dzień wyjechała do Londynu (powoli zaczynała nienawidzić przyjaciół i znajomych za to, że na całe lato wyjechali z Cambridge). Odwiedziła Muzeum Brytyjskie, pochodziła trochę po sklepikach, kupiła sobie coś do ubrania, ale chodzenie po Londynie w pojedynkę to nie to samo. Nie widziała, jak wsiadał do jej pociągu na King's Cross, ale dziesięć minut po tym, jak pociąg ruszył ze stacji, zobaczyła, że wchodzi do jej wagonu i przygląda się pasażerom. Była pewna, że to jej szuka, chociaż kiedy ją zauważył, udął, że jest zaskoczony. Na szczęście w pobliżu nie było wolnych miejsc, ani z tyłu, ani z przodu. Kiedy jednak dojeżdżali do Cambridge i stanęła przy drzwiach, przeszedł przez cały wagon i stanął tuż za nią. I po raz pierwszy przemówił: „Pani wysiada?”, co było cholernie głupkowate, bo przecież widać było, że wysiada, ale odpowiedziała uprzejmie: „Tak”. Potem, kiedy znaleźli się na peronie, podszedł i zapytał: „Czy mogę panią podwieźć do domu? Na parkingu mam samochód”, a ona odpowiedziała: „Nie, dziękuję, czeka na mnie ojciec”, i szybkoitko się oddaliła. Wtedy przypomniała sobie, że ma na imię Stuart. Kim miała rację, facet był żaloszny, beznadziejny. Nie mogła już odwiedzić Kim, bo to by oznaczało spotkanie z panem Jessopem. Dzwoniła do niej kilka razy, ale zawsze odbierał pan Jessop, więc nic nie mówiła, tylko odkładała słuchawkę. Ostatnim

razem wściekł się i krzyknął do telefonu: „Kim, to ty?! Gdzie, kurwa, jesteś?!”, więc doszła do wniosku, że między nimi nie jest najlepiej.

Przyszedł ostatniego wieczoru jej pracy w pubie. Usiadł w kącie i przez całą długą godzinę sączył małą szklanekę piwa z lemoniadą. Kiedy w końcu zebrał się do wyjścia, podszedł do niej i powiedział: „Nie wiem, dlaczego udajesz, że mnie nie widzisz”, a ona odparła ze zdziwieniem: „Nie wiem, o czym pan mówi”, a on na to: „Dobrze wiesz, że łączy nas coś niezwykłego. Nie zaprzeczysz, trudno ci to ukryć”, a ona wpadła we wściekłość (na miłość boską, ten facet to kompletny świr!), bo owszem, było jej go trochę żal, ale teraz nieproszony włączył z butami w jej prywatne życie – jak pan Jessop – więc powiedziała: „Proszę pana, nie znamy się. Proszę mnie zostawić w spokoju. Mój ojciec jest prawnikiem i jeśli nie przestanie mnie pan nachodzić, będzie pan miał poważne kłopoty”, ale on odparł: „Twój ojciec nie jest w stanie zabić naszej miłości”, po czym wyniósł się chyłkiem, a menedżer, który widział z daleka, że rozmawiają, podszedł do niej i zapytał: „Wszystko w porządku?”, a ona odpowiedziała: „Tak, wypił o jednego za dużo i tyle”. Oczywiście nigdy nie powiedziała o tym ojcu, bo zamartwiłby się na śmierć. Zresztą Stuart Lappin naprawdę był nieszkodliwy. Kompletny wariat, świr, ale nieszkodliwy.

Dobłą stroną pracy w barze było to, że miała wolny cały dzień, bo pracowała wieczorami. A praca w biurze przez całe lato to prawdziwa mordęga. Za to tato był szczęśliwy. Denerwował się, że pierwszego dnia jej pracy musi jechać w jakiejś sprawie do Peterborough i nie będą przez to razem.

Wymusiła na nim obietnicę, że do stacji pójdzie pieszo, bo po wizycie u nowego lekarza zaczął (podobno) nową kurację odchudzającą.

„Nie zapomnij inhalatora, tato”, przypomniała mu, kiedy wychodził z domu, a on poklepał się znacząco po kieszeni, zapewniając ją, że ma co trzeba. „Cheryl ci wszystko pokaże. Na pewno zdążę wrócić przed lunchem. Pójdziemy coś zjeść?”, zapytał, a ona odpowiedziała: „Bardzo dobry pomysł, tato”.

Potem odprowadziła go do drzwi i pocałowała w policzek. „Kocham cię, tato”, powiedziała na pożegnanie, a on odparł: „Ja ciebie też, moje słonko”. Długo patrzyła, jak idzie ulicą, bo ogarnął ją jakiś niepokój, że już go nie zobaczy, ale kiedy doszedł do rogu i odwrócił się do niej, pomachała do niego radośnie, bo nie chciała, żeby wiedział, że się o niego martwi, bo przecież tato martwił się za nich oboje.

Patrzyła za nim, aż zniknął za rogiem, i czuła, jak jej serce wypełnia niepokój, i zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś spotka kogoś, kogo będzie kochała tak bardzo jak ojca. Potem posprzątała po śniadaniu, włożyła brudne naczynia do zmywarki i szybko zrobiła porządek, żeby było czysto i ładnie, kiedy wieczorem wrócą razem do domu.



## Amelia

Koniec z dekarzami, koniec z różnymi Craigami, Garymi, Darrylami, koniec z Philipem i jego wściekle ujadającym pekińczykiem. Koniec z Oksfordem. Koniec ze starą Amelią. Czas na życie na nowo, na kogoś nowego.

Spodziewała się dzikiej orgii, ale to było zwykłe przyjęcie z grillem, jak zapowiadali („Och, przyjdź koniecznie!”), a głównym tematem rozmów były kłopoty ze znalezieniem uczciwego hydraulika i sposoby na zapobieganie obżeraniu przez ślimaki ostróżki. („Miedziana taśma jest dobra”, rzuciła, wzbudzając powszechne zainteresowanie. „Naprawdę? Niesamowite!”) Normalne przyjęcie, z tą tylko różnicą, że wszyscy byli nadzy.

Kiedy przyjechała nad rzekę (przerażona i z poczuciem, że ma na sobie za dużo ciuchów), podszedł do niej wolnym krokiem Cooper (przedstawił się: „Cooper Lock, swego czasu profesor historii w Oksfordzie, dziś nicpoń jakich mało”). Jądra bujały mu się w tę i we w tę. Wyciągnął rękę: „Amelio, cudownie, że przyszaś”, a Jean („Jean Stanton, prawniczka, alpinistka, sekretarz lokalnej komórki Partii Konserwatywnej”) podbiegła do niej w podskokach, uśmiechnięta – jej małe piersi falowały – i powiedziała: „Świetnie, że jesteś. Słuchajcie, to jest Amelia, bardzo interesująca osoba”.

Potem kąpała się z nimi nago w rzece i przypomniała sobie, jak pływała w dzieciństwie, i było zupełnie tak samo, tyle tylko że między jej ciałem a wodą nie było kostiumu i czuła, jak wodorosty oplatają jej nogi, niczym delikatne mokre wstęgi. Potem jedli kielbaski i steki z grilla i pili południowoafrykańskie chardonnay, a jeszcze później, kiedy już zapadł zmierzch, leżała obok Jean, w jej masywnym sosnowym dwuosobowym łóżu, na pomalowanym na biało

poddaszu, przy zapachowych świecach dobrej marki Diptyque. Suma, którą kosztowała jedna, wystarczyłaby na całoroczne utrzymanie całej rodziny w Bangladeszu. Ale Amelii udało się tym nie przejmować. Nie przejęła się także tym, że Jean była sekretarzem miejscowego oddziału Partii Konserwatywnej (choć oczywiście polityka nie mogła się nie znaleźć wśród tematów ich rozmów). Nie przejmowała się już ani tym wszystkim, ani wieloma innymi rzeczami, bo chociaż Jean zbliżała się do pięćdziesiątki, to wciąż miała jędrne, gibkie i opalone na brązowo ciało, które muskało delikatnie jej ciało, blade i wiotkie (czuła się jak zamknięty w skorupie morski stwór), a kiedy Jean powiedziała: „Jesteś smakowita jak wielki soczysty arbuz” (stara Amelia tylko prychnęłaby drwiąco, z wyższością), nowa Amelia pisnęła przejmująco, jak spłoszony ptak, bo Jean spięła jej *labia*, jak kot spija z miski mleko („Och, mów na nią cipa, Amelio, nie wstydz się”) i właśnie obdarowała ją pierwszym w jej życiu orgazmem.

To śmieszne, bo wcześniej naprawdę chciała umrzeć, a teraz naprawdę chciała żyć. Po prostu. I naprawdę o nic więcej nie musiała już prosić. Ma ogromny ogród, którym musi się zająć, kotów ma tyle, że więcej nie mogłaby wykarmić, i ma za sobą pierwszy orgazm. Czyżby istotnie była lesbijką? Wciąż pragnęła Jacksona. „W dzisiejszych czasach każdy jest bi”, mówiła nonszalancko Jean. Tak bardzo chciałyby choć raz zaszokować Julię. („Jean, to Julia, moja siostra. Julio, to Jean, moja kochanka. Henry? Och, wiesz, w dzisiejszych czasach każdy jest bi, Julio, nie wiesz o tym?” Ha!) Ale dla Julii musi być sympatyczniejsza, w końcu to jej siostra.

Nie były pewne, co zrobić z Olivią. Żadna nie chciała kremować jej szczątków, stracić tej resztki, która im została. Z drugiej strony tak długo leżała samotnie, zagrzebana w ciemnościach, że wydawało się niewłaściwe chować ją z powrotem w ziemi. Gdyby nie kłóciło się to z normami społecznymi (zapewne także z prawem), to Amelia wystawiłaby jej kości na widok publiczny, w czymś w rodzaju relikwiarza albo małej świątyni. Koniec końców pochowały ją w białej trumience w rodzinnym grobie, obok Annabelle, dziecka po

namyśle, na trumnie Rosemary. Obie chlipały przez cały pogrzeb. Fotoreporterzy z lokalnej prasy usiłowali pstryknąć kilka fotek („Zaginione przed laty dziecko wreszcie spoczywa w pokoju”), ale ciemnoskóry, wielki jak góra przyjaciel Jacksona miał im do powiedzenia kilka niemiłych słów. W Amelii Howell budził jednocześnie strach i pożądanie (potwierdzając tym samym, jak myślała, jej biseksualną naturę) i był, rzecz jasna, o wiele bardziej politycznie poprawny od Jean. Jackson – zupełny dziwak – zjawił się na cmentarzu w towarzystwie żółtowołosej bezdomnej dziewczyny, która nie była już wcale bezdomna, a włosy miała różowe. „Dlaczego?”, zapytała Amelia, a on odpowiedział: „Dlaczego nie?”, a Amelia na to: „Ponieważ...”, ale w tym momencie podeszła Julia i odciągnęła ją.

Czy po odnalezieniu Olivii poczuła się lepiej? Kiedy już wiedziała, że Olivia wyszła z namiotu i zabłądziła? Wyszła, gdy była pod jej opieką? Ona zasnęła, a jej siostrzyczka wyszła, zabłądziła i umarła. Czy to nie jej wina? Po pogrzebie podszedł do niej Jackson. „Niestety muszę złamać tajemnicę spowiedzi”, powiedział, jakby był księdzem. Jackson jako ksiądz, co za nęcący obrazek, w bardzo przewrotnym, perwersyjnym sensie. „Powie ci, co się stało – oznajmił. – I sama będziesz musiała zdecydować, co dalej z tym zrobić”. Nie powiedział Julii, ale powiedział jej. Wreszcie ma swój sekret.

Więc Olivia będzie miała grób, a ona będzie miała ogród. Zapełni ogród Binky Rain różami, Duchesse d'Angoulême, Félicité Parmentiers, Eglantyną i Gertrudą Jekyll, i bladymi rozetkami Boule de Naige, i delikatną Perdita, wszystko dla utraconej dziewczynki.

## Historia nr 1, 1970

### Rodzinny grób

Było gorąco. Za gorąco, żeby spać. Uliczna latarnia wlewała do pokoju przez cienkie letnie zasłony światło, niczym dodatkowe, choć mławe, słońce. Wciąż bolała ją głowa, jakby opinała ją ciasno ciężka obręcz. Może tak się odczuwa koronę cierniową? Na pewno Bóg każe jej cierpieć nie bez powodu. Czy to kara? Zrobiła coś złego? Coś gorszego niż zwykle? Co prawda uderzyła dziś Julię, ale czy to pierwszy raz? Wczoraj do łóżka Amelii włożyła pokrzywę, ale Amelia zadziera nosa i sama sobie zasłużyła. Aha, była dziś okropna dla mamy, ale mama nie pozostawała jej dłużna.

Z szafki w łazience wzięła opakowanie aspiryny i wyjęła trzy tabletki. W szafce zawsze było dużo różnych opakowań, butelek i fiolek z lekarstwami. Niektóre zdawały się leżeć tam od początku świata. Mama lubiła lekarstwa. Lubiała je bardziej od nich.

Wskazówki dużego podświetlanego budzika stojącego przy łóżku mamy wskazywały drugą w nocy. Zdjęła z półki wiszącej nad łóżkiem latarkę EverReady. Ojciec chrapał jak wieprz. Właściwie był świnia, wielką arytmetyczną świnia. Miał na sobie pizamę w pasy, a mama wełnianą koszulę nocną z falbanką wokół kołnierza. Rodzice leżeli odkryci, z rozrzuconymi w różne strony nogami i rękami, jakby spadli na łóżko z nieba. Gdyby była włamywaczem i mordercą, mogłaby ich zabić bez najmniejszego trudu, w ich własnym łóżku, i nawet by nie zauważyli, co się stało – mogłaby ich zakłuć albo zastrzelić, albo posiekać na kawałki siekierą i nic nie mogliby zrobić.

Lubiła się włóczyć nocą po domu. To był jej sekret, utajone drugie życie, o którym nikt nie wiedział. To czyniło ją

wszechwładną, pozwalało poznać sekrety innych. Weszła do pokoju Julii. To wręcz niemożliwe, żeby jej przeszkodzić we śnie. Julię można zepchnąć na podłogę i skoczyć na nią, a ona się nie obudzi. Można położyć jej na twarzy poduszkę i spokojnie udusić, i nie będzie miała pojęcia, co się dzieje. Była mokra od potu i taka gorąca, że nie można było przyłożyć do niej dłoni, i słyszać było, jak jej głęboki głośny oddech wydobywa się ciężko z płuc.

Nagle dotarło do niej, że łóżko Amelii jest puste. Gdzie ona jest? Czy Amelia także skrywa tajemnicę nocnych wędrówek? Nie, Amelia nie. Amelia nie ma dość inicjatywy (nowe słowo w jej słowniku), żeby mieć w życiu tajemnice. Czyżby spała z Olivią? Sylvia pospieszyła do pokoju najmłodszej siostry i ze zdumieniem stwierdziła, że Olivii także nie ma w łóżku. Połowa siostr zniknęła. Chyba nie porwali ich kosmici? O ile kosmici istnieją, a ona podejrzewała, że istnieją – Bóg z pewnością ich stworzył, bo Bóg stworzył przecież wszystko, czyż nie? A może jednak nie stworzył wszystkiego, tylko materię naszej galaktyki? Jeśli istnieją inne światy, to zapewne stworzyli je inni bogowie, tamtejsi, z kosmosu. Czy to nie bluźnierstwo?

Nie było niestety nikogo, z kim mogłaby omówić te zawikłane kwestie teologiczne. Nie wolno jej było chodzić do kościoła. Tato nie wierzył w Boga (ani w kosmitów), a szkolny katecheta powiedział jej, że powinna „dać spokój i przestać tyle myśleć”. Wyobraźmy sobie Jezusa, który mówi: „Daj spokój, nie myśl o mnie tyle”. Bóg bez wątpienia posłałby katechetę wprost do piekła. Życie jest takie trudne, kiedy cię wychowuje zadeklarowany ateista, który jest arytmetyczną świnią, i matka, której wszystko jest obojętne, a do ciebie przemawia Bóg. Nie wiedziała tylu rzeczy – ale weźmy Joannę d’Arc: francuska wieśniaczka, zupełny nieuk, ale jej się udało. Tymczasem ona nie jest ani nieukiem, ani wieśniaczką. Kiedy Bóg do niej przemówił, zaczęła czytać Biblię, wieczorem i nocami, pod kołdrą. Oświetlała kartki swoją niezastąpioną latarką EverReady. Biblia w żaden sposób nie odnosiła się bezpośrednio do jej życia. To ją czyniło arcyciekawą.

Usiłowała sobie przypomnieć, o której kładły się spać, ale

pamiętała ten wieczór jak przez mgłę. Zrobiło jej się niedobrze od upału i słońca i poszła spać wcześniej niż reszta rodziny. Czy kiedy odwróciła się do ściany i zasnęła, mama pozwoliła Amelii i Olivii spać w namiocie? Naprawdę? Przez całe lato (właściwie nie wiadomo z jakiego powodu) niewzruszenie zabraniała im spać w namiocie, poza domem.

Powoli zeszła na dół. Ominęła dwa skrzypiące stopnie. Tylne drzwi nie były zamknięte na klucz. Każdy mógł bez przeszkód wejść i popełnić wspomniane już morderstwo na całej słodko śpiącej rodzinie. To jasne, że drzwi nie były zamknięte, bo Amelia i Olivia spały w ogrodzie. Niebawem zaczną świtać. Słyszała już pierwsze śpiewy jakiegoś osamotnionego ptaszka. Trawa w ogrodzie była mokra. Skąd tyle rosy po tak suchym dniu? Musi o tym poczytać. Ruszyła przez trawnik, ostrożnie i powoli stawiając nogi, na wypadek gdyby nagle nastąpiła na jakieś pełzające ślimakowate ciało innego nocnego stworzenia, także wiodącego tajemny żywot.

Podniosła połę namiotu i wsunęła głowę do środka. Tak, są obie! Co za bezczelność! Z jakiej racji Amelii przypadła ta nagroda, że może spać w namiocie, i to nie tylko spać w namiocie, ale spać w nim z Olivią i Rascalem? To niesprawiedliwe. Ona jest najstarsza i to ona powinna spać w namiocie. Rascal wydostał się spod koca Olivii, podszedł do niej, merdając ogonkiem, i liznął ją po nosie.

Leżały bez ruchu na plecach, martwe wobec całego świata, niczym dwa trupy. Sylvia potrząsnęła stopą Amelii, ale Amelia nie zareagowała. Wcisnęła się do namiotu między siostry. W środku było potwornie parno i gorąco. Dość gorąco, żeby się udusić na śmierć. Które miejsce na ziemi jest najgorętsze? Pustynia Atakama? Dolina Śmierci w Ameryce? Jakies miejsce w Mongolii? Ale one przecież nie są martwe, prawda? Uszczypnęła Amelię w nos, a Amelia mruknęła coś przez sen i przewróciła się na drugi bok. Powinna zabrać Olivię z tego ukropu. Czarna dziura Kalkuty, ludzie, którzy tam umierali, wcale nie umierali z braku powietrza, tylko po prostu od upału – powszechny błąd. Błędne myślenie. Błędna koncepcja. Koncepcja, słowo doskonałe. Antykoncepcja. „Dziecko po

namyśle” – to jest dopiero antykoncepcja, a raczej jej brak. Ha! Doprawdy, mama powinna przestać rodzić, to jest po prostu nikczemne. Może mama w sekrecie jest katoliczką? To byłoby cudowne, mogłyby prowadzić długie konspiracyjne rozmowy o tajemnicy Pana, ceremonii, Maryi Dziewicy. Ciekawe: ani Maryja Dziewica, ani Jezus Chrystus nie przemówili do niej. Co prawda nie sądziła, by Jezus Chrystus rzeczywiście przemawiał do ludzi. Joanna d’Arc to co innego, Joanna d’Arc to potworna gaduła.

Potarła ucho Olivii. Mama opowiadała kiedyś, że w ten sposób wybudzano pacjentów w szpitalu, gdy pracowała jako pielęgniarka. Olivia się poruszyła, mruknęła coś bezradnie i znowu zapadła w sen. Sylvia szepnęła jej imię i Olivia z wysiłkiem podniosła powieki. Wciąż była w objęciach Morfeusza, ale kiedy Sylvia powiedziała szeptem: „Wstań i chodź ze mną”, posłusznie wyszła za nią z namiotu, na czworakach, z różowymi paputkami z pyszczkami królika w ręce. „Zostaw kpacie – powiedziała Sylvia. – Zobaczysz, jak miło poczuć pod stopami mokrą trawę”, ale Olivia potrząsnęła głową i włożyła kpacie na nogi. „Musisz się nauczyć buntować – mówiła dalej Sylvia. – Nie zawsze trzeba robić to, co każe mama albo tata, zwłaszcza tata – a po chwili dodała: – Z jednym wyjątkiem. Mnie powinnaś słuchać”. Chciała jeszcze dodać: „Bo Bóg przemówił do mnie słowem”, ale Olivia nie rozumiałaby, o co chodzi. Nikt by nie rozumiał. Nikt poza Bogiem oczywiście. I poza Joanną d’Arc.

Pierwszy raz Bóg przemówił do niej, kiedy siedziała przy samej bandzie na meczu hokeja. Ona, pomyslowa prawoskrzydłowa, została odesłana na ławkę kar za uderzenie przeciwniczki kijem w okolice kostki (chodzi przecież o to, żeby wygrać, prawda?). Siedziała posępna i z wściekłości gryzła wargi, gdy nagle usłyszała obok siebie głos: „Sylvio”. Ale kiedy się rozejrzała, nikogo w pobliżu nie zobaczyła, poza dziewczyną o nazwisku Sandra Lees, która mówiła z piszczącym akcentem z Cambridge, więc o ile Sandra Lees nie była brzuchomówcą ani nie zamieniła się w faceta, to nie mogła to być ona. Sylvia doszła do wniosku, że musiała się przesłyszeć, ale ten głos

znowu, bardzo wyraźnie, wypowiedział jej imię – głęboki, słodki, mocny głos, głos, który skąpał ją w kojącym cieple, i tym razem odpowiedziała, bardzo cicho, z powodu Sandry Lees: „Słucham?”, a głos powiedział: „Zostałaś wybrana”, a ona zapytała: „Czy jesteś Bogiem?”, i usłyszała: „Tak”. Trudno chyba otrzymać wyraźniejszy przekaz, prawda? Czasem czuła się przemieniona przez święte światło tak bardzo, że po prostu mdlała. Uwielbiała tę chwilę, uwielbiała, gdy traciła panowanie nad wszystkim, nad swoim ciałem i umysłem. Raz (może więcej niż raz) zemdląca w gabinecie taty – zrobiło jej się czarno przed oczami i padła na podłogę, niczym umęczona święta. Tato chlusnął jej w twarz szklanekę wody i powiedział, żeby się opamiętała.

„Chodź, chodź, pobawimy się”, szepnęła do idącej za nią jak lunatyk Olivii, a Olivia kwiliła płacliwie: „Nie, nie” i w niczym nie przypominała zwykłej, uśmiechniętej i zgodnej Olivii. „Jest noc...”, protestowała. „I co z tego?”, odparła Sylvia i złapała ją mocno za rękę. Kiedy były na środku trawnika, Olivia nagle krzyknęła: „Niebieska Myszka!”, a Sylvia powiedziała niecierpliwie: „No, idź po nią, tylko wracaj szybko”. Olivia wpełzła na czworakach do namiotu, a po chwili wygramoliła się z niego z maskotką pod pachą. Za nią wybiegł Rascal. Płatał się wesoło wokół jej nóżek.

Joanna d'Arc przemówiła do niej po raz pierwszy, kiedy siedziała na grubym konarze buku w ogrodzie Binky Rain. Joanna d'Arc mówiła wprost do jej ucha, głośno i wyraźnie, jakby siedziała obok niej na konarze. Śmieszne było to, że po żadnej takiej rozmowie nie potrafiła powtórzyć, co Joanna d'Arc jej mówiła. Miała nawet wrażenie, że w ogóle do niej nie mówiła, tylko śpiewała, jak jakieś ptaszysko siedzące wysoko na drzewie.

Bóg ją wybrał, zauważył ją, ale do czego ją wybrał? Miała poprowadzić do bitwy wielką armię, a potem spłonąć na stosie w oczyszczających płomieniach, jak Joanna d'Arc? Żeby zostać męczennicą? Świętą? *Sacra*? Od łacińskiego *sacer*, co znaczy święty, i *facere*, co znaczy czynić. Uczyniona świętą. Była niezwykła. Była święta. Była wyjątkowa. Wiedziała oczywiście,



że nikt w to nie uwierzy, ale powiedziała o tym Amelii, a Amelia rzuciła tylko: „Głupia jesteś”. Amelia nie miała krzty wyobraźni, była taka nudna. Próbowwała powiedzieć mamie, która akurat piekła placek i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wirujące łopatki kuchennego robota firmy Kenwood. Powiedziała: „Przemówił do mnie Bóg”, a mama odparła: „To dobrze, dziecko”, a ona poczekała chwilę i powiedziała: „Julie pożarł tygrys!”, a mama zapytała tylko: „Naprawdę?”, tym samym sennym, nieobecny głosem, i Sylvia wyszła z kuchni.

Ale Bóg nie przestawał do niej przemawiać. Przemawiał do niej zza chmur i zza krzewów, przemawiał w chwili, gdy zapadała wieczorem w sen, i przemawiał nad ranem, gdy się budziła. Przemawiał do niej w autobusie, podczas kąpieli (przed Bogiem nie musiała się wstydzić nagości), przemawiał, kiedy siedziała w klasie i kiedy siedziała przy kuchennym stole. Przemawiał do niej za każdym razem, kiedy wchodziła do gabinetu Victora. To tam, kiedy cierpiała, powiedział do niej: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie”. Bo przecież wciąż była dzieckiem.

„Nie!”, zaprotestowała rozbudzona już Olivia i zaczęła się jej wrywać. „Cii... to nic nie szkodzi”, przekonywała ją Sylvia, pchając drewnianą furtkę do ogrodu Binky Rain. „Nieeee...”, jęczała Olivia, zapierając się nogami, ale w porównaniu z Sycją siły miała tyle co mały kotek. „Wiedźma”, szepnęła przestraszona. „Nie bądź głupiotka – powiedziała Sylvia. – Pani Rain wcale nie jest wiedźmą, to tylko taka nasza zabawa”. Nie była pewna, czy sama wierzy w to, co mówi. Ale czy Bóg stworzyłby świat, w którym jest miejsce dla wiedźm? Co w takim razie z duchami? Czy w Biblii występują jakieś duchy? Musiała teraz ciągnąć Olivię z całych sił. Chciała ją zabrać na konar buku, chciała ją pokazać Joannie d'Arc, pokazać jej, jaką jest czystą i niewinną istotką, jak mały Jezusek. Nie wiedziała co prawda, jak ją wciągnie na drzewo, a wydawało się raczej niemożliwe, żeby weszła tam sama. Olivia zaczęła płakać. Sylvia zaczęła się denerwować. Stara wiedźma może je usłyszeć. „Uspokój się, Olivia!”, powiedziała ostro, stanowczym głosem, i mocniej pociągnęła siostrzyczkę

w stronę drzewa. Nie miała zamiaru jej skrzywdzić, naprawdę nie miała zamiaru zrobić jej nic złego, ale Olivia zaczęła głośno płakać i robić potworny hałas (co było do niej niepodobne, absolutnie), i wtedy syknęła: „Przestań!”, ale Olivii nic już nie mogło powstrzymać, więc zatkała jej usta ręką. Trzymała dłoń na jej ustach najdłużej jak mogła, aż w końcu Olivia ucichła.

„Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie”. Ofiara. Sylvia myślała, że zostanie świętą męczennicą, ponieważ wybrał ją Bóg. Ale okazało się, że to Olivia jest przeznaczona Bogu jako ofiara. Jak Izaak, tyle że, rzecz jasna, Izaak nie stracił życia, prawda? Olivia była teraz świętą. Czystą i świętą. Czystą, świętą i bezpieczną. Nikt jej już nie tknie. Nie będzie musiała chodzić do gabinetu ojca, nie będzie musiała się dławić jego smrodliwym członkiem, nie poczuje na ciele jego wielkich łap, nie będą jej kalaty i bezcześciły. Sylvia spojrzała na małe ciało leżące w wysokiej trawie i nie wiedziała, co dalej. Jediną osobą, która jej przychodziła do głowy, był tato. Tak. Pójdzie po tatę. Tato będzie wiedział, co zrobić.

## I Julia powiedziała

*Au revoir tristesse.* Jackson jechał z opuszczonym dachem. Z głośników płynęła głośno muzyka Dixie Chicks. Odebrał je z lotniska w Montpellier. Obie były ubrane pod kabriolet: na głowach szyfonowe chusty, na nosach ciemne okulary. Julia wyglądała jak gwiazda filmowa z lat pięćdziesiątych. Amelia nie. Julia mówiła mu wcześniej przez telefon, że Amelia jest ostatnio w lepszym nastroju. Ale jeśli nawet była to prawda, to Amelia najwyraźniej postanowiła zachować ją dla siebie, bo siedziała na tylnym siedzeniu jego nowego bmw m3 i zrzucała i marudziła po każdym słowie Julii. Jackson pożałował, że nie zdecydował się na sportowe dwuosobowe bmw z8. Wtedy Amelię można byłoby zamknąć w bagażniku.

- Papierosa? – zaproponowała Julia.
- Nie. Rzuciłem – odpowiedział.
- Dobra robota, panie B. – pochwaliła go.

Wjechali do Montpellier. Było bardzo gorąco i zatrzymali się w kawiarence na miejskim rynku. Zamówili lody w srebrzystych pucharkach – *glaces artisanales*. Julia biegłą francuszczyznę złożyła zamówienie. Jackson był pod wrażeniem.

– Kiedyś była francuskim pudelkiem – burknęła Amelia (ledwie słyszalnie).

– Przestań zrzucać, Milly. – Julia westchnęła. – Jesteśmy *en vacances*.

– Ty zawsze jesteś na wakacjach – odparła Amelia z przekąsem.

– Wiesz, przychodzą mi do głowy znacznie gorsze sposoby umilania sobie życia – odcięła się Julia.

Jackson zastanawiał się, czy jest w niej zakochany. Niebo nagle pociemniało, przybrało kolor granatowych węgierek

z Agen. W oddali błysnęło, zadudnił grzmot i na markizę nad ich stolikiem spadły pierwsze ciężkie krople nadciągającej ulewy. Julia spojrzała na niego, wzruszyła ramionami (na francuską modłę) i powiedziała:

– *C'est la vie*, panie Brodie, *c'est la vie*.

*Nie tylko najciekawsza powieść, jaką przeczytałem w tym roku, ale również najlepszy kryminał ostatnich czasów.*

Stephen King

*Mroczna i zabawna. Genialnie napisana.*

Chicago Tribune

Zazdrosny mąż podejrzewa żonę o zdradę. Dwie siostry dokonują szokującego odkrycia. Uznany prawnik prowadzi śledztwo w sprawie dawnego morderstwa. W tym samym czasie pewna pielęgniarka traci siostrzenicę, a starsza pani swoje koty...


Te wszystkie sprawy spadają na barki prywatnego detektywa, Jacksona Brodiego. Były policjant, świetny dochodzeniowiec, przeżywa ciężkie chwile – otaczają go śmierć i intrygi, a na dodatek boryka się z rodzinnymi problemami.

Mimo przeciwności losu, Brodie kontynuuje śledztwa. Ku swojemu zaskoczeniu szybko dostrzega związek między sprawami!

Czy w natłoku nieszczęść podola wyzwaniom?

*Zadziwiająco złożona i poruszająca powieść detektywistyczna.*

Guardian

Dostępna także jako 

Patronat

polki.pl 

Cena: 34,90 zł

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Zbrodnia  
w Bibliotece

  
**PORTAL**  
KRYMINALISTY

 **lubimyczytać.pl**  
Twoja internetowa biblioteczka

ISBN 978-83-7554-962-1  
  
9 788375 547603

lesiojot